



WACŁAW GAŚIOROWSKI

---

## **Nowa Kolchida**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



WACŁAW GAŚIOROWSKI

# *Nowa Kolchida*

*Wątlým a bezradnym w Ojczyźnie Rodakom poświęca*

*Autor*

## ZAMIAST WSTĘPU OD RAZU O NOWEJ KOLCHIDZIE

Dwie są Ameryki na świecie.

Pierwsza z nich to połączony, poszarpanego kontynentu, główna treść Zachodniej Półkuli.

Druga to część pierwszej zaledwie, ale część tworząca istotną, prawdziwą Amerykę, a więc Amerykę, która jako siła, energia, pomysłowość, wytrwałość, spryt, zachłanność, pewność siebie — lękiem, podziwem, szacunkiem czy zawiścią przejmować zwykła strupieszale koliska mieszkańców starego świata.

Druga Ameryka, więc ziemia miodem i mlekiem płynąca, ziemia obiecana, ojczyzna wszechmocnego dolara, kraina miliarderów, ziszczenia szaleństw, kopalnia złota, Nowa Kolchida na stal przekuwająca wątłe mięśnie współczesnych Argonautów<sup>1</sup>.

Druga Ameryka... więc ten obszar, który zdołał zgromadzić w jednym państwie wszystkich Amerykanów...

W Europie każdy człek należy do jednej, wprawdzie bardzo kłótlivej i nieprzyjemnej w domowym pożyciu, ale tej samej europejskiej rodziny. Grek, Lapończyk, Hiszpan, Łotysz każdy ma prawo legitymować się... Europą, zwać się Europejczykiem.

Ten sam ład panuje w Azji, w Afryce i w Australii.

W Ameryce, tej geograficznej, dzieje się inaczej.

W Ameryce Amerykanie bytują tylko w granicach prawdziwej Ameryki, w granicach Stanów Zjednoczonych. Wszystkie inne ludy podziewające się na tym samym kontynencie muszą poprzestawać na swych terytorialnych nazwach. Są tylko Meksykanami, Peruwianczykami, Brazylijczykami, słowem, tylko mieszkańcami Meksyku, Peru, Brazylii, Hondurasu — ale nigdy Ameryki.

Nikt zresztą nie waży się uchybić temu ładowi.

Nawet najbliższy sąsiad „Stanozjednoczeńca”, z tej samej krwi i kości zrodzony Kandyjczyk nie śmie za Amerykanina się podawać, nie umie nawet wymówić wyrazu „Amerykanin”, zdobyć się na to zaciśnięcie zębów, rozszerzenie ust, doprowadzenie szczęk do prostokąta, na to warknięcie harde poprzez ogryzek cygara lub kłębek przeżuwanej gumy: „*I am Amerrrrrican*”...

Niezwykły ten obyczaj ma swe uzasadnienie...

Stany Zjednoczone były pierwszymi koloniami europejskimi, które się wyzwoliły spod władzy metropolii i osiągnęły niepodległość.

Z tej niepodległości bodaj wywodzi się to legitymowanie się całą Ameryką, całą częścią świata jako przynależnością państwową, jako niemal narodowością.

---

<sup>1</sup>*Nowa Kolchida na stal przekuwająca wątłe mięśnie współczesnych Argonautów* — nawiązanie do mit. gr.; do Kolchidy (krainy Aja) została zorganizowana wyprawa pod wodzą Jazona na statku Argo, którego załogę stanowiło 52 tzw. Argonautów (wśród których znaleźli się liczni bohaterowie, m.in. Herakles, Orfeusz, Tezeusz i in.); celem wyprawy było zdobycie złotego runa, czyli skóry skrzydlatego, złotego barana Chrysomallosa powieszzonej na dębie w gaju Aresa i pilnowanej przez smoka; Kolchidę umiejscawiano nad Morzem Czarnym, na terenach dzisiejszej Gruzji. [przypis edytorski]

Droga, wiodąca ubogie kolonie emigrantów od pierwszych zatargów o herbatę i tabakę z londyńską administracją<sup>2</sup> do poczesnego miejsca wśród największych mocarstw, nie była ani ciężka, ani trudna i do zdumienia krótka.

Od początkowych wątych trzynastu stanów, które w roku 1790 utworzyły związek wolnych republik, do dzisiejszego olbrzyma potrzeba było zaledwie stu dwudziestu siedmiu lat.

Przestworu wolnego było zadość w pobliżu, czerwonoskórych tubylców do wytępienia stosunkowo niewiele, przybyszów zza oceanu na zawołanie, a co najważniejsze zapoczątkowany system pokojowych układów święcił jeden triumf za drugim.

Na imię temu systemowi było „dolar”.

Tradycja amerykańska powiada, że onego czasu cały półwysep Manhattan, stanowiący rdzeń dzisiejszego Nowego Jorku, został kupiony od Indianina za dwadzieścia i cztery dolary gotówką.

Nie był to zbyt świetny interes na owe czasy.

O wiele korzystniejsza była transakcja z Francją, zawarta w dniu 30 kwietnia 1803 roku. Oto za cenę piętnastu milionów dolarów Stany Zjednoczone powiększyły swoją ojczyznę prawie o 828 tysięcy mil<sup>3</sup> kwadratowych... Kupiły od Napoleona I obszar pięć i pół raza większy od dzisiejszej Rzeczypospolitej Polskiej... prawie za bezcen...

Historia powiada, że na Ameryce słabo się rozumiał już i Ludwik XV, jeszcze mniejsze pojęcie miały o niej królewskie damy, wojna kolonialna z Anglią niewarta była zachodu. Napoleon lichym był politykiem. Zbył się kraju, na przestrzeni którego bytują dzisiaj stany Luizjana, Arkansas, Oklahoma, Kansas, Missouri, Nebraska, Iowa, dwie Dakoty, Montana i części Colorado, Minnesoty i Wyomingu — zbył bez żalu...

Wprawdzie do tych piętnastu milionów dolarów Stany Zjednoczone dopłaciły jeszcze w następstwie za wykup prywatnych własności, ale był to w każdym razie „business” bardzo korzystny.

W szesnaście lat po tym zakupie, w roku 1819, udało się nabyć od Hiszpanii po znížonej cenie, bo tylko za pięć milionów dolarów i to wypłaconych na pokrycie pretensji obywateli amerykańskich do rządu hiszpańskiego — całą Florydę, większą o cztery tysiące mil kwadratowych od Czechosłowacji.

W roku 1845 została przyłączona do Stanów Zjednoczonych Rzeczpospolita Teksasu, więc znów poważny obiekt, liczący trzysta osiemdziesiąt dziewięć tysięcy mil kwadratowych ojczyny...

Aż nareszcie na lata 1848–1853 przypadł znów poważny dorobek, bo wynoszący dokładnie pięćset pięćdziesiąt osiem tysięcy mil kwadratowych.

Piękny ten plon wojny z Meksykiem, zakończony szlachetnym traktatem „Guadalupe-Hidalgo”, kosztował gotówką około trzydziestu dwu milionów dolarów. Ale za te trzydzieści dwa miliony urosła Stanom Zjednoczonym Kalifornia, Nevada, Utah, Arizona, Nowy Meksyk i reszta Colorado.

W roku 1867, za siedem milionów dwieście tysięcy dolarów zakupiono od Rosji Alaskę, więc pięćset osiemdziesiąt sześć tysięcy mil kwadratowych — a wśród nich kopalnie złota, które w ciągu dwu lat początkowej, niedołężnej eksploatacji wróciły całkowicie wyłożone pieniądze.

Po tych wielkich nabytkach przyrost terytorialny Stanów Zjednoczonych, począwszy od roku 1898, zaczął sięgać najbliższych mórz i oceanów.

<sup>2</sup>pierwsze zatargi o herbatę i tabakę z londyńską administracją — konflikt między władzą centralną w Anglii a koloniami w Ameryce Północnej narastał przez dłuższy czas, a jego tło stanowiło ograniczanie rozwoju gospodarczego kolonii poprzez akty prawne zakazujące np. uprawy niektórych produktów oraz nakładające wysokie cła na towary, dla których kolonie miały stanowić jedynie rynek zbytu; dla kolonii amerykańskich wprowadzono opłatę stempłową od aktów urzędowych, przesyłek i druków, a cłem obłożono m.in. herbatę, po czym w 1773 r. parlament angielski uchwalił ustawę o herbatie (*Tea Act*) zezwalający Kampanii Wschodnio-indyjskiej na bezpośredni handel herbatą z pominięciem kupców amerykańskich i brytyjskich. Taka polityka doprowadziła do buntu kolonii, którego pierwszym spektakularnym aktem było zatopienie całego transportu herbaty indyjskiej w porcie w Bostonie (wydarzenie znane jako „bostońska herbatka”), co dało początek wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych (1775–1783). [przypis edytorski]

<sup>3</sup>mila angielska — [miara długości równa] 1,6 kilometra. [przypis redakcyjny]

Stany Zjednoczone zdobyły kolonie, wprowadzie trochę przy huku dział ciężkiego kalibru, jak w wojnie z Hiszpanią, ale stale i zawsze przy ostatecznym zapłaceniu gotóweczką siakiej takiej hurtowej ceny.

W tym porządku rzeczy Wyspy Hawajskie kosztowały cztery miliony dolarów — za Porto Rico i Wyspy Filipińskie na otarcie hiszpańskich łez wypłacono dwadzieścia milionów dolarów — za kawałek Panamy, potrzebny na wybudowanie kanału amerykańskiego, zapłacono dziesięć milionów dolarów Rzeczypospolitej Panamskiej, a dwadzieścia pięć milionów Rzeczypospolitej Kolumbijskiej... Wreszcie w roku 1917 sprawiono sobie parę duńskich wysepek, zezujących pod Zatoką Meksykańską, kosztowało to znów dwadzieścia pięć milionów... cena ziemi oczywiście mocno poszła w górę.

W czasach ostatnich zdołano położyć rękę Wuja Sama na Kubie i do większego posłuchu skłonić hiszpańskie republiki, położone nad Morzem Karaibskim.

Stany Zjednoczone, a jak wymaga urzędowa nazwa, Zjednoczone Stany Północnej Ameryki, w ciągu stu dwudziestu siedmiu lat utworzyły sobie ojczyznę liczącą dokładnie trzy miliony siedemset trzydzieści osiem tysięcy mil kwadratowych... W tym tylko sto dwadzieścia sześć tysięcy mil kwadratowych wysepkami, a trzy miliony sześćset dwanaście tysięcy mil kwadratowych prawie w jednym kawale.

Poglądowo mówiąc, Stany Zjednoczone są większe od Brazylii blisko o pół miliona mil kwadratowych, niewiele są mniejsze od Europy i mogłyby jako szósta część świata iść przed Australią.

Olbrzymi ten kontynent, jak sobie łatwo wyobrazić, przedstawia niesłychanie skomplikowany spłot warunków klimatycznych, geologicznych, różnorodność fauny i flory, a tym samym niełatwe do ogarnięcia kontrasty, wpływające na bytowanie poszczególnych osiedli ludzkich. Co więcej, przestrzeń daje rozpęd, daje każdemu zamierzeniu nieznanym krajom europejskim rozmach, i ta przestrzeń amerykańska wszelkie porównania zamienia w żartobliwe prawienie o żelaznym wilku...

O Stanach Zjednoczonych mówi się jako o państwie podobnym do Niemiec, Francji, Szwajcarii, Szwecji czy Wielkiej Brytanii, a może do Rosji. Tymczasem Stany Zjednoczone stoją poza nawiasem wszelkich paraleli.

Szwajcarię można wziąć w dwa palce i wrzucić do jeziora Superior. Zniknie, pograży się bez śladu. Francja europejska może wygodnie schować się w jednym tylko Teksasie. Niemcy już nie tylko w Teksasie, ale choćby w dwu stanach, takich jak Nowy Meksyk i Missouri, dadzą się pogrzebać razem ze swymi pretensjami do cudzej własności. Wielka Brytania wobec prawdziwej Ameryki jest podupadłą ciotką, żyjącą na koszt swych kolonii, a Rosja zawsze niekulturalnym, dzikim i zdziczałym wielkoludem.

Dalej pamiętajmy, że najbardziej na północ wysunięte stany, jak Montana, Dakota Północna, Minnesota zaczynają się od szerokości geograficznej Paryża, że się zaczynają poniżej Zaleszczyk — że Nowy Jork leży na szerokości Neapolu, a Nowy Orlean poniżej Kairu w Egipcie, słynne zaś Miami na Florydzie to już bliskie sąsiedztwo z tropikiem, to afrykański brzeg Rio de Oro...

Przy tak bardzo południowej... sytuacji Ziemia Washingtona, dzięki... układowi korytarzowemu gór, idących od bieguna ku równikowi, posiada bardzo osobliwe zmiany atmosferyczne i wystawiona jest na ostre przeciągi...

Temperatura w Stanach Zjednoczonych nie da się ogarnąć byle termometrowi. Idzie od mchu, od porostu żalostnego, śniegiem wyhołubionego do „*palmettos*”, do palmowego chwastu, zarastającego niby paprocie podcienie florydzkich bagien.

W niektórych punktach Północnej Dakoty różnica idzie od 108 stopni Fahrenheita<sup>4</sup> podczas lata sięga 45 stopni poniżej zera. W Alasce od 60 stopni poniżej zera skacze do 90° powyżej. Lecz w tej samej Alasce na południowym wybrzeżu w lecie bywa najwyżej 80°, a w zimie bardzo rzadko termometr do zera się stacza...

A dopieroż różnice temperatury zachodzące w ciągu jednego dnia, kilku czy kilkunastu godzin, dopieroż owe spazmy barometru, wstrząsy powietrzne, huragany upiorne, burze „elektryczne”, leje „*tornedos*”, cyklony, zamiecie, wichury, walące żarem Meksykań-

<sup>4</sup>stopnie Fahrenheita — punkt wrzenia wody u Fahrenheita [wynosi] +212°C; punkt topliwości lodu, a więc 0° Celsjusza [wynosi] + 32° Fahrenheita. [przypis redakcyjny]

skiej Zatoki w zlodowaciałe puszcze Labradoru lub oddechem bieguna dudniące wprost do pieca, grzejącego wody Golfstreamu...

Dziwny kraj, ciągle przerażający świat czymś nadzwyczajnym, przeolbrzymim, czymś sprzecznym. Dziwny kraj smagany, przeorywany zgrzytami jeszcze biorących się za bary żywiołów...

Snop iskier trysnął wśród pęczka leśnego chrustu. Las się pali, bór cały staje w płomieniach... tysiące mil kwadratowych ogarnia pożoga... Ogień trawi całe powiaty... idzie w perzynę więcej niż Belgia, więcej niż Grecja...

Jedna rzeka targnęła okowami, jedna jedyna tylko, a oto wydaje się jakby równocześnie zbuntowały się i Ren, i Dunaj, i Wisła, i Dniepr, i Sekwana, i Tamiza, i Po, i Guadalquivir, i Ebro.

Dziwny kraj, lecz nie kraj, ale kontynent i nie jedno państwo, lecz czterdzieści osiem republik.

Dziwny kraj, skarbnica niewyczerpana dla badacza, dla podróżnika, ale i dla kolarysty, choćby dla przeciętnego gapia, boć wszędy, co kroku, ciżba spragnionych wieści o tym innym, nieznanym, tym niezawodnie lepszym, bogatszym, szczęśliwszym, tym amerykańskim.

Stąd pole do popisów dla byle gadulstwa, dla byle czego, pochwyczonego przelotem, przepisanego od kogoś, stąd o Ameryce, niby niegdyś o królewnie Banialuce byle długo, byle coś jeszcze...

Był w Pittsburghu, mówił po angielsku w Bostonie, przejechał się nad Wielkimi Jeziorami, sprawdził, że wodospad w Niagarze jeszcze nie wysychł i napisał księgę o Stanach Zjednoczonych.

Poza Nowym Jorkiem skrawka ziemi amerykańskiej nie oglądał, ćwierć wieku przeżył zamurowany we włoskim zaułku miasta Chicago — lecz za powrotem do Europy, uchodzi za autorytet w kwestiach dotyczących podziwiania się ludzi o trzy tysiące mil na zachód lub o dwa tysiące mil angielskich na południe...

Dopieroż gdy w roli urzędowego komiwojażera musnął Ameryki, gdy zajrzał z wagonu w rozwartą szczelinę Gór Skalistych lub wjechał autobusem na *Pike of Pike*... Wówczas snują się historie, niby za poruszeniem korby aparatu kinematograficznego... Obraz wysnuwa się z obrazu, coraz niezwyklejszy, niby one niewyczerpane nigdy gawędy myśliwskie.

Porywczy sąd ziele sarkazmem, ironia chłoszcze, pobłażliwy uśmiech wykrzywia usta pochylonego wiekiem arystokraty, a tuż... pożądliwość rozpala wyobraźnię, wytwarza coraz zawziętszy pęd w dal, hen, za morza... Byle do niej, do tej Kolchidy, do tej jedynej, do Ameryki, tam ocknienie, tam nowe życie, tam odrodzenie energii, tam natężenie mięśni, tam pogrzebanie fałszywego wstydu, tam przystań tułaczów, ucieczka przesładowanych, królestwo wydziedziczonych — tam w Ameryce...

---

## O TYM, CO JEST PRAWEM, A CO JEST LEWEM

Zjednoczone Stany Północnej Ameryki w dokładnym tego określenia znaczeniu są związkiem sfederowanych republik, zapartym o trzy władze naczelne: prawodawczą, sądowniczą i wykonawczą.

Jedynym źródłem, z którego te trzy władze czerpią swą energię, jest ciągle ta sama prastara Konstytucja z dnia 17 września, 1787 roku. Ona to scementowała niegdyś trzynaście początkowych republik i przetrwała po dziś dzień w całym lakonizmie swych siedmiu zaledwie artykułów, wysiliwszy się w ciągu stu czterdziestu czterech lat swego życia tylko coś na dziewiętnaście poprawek i uzupełnień.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych posiada wybitne cechy, wyróżniające ją w szeregu statutów nowoczesnego ludowładztwa. Najgłówniejszą z nich bodaj jest bardzo silne uniezależnienie wszystkich trzech władz naczelnych, przy poddaniu ich jednakże ciągłej i wzajemnej kontroli.

Jeżeli według konstytucji izba poselska stanowi żywioł ulegający bardzo łatwym odplywom i przypływowom, gdyż tworzą ją posłowie, wybierani na dwa lata w stosunku jeden

Państwo

poseł na każde trzydzieści tysięcy obywateli uprawnionych (census 1910 roku ustanowił jednego posła na każde dwieście jedenaście tysięcy obywateli), to jednak miarkuje ją w zapalach silny, a z natury swej raczej konserwatywny senat.

Senat amerykański składa się tylko z wybieranych przez każdy stan przedstawicieli na lat sześć z tym, że co dwa lata jedna trzecia część mandatów senatorskich podlega balotowaniu<sup>5</sup>.

Uprawnienia senatu amerykańskiego są potężne. Jest on kontrolerem izby niższej, jej ciałem apelacyjnym, ale nade wszystko senat jest kontrolerem władzy prezydenta Stanów Zjednoczonych i do pewnego stopnia jego mocodawcą.

Konserwatyzm jego wynika stąd, że każdy stan, bez względu na liczbę swoich mieszkańców, wybiera dwu senatorów. Więc, na przykład, stan nowojorski wybiera do izby poselskiej czterdziestu trzech reprezentantów, a tylko dwu senatorów — stan Montana zaś ma prawo jedynie do dwu reprezentantów, stan Rhode Island tylko do trzech, Południowa Dakota również tylko do trzech, ale każdy z tych stanów wyprawia do Waszyngtonu po dwu senatorów. Czyli stany mniej zaludnione, mniej uprzemysłowione, mniej ulegające prądowi nowoczesności, wpływowi neo-Amerykanów, dominują, rozstrzygają. Czyni to niewspółmierną różnicę pomiędzy wartością istotną mandatów, boć senator nowojorski reprezentuje sześć milionów mieszkańców, pensylwański niemal pięć milionów, senator z Missisipi jeden milion, a senator z Nevady tylko czterdzieści pięć tysięcy mieszkańców.

Prezydent Stanów Zjednoczonych wybierany jest przez elektorów powoływanych przez wyborców danego stanu spośród obywateli, niebędących członkami ani senatu, ani kongresu, ani też nie piastujących w ogóle żadnego urzędu. Każdy stan wybiera tylu elektorów, ilu posiada w kongresie posłów i senatorów. A więc w tym wypadku stany najbardziej zaludnione mają głos decydujący.

Prezydent wybierany jest tylko na cztery lata. Ma więc termin mandatu o dwa lata krótszy od senatorskiego. Ustupający prezydent może być wybrany na następne czterolecie, prawo obyczajowe wszakże po ośmiu latach urzędowania nie dopuszcza do ponownego wyboru.

Prezydent Stanów Zjednoczonych posiada istotnie bardzo rozległą władzę. Jest wódcem sił zbrojnych, stoi na czele mianowanych przez siebie sekretarzy (ministrów), którzy urzędują z jego ramienia i są jedynie przed nim odpowiedzialni. On jest sternikiem nawy<sup>6</sup> państwowej, kierownikiem polityki zagranicznej, wykonawcą prawa i jego strażnikiem.

Senat jednakże, jak było powiedziane, posiada w stosunku do prezydenta znaczne prerogatywy. A więc prezydent mianuje kandydatów na członków Najwyższego Trybunału, na ambasadorów, wyższych urzędników, ale zawsze za wskazówką senatu i przy zatwierdzeniu senatu. Prezydent zawiera lub zrywa traktaty, ale znów pod warunkiem zgody dwu trzecich izby senatorskiej.

I *vice versa*<sup>7</sup>, prezydent ma przywilej obsadzania wszelkich wakansów<sup>8</sup> w czasie odroczenia posiedzeń senatu, ma prawo weta, a więc zawieszania powziętych przez obie izby uchwał i żądania powtórnego ich rozpatrzenia. Trzyma w rękach arkana wszystkich federalnych instytucji, jak skarb państwa, jak poczta, jak sekretariat stanu, jak sekretariat spraw wewnętrznych — władza jego sięga dalej aniżeli władza angielskiego króla.

Prezydent Stanów Zjednoczonych jest nie tylko przedstawicielem czy najjaśniejszym manekinem sfederowanych republik, lecz istotną głową rządu, jest nie samym symbolem majestatu, ale zasadniczym jego czynnikiem. Nie jest echem ukrytych sprężyn ministerialnych, nie jest uroczystym parawanem i nie jest owym dostojnikiem, którego głównym obowiązkiem jest przyjemny wyraz twarzy, kiwanie się do taktu hulających w parlamencie prądów, lecz jest przewodnikiem samodzielnym, narzucającym raczej swe poglądy, jest zawsze nie wykonawcą cudzych, lecz nade wszystko własnych poczynąć.

<sup>5</sup>*balotowanie a. balotaż* — głosowanie na dwóch kandydatów, którzy w pierwszej turze uzyskali najwięcej głosów, ale nie zdobyli wymaganej większości; daw. tajne głosowanie za pomocą kartek a. białych i czarnych galek. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*nawa* (daw.) — statek, okręt. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*vice versa* (łac.) — na wzajem. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*wakans* — wakat; wolne stanowisko do obsadzenia. [przypis edytorski]

I kiedy zdawałoby się niejednemu, że Mussolini<sup>9</sup>, że jakowś Kemal Pasza<sup>10</sup> winni zazdrościć prezydentowi Stanów Zjednoczonych tego dziesiątkami lat uświęconego dyktatorstwa, tam, w skąpanym w słońcu Białym Domu, strażuje podczas<sup>11</sup> ostra, nieubłagana litera konstytucji amerykańskiej, tam czuwa zwarta, silna a solidarna masa dwu partii politycznych, dwu rządzących stronnictw.

I tam, co więcej, stoi warta czterdziestu ośmiu stanów, czterdziestu ośmiu wolnych, sfederowanych, równych sobie republik. One czuwają, one baczą, aby nikt nie śmiał tknąć bodaj jednego przecinka konstytucji Stanów Zjednoczonych... Konstytucja bowiem murem stoi. Na byle poprawkę, na byle drobiazg nie wystarcza uchwała kongresu, nie wystarcza zgoda prezydenta, nie wystarcza plebiscyt, trzeba jeszcze głosowania wszystkich poszczególnych „legislatur”, one dopiero władne są zatwierdzić lub odrzucić propozycję Waszyngtonu.

A nad wszystkimi kwestiami spornymi, międzystanowymi zatargami, poza kongresem, poza prezydentem trwa Najwyższy Trybunał złożony z sędziów nienaruszalnych, którzy często przez kilkadziesiąt lat ważą na szali najdonioślejsze zagadnienia, nie wahać się ani chwili potępić decyzji bodajby samego prezydenta.

Sfederowane republiki amerykańskie pomimo tej wspólnej konstytucji nie wyrzekły się swych prowincjonalnych autonomii, nie wyrzekły się swych własnych statutów. Uznały jedynie potrzebę zgodzenia się na pewne wspólne dla wszystkich instytucje, uznały potrzebę poddania się jednej i tej samej dyrektywie, nie zrezygnowały przecież z żadnego ze swych własnych atrybutów.

Wyraz „stan” (*state*) znaczy dokładnie państwo i jest popularnym skrótem oficjalnego tytułu każdej poszczególniej należącej do federacji republiki.

W języku potocznym mówi się i pisze „stan Pensylwania”, w języku urzędowym trzeba jednak zawsze pamiętać, że Pensylwania nigdy nie przestała być ani na sekundę hardą „*Commonwealth of Pennsylvania*” — Rzeczypospolitą Pensylwańską.

Stolicą Stanów Zjednoczonych jest Waszyngton, położony na skrawku neutralnej ziemi, skrawku zwanym Obwodem Columbia, „*District of Columbia*”. Skrawek ten pozostaje pod bezpośrednią władzą prezydenta i kongresu. Mieszkańcy jego nie biorą udziału w wyborach ani federalnych, ani miejskich.

Natomiast każdy stan posiada własną stolicę i we własnej stolicy ma również tak zwany „kapitol”, czyli siedzibę swego stanowego parlamentu, swej legislatury stanowej, złożonej ze stanowych senatorów i posłów stanowych, tak zwanych „assemblymanów” oraz z jakby swego własnego „prezydenta”, naczelnika stanowej władzy wykonawczej, zwanego „gubernatorem”.

Każdy ze stanów jest miniaturą ustroju konstytucyjnego całego państwa. Gubernator stanowy jest wybierany na dwa, trzy, lecz przeważnie na cztery lata, senatorzy i assemblymani miewają jednoroczne lub co najwyżej dwuletnie mandaty.

Stany rządzą się własnymi statutami. Te ich przecież własne statuty muszą być zgodne z duchem Stanów Zjednoczonych.

Wolno poszczególnym stanom wprowadzać te lub inne obostrzenia, wolno, na przykład, mieć odmienne prawo spadkowe, inne opodatkowanie na rzecz powiatów czy gmin, ale nie wolno żadnemu stanowi wprowadzać praw, które by gwałciły wolność prasy, które by uchybiały swobodzie zebrań, które by sprzeciwiały się zasadniczym artykułom konstytucji sfederowanych republik.

Każdy akt prawny dokonany w danym stanie, musi być uznany za prawomocny i w innym stanie. Każdy obywatel jednego stanu zażywa przywilejów w innych stanach na równi

<sup>9</sup>Mussolini, Benito *Amilcare Andrea* (1883–1945) — wł. polityk i dziennikarz, gł. założyciel i przywódca ruchu faszystowskiego; premier Włoch w l. 1922–1943, później do 1945 przywódca Włoskiej Republiki Socjalnej (tzw. Republika Salò); w 1943 r. został odsunięty od władzy, utworzył satelickie względem Niemiec, marionetkowe państwo z rządem rezydującym w płn. Włoszech w Salò; Mussolini sprawował tam władzę z pomocą szerzących terror jednostek Guardia Nazionale Repubblicana i Czarnych Brygad; schwytany przez komunistycznych partyzantów w 1945 r. i rozstrzelany. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Kemal Pasza właśc. *Mustafa Kemal* zw. *Atatürk* (1881–1938) — turecki polityk, wojskowy, mąż stanu, współtwórca i pierwszy prezydent Republiki Turcji od 1923 do śmierci w 1938 r. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>podczas — tu: tymczasem, w tym czasie. [przypis edytorski]

z obywatelami tych stanów. Każdy obywatel stanu Michigan może przenieść swe penaty<sup>12</sup> do stanu Oregon i zostać obywatelem stanu Oregon i odwrotnie. Ta zamiana następuje automatycznie po roku czy już po kilku miesiącach stałego rezydowania w pewnej miejscowości.

W kwestiach ustawodawczych różnice między stanami pokrywają się za pomocą wzajemności...

Weźmy drobny przypadek, dotyczący przywileju samochodowego.

Dajmy na to, że stan Indiana uchwalił w swoich przepisach, że automobilista przybywający z innego stanu po dwumiesięcznym pobycie powinien wykupić tablicę stanu Indiana. Tymczasem stan Maryland jest liberalniejszy, orzekł bowiem, że przybysz z innego stanu może przez całe cztery miesiące podróżować po całym stanie z tablicą innego stanu. Owóż ten przepis stanu Maryland stosuje się tylko do tych stanów, które uchwaliły u siebie równie czteromiesięczny termin. Automobilista z Indiany będzie zaś podlegał prawu „wzajemności”, czyli że dla niego nawet w Maryland termin będzie ograniczony tylko do dwu miesięcy.

Sfederowane republiki strzegą zawistnie swej własnej niepodległości.

„Legislatury” nie mieszają się do spraw przekazanych Waszyngtonowi, w zatargach swych z innymi republikami poddają się kornie wyrokowi Najwyższego Trybunału, ale do wewnętrznej swej procedury, do własnego gospodarstwa nie pozwalają się mieszać nikomu.

Gorze<sup>13</sup> jakimś policjantowi z Wisconsinu, który by śmiał naruszyć granice stanu Minnesota i na ziemi minnesockiej choćby podrzędnego draba za portczyzny ucaścić.

Toć gwałt, toć burza rozpuściłaby się w kapitole minnesockim, całe miasto St. Paul zatrzęsłoby się w posadach i gromami rzuciłoby w kapitol wiskonsiński i targnęłoby murami Madisonu.

Nie ma zmiłowania! Jeżeli władza wykonawcza stanu Wisconsin chce się rozprawić z przestępcą, który „wieje” do stanu Minnesota, w takim razie winna drogą dyplomatyczną... zażądać wydania przestępcy...

Poza całkowitym samorządem, jak najdalej sięgającą autonomią miast i powiatów, Stany Zjednoczone różnią się i tym jeszcze od innych republik, że nie posiadają centralizacji państwowej ani dla problematów oświatowych, ani dla zagadnień sprawiedliwości.

Stany Zjednoczone nie mają kodeksu, mają pewne normy podstawowe, a zresztą rządzą się prawem obyczajowym, a więc zbiorem wyroków zapadłych na ziemi amerykańskiej, a choćby na ziemi angielskiej, o ile by szło o interpretację sięgającą do zamierzonych czasów.

W przypadkach nowych powikłań rozstrzyga osobiste przeświadczenie sędziego, zresztą bardzo dowolne ferujące wyroki.

Najwyżsi jedynie dygnitarze sądownictwa amerykańskiego podlegają nominacji prezydenta lub gubernatora i zatwierdzeniu przez senat federalny lub stanowy. Wszyscy inni są wybierani przez powszechne wybory na pewną określoną liczbę lat.

W ten sam sposób tworzą się władze edukacyjne z tą przecież różnicą, iż rząd federalny żadnego już udziału w tych sprawach nie bierze, poprzestając na prowadzeniu statystycznych wykazów w departamencie spraw wewnętrznych.

Różnice zachodzące pomiędzy poszczególnymi stanami, odmienne zapatrywania na takie zagadnienia jak kara śmierci, odpowiedzialność nieletnich, ustrój więziennictwa i tym podobne wytwarzają tak silny zamęt, tworzą tak trudne do rozwiązania sploty, że działalność prawników jest ograniczona ramami tego stanu, w którym zamierzają praktykować, a z którego praw i statutów, po ukończeniu uniwersytetu, dodatkowe złożyli egzaminy.

Wszelkie zresztą niedomówienia konstytucyjne czy statutowe reguluje wieloprzymiotnikowe prawo wyborcze, które obywatelowi Stanów Zjednoczonych pozwala każdą z najmniejszych komórek ustroju państwowego zmieniać, ulepszać czy konserwować.

<sup>12</sup>penaty (mit. rzym.) — bóstwa opiekuńcze domu, domowych zapasów, rodziny; czasem też całego państwa; również: lary i penaty. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>gorze (daw.) — biada; nieszczęście; tu: nie wolno, nie należy (pod groźbą ściągnięcia nieszczęścia). [przypis edytorski]



Polityka wewnętrzna Stanów Zjednoczonych opiera się dotychczas na dwu dominujących ugrupowaniach. Na republikanach i na demokratkach. Są to dwa stronnictwa rządzące, dokładniej odbierające sobie na zmianę berło władzy, jakby wzorowane na angielskich wigach<sup>14</sup> i torysach<sup>15</sup>, bo równie jako niegdyś wigowie i torysi doprowadzone do walki nie o postulaty, nie o racje polityczne, lecz o zdobycie stanowisk dla swoich prowadzących.

Rozłam początkowy, datujący od czasów prezydenta Jacksona, rozłam, a właściwie spór stanów północnych z południowymi, przemysłowo-handlowych z rolniczymi przeszedł przez cały szereg rozmaitych zagadnień, którymi legitymowali się republikanie lub którymi demokraci różnić się chcieli od republikanów.

Dojście onego czasu Abrahama Lincolna<sup>16</sup> do władzy, Wojna Cywilna<sup>17</sup>, bratobójcza wojna południa z północą zaostriły różnice między współzawodniczącymi stronnictwami, czas je wreszcie stępił i sprowadził, jak było powiedziane, do walki o stanowiska, do walki o urzędy, do walki o władzę.

Zewnętrznie partia republikańska reprezentuje żywioł kapitalistyczno-konserwatywny, ulega wskazaniom protestantyzmu, opiera się nawet na zwartych grupach metodystów, prezbiterian i unitarian, zmierza do zamerykanizowania przybyszów za pomocą angliczacji, objawia dążenia centralistyczne, a więc takie, które dążą do większego scalenia sfederowanych republik, *respective*<sup>18</sup> okiełzania autonomicznych wybryków.

Partia demokratyczna idzie w kierunku decentralizacji władzy, gra na sentymentach mas wielkomiejskich, głosi jak najdalej idącą tolerancję w stosunku do grup narodowych, nie ma żadnych uprzedzeń religijnych, ma całkowitą powolność dla katolików i dla Żydów, przebąkuje o sprawiedliwszym podziale bogactw, wypiera się wszelkiej ksenofobii wobec imigrantów.

Z dwu tych stronnictw partia republikańska, która, co więcej, wywodzi się z dawnych angielskich wigów, jest bardziej zwarta, bogatsza w środki materialne, zajadle popierana przez masonerię i jedynie w przypadkach ciężkich przesileni wewnętrznych ustępująca demokratom rezydencji w Białym Domu.

Na trzydziestu jeden prezydentów Stanów Zjednoczonych zaledwie dziewięciu było demokratami i z reguły każdy z nich wypływał w momencie silnego wrzenia wewnętrznego. Z chwilą powrotu równowagi republikanie dotychczas zawsze odzyskiwali utraconą władzę.

Od lat kilkunastu w Stanach Zjednoczonych kielkują prądy socjalistyczne, liberalne, czy, jak je nazywają, postępowe. Mają nawet swych posłów, swych senatorów, lecz dotychczas nie zdołały wytworzyć stronnictwa, które by mogło stanąć w szrankach do walki z demokratami i republikanami.

Walka wyborcza w Stanach Zjednoczonych w środkach nie przebiega. Do walki tej idą periodycznie nie tylko hasła, programy, frazesy, lecz, co więcej, dolary, intrygi, oszczerstwa, w krytycznych chwilach pięści, a w ostatku rewolwery.

<sup>14</sup>*wig* — członek stronnictwa politycznego wigów, opozycyjnego wobec absolutystycznych rządów Stuartów w Anglii; stronnictwo to istniało w ang. parlamencie od lat 80 XVII w., a w XIX w. przekształciło się w Partię Liberalną. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*torys* — członek konserwatywnego stronnictwa politycznego torysów, przeciwstawiającego się ograniczaniu władzy królewskiej oraz broniącego interesów ziemiaństwa i kościoła katolickiego w Anglii; stronnictwo nosiło początkowo nazwę *Abhorers*, tj. oburzonych, było opozycyjne wobec dążeń wigów; w 1834 r. przekształciło się w Partię Konserwatywną. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Lincoln, Abraham* (1809–1865) — szesnasty prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki (1861–1864), kandydował z ramienia Partii Republikańskiej, następnie wybrany na drugą kadencję, jednak 15 kwietnia 1865 r. zginął z ręki zamachowca, Johna Wilkesa Booth’a; czas prezydentury Lincolna wypełniły wydarzenia wojny secesyjnej. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*Wojna Cywilna* (ang. *American Civil War*) — wojna, która toczyła się w latach 1861–1865 w Stanach Zjednoczonych Ameryki w wyniku secesji części skonfederowanych stanów na południu kraju (tzw. Konfederacja a. Południe), które wystąpiły z Unii a stanami północnymi (tzw. Unia a. Północ); inaczej: *wojna secesyjna*; wojnę rozpoczęło ostrzelanie przez konfederatów Fortu Sumter w zatoce Charleston w Karolinie Południowej, do którego doszło 12 kwietnia 1861 r., zaś zakończyła kapitulacja konfederatów 26 maja 1865 r. Jedną z najważniejszych zdobyczy wojny, która pochłonęła ponad 600 tys. ofiar, było zniesienie niewolnictwa aktem wydanym przez prezydenta Lincolna 22 września 1862 r. (Proklamacja Emancypacji) oraz wprowadzenie 13. poprawki do konstytucji Stanów Zjednoczonych, dotyczącej zniesienia niewolnictwa i robót przymusowych, a uchwalonej przez Kongres 31 stycznia 1865 r. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*respective* (łac.) — względnie. [przypis edytorski]

Jedne wybory następują za drugimi, walka wybucha co chwila, o prezydenta, o senatora lub kongresmana, o miejsce w senacie czy w sejmie stanowym, o gubernatora, o prezydenturę miasta, o miejsce ławnika, o krzesło sędziowskie, o stolik sekretarza hipotecznego, o miejsce członka rady szkolnej itd., bez końca. Idzie walka nawet o ten „job” miejski, który powołuje obywatela Stanów Zjednoczonych do zamykania ulic w nieskazitelnie białym ubraniu...

Idzie w Ameryce walka o każdy urządzik, o każdą byle posadkę.

Trzeba się brać za bary, trzeba iść na ostre za swym kandydatem, bo, jeżeli ten własny demokratyczny czy republikański kandydat nie przejdzie w wyborach, w takim razie te posadki, ten chlebuś powszedni dostanie się przeciwnikom. To szamotanie się bowiem republikańsko-demokratyczne ma swoje, latami uświęcone praktyki... Żadnego zmiłowania dla zwyciężonych, bo trzeba jak najwięcej miejsc dla zwycięzców.

W momencie, kiedy w podwoje Białego Domu po prezydencie demokratycznym wkracza prezydent republikański, w tym samym momencie niby uległe owoce za podmuchem wiatru, spadają ze wszystkich urzędów, ze wszystkich bez wyjątku stanowisk wszyscy po kolei demokraci.

Kiedy republikański „mayor”, czyli prezydent miasta Chicago, sławetny Thompson został pobity na głowę przez demokratę Čermaka, w tym samym dniu Čermak otoczony stu detektywami, podpisał na pierwsze danie 2000 (dwa tysiące) dymisji republikańskich urzędników i funkcjonariuszy municypalności chicagowskiej... i bez prawa do emerytury!...

Z tym obyczajem partyjnym społeczeństwo amerykańskie od dawna się oswoiło.

Nikt się nie unosi czułościowością, nikt się nie sroma<sup>19</sup> tej manieri.

Stronnictwo zdobywające większość zagarnia urzędy wybieralne. Ci zaś, którzy je zdobywają, chcą mieć dokoła siebie swoich ludzi, ludzi swego stronnictwa. Co więcej, partyjnicy od swych triumfujących kandydatów żądają ekwiwalentu...

Z tej naturalnej może logiki rodzi się, nieznana gdzie indziej w brutalności swej, walka wyborcza. Tu nie idzie o żadne deklamacje poselskie, nikt sobie głowy nie suszy ideologią, jakimiś urojeniami czy obietnicami, tu krociom tysięcy idzie o byt, o utrzymanie, o jutro ich własnych rodzin.

Są w Ameryce ludzie trwający poza błędnym kołem tych tarć, patrzący dobra kraju, szukający podniosłych wskazań, nowych horyzontów, lecz wyborami trzęsą ci, dla których te wybory są upragnionym szczeblem, są omastą<sup>20</sup> czy choćby tylko czerstwą kromką chleba.

Walka kosztuje, na walkę trzeba pieniędzy. Nawet stronnictwo trzymające w danej chwili władzę, a więc operujące posłusznym aparatem państwowym, nie śmie lekceważyć przeciwników, musi wyklądać, musi łożyć na wybory.

Skądże czerpać pieniądze?

Partie mają składkowe fundusze, ale tego mało, tego zawsze za mało. A więc trzeba, żeby na wybory dawali ci, którzy na wyborach bezpośrednio skorzystają.

Jest pan dobrodziej członkiem Rady Szkolnej miasta Detroit — nie ma pan prawie żadnej pensji, otrzymuje pan co najwyżej diety za stracony czas na sesjach... Ale chciałby pan być tym członkiem Rady Szkolnej, bo członkowie Rady Szkolnej mają ładne dochody, bo panowie ławnicy miasta Chicago umieją robić majątki, bo byle „kapitan” policji w Cleveland opływa jak pączek w smalcu...

Któż tedy ma łożyć na wybory?

Chyba ten, który chciałby zyskać poparcie stronnictwa, który by chciał, aby przyszły wybraniec mianował go swoim kancelistą, zrobił go bodaj komisarzem zdrowia, lekarzem w szpitalu, nauczycielką w szkole publicznej.

Więc kandydat na ławnika (aldermana), na szefa policji czy na policyjnego pacholka musi się opodatkować, musi na wybory złożyć część swojej własnej pensji czy też częsteczkę naciulanych przez siebie pieniędzy.

Wybory są kosztowne.

<sup>19</sup>sromać się (daw.) — wstydzić się. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>omasta (reg.) — tłuszcz dodawany do potraw, np. masło a. smalec, którym smaruje się chleb. [przypis edytorski]

Trzeba opłacać naganiaczy, trzeba reklam, trzeba zgłodniałej prasie zapłacić za tyle i tyle artykułów z „portretami”, trzeba smarować, trzeba fundować głuptaskom, trzeba chytrym mizerakom wtykać wprost po piątce za głos, trzeba, niestety zdarza się to nazbyt często — fałszować głosy, do opieczętowanych skrzynek ładować podrobione „baloty”, trzeba strachem brać opozycję, trzeba drogą przestępstwa dojść do... praworządności.

Nawet w Ameryce zdumienie ogarnia społeczeństwo, ile taki kandydat musi, ile może wydać na swoje własne wybory swego faworyta...

Senat Stanów Zjednoczonych w swoim gronie usiłuje tępić zło w zarodku. Senat przy sprawdzaniu mandatów dociera, ile kosztowała kampania wyborcza danego senatora, czyli<sup>21</sup> nie przebrał miary... W przypadku zbyt bezczelnego przekupstwa senat unieważnia mandaty.

W roku 1928 w stanie Pensylwania taki poszukiwacz senatorskiej godności wyłożył był okragłe osiemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów na agitację... Była to tak potworna suma, iż senat przepędził wybrańca, słusznie kalkulując, że ów jegomość musiał knować nie lada zamach, jeżeli w ciągu lat sześciu zamierzał był pokryć wyłożone przez drugich na jego kandydaturę kapitały.

Pani McCormick z Chicago przyznała się była w czasie podobnego dochodzenia, że ją wybory kosztowały około dwustu tysięcy i to wybory nieszczyśliwe, bo po zdobyciu nominacji przy ostatecznym głosowaniu poniosła klęskę.

Im potężniejszy mandat, im większa władza elekta, tym potężniejsze wchodzi w grę siły. Toć i wielkie kapitały czuwają, baczą magnaci, nie zasypiają sprawy rozmaici „królikowie” od poszczególnych działów produkcji, każdy chce mieć u steru swego człowieka; jednemu potrzebny jest do interesu skarbnik stanowy, drugiemu gubernator, trzeciemu drogowy komisarz.

W komisjach weryfikacyjnych zbierają się chmury, grom wisi w powietrzu, uderza jednak bardzo rzadko, przestępstwo wyslizguje się, na dwudziestu dwustu ma świadków w odwodzie.

Po każdych wyborach zalega cisza. Chwila uspokojenia.

Zwycięzcy gospodarzą, zwyciężeni hartują siły, gromadzą środki na najbliższe jutro.

Uspokobienie panuje pogodne, nie ma szykan, nie ma wzajemnego dręczenia. Demokraci strzegą pilnie należnego poszanowania dla republikańskich dygnitarzy, republikanie nie wąż się uchybiać demokratycznemu prezydentowi.

Po wściekłym tarposzeniu się, po nabiciu sobie bolesnych guzów, niby na pięściarskich zawodach, silniejszy uderzeniem w głowę rozciągnął przeciwnika na ziemi... i już po chwili troszczy się o jego zdrowie i pomaga wachlować go ręcznikiem...

Następuje teraz mniej lub więcej gwałtowne wycofywanie poniesionych kosztów, ekwiwalent za położone na rzecz zwycięzcy zasługi.

Dochody prawne nie zawsze wystarczają, trzeba szukać ubocznych zysków, trzeba szukać tak zwanego w Ameryce „graftu”<sup>22</sup>.

„Graft” jest w pewnym stopniu tolerowany. Niby dawna łapówka rosyjska, o ile nie przebiera miary, o ile trzyma się „rangi”, jest manipulacją nie tyle godziwą, ile powszednią. Nie na to się człek dorwał urzędu, aby biedą handlował.

Wielki „graft” pracuje w rękawiczkach. Operuje taryfami, cłami ochronnymi, koncesjami, pożyczkami, operuje milionami.

Opinia publiczna ma dla takich rękawiczek ironię zaledwie.

Prasa amerykańska umie z całą pogodą ducha zwiastować nowinę, że po takim a takim krachu na giełdzie czy po takim i takim „pushu” ten i ten sekretarz stanu, a więc minister, obudził się o całe trzysta milionów dolarów bogatszym... aniżeli był dnia poprzedniego — albo że imponujący prokurator stanu Illinois był osobistym przyjacielem poległego na stanowisku... naczelnika szajki bandyckiej...

Grafciarstwo, schodząc po szczeblach na dół, przybiera naturalnie coraz przykrzejsze formy. Łagodzi je przecież względna krótkotrwałość urzędów wybieralnych, częste zmiany u złobów, pozbywanie się osobników zbyt chciwych czy też filozoficzne oczekiwanie swej własnej kolei...

<sup>21</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykulą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>graft (ang.) — łapówka. [przypis edytorski]

Stany Zjednoczone są państwem tak możnym i zamożnym, że w ogólnym rachunku uszczerbku nie ponoszą. Parę milionów mniej lub więcej czy paręset tysięcy jeszcze wydanych na budowę pomnikowego gmachu, toć w gruncie rzecz mała. Niechże się żywią ci u wielkiego stojący ołtarza...

Smutny wpływ „grafciarstwa”, pchania się do urzędów ludzi przebiegłych, chciwych zaczyna się dopiero tam, kędy czuwać powinni strażnicy prawa i ładu publicznego.

Wymiar sądownictwa w Ameryce, zwłaszcza na niskich szczeblach sądownictwa, bywa przykry, opłakany. Na stolce sędziowskie dostają się często ludzie nie najlepsi, ludzie słabi, zniewoleni ulegać swym mandatariuszom, wśród adwokatury plenią się chmyzy<sup>23</sup>.

W tym kierunku, być może, stosunki w Stanach Zjednoczonych nie są gorsze niż gdzie indziej. Kauzyperdstwo<sup>24</sup> i pieniactwo są liszajami, które dręczą nawet względnie zdrowe organizmy społeczne.

W Ameryce przecież te liszaje znajdują bodaj podatniejszy grunt, bo, jak było powiedziane, brak kodeksów, elastyczność prawa obyczajowego, niesłuchanie zawiała procedura i krocie ludzi albo niemających pojęcia o normach prawnych albo, jako cudzoziemcy, stojących poza przywilejami obywatelstwa.

Adwokatura w Ameryce jest prawie że sportem, jest zabawą w wykręty, w kruczki, w grę słów. Obrona zbrodniarza polega nie na chronieniu przestępcy przed bezwzględnością sądu, przed jednostronnością oskarżenia, lecz na przedzierzganu łotra w aniołka, a w ostateczności w Boga ducha winnego idiotę. Adwokat bez żadnych osłonek publicznie rozpowiada, że mordercy kazał stanąć na stanowisku „*not guilty*” — dowodzić swej niewinności, to znaczy, że kazał mu wyprzeć się początkowych zeznań, zaprzecić zbrodni...

Kiedy morderca czy rozbójnik nie przedstawia dla adwokata ani materialnego zysku, ani nie wróży listka sławy obrończej, kiedy idzie o jakowegoś banalnego, nieciekawego przestępcę wówczas swada adwokacka obojętnieje na prokuratorskie wywody... Mali nędznicy, ubodzy nędznicy płacą rachunki wielkich niegodziwców.

W sprawach kryminalnych jedynie kara śmierci, a obok niej upór gubernatora stanu — gubernatorzy posiadają przywilej ulaskawiania delikwentów — jest nieodwołalna... Wszystkie inne terminy więzienia aż do „dożywotniego więzienia” zależą od „dobrego sprawowania się skazańca”... i znów od łaski gubernatora... Gubernatorzy zmieniają się szybko, zależą znów od wyborców, od wpływów „politycznych”... W dobrze urządzonych, zdrowych więzieniach pokuta, ekspiacja skraca terminy w szybkim tempie.

Niektóre stany dochodzą w korupcji do krańca. Taki stan Illinois, a zwłaszcza sławetny powiat Cook, tworzący właściwie obwód miasta Chicago, od szeregu lat cierpi na wołającą o pomstę bezkarność dla wszelkiego bandytyzmu. Prokuratoria idzie o lepsze z sądownictwem i policją. Zakrawa chwilami na włoską Camorę, na Mafię. Dobre duchy obywatelskie kruszą kopie, zrywają się do walki garstki zacnych sędowników, trąd szerzy się. Cynizm swój posuwa do tego, że pogrzeb bandyty zamienia w olbrzymi pochód wieńców, składanych przez dostojników sądownictwa, przez wybrańców ludu!...

Zwykle oszustwo, szalbierstwo na większą skalę, nadużycie zaufania, te najczęściej przybierają beznadziejną formę procesów cywilnych, niosących pokrzywdzonym lata niepokoju i przyprawiających ich o znaczne koszty...

Procedura bowiem cywilna jest bodaj jeszcze zawilsza. Tu zysk wygrywa z reguły. Tu już za bary biorą się często tak zwane „firmy adwokackie”, olbrzymie instytucje prawnicze, tworzące spółkę dwu, trzech i dziesięciu naraz przedsiębiorców-adwokatów... Taka „firma” ma cały sztab urzędniczy, ma kohorty popychłów i naganiaczy, ma stosunki, ma wpływy, ma kumotrów i znajomków co najwpływowszych. Ona dopiero działa, porusza wszystkie sprężyny, wleczce terminy miesiącami, na lata je rozkłada, a w krytycznym momencie umie nawet za plecami klienta układać się z „firmą” adwokacką strony przeciwnej...

<sup>23</sup>chmyz (daw.) — lekceważące określenie kogoś małego, niepozornego. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>kauzyperdstwo — działalność kauzyperdy, tj. (daw.) kiepskiego prawnika, złego, niedouczonego i nieumiejętnego w swym zawodzie adwokata, sędziego itp. [przypis edytorski]

Gorze<sup>25</sup> się procesować w Stanach Zjednoczonych, mocnych trzeba po temu nerwów, worków pieniędzy i matuzalowej<sup>26</sup> cierpliwości.

Lepiej się pogodzić, załatać spór, wziąć centa za dolara, darować krzywdę, puścić w niepamięć obelgę, aniżeli narazić się na obelgi adwokackie strony przeciwnej...

Dowcip adwokacki opowiada, że gdy do jednego z wytrawnych prawników amerykańskich przybył po poradę zdesperowany urzędnik banku, który popełnił był<sup>27</sup> nadużycie, a któremu groziło lada chwila uwięzienie... prawnik wypytał desperata o wszystkie szczegóły, a wreszcie kazał mu nazajutrz ukraść jeszcze całe sto tysięcy dolarów i dolary te przynieść doń natychmiast... Nazajutrz prawnik zameldował się do prezesa banku.

— Jeden z pańskich urzędników popełnił nadużycie, sięgające dwustu tysięcy dolarów. W tej chwili jest już w drodze... Jeżeli przecież bank zgodzi się podpisać zobowiązanie, że zaniecha względem niego kroków sądowych... w takim razie będzie można od przestępcy odebrać pięćdziesiąt tysięcy dolarów... to znaczy tyle, ile ze sprzeniewierzonych pieniędzy nie zdołał jeszcze roztrwonić...

Prezes banku sprawdził jedynie, iż nieuczciwy urzędnik nie był „pod bondem”, a więc nie był asekurowany... i wobec tego zgodził się natychmiast... Lepsze pięćdziesiąt tysięcy, aniżeli szukanie winowajcy po stanach i wątpliwa satysfakcja osadzenia go w chwilowej kozie....

Ten sam dowcip twierdzi, że obrotny „prawnik”, użalił się niedoli lekkomyślnika i machnął ręką na honorarium...

Jeżeli sprawa da się doprowadzić do Sądu Federalnego, do Najwyższego Trybunału, wówczas kruczki adwokackie ulegają okiełznaniu, a wymiar sprawiedliwości nie da się zabałamucić.

Niekiedy przecież nawet władze naczelne, nawet sam Waszyngton musi się uciekać do nie lada konceptów, aby chwycić notorycznego rzezimieszkę...

Przykładem takiej komedii była ostatnio sprawa głośnego Al Capone, szefa handlarzy wódką i piwem, właściciela domów gry, domów nierządu, organizatora mordów i napadów bandyckich. Owóż ten Al Capone miliony „zarabiający” rozbójnik chicagowski zażywał całkowitej bezkarności... Nie było dlań ani prokuratora, ani sądu, ani świadka, ani winy... Dygnitarze stanu Illinois nie wazyliby się tknąć tak hojnego magnata... W ostatku władze federalne postanowiły skończyć z Al Caponem... Lecz jak? Udało się raz na Florydzie, kędy rozbójnik przebywał na wilegiaturze<sup>28</sup>, chwycić go na noszeniu „ukrytej” broni... Była to przyczepka oczywiście... Lecz wskutek tej przyczepki wezwano Al Capone’a do sądu w taki sposób, że się na wezwanie nie stawił... Wówczas wytoczono mu sprawę o „obrażę sądu”... A w dalszym ciągu załadowano go do więzienia pod zarzutem przestępstwa federalnego, bo ukrywania dochodów i płacenia o wiele niższych podatków... Chociaż, jak twierdzili niektórzy, Al Capone bardzo skrupulatnie wykazywał wszystkie dochody z kontrabandy, z kradzieży, z handlu żywym towarem i tajnych szulerek...

Przy takim dopiero podstępnie władze federalne mogły zamknąć bandytę i mordercę... Mogły go pozbawić wolności za ukrycie dochodu z grabieży — zarobku na zabójstwie — zysku na morderstwie — ale nigdy ani za grabież, ani za zabójstwo, ani za mord — gdyż tego rodzaju sprawy mogą jedynie wszczynać władze stanowe...

Przy tych udrękach w Stanach Zjednoczonych podziewa się równocześnie jowialny typ sędziego dziwaka, rodzaj francuskiego „*bon juge*”, zażywający w najlepszej wierze pełni praw swego sędziowskiego mandatu i koncypujący wyroki, które, zakrawając na Salomonowy rozmach, odznaczają się swym zdrowym humorem.

Najprzykrzejszą bolączką ładu publicznego w Ameryce jest policja.

Policja amerykańska zasadniczo nie jest instytucją ogólnopanaństwową ani nawet stanową.

<sup>25</sup>gorze (daw.) — biada; nieszczęście; tu: nie wolno, nie należy (pod groźbą ściągnięcia nieszczęścia). [przypis edytorski]

<sup>26</sup>matuzalowy — od imienia Matuzalea (a. Matuzalema), biblijnego patriarchy, dziada Noego; wg *Księgi Rodzaju* miał żyć 969 lat. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>popełnił był (daw.) — forma czasu zaprzeszłego; znaczenie: popełnił wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>28</sup>wilegiatura (daw.) — wypoczynek na wsi, związany zwykle z dłuższym pobytem. [przypis edytorski]



Rząd federalny ma od lat dwunastu policję prohibicyjną, czuwającą nad przestrzeganiem abstynencji czy dokładniej zakazu wyrabiania i sprzedaży napoi alkoholowych, ma dalej policję celną, ma wreszcie służbę wywiadowczą, ale w całej swej rozciągłości policja, jako siła prewencyjna czy persekutywna<sup>29</sup>, jest głównie powiatowa lub miejska, i jako taka tworzy sieć organizacji samorządowych, niezależnych i ze sobą niepołączonych. Dalej jeszcze policja w Ameryce bywa prywatna — a dopiero w ostatku jest również i stanowa, lecz sięgająca w razach wyjątkowych już i milicji stanowej, a więc straży obywatelskiej.

Policja jest w rękę ludzi, piastujących urzędy z wyboru, automatycznie więc jest narzędziem gry politycznej, jest ciągle rezultatem wyborów i tym samym jest zarażona „graftem”.

Wczoraj był szlifbrukiem, komiwojażerem, przedsiębiorcą, dzisiaj z kancelisty w związku tramwajarzy wystrzela na komisarza bezpieczeństwa publicznego, na szefa policji miasta Omaha. Nominację swoją otrzymał wprost od nowo wybranego prezydenta miasta (mayora), dostał przy rozrachunku po zwycięskiej kampanii wyborczej... I ze swej strony otwiera drzwi na ścieżkę dla adherentów<sup>30</sup> niższego pokroju.

A więc póki urzędu tego samego mayora, póki jego czteroletniej władzy, czy póki tego samego szefa, póty dany jegomość będzie zażywał prerogatyw strażnika bezpieczeństwa publicznego.

A jest się o co ubiegać. W takim Nowym Jorku uposażenie policjanta wynosi (nie licząc dochodów) dwieście dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, a więc daleko więcej aniżeli przeciętne uposażenie nauczyciela szkoły wyższej (po polsku średniej), niż urzędnika bankowego starszego autoramentu. W małych miastach i osadach policjant w tym samym stosunku jest zawsze dobrze płatnym funkcjonariuszem.

Sute wynagrodzenia, niezależność materialna nie wywierają spodziewanego wpływu, bo nie równoważą niepewności jutra.

Duch policji amerykańskiej przy gentleman'skich pozorach na „reprezentacyjnych” ulicach... jest chropowaty, szorstki i w poczuciu swej siły brutalny.

Wielki, apoplektyczny drab, uzbrojony w słynną pałkę drewnianą, zawieszoną na kiści, a zawsze gotową do grzmocenia, przy byle sposobności rozbija głowy, masakruje oblicza, przetrąca łopatki.

„*Mister officer*”, jak obowiązek nakazuje tytułować zwykłego policjanta, posiada uprawnienia, o jakich się nikomu nie śniło. Każdy jego rozkaz musi być wypełniony natychmiast, za byle krnąbrność wolno mu puścić w ruch egzekutywę pałki bez żadnej za jej użycie odpowiedzialności.

Policjant kazał skrócić w lewo, gapeusz skrzył w prawo, padł jeden wyraz i oto leży powalony wściekłym uderzeniem. Trzy miesiące szpitala wystarczy.

Bał, wielki polski bał w Jersey City. Jedwabie szeleszczą, chwieją się wachlarze, muzyka łoskotem jakichś cudacznych rondli akompaniuje jękom saksofonu, pary suną rozbawione.

Pośrodku sali balowej dwu policjantów w czapach okręca figlarnie białe pałki. Naraz bystre oko jednego z nich dostrzegło jakiegoś mniej wytwornego tancerza, bardziej przylegającego do swej damy. Jeden skok, łysk białej pałki i tancerz pada jak długi u stóp swej wybranej. Policja chwytają go za kark i wyrzucają dosłownie na bruk uliczny.

Nazajutrz miejscowa prasa zamieszcza pełne zachwyty notatki o pięknym balu, uświetnionym obecnością przedniego towarzystwa.

Z policjantem amerykańskim nie ma żartów, trzeba być dlań bardzo grzecznym, trzeba omastą łagodzić jego szorstkość i trzeba pamiętać na jego pałeczkę.

Już w Nowym Jorku przy wylądowaniu można zauważyć zaiste dziwny sposób zachowania się względem policji, można spotkać na piątej Avenue eleganckich dżentelmenów zamieniających uścisk dłoni na rogu ulicy z panem policjantem, wtykających mu do kieszeni cygara, niekiedy w dolarowe zawijane papierki.

Lecz jakże sobie poczynać inaczej.

Ten oto pan na rogu ulicy zapisuje sobie, na przykład, najspokojniej numer przejeżdżającego samochodu... W ciągu czterdziestu ośmiu godzin właściciel tego automobilu

<sup>29</sup>persekutywny (z łac., z ang.) — służący szykanowaniu, nękananiu. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>adherent — stronnik, poplecznik, sprzymierzeniec. [przypis edytorski]

jest wezwany do sędziego policyjnego, gdzie bez żadnych dochodzeń odczytują mu od razu pięćset numerów automobilów skazanych równocześnie na karę po dwadzieścia pięć dolarów każdy za naruszenie przepisów ruchu... Pośród tych numerów znajduje się i jego własny.

Tysiące zapytań ciśnie się właścicielowi samochodu. Za co mu każą płacić? Cóż takiego uczynił? Błąd oczywisty! Pomyłka w numerze!

Nie ma żadnej odpowiedzi, żadnego wytłumaczenia, nie ma czasu na żadne rozprawy, sędzia odczytuje już drugie pięćset numerów samochodów skazanych również na karę po dwadzieścia pięć dolarów, bo wyrok policjanta na rogu ulicy jest bezapelacyjny...

No, niezupełnie.

Wystarczy dotrzeć do pokojówki kucharki pana Walkera, prezydenta Nowego Jorku, aby kara została skasowana, a policjant zgłosił się z przeproszeniem.

Lecz ponieważ trudno jest za każdym razem docierać do wpływów domowych nowojorskich dygnitarzy, więc praktyczniej jest o wiele być w przyjaźni ze swoim policjantem.

A coż dopiero w zapadłym miasteczku amerykańskim, gdzie policjant ma spółkę ze „squirem”<sup>31</sup> i gdzie wykraczającego automobilistę chwytą w lot i stawia natychmiast przed oczyma sprawiedliwości. Sprawiedliwość, juścić tańsza na prowincji, w pół minuty smaruje dziesięć dolarów kary za ten wiatr co wieje. Z tych dziesięciu dolarów połowa należy się władzom miejscowym a połowa przypada za fatygę „squirowi”. Ponieważ temu ostatniemu zależy na tych pięciodolarówkach, więc, w myśl zwiększenia obrotu, dzieli się z policjantem.

Spółka ze „squirem” ma tysiące pomysłów, aby, opartemu na dochodzie z kar, najniższemu organowi sądu policyjnego przyczynić korzyści.

Jednym z takich konceptów jest czyhanie na chwilę, kiedy w czasie litewskiego wesela odbywa się tradycyjne tłuczenie talerzy na cześć młodej pary, przy rzucaniu mniej lub więcej hojnych datków, i kiedy podczas zgielku i ogólnego podniecenia udaje się wpuścić jednego lub dwu prowokatorów wywołujących awanturę... Na tę chwilę czai się policjant z pałą... Aresztuje całe wesele i prowadzi do „squira”... Kilkadziesiąt dolarów spółka dmucha sobie za jednym zamachem...

Gdy się zważy dobrze liczby imigrantów, tłumy niepożywające<sup>32</sup> jeszcze z praw obywatelskich, tłumy nierozumiejące się na amerykańskich przepisach, niewładające językiem angielskim, a obok tego i bezsilność policji wobec swoich własnych mocodawców, przymus zamykania oczu na sprawki tych, którym zawdzięczają posady, wówczas dopiero można zrozumieć owe orgie bandytyzmu, pojąć, kędy mogą się podziewać największe lotrostwa...

Trzy tysiące trupów rocznie zbiera jeden Nowy Jork, trzy tysiące zbutwiałych resztek człowieczych wyciąga ze śmietnisk, kanałów, z rozsypisk, z nor, z dywanami wyścielanych apartamentów... Trzy tysiące trupów niezidentyfikowanych, nieznanych, niedocieczonych, szatkowanych w prosektoriach i kosztami rzucanych do grzebieńiami idących dolów.

Tyle w jednym Nowym Jorku. Lecz kto by się tym przejmował, kto by się tam troszczył. Ani sił, ani środków po temu.

Policja amerykańska ma w ogóle niektóre obowiązki bardzo uproszczone.

Oto spokojnemu człękowi jakiś oszust zagarnął kilka tysięcy dolarów i znikł z najbliższego horyzontu. Policja spisuje odpowiedni protokół i odsyła go do „zarekordowania” kancelarii prokuratora i na tym czynność swą kończy. O ile oszust zjawi się przed upływem terminu przedawnienia, w takim razie czeka go rozprawa sądowa, o ile słuch o nim zaginie, nikt go szukać nie będzie nawet w najbliższej okolicy.

Jeżeli przecież poszkodowany sobie tego życzy, jeżeli poszkodowany złoży na to fundusze, zgodzi się ponieść koszty... A!... W takim razie ruszą detektywi i bodaj pod ziemią winowajcę chwycą. Ale za to trzeba zapłacić, zapłacić grubo, do straconych tysięcy dołożyć tysiące... Więc lepiej złodzieja nie szukać.

Policja amerykańska jest przy tym, jak rzekliśmy, niejednolita.

<sup>31</sup>squire (ang.) — właściciel ziemski; tu: obywatel. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>pożywać (daw.) — tu: korzystać z czegoś; zażywać. [przypis edytorski]

Policjant miejski, zależny od byle ławnika, nie zgodzi się z policjantem powiatowym czy małomiasteczkowym, policjant miejski nie znosi, aby się doń wtrącał policjant stanowy, policjant stanowy zaś razem z wielkomięjskim policjantem nie cierpią pospół policji federalnej, polującej na gwałcicieli prawa o wstrzemięźliwości...

A przecież w Ameryce istnieją jeszcze policje prywatne, policje fabryczne, policje kopalniane, policje przemysłowe, policje czuwające bezpośrednio i tylko nad jednym hotelem, policje śledzące tyłu i tyłu urzędników czy robociarzy, chodzące stadami za jednym jedynym nababem, za jednym potentatem.

A przecież Stany Zjednoczone mają swoją słynną „*Secret Service*”, mają swój własny wywiad nie tylko polityczny, nie tylko zewnętrzny, ale i wewnętrzny, i handlowy, i ekonomiczny. I posiadają nadto jedyną na świecie organizację państwową, niemającą sobie równej... mają pocztę...

Poczta amerykańska jest instytucją federalną, zależną od Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wszyscy naczelnicy poszczególnych urzędów pocztowych są dygnitarzami federalnymi mianowanymi bezpośrednio przez prezydenta i, o ile należą do przeciwnego stronnictwa, przez nowego prezydenta usuwanymi.

Ci dostojnicy federalni, tak zwani „pocztmistrze”, są mężami zaufania Waszyngtonu, a pośrednio mężami zaufania rządzącego stronnictwa.

Pocztmistrz jest osobą spoza zespołu pocztowców, jest to obywatel, który dostępuje zaszczytu, osiąga urząd bardzo wpływowy, gdyż reprezentuje władzę federalną, komunikuje się bezpośrednio z Waszyngtonem, od Waszyngtonu odbiera wskazania wraz z odpowiednio do zajmowanego posterunku sutym wynagrodzeniem.

Pocztmistrz jest szefem danego urzędu, zwierzchnikiem zastępu zawodowych pocztowców przez cały okres trwania na swym stanowisku.

Poczta w Ameryce przy wielkiej swej sprawności, przy najbardziej postępowych udogodnieniach i ułatwieniach jest, w razie potrzeby, urzędem informacyjnym.

Poczta przez swych listonoszów, przez oficjalistów, przez zwracanie uwagi na rodzaj i ilość odbieranej korespondencji, zna poszczególnych obywateli, ma zawsze zasób wiadomości, ile że nie jest i nie chce być bezdusznym mechanizmem służącym do wymiany posyłek.

Urząd pocztowy w Ameryce ma wpływ bezpośredni na godziwość wszelkich przez siebie załatwianych czynności, rozciąga pieczę rządu federalnego nad najmniejszymi nawet osiedlami w poszczególnych stanach.

Poczta amerykańska załatwia polecenia, ale i kontroluje, ale i tępi zło w zarodku.

Rozsierdził się Gawł na Pawła, rozgniewała Agrypina na Bibianę i kropnęła jej w liście cztery kartki duserów, napisała jej od takich i całą najszczerzą prawdę...

Bibisia amerykańska, otrzymawszy tego rodzaju „pasztet”, zdobi się w pogodny uśmiech... Zemsta bywa podobno radością bogów, ale i uciechą ziemskich świntuszków.

Amerykańska Bibisia nie szuka sądu, nie potrzebuje adwokata. Idzie sobie do pana pocztmistrza i przedkłada mu kopertę z listem Agrypinki... I oto rząd federalny wytacza proces piorunowy Agrypinie o... śmiertelną obrazę poczty, obrazę kosztującą dużo dolarów i wiele smętnych godzin za kratami...

Nie wolno bowiem nadużywać dobrej wiary poczty amerykańskiej, nie wolno, w zamkniętych choćby kopertach, używać wyrazów brudnych, nie wolno prowadzić ordynarnych kłótni, nie wolno łżyć, choćby nawet te obelgi należały się słusznie Bibisi.

Roi się w Stanach Zjednoczonych od szalbierzy handlujących cudownymi lekami. Stugębna reklama za małe centusie rozbija na miazgę co najsroźsze mikroby, niszczy tuberkuły, zatłukuje każdego raka, starości strzyka młodością, porastają łyse głowy, ślepi widzą, głusi słyszą, cała mizéria ludzka wywija radosnego fokstrota.

W wolnym kraju wszystko wolno. W ostateczności władze stanu Nebraska patrzą przez palce na to, że ktoś za pomocą oszukańczych ogłoszeń nadużywa dobrej wiary obywatelskich dolarów.

Bezkarność zażywa swobody, gdy wtem poczta się... obraża za to, że ktoś urząd federalny śmie mieć za narzędzie do prowadzenia nieczystych interesów.

I oto sprawa karna pędzi z miejsca w sądzie federalnym, sprawa, do której rządowi federalnemu mieszać się nie wolno, bywa chwycona za kark przy pomocy poczty...

Za wiele strzelaniny przy lada sposobności, byle gamoń chodzi z rewolwerem, za byle pieniąż można śmiercionośny nabyć instrument.

Obywatelowi Stanów Zjednoczonych wolno chodzić z bronią, byle nie ukrytą. Wolno sobie zasadzić za pas pistoleta i straszyć jego widokiem serca trwożliwe. Coś jednak trzeba by uczynić. Zakazać handlu bronią palną? Na to by trzeba głosowania wszystkich poszczególnych stanów, wściekle kosztownego referendum z małą nadzieją na wygraną, boć w niej zamach na godność obywatelską, pogwałcenie prastarego nieobyczaju...

Na szczęście jest poczta!

I oto poczta amerykańska ogłasza sobie bez ceremonii nowy przepis. Broni palnej ani żadnych naboji czy materii wybuchowych za moim pośrednictwem przysyłać nie wolno.

I handel bronią w jednej chwili odbiera cios zabójczy. Ogłoszenia w pismach się nie oplacają. Dostępu do ludzi nie ma, bo nie można posłużyć się pośrednictwem poczty, bo nawet za list, proponujący zakupienie broni, można nabawić się federalnego kłopotu.

W Ameryce jest wolność prasy, cudenka wolno drukować, ale tych cudeniek lepiej przez pocztę nie wysyłać...

Poczta amerykańska jest ciekawa, ona musi wiedzieć, z kim przyjemność. Wydawnictwu periodycznemu przyznaje zniżki nawet — ale to wydawnictwo musi pocztę przedkładać dokładne raporty, raporty zaprzysiężone, zalegalizowane o tym, kto jest wydawcą, kto redaktorem odpowiedzialnym, o ile wydawnictwo jest spółką, kto stanowi zarząd, ile czasopismo drukuje egzemplarzy, ile wynosi prawdziwa cyrkulacja i na koniec ile... wydawnictwo i jakich ma długów...

Poczta amerykańska tym wszystkim się interesuje, bo z hołyszami zadawać się nie chce... I poczta posiada zaprzysiężone dokumenty, które mogą posłużyć do wytoczenia federalnego, państwowego procesu o krzywoprzysięstwo, o fałsz, o... „obrazę poczty”...

Ale poczta amerykańska nie jest cenzurą! Bynajmniej, jednak baczy na treść, gotowa jest cofnąć obsługę, gdyby treść miała uchybiać jej powadze. Poczta nie lubi pewnych bajd, pewnych plotek politycznych, nie znosi alarmów burzących ciszę... miarowego zgrzytu maszyn i huku młotów parowych. I dlatego poczta amerykańska wymaga, aby wiadomości sięgające poza granice danego miasta podawały źródło i były zaopatrzone w datę.

Wolno nie stosować się do wymagań poczty, nie ma przymusu, ale w takim razie trzeba się bez poczty obejść...

Jak to było powiedziane, poczta amerykańska z natury swego ustroju jest poniekąd narzędziem władzy stronnictwa rządzącego — lecz należy przyznać, że zarówno republikanie, jak i demokraci w stosunku do poczty zachowują należyty umiar, strzegą powagi tego mocnego instrumentu państwowego, działającego bez liczenia się z władzami stanowymi, dyktującego raczej tym władzom swe prawa, swe przepisy.

Na tle tych rzutów wolność obywatelska, godność obywatelska w Ameryce zasnuwa się mgłami, rozplywa w kotłowisku chryj wyborczych, ściera na prosek pod razami pałek policyjnych, arbitralnych „urazów” pocztowych.

I niejednemu pamiętne orędzie Lincolna, wygłoszone niegdyś na polach Gettysburga, na kurhanach krwawej Wojny Cywilnej, wydawać się może pustą deklamacją.

I niejednemu pamiętne wyrazy tego orędzia, powtarzane po dziś dzień niby słowa modlitwy, zabrzmiały jako poszept faryzejskich warg...

„*And that government of the people, by the people, for the people shall not perish from the earth!*”... wołał niegdyś Lincoln, bo pragnął, aby „Ta władza ludu, władza przez lud, władza dla ludu przetrwała na wieki”...

Jestże dzisiejszy ustrój wewnętrzny Stanów Zjednoczonych ziszczeniem modlitwy Lincolna? Jestże bodaj tego ziszczenia odbłaskiem, jestże ideałem, ku któremu steruje nawa sfederowanych republik?

Odpowiedź trudna, bo jedno spojrzenie nie może objąć tak olbrzymiego kontynentu, bo jego rozwój trwa, bo wre ciągle ów potworny tygiel, w którym skwarzą się pomieszane ze sobą nacje, rasy, odmienne tradycje, różne cnoty i różne przywary.

Stanów Zjednoczonych niepodobna mierzyć skalą innych mocarstw.

Stany Zjednoczone zniewolone są do trzymania w ryzach obcych przybyszów, do mozolnego wychowywania potomków tych przybyszów wczorajszych i pozawczorajszych<sup>33</sup>.

<sup>33</sup>pozawczorajszy (daw.) — przedwczorajszy. [przypis edytorski]

Przy całym swym impecie do posuwania się naprzód, przy swej zawadiackiej energii, federacja amerykańskich republik zmuszona jest upierać się nawet przy przestarzałych formach królewsko-angielskiego ładu, powiaty nazywać „hrabstwami” (*county*), posługiwać się koronną instytucją „coronerów”, urzędników ustalających przyczyny nagłej śmierci, trzymać się gmatwaniny miar i wag angielskich i wbijać ją w mózgi pokoleń razem z lamigłówką termometru Fahrenheita, godząc się równocześnie, że<sup>34</sup> to są przeżytki, zardzewiałe resztki.

Ale jakże sobie poczynać, jak radzić, kiedy oto przez sto lat płynęła fala obcego pogłowia, kiedy po dziś dzień całe pokłady tego pogłowia nie oswoiły się jeszcze z tym „przestarzałym”, z tym „niewłaściwym”, dokładniej mówiąc, i do tego jeszcze nie dorośli...

Czyż można bodaj ukrócić orgie tak zwanych w Ameryce „warrantów”, czyli nakazów sądowych pozbawiających wolności najspokojniejszego obywatela za byle oskarżeniem?

Każdy człowiek w Ameryce w każdej chwili może na drugiego człowieka dostać ów „warrant”, bez potrzeby przedkładania dowodu winy, bez powoływania się na świadków. Starczy jednostronne oświadczenie, że ten i ten skrzywdził go na honorze, na majątku, na ciele, aby kancelaria sądu wydała bezkrytycznie do rąk skarżącemu nakaz aresztowania rzekomego winowajcy.

Posiadacz „warrantu” zamienia się w pana wolności osobistej oskarżonego przez się człowieka. Może natychmiast doręczyć „warrant” pierwszemu z brzoza pacholce policyjnemu i może „warrant” zachować u siebie, wyczekać chwili, uciec się doń w momencie najprzykrzejszym dla oskarżonego, który najczęściej pojęcia nie ma o grożącym mu uwięzieniu.

Wobec warrantu obywatel Stanów Zjednoczonych musi się poddać aresztowi, nie ma żadnych tłumaczeń, żadnych usprawiedliwień, żadnych dowodów niewinności. To należy do przyszłej rozprawy sądowej. Na razie jest to areszt prewencyjny, z którego można się wydobyć za złożeniem odpowiedniej kaucji. Jeżeli w następstwie wyrok sądowy uniewinni oskarżonego, temu wolno oczywiście dochodzić przykrości niewinnego osadzenia go w areszcie, lecz bez ekwiwalentu za poturbowanie przez pacholce policyjnych.

Kuso więc przedstawia się amerykański *habeas corpus*<sup>35</sup>. Bardzo niemile wygląda bytowanie człowieka, osobliwie w przeludnionych środowiskach, kędy zrywające się do władzy mrowie nie przebiega w środkach, kędy amerykańskie politykierstwo toczy walki u żłobów.

A jednak poczucie wolności w Ameryce jest potężniejsze niż gdziekolwiek. Hula ono jakby po dawnemu wśród bezbrzeżnych prerii, tajemniczych puszcz, grzebieni i zapadów górskich, spogląda hardo od oceanu do oceanu, od tęczyowych blasków zorzy północnej ku krwawej pościeli zachodzącego ponad równikiem słońca.

A jednak dobry duch ojców tej nowej ojczyzny ma jako niegdyś orle spojrzenie Indianina patrzącego w dal sponad kopuły waszyngtońskiego kapitolu.

## TYGIEL, W KTÓRYM PRAŻĄ SIĘ RASY I NACJE

Ludność Stanów Zjednoczonych przedstawia bardzo osobliwą mieszaninę ras i narodów, mieszaninę, pomimo zewnętrznego, anglosaskiego pokostu, w treści swej niestopioną, podotąd<sup>36</sup> grającą słojami różnorodnych nawarstwień.

Podłożem tej ludności byli uczestnicy ekspedycji wojskowych angielskich, francuskich i hiszpańskich, którzy zakładali pierwsze sadyby, rabując i tępiąc czerwonoskórych autochtonów.

Za tym urzędowym awanturnictwem, poszło awanturnictwo prywatne, zwabione fantastycznymi opowieściami o rzekomych bogactwach nieznanego ładu. Dalej nadciągęły gromady szukające nowych czy innych warunków bytowania, większego zacisza, życia z dala od fiskusa, od państwowej przemocy czy klasowych nierówności.

<sup>34</sup>żeć — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: że przecież. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*habeas corpus* — ustawa ang. z 1679 r., wydana za rządów króla Karola II i zakazująca organom państwa aresztowania obywatela bez prawomocnego, potwierdzonego pieczęcią zezwolenia sądu. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>podotąd — jak dotąd; dotąd; dotychczas. [przypis edytorski]



Za tymi dopiero gromadami ruszyła z Europy piana społeczna, wyrzucana zewsząd na nadbrzeżne pustkowia.

Przez długie lata władze francuskie, angielskie i hiszpańskie za pomocą deportacji do Ameryki opróżniały swe kaźnie, przez długie lata Ameryka była miejscem obranym przez Europę na ludzkie śmietnisko.

Dla szybszego rozkwitu kolonii chciwość angielsko-hiszpańska uciekla się do sprowadzania niewolników. Urządzano olbrzymie ekspedycje do Afryki na połów ludzkiego towaru. Zwieziono krocie tysięcy Murzynów. Krocie zakatowano batami, krocie zmarniały w dziewiczych puszczech. Dzięki jednak umiejętnej hodowli ludzkiego mięsa zdolano wyprodukować zarodek wielomilionowej murzyńskiej ludności.

Czasy wojny o niepodległość spowodowały bardzo znaczny napływ Anglików i Francuzów i, ściągniętych przez Anglików na zadławienie amerykańskiej rebelii, Hessów.

W onej już epoce niejednorodność ludności była tak wielka, iż żołnierze Washingtona musieli bardziej czuwać nad knowaniami spokojnych rzekomo mieszkańców, aniżeli lękać się brytyjskiej potęgi.

Słynna Pensylwania, legitymująca się dzisiaj swym kwakierstwem, czasów Franklina i Adamsa sięgającym, była niegdyś głównym siedliskiem zdradzieckich Niemców, sprzyjających Anglii, a mordujących bez litości zabłąkanych rebeliantów.

Szybkie powiększanie się obszaru Stanów Zjednoczonych przyczyniło znów nowych elementów, bo silne wzmożenie potomków rasy romańskiej.

Luizjana dała Stanom Zjednoczonym Francuzów — Teksas, Nowy Meksyk, Kalifornia dały Hiszpanów i sporą garść mieszanców, a z nimi razem, do dnia dzisiejszego poniewierające się, szczątki łacińskiej cywilizacji, łacińskich nazw i obyczajów.

Zresztą drzwi, wiodące do posiadłości zrzeszonych republik, stały przez długie dziesiątki lat otworem dla wszelkiego rodzaju przybyszów z całego świata.

Stany Zjednoczone potrzebowały rąk do pracy, potrzebowały ludzi, nie mogły nawet roić o możliwości zaprowadzenia siakiej takiej administracji tam, kędy na przestrzeni większej od Francji podziwiał się raptem dwieście tysięcy ludzi, kędy w takiej Indianie, większej od Węgier, w roku 1810 mieszkało zaledwie dwadzieścia cztery tysiące ludzi lub w Nevadzie, równającej się europejskiej Italii, w roku 1860 podziwiał się tylko jeszcze 6 857 mieszkańców.

Przez całe dziesiątki lat mógł jechać do Stanów Zjednoczonych każdy, komu wędrówka za ocean dogadzała. Ograniczeń nie było żadnych, formalności żadnych. Kto wyładował, temu wolno było bytować swobodnie, przeistoczyć się w syna nowej ojczyzny.

Stany Zjednoczone, jako władza, nikogo nie pytały ani o pobudki, ani o cel przyjazdu. Dawały schronisko każdemu prześladowanemu, nie odmawiały gościny żadnemu sekciarstwu, miały powolność<sup>37</sup> całkowitą dla przestępców politycznych, ale, co więcej, całkowitą uprzejmość dla gwałcicieli prawa cywilnego, a nawet prawa karnego.

Stany Zjednoczone przez długi czas były upragnionym schroniskiem dla wszystkich europejskich szalbierzy, rzezimieszków, bandytów i morderców.

Starczyło łotrzykowi wydostać się z Europy, dotrzeć do Filadelfii, Nowego Jorku czy Bostonu. Wyjęty spod prawa zbrodniarz zamieniał się w osobę nietykalną.

Ameryka nie wydawała i nie chciała wydawać nawet osławionych rozbójników. Rozumowała pobłażliwie, że człek za ocean wyciągnął, aby nowe rozpocząć życie, że nie godzi się nikomu odmawiać drogi do poprawy i że, dopóki europejski zbrodniarz na amerykańskiej ziemi przestępstwa nie popełnił, jest człowiekiem zasługującym na opiekę.

Temu elementowi przestępczemu towarzyszyły, zwiększające się sporadycznie, fale różnorodnego biedactwa, krocie bezdomców, wydziedziczonych pariasów. A wśród nich ludzi nieznanających na ojczyźnie zadość przestworu, zadość horyzontu do wyładowania swego temperamentu, swego zamięłowania do przygód, do walki z przeciwnościami.

Do roku 1860, więc do momentu, kiedy pada pierwsze hasło, wzywające do zniesienia handlu żywym, ludzkim mięsem, zaniechania na koniec jednej z najstraszniejszych na świecie nikczemności, emigracja do Stanów Zjednoczonych płynie równymi względnie grupami, osłabiana nieco w latach wojen europejskich lub w latach tychże wojen właśnie wzmagana.

<sup>37</sup>powolność (daw.) — tu: uległość, ugodowość. [przypis edytorski]

Od roku więc 1860 zaczyna się powolne, stopniowe dążenie do ograniczenia emigracji. Dotyczy to z początku jedynie rasy czarnej. Ameryka zamyka wstęp Murzynom. Jużci<sup>38</sup> nie od razu, bo jeszcze musi przetrwać bratobójczą Wojnę Cywilną, bo jeszcze i po Wojnie Cywilnej na tych wielkich obszarach prawo jest nierychliwe.

Drugim etapem, zmierzającym do ograniczenia emigracji, niby ciąg dalszy „antykolorowej” polityki, była kwestia rasy żółtej, kwestia uchronienia białej rasy od niepożądanych skrzyżowań, a bardziej może kwestia niezmiernie potężnych, tajnych związków chińskich i japońskich, które wyrastały nad Pacyfikiem, a jeszcze bardziej kwestia powstrzymania żółtego zalewu.

Dopiero po nałożeniu kagańców na kolorowych przybyszów zjawia się problemat polepszenia rasy białej, niby chęć bardziej celowego, więcej zharmonizowanego doboru, myśl dopuszczania do Ziemi Washingtona jakby samego kwiatu ludzkości, owych bez mała na szczytach cywilizacji stojących nadludzi.

I zapadł oczywiście wyrok sprawiedliwy.

Anglosasi, trzęsący posadami Stanów Zjednoczonych, za takich nadludzi mogli i musieli poczytać jedynie Anglosasów...

A zresztą, rzucone w roku 1823 przez Monroego hasło „Ameryka dla Amerykanów”, hasło, wymierzone przeciwko zachłanności Świętego Przymierza wszech europejskich cesarzy, którzy na ziemiach amerykańskich zamierzali szukać folwarków dla europejskich królewiat — zostało powoli przekute na broń przeciwko nowym przybyszom.

Ameryka dla Amerykanów.

Dla których Amerykanów, dla jakich i która mianowicie Ameryka?

Na te zapytania można by w odpowiedzi napisać całą księgę i jeszcze nie przekonać prawdziwego Amerykanina, że do zasady Monroego takie same prawa może rościć Murzyn, Metys, Portugalczyk brazylijski, meksykański Hiszpan, jak i obywatel Stanów Zjednoczonych.

Ameryka dla Amerykanów to znaczy dokładnie Ameryka dla tych, którzy pierwsi do ziemi amerykańskiej przybyli.

W roku 1907 imigracja do Stanów Zjednoczonych sięgnęła szczytu, doszła do 1 285 349 tułaczów płci obojga. Jeszcze w roku 1914 wylądowało 1 218 480 przybyszów, a dalej liczby kurczą się, próbują dźwigać sporadycznie, lecz aby spadać coraz gwałtowniej, zbliżać się do całkowitej równowagi wyjazdów z przyjazdami, wreszcie dojść do wyrzucania imigrantów siłą z granic tak niegdyś gościnnej ziemi.

Do roku 1820 Stany Zjednoczone liczyły dziewięć i pół miliona mieszkańców. Od tegoż roku 1820 do 1930 włącznie przyjechało do Stanów Zjednoczonych czterdzieści siedem i pół miliona imigrantów, nie licząc tych oczywiście, którzy ominęli kontrole portowe i dostali się przez Kanadę lub Meksyk.

Statystyka roku 1931 wykazuje, że Stany Zjednoczone posiadają sto dwadzieścia cztery miliony ludności, no i pośrednio ta statystyka kładzie kres dalszej imigracji, twierdząc, że te sto dwadzieścia cztery miliony wystarczają całkowicie na zaludnienie potężnej ojczyzny, że Amerykanie nie potrzebują i nie mogą się dzielić swoją własnością z zaoceanowym włóczęgostwem.

I Stany Zjednoczone, zaprzęgając do działania antropologię, etnograficzne studia, fizjologię, higienę z całą medycyną pospół, operując kolumnami cudactw statystycznych, walcząc księgami Hioba i Psalmami Dawida, otoczyły się nie tylko bastionami i zaworami, ale uciekają się do środków, które by rodowitych Amerykanów doprowadziły do furii, gdyby kraje europejskie chciały im płacić pięknym za nadobne.

Minęły bezpowrotnie czasy, gdy do Ameryki jechało się bez świstka papieru. Dzisiaj Stany Zjednoczone poszły na kraniec, którego nie sięgnęły nawet żandarmskie przepisy rosyjskich mocarzów.

Tak zwana kwota wyznaczana na każdy poszczególny kraj z góry i od razu ustanawia liczbę dozwolonych przyjazdów imigranckich. Ta kwota niby to odpowiada aliażowi ludności, niby procentowo stosuje się do pochodzenia współczesnych Amerykanów. Dokładnie jest to jeden więcej sposób załatwienia drażliwej kwestii. Ile że według widzi-

<sup>38</sup> Jużci (daw., gw.) — tak, owszem (potwierdzenie). [przypis edytorski]

misie można brać przynależność państwową za narodowość albo odwrotnie. Polaka mieć za Niemca czy Austriaka lub Niemca, poddanego rosyjskiego, za Niemca tylko.

W roku 1930 na 241 700 dopuszczonych do Ameryki imigrantów Niemców przybyło 34 415 — Anglików 34 960, Irlandczyków 34 947, Szkotów 28 117, Walijczyków 2 043, Holendrów 4 713, Skandynawów 8 478 — Żydów 11 526 — czyli razem 159 199 imigrantów wyliczonych tutaj narodowości, pozostawiając 82 501 wszelkim innym ludom na świecie.

Jak wynika z tego zestawienia, Stany Zjednoczone zapewniły bezwzględną przewagę językowi angielskiemu i rasie anglo-germańskiej. Irlandczycy w tym wypadku, jako naród zanglizowany, obyczajowo i językowo wynarodowiony, pomimo odzyskanej niepodległości, korzystają z tych samych przywilejów co element niemiecki i żydowski, tak skwapliwie lgnące do zewnętrznej amerykanizacji.

Bardzo ciekawym szczegółem jest owo dzielenie mieszkańców wysp brytyjskich nie tylko na Anglików i Irlandczyków, ale i na Szkotów, i na Walijczyków, może dla lekkiego zamaskowania, że te cztery kategorie dają wyspiarzom angielskim prawo do 100 067 emigrantów rocznie.

Poza Anglo-germanami wszystkie inne narodowości zostały uznane za korzystną, a może nieodzowną domieszkę, w takich przecież ilościach, aby domieszka była z góry skazana na rozplynięcie się w angielskiej zaprawie.

Do wszystkich zresztą kandydatów na emigrantów zastosowano regulaminy skrajne, mające rzekomo wyeliminować spośród nich wszelkie fizyczne i duchowe ułomności.

Władze konsularne amerykańskie starają się niejako obrzydzić emigrantowi Ziemię Washingtona, dręcząc go wymaganymi dokumentami, świadectwami, brakującymi w gabinetach lekarskich, niby trzodę przed dobiciem targu, wreszcie poddają manipulacjom odkazania, odwołania, niszczenia europejskich zarazków i dopiero tak sprawiony kawałek ścierwa ludzkiego, niby to już przedniego gatunku, zaopatrzony nawet w rezultaty sławetnego „*mental hability test*”, wysyłają do Nowego Jorku, na Ellis Island, jako materiał na przyszłego obywatela.

Lecz nie tylko emigrantów, ale i zwykłych turystów, podróżujących w kabinach luksusowych, władze amerykańskie poddają ochronnym manipulacjom. Jej najwspanialszym wyrazem są tasemcowe kwestionariusze doręczane podróżnym na dzień przed wylądowaniem. Kwestionariusze te wypełniają dziesiątki znaków zapytania dotyczących najdyskretniejszych szczegółów, niekiedy tak dziwne, tak z pozoru naiwne, że pobłażliwy uśmiech budzące.

Kwestionariusz amerykański zapytuje z powagą podróżnego:

- Czy ustrój Stanów Zjednoczonych uważa pan za dobry?
- Czy chciałby pan wpłynąć na zmianę tego ustroju?
- Czy brał pan udział w ruchach rewolucyjnych dążących do zmiany ustroju politycznego lub społecznego?
- Czy zamierza pan przestrzegać konstytucji amerykańskiej?

Takich pytań, rozmaicie skrzyżowanych, jest bez liku. Odpowiadać na nie trzeba bardzo uważnie, gdyż jedno „nie” lub jedno „tak” może skasować dwa inne „nie” lub uchybić trzem innym „tak”, bo najmniejsza nieścisłość nawet pasażera luksusowej kabiny może narazić na wiele przy lądowaniu utrudnień.

Służba okrętowa pomaga wypełniać deklaracje i dla podróżnych stąd raczej sposobność do ironicznych uwag i łatwych konceptów.

Władzom amerykańskim nie idzie zresztą o szczerość i dokładność odpowiedzi, lecz o fakt stwierdzenia ich własnoręcznym podpisem.

Wyobraźmy sobie, iż cudzoziemiec po pewnym czasie, wgryzłszy się w stosunki amerykańskie, zaczyna rozwijać działalność, która prawnie jest dozwoloną, ale która władzy się nie podoba. Wówczas takiemu ruchliwemu a niepożądanemu cudzoziemcowi wytacza się proces o krzywoprzysięstwo... Dobywa się z archiwum okrętowego jego własną deklarację i stawia mu się dowód przed oczy. Zeznał wszak dobrowolnie, że konstytucję Stanów Zjednoczonych uznaje za dobrą, że prawa amerykańskie poczytuje za nienaruszalne dla siebie, a oto wbrew przysiędze swej własnej agituje za ich zmianą, uchybia zobowiązaniu, na podstawie którego został wpuszczony do Ameryki.

Ale nawet kiedy ów cudzoziemiec po dłuższym pobycie uzyska obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, to i wówczas jeszcze ta deklaracja wjazdowa jest tak potężna, że może posłużyć za powód do odebrania obywatelskich przywilejów.

Lecz krom<sup>39</sup> tych wszystkich utrudnień wjazdowych, emigrant, nawet po osiedleniu się w Stanach Zjednoczonych, przekonywuje się niebawem, że w ogóle jest człowiekiem, któremu wolno bytować zaledwie na marginesie życia amerykańskiego, że jest „foreignerem”, skazanym na bardzo wiele dokuczliwych ograniczeń i zakazów.

Te ograniczenia i zakazy nie istnieją oczywiście w statutach rządu federalnego, ale w zamian podziwiają się w prawach przeróżnych stanów i hulają tam od dziesiątków lat.

Ksenofobia w Ameryce sięga podobno nawet czasów Wojny o Niepodległość. Niechęć dawniej przybyłych do nowo przybyłych kwitła zawsze jako prastary sentyment stworzenia zaskoczonego przez inne stworzenie w chwili spokojnego ogryzania kości.

Gdy Amerykanin pełnej krwi legitymuje się z dumą w Europie pieczęciami Waszyngtonu, żądając dla siebie na podstawie traktatów całkowitej wzajemności jako dla obywatela zaprzyjaźnionego mocarstwa, to nawet na myśl mu nie przyjdzie, że gdyby, na przykład, Francja chciała mu się odwzajemnić, to na bolesne wystawiłaby go upokorzenie.

W Ameryce bowiem są stany, w których cudzoziemcowi nie wolno mieć broni, są stany, w których nie wolno mu polować, są stany, w których nie wolno mu łowić ryb, są stany, w których nie wolno mu trzymać psa, są stany, w których nie wolno mu być posiadaczem znaczniejszej własności ziemskiej, są stany, które ograniczają cudzoziemca w swobodzie handlu. Krom tych ograniczeń przeróżnych, tulających się nad brzegami Susquehenny, Missisipi czy Potomacu, już po wszystkich bez wyjątku stanach wałęsa się pasja ludzka, która cudzoziemca stawia poza prawem, która przy najlżejszym zatargu z władzami grozi mu brutalnym wyrzuceniem za ocean. A dopieroż kiedy idzie o zdobycie pracy, o kawałek chleba, toć są instytucje, są społeczne organizacje, są gminy całe, które nie dadzą pracy czelkowi nieposiadającemu amerykańskiego obywatelstwa.

Dokoła wozu miejskiego zbierającego śmieci czterech biało ubranych gentlemanów z powagą i godnością operuje miotłami. Toć dygnitarze, miejscy urzędnicy, siedzący na „politycznych” stanowiskach, toć „city job<sup>40</sup>” tylko dla obywateli amerykańskich dostępny!

Jedyną ucieczką dla emigranta w Ameryce są jego narodowe getta, do nich stara się dotrzeć co prędzej, między nie zapaść, ukryć się niejako tam, kędy bytują jego rodacy. Gdy przecież z tych zapadlisk chce na szerszy świat wyrzucić, tam już staje przed problemem przyjęcia obywatelstwa amerykańskiego.

Władze amerykańskie mają swój własny i odmienny pogląd na kwestię naturalizacji.

Same zabiegają o to, aby ją przyspieszyć, aby skłonić cudzoziemców do przyjęcia obywatelstwa. W tym celu prowadzą bezpłatne kursy wieczorne języka angielskiego, amerykańskiego ustroju państwowego, agitują, wystawiają korzyści takiego kroku, zachęcają nagłą niższą wymaganą opłat, a pośrednio straszą represjami.

Są w Ameryce poważne zrzeczenia, które sobie za punkt honoru uważają, aby co roku legitymować się zjednaniem tyłu i tyłu neofitów gwiazdzonego sztandaru.

Podczas gdy w wielu krajach europejskich osiągnięcie obywatelstwa jest możliwe dopiero po wielu zabiegach, jest niejako zaszczytem, jest rezultatem bardzo długich starań — w Stanach Zjednoczonych pasowanie na obywatela zakrawa na przysięgę spędzonego z całego kraju rekruta.

Kilkudziesięciu, stu i więcej kandydatów święci ceremonię naturalizacji, niekiedy przy nie lada fecie, sprawianej przez jakowąś prywatną inicjatywę, zajmującą się napędzaniem Wujowi Samowi przybranej dziatwy.

Z tego masowego przyjmowania nowych obywateli w Stanach Zjednoczonych zrodziło się całe, i to olbrzymie, mrowie ludzi hołdujących zasadzie podwójnej przynależności państwowej.

W Ameryce każdy się legitymuje i musi legitymować równocześnie „starym krajem”. Nawet stuprocentowi Amerykanie, rzekomi potomkowie historycznych „pielgrzymów”, uważają za konieczne stwierdzanie co kroku swego szkockiego, angielskiego czy

<sup>39</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>city job (ang.) — praca na rzecz miasta; zatrudnienie przez władze miejskie. [przypis edytorski]

holenderskiego pochodzenia, które to pochodzenie bardzo często rozstrzyga całkowicie o stopniu amerykańskiego dostojęstwa.

Stany Zjednoczone holdują w pewnej mierze szlachtetnemu ideałowi równości, po dziś dzień jednak gwałcą brutalnie swe własne normy prawne i równość przekuwają na przywilej pewnych ograniczonych warstw.

Amerykanin Amerykaninowi nierówny. Nie dlatego, że jeden bogaty, a drugi ubogi, jeden pracowity, a drugi leniwy, jeden światły, drugi nieuk, jeden silny, drugi wątły, jeden zdrowy, drugi chorowity, lecz Amerykanin Amerykaninowi nierówny dlatego, że jeden wyprowadza się<sup>41</sup> z panującej, trzymającej w garści władzę sfery, a drugi z cichego, bezwładnego społeczeństwa.

Amerykanin Amerykaninowi nierówny, gdyż ten jest potomkiem europejskiego włóczęgi, który się tu zjawił przed stu pięćdziesięciu laty, a drugi jest sam włóczęgą może, który był tu zjechał<sup>42</sup> przed laty trzydziestu zaledwie.

Amerykanin Amerykaninowi nierówny, bo oto Angliczek, który zaledwie trzeci rok przestał być poddany jego królewskiej mości — ale przecież jego na wierzchu wobec afrykańskiego bydła poniewierającego się na Ziemi Washingtona od lat czterystu.

Amerykanin Amerykaninowi nierówny, boć nie tylko odmienne wartości „starych krajów”, odmienne religie, tradycje, ale i różnice koloru skóry, bodaj różnice kości policzkowych, kierunku orbit ocznych, linii czaszek, no i różnice wynikające z prastarych europejskich krzywd, odziedziczonych europejskich złości i nienawiści.

Ta nierówność obywatelska, mówiąc bez ogródek, wynika z trzech zasadniczych przyczyn. A mianowicie, że Ameryka chce być tylko... białą, chce być anglosaską i chce być angielską.

Kwestia koloru pośród tych trzech jest najboleśniejszym problemem.

Pewna dobrotliwa łaskawość otacza szczątki czerwonoskórych, owych niezaprzeczonych dziedziców Ameryki, uwięzionych w tak zwanych rezerwatach, czy polaciach ziemi, kędy Indianie mogą się podziwiać, nie posiadając jednak praw obywatelskich.

Na ziemiach do Stanów Zjednoczonych należących w roku 1885, czyli czterdzieści sześć lat temu, liczba czerwonoskórych, według oficjalnej statystyki, miała sięgać 344 000 ludzi. W roku 1931, po czterdziestu sześciu latach troskliwej opieki nad plemionami ojców ojczyzny, po rozmaitych fluktuacjach, liczba czerwonoskórej ludności doszła do 340 000 ludzi...

Żadne więc niebezpieczeństwo nie grozi stąd „Bładym Twarzom”.

Jak było powiedziane, Indianie cieszą się dzisiaj pewnego rodzaju powolnością<sup>43</sup>. Domieszka krwi czerwonej nie jest uważana w Ameryce za przekleństwo. Ma nawet względny urok. Powiadają, że ten urok właśnie przyczynił się do wybrania pana Curtisa na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ten urok, niezależnie od zanikania czerwonej kwestii, pochodzi bodaj z tej dziwnej, osobliwej hardości rasowej, z tej wrodzonej uczciwości, jaką potomkowie czerwonoskórych wojowników po dziś dzień się odznaczają.

Indianin jest z takiej ulepiony gliny, która umie zaimponować nawet amerykańskiej praktyczności.

Indianina nie można przekupić, nie można go skłonić do żadnych lokajskich obowiązków, woli najędźniejszy żywot, a na służalstwo się nie zgodzi. Tysiące razy oszukany, okradany przez białego człowieka, jeszcze gotów zaufać nowemu złodziejowi. Cudzej własności nie pożąda nigdy, Waszyngtonowi niemało sprawia kłopotu odwoływaniem się do amerykańskich statutów, jeno w bardzo małym, zdegenerowanym swym odłamie da się zamieniać w wystrojone jak na maskaradę garstki popisujące się w Yellowstone parku, niby nasi górale w modnych uzdrowiskach...

Kolorowa kwestia w stosunku do Indian i z tych jeszcze względów nie przedstawia niebezpieczeństwa, że liczba Metysów, a więc mieszalców czerwono-białych, jest w Stanach Zjednoczonych znikoma. Szczepy indyjskie unikają węzłów z „Bładymi Twarzami”. Stoją daleko wyżej od swych meksykańskich i peruwiańskich pobratymców, liczących

<sup>41</sup>wyprowadzać się — tu: wywodzić się. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>był (...) zjechał (daw.) — forma czasu zaprzeszczonego; znaczenie: zjechał wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>43</sup>powolność (daw.) — tu: uległość, ugodowość. [przypis edytorski]



dziesiątki tysięcy nie tylko Metysów, ale i poważne liczby Zambosów, potomków negro-indyjskich małżeństw.

Kolorowe zagadnienia amerykańskie zaczynają się dopiero od rasy żółtej, a przyprowadzają o istną pasję szczerego Amerykanina, gdy dotyczą rasy czarnej, murzyńskiej.

Chińczyk, Japończyk są w Ameryce widmami grozy, są zmorami przywodzącymi na myśl memento żółtego niebezpieczeństwa, tej wzbierającej na krańcu Pacyfiku fali zło-wróźbej. Najpodlejsze dla nich zajęcia, najnikczemniejsze zarobki.

Stu rocznie Chińczyków można wpuścić do Stanów Zjednoczonych i ani jednego więcej Japończyka.

Boć i tak są to ludzie bytujący na krawędzi amerykańskiej cierpliwości, znoszeni jako popychle, jako sztukmistrze, jako zawodowi zbrodniarze w pokazach kinematograficznych lub przerażającej nikczemności szpiedzy, ginący oczywiście w stalowym uścisku dorodnego amerykańskiego boysa. Żółtej ludności jest niewiele, a i ta kryje się po nocnych spelunkach, trzyma zaułków, handluje osobliwościami, skazana na życie pariasów, z pariasami się zadaje.

Dopiero kwestia murzyńska jest w Stanach Zjednoczonych tym najprzykrzejszym i najbardziej palącym kolorowym zagadnieniem.

Liczba Murzynów w Ameryce dawno przeszła dziesięć procent ogółu ludności, liczba ta rośnie, potężnieje. Murzyni się mnożą, zarastają chwastem jałowięjące plantacje jan-kesów. Zagrażają już pochłonięciem całym miastom. Harda stolica Ameryki, wspaniały Waszyngton, ma już czterdzieści pięć procent czarnych mieszkańców. W Baltimore Murzyni tworzą czterdzieści procent ludności, w pięknym, starym Savannah na stu ludzi sześćdziesięciu jest czarnych!

I ta masa Afrykanów posuwa się z wolna z południa ku północy, aklimatyzuje się stopniowo i zdobywa coraz większe przestrzenie, chociaż jest ciągle i zawsze, wbrew rzekomym uchwałom i deklamacjom, maltretowana, pozbawiana najprymitywniejszych praw, wyzyskiwana i pogardzana.

Amerykanie nienawidzą Murzynów. Sami ich tu niegdyś ściągnęli, sami sprowadzili, sami przymuszali, sami rozmnożyli, a nawet, w poważnej części, sami ich zanieczyścili domieszką nie najlepszej swej białej krwi.

Nie kto inny jeno Amerykanie wytworzyli tę osobliwą gamę szaro-brunatno-czarnych typów murzyńskich, idących od czarnego jak węgiel Negra sponad Zatoki Meksykańskiej aż do sino-żółtawego Mulata czy Mulatki, będących już jakimiś kwarteronami czy kwinteronami występnego dwu ras zbliżenia.

Lecz stąd żadnych względów nawet dla prawie zbiegłego potomka.

Murzyn amerykański — więc nie człowiek, bydlę groźne, pociągowe stworzenie, według opinii anglo-niemieckiej cuchnące, zwierzę o pozorach ludzkich, gatunek mały antropoidalnej, niegodnej spojrzenia białego człowieka.

Z uprzedzeniem rasowym niepodobna dyskutować. Ludzie jedni do drugich żywią częstokroć jakowąś dziedziczną niechęć czy odrazę i tak silną nawet, że najbardziej akademickie, najpodniosłe hasła nie mogą tej odrazy ukrócić ani jej umniejszyć.

I można byłoby zgodzić się na to nieuleczalne zło, można by przyjąć bodaj argumentację anglosaskiego fizjologicznego wstrętu do czarnej rasy...

Niestety! Po sumiennym zbadaniu kwestii murzyńskiej w Stanach Zjednoczonych, trzeba dojść do wniosku, że nienawiść rasowa amerykańska do Murzynów jest tylko nienawiścią aligatora do pożądanego barana...

Wszystko to, co się mówi o zapachu odrażającym, o jakichś fizjologicznych wstrętach, ginie w praktyce życia amerykańskiego.

Ten sam bodaj Amerykanin i Amerykanka tego właśnie cuchnącego Murzyna i Murzynkę, na przekór własnym argumentom, używają ciągle do najbardziej osobistych posług.

Kędy<sup>44</sup> jeno w Stanach Zjednoczonych rasa czarna zdołała przezwyciężyć ostrość klimatu, tam z reguły służba domowa jest murzyńska, niańki i kucharki rekrutują się z Murzynek, kucharzami w restauracjach są Murzyni (ci wstrętni, ci odrażający). I w ogóle służba w jadalniach, w hotelach, na dworcach kolejowych, w wagonach sypialnych,

<sup>44</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

w szpitalach i wszędy<sup>45</sup> tam, kędy idzie o utrzymanie czystości, o przygotowanie posiłku, tam wszędzie zatrudnieni są nade wszystko Murzyni i ciągle Murzyni.

A nareszcie te dziesiątki tysięcy Negrów mniej lub więcej już „zbielałych”!

Gdzież więc zaczyna się ów wstręt, owa niedająca się wytłumaczyć rasowa odraza amerykańska?

Południowe stany roją się od Murzynów, w środkowych jest ich zatrzęsienie, w północnych podziewają się ich liczne zastępy, zahartowane niekiedy dzięki domieszce białej krwi — ale wszędzie zastępy zarówno znienawidzone przez rządzący element anglo-germański, a w najlepszym razie ledwo tolerowane.

Obywatelstwo amerykańskie Murzyna jest jedną wielką farsą, drwinami, świadomym nadużywaniem i gwałceniem prawa.

Jeżeli gromadzie politycznej w danej chwili dogadza, w takim razie gromada polityczna napędza sobie Murzynów do urn i każe im głosować. W normalnych przecież warunkach czarny człek musi się z dala trzymać od wyborów, grozi mu tam utrata nie tylko zdrowia, ale bodaj i życia. Murzyn stoi poza nawiasem, nie ma dla niego urzędu, drzwi wspaniałych gmachów parlamentarnych są dla niego zawarte<sup>46</sup>.

Choćby był nababem, choćby posiadał piętnaście dyplomów uniwersyteckich, nie będzie wpuszczony za próg restauracji, kędy zasiadają choćby wyrzutki białego społeczeństwa, nie może wejść do wagonu sypialnego, kędy przebywają biali, w tramwaju ma kłatkę przeznaczoną dla czarnej hołoty. W teatrze wolno mu palta zdejmować białym gościom, wolno mu podtrzymywać ramiona białych dam wychodzących z pojazdów, wolno się kłaniać białemu człękowi, ale nie wolno obok niego usiąść. Dla Murzyna murzyńskie jest przedstawienie, nawet Boga nie ma dlań z białym obliczem.

Wara podlecowi od progu świątyni chrześcijańskiej. Bóg jego jest równie czarny, czarnych więc musi patrzeć zborów, czarnych szukać „pryczerów<sup>47</sup>”. Chodzić do szkół przeznaczonych dla czarnych, uczęszczać do wszechnic murzyńskich i, sięgnąwszy choćby szczytów cywilizacji, być ciągle i zawsze własnej ojczyzny bękartem.

Wielka jest krzywda czarnej rasy na wolnej Ziemi Washingtona, krzywda okrutna i taka, że amerykański humanitaryzm, lubiący imponować filantropią, a opiekę roztaczać nad Ormianami, troszczyć się o byle niedolę w zapadłych kątach świata, zakrawa na bolesną ironię.

Rasa czarna na ziemi Stanów Zjednoczonych mnoży się szybciej od białej, tak szybko nawet, że statystyka unika popularyzowania niemiłych liczb. W niedalekiej przyszłości Murzyni osiągną piętnastu i dwudziestu procent ogółu mieszkańców, osiągną jako upośledzona, pokrzywdzona masa obywateli.

Praca społeczno-oświatowa wśród Murzynów wlecze się ociężale, pchana wielkim wysiłkiem czarnych budzicieli i pionierów. Amerykanin, chełpiący się z dumą, że liczba analfabetów wśród rodowitych obywateli spadła do dwu procent (co nie jest ściśle), nie troszczy się, że rodowici Amerykanie rasy murzyńskiej liczą ciągle 23 procent analfabetów.

Wykazy roku szkolnego 1927/1928 pouczają, że czarne szkolnictwo miało 45 666 czarnych nauczycieli, że w kolegiach murzyńskich kształciło się 13 680 studentów i studentek, a w szkołach publicznych murzyńskich uczyło się 2 141 000 dziatwy.

Pomimo trudnych warunków oświatowych, pomimo braku pola do pracy dla murzyńskich stopni naukowych, ruch umysłowy wśród czarnych znaczne czyni postępy.

Dzienników murzyńskich wychodzi około sześćdziesięciu, tygodników sto dziesięć i dwa poważne miesięczniki. Najwpływowszym organem murzyńskim jest słynny „Defender”, wychodzący w Chicago pod redakcją znanego działacza murzyńskiego, Roberta Segenstake Abbotta<sup>48</sup>.

<sup>45</sup>wszędę (daw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>zawarty (daw.) — zamknięty. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>pryczer (z ang. *preacher*) — ksiądz, kaznodzieja, proboszcz. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>Abbott, Robert Segenstake (1870–1940) — prawnik, redaktor i wydawca afroamerykański, potomek zwolenców; w 1905 r. ufundował tygodnik „The Chicago Defender”, które osiągnęło największy zasięg ze wszystkich czasopism będących w posiadaniu czarnoskórych obywateli Stanów Zjednoczonych; Abbott był również organizatorem w 1929 r. pierwszej parady i pikniku Bud Billiken, największej w Stanach parady Afroamerykanów, odbywającej się dotąd corocznie w drugą sobotę sierpnia w Chicago, Illinois. [przypis edytorski]

Duch publicystyki murzyńskiej, pomimo zachowania pozorów, jest opozycyjny i rewolucyjny, przyczynia się do jeszcze głębszego odczucia anglo-germańskiej nienawiści, stanowi palny materiał dla wszelkich wywrotowych prądów, materiał brany podobno bardzo mocno pod uwagę przez sowieckich podżegaczy.

W pobliżu prastarego miasta Savannah znajdują się szczątki wielkopańskiej posiadłości dawnego kształtu, kwitnącej niegdyś Murzynami. Śród tych szczątków dochowały się słynne chaty niewolników „*slew huts*”, czyli małe, niskie czterometrowe czworoboki z cegły, zakończone na niskim szczycie małym, pękatym kominem ogniska. Wąskie drewniane drzwi, zamykane na zatyczkę i otwór okienny zasłonięty deską stanowią jedyną ozdobę tego prymitywu z cegieł.

Owóż, kiedy ciekawy turysta zacznie bliżej owym zabytkom się przyglądać, drzwi chat rozwierają się, a z mrocznej, zatęchłej ich czeleści wysypują się czeredy wynędzniałych, obdartych Murzynów i Murzyniątek.

Nie na pokaz, nie dla ożywienia zabytków sięgających czasów niewolnictwa, lecz dla prastarej niedoli, która po dziś dzień nie przestała gnębić pokolenia wyrwanych przemocą puszczom afrykańskim biedaków.

Lecz krom<sup>49</sup> czarnych Stany Zjednoczone posiadają całe zastępy białych Murzynów.

Biali Murzyni rekrutują się z wszelkiego rodzaju emigrantów, nieskoligaconych z anglo-germanami.

Grek, Węgier, Polak, Rusin, Włoch, Litwin, Rumun, Hiszpan, Serb, Czech — wszystko to tworzy tak zwanych „*honky*”, człowieczeństwo niemówiące po ludzku, od którego należy się odgradzać i którego nie godzi się traktować na równi z anglo-germańskimi autochtonami czy bodaj angielskimi przybyszami.

Wszystko tutaj, co dotyczy tych mas obywateli drugiej klasy, pomimo rozmaitych politycznych deklamacji jest zaledwie cierpienie.

W życiu powszednim słowiańskie czy romańskie nazwisko jest przeszkodą w handlu, w interesie, w uzyskaniu posady, w osiągnięciu równych z Anglo-germanem przywilejów.

Są dzielnice miast amerykańskich, kędy<sup>50</sup> Murzyna na mieszkanie nikt nie wpuści, kędy osiedlenie się rodziny murzyńskiej w jednej chwili obniża wartość sąsiednich nieruchomości... Cena gruntów spada, cena domów niszczy w oczach... Żaden możliwy człek, żaden prawdziwy Amerykanin domu już tutaj nie zakupi.

Aleć są również dzielnice, kędy na mieszkanie nie wpuszczą lokatora, który jest z pochodzenia „*honky*”, są dzielnice, gdzie kontraktem jest zastrzeżone, że nabywca działki nie sprzeda jej nigdy Włochowi, Polakowi, Rumunowi, Litwinowi, Żydowi, choćby nawet w trzecim pokoleniu Amerykaninowi.

O tych „przykrościach” głośno się nie mówi. Prawa stanowe i prawa federalne w tego rodzaju sprawy nie wchodzi.

Mrowie więc emigranckie tworzy getta, tworzy w miastach różnonarodowe miasteczka, a jeżeli wypływa na szersze wody, to po większej części w przebraniu zmienionych nazwisk i w maskaradzie angielskiej obyczajowości.

Nazwisko polskie, węgierskie, włoskie nawet bywa klęską w Ameryce, kłopotem, okazją do drwin. Wówczas człek spod Kalisza, nazywający się nieco dziwnie, bo, przypuśćmy, „Ogórek”, bije na łeb każdego z prostej linii Chrobrowicza... Ponieważ imci pan Ogórek oddziela sobie pierwsze „O” apostrofem i robi się czystej krwi Irlandczykiem panem O’Gorek. W tym samym stylu jakiś pocziwy Krzysztofowicz spod Wilna zaczyna tracić przekonanie do swych antenatów i przekuwa się w ostatku na jakiegoś Mayera czy Neumanna.

Jeżeli wszakże dawniej przybyli do Stanów Zjednoczonych mogą mieć poważną słuszość do chęłpienia się swą wyższością w stosunku do różnojęzycznych fali, które tutaj wysypywały element często najuboższy, najmniej kulturalny, szukający najprymitywniejszych zarobków, o tyle taki sam stosunek wobec ludów, które Stanom Zjednoczonym oddały olbrzymie usługi i przyczyniły się do rozkwitu Ziemi Washingtona, jest godnym potępienia.

Weźmy dla przykładu choćby tylko Włochów.

<sup>49</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Włosi dali Ameryce gromady pierwszorzędných artystów, dźwignęli monumentalne budowle, ozdobili większość gmachów publicznych, byli krzewicielami murarstwa, cemenciarstwa, robienia mozaik, inkrustacji; byli tymi, którzy w Ameryce rozpoczęli hodowlę drzew pomarańczowych, uprawę winogron, byli organizatorami handlu owocami i warzywem. Do dnia dzisiejszego są tego handlu ostoją w każdym najmniejszym miasteczku amerykańskim. Włosi stanowili zawsze w Stanach Zjednoczonych element bardzo oszczędny, element doskonale orientujący się w amerykańskich finansach, element, który był zdolną<sup>51</sup> wytworzyć w Ameryce sieć bardzo potężnych i uczciwych banków włoskich.

Owóż ten element zaliczony jest z urzędu do obywatelstwa drugiej klasy, a nawet do tych, którzy na szarym końcu tej drugiej klasy chodzą, bo tylko do „Italianów”, tylko do rodaków Krzysztofa Kolumba i Amerigo Vespucciego...

Dążeniem ideologii amerykańskiej jest wytworzenie z mieszaniny emigranckiej jakiegoś niezmiernie silnego aliażu<sup>52</sup>, chęć stopienia w onym, wypominanym ciągle „tyglu” wszelkich zbyt jaskrawych indywidualności i zaprawienia owego stopu tęgim, zawiesistym sosem amerykańskim.

Zamiar słuszny, lecz w praktyce amerykanizację utożsamiający z anglizacją.

Wielka Brytania od dłuższego czasu coraz pieściwiej, coraz rzewniej spogląda ku dawnym swym koloniom, ku owym buntownikom, którzy dostojęństwo poddaństwa królewskiego, sztandar „starego Dżaka” zamienili na „upstrzony w jednym rogu gwiazdami, pasiasty, czerwony pokrowiec siennika”... I Wielka Brytania rozwinęła szaloną propagandę, aby „kraju tego samego języka” spod swego wpływu nie wypuścić, aby ten wpływ na wieki wieków ugruntować.

Amerykanin zamienia się powoli w zmodernizowanego czy zdemokratyzowanego Anglika.

Z Anglii wywodzi swój ród, swoje upodobania, swoje sekciarstwo, swoje tradycje, prawodawstwo czerpie z praw obyczajowych angielskich, umysł urabia na angielskich klasykach, naukę, sztukę angielską poczytuje niemal za własną. Amerykaninowi imponuje angielski styl, angielski sznyt i angielski król. Marzeniem zubożonego<sup>53</sup> Amerykanina jest wyjazd do Londynu i prezentacja u dworu.

Anglia czuwa nad amerykanizacją od podręcznika szkolnego, który w sposób niekiedy uwłaczający ceniom wielkiego Washingtona stara się dzisiaj łagodzić, osładzać gorycze wojny o niepodległość, wojny z Anglią, przekuwać prastary a sprawiedliwy antagonizm na, w krwi skąpane, braterstwo. Od podręcznika szkolnego aż do szczegółów dotyczących guziczków z perłowej masy, opinających zwiórczałą powłokę sławnego księcia Welschów, wszystko ciągle i co dnia szczepi anglizację nawet wówczas, gdy ku amerykanizacji zmierza.

Stany Zjednoczone pragną jednolitości, jednolitości, opartej na żywiole anglosaskim, czego im za złe poczytywać się nie godzi.

Lecz to pragnienie ma jeszcze bardzo wiele przeszkód do zwalczenia.

A jedną z tych głównych przeszkód jest bodaj ten dobry, szczerzy duch, podziwający się w Stanach Zjednoczonych, a będący upostaciowaniem tego, co Europa wyobrażała sobie pod mianem „prawdziwego” Amerykanina, syna wolnej ziemi, człeka o dalekim, a dobrym spojrzeniu, stanowiącego<sup>54</sup> obowiązek ponad własną korzyść, a sumienie ponad własny zysk.

Owóż ten dobry duch sroma<sup>55</sup> się anglizacji, rozumie, że każdy przybysz może z tworzywa swego własnego narodu złożyć Ameryce daninę, że z tej daniny ludów wszelakich narodzi się rasa niezmiernie silna, obdarzona wyjątkowymi zdolnościami, o niezwykle napięciu energii.

Jakoż, rozglądając się w potęgę życia organizacyjnego Ameryki, można się dzisiaj już zgodzić, że Stany Zjednoczone dźwignęły się jedynie dzięki tej różnorodności lu-

<sup>51</sup>był zdolną (daw.) — forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: zdolną wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>52</sup>aliaż — daw. stop (metali); połączenie różnorodnych pojęć, właściwości, stylów itp. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>zubożony — dziś: wzbogacony. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>stanowiący — tu: ustanawiający. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>sromać się (daw.) — wstydząć się. [przypis edytorski]

dów, dzięki temu awanturniczemu napięciu mózgów i mięśni, dzięki zapamiętałości tych zgłodniałych, szukających chleba nawarstwień.

Nawarstwienia te przecież, jakżeśmy to wyżej nadmienili, zachowały bardzo silną indywidualność.

W Ameryce ludy żyją własnymi osiedlami, pokrytymi lekkim pokostem zewnętrznej jednolitości.

Stan Rhode Island jest czysto angielskim, jak zresztą i wschodnia część Nowej Anglii, podczas gdy zachodnia i północna ulega sfrancuszczeniu przez napływ kanadyjski Francuzów. Pensylwania to stan nade wszystko niemiecki, niemniej jak po większej części Ohio, Indiana, Missouri, Illinois i Iowa. W Wisconsinie mieszkają Norwegowie, Szwedzi w Minnesocie, Irlandczycy z Włochami i Żydami dzielą się głównie Nowym Jorkiem, a Szkoci bytują w Kentucky i miejscami w takich warunkach, jakby nie sto lat temu, lecz wczoraj dopiero zjechali... z górskich przełęczy.

Są takie miasta amerykańskie jak Jamestown, w których, kiedy zdenerwowany automobilista wjedzie samochodem w okno sklepowe, to wystarczy, aby do nadbiegającego policjanta odezwał się... po szwedzku, żeby sprawa bez protokołu została załatwiona po-lubownie, aby winowajcą została bodaj sklepowa wystawa...

Są również miasta, niemające duszy, bo wypełnione tak wielkim zbiegowiskiem róż-nojęzycznym, że niepodobna go zniewolić do jednomyślnego wyładowania swych senty-mentów.

Miasto co chwila przystraja się w chorągwie, transparenty, emblematy i wśród tych świątecznych dekoracji pulsuje zwykłym dniem powszednim.

Ulicami maszerują jakoweś pstre, rozśpiewane pochody. Łomoczą orkiestry. Jakaś feta osobliwa się odprawia, a miasto pogląda<sup>56</sup> obojętne, znudzone, drwiące.

Bo co komu do tego, że Włosi sprawiają paradę św. Januaremu lub co Włochom do niemieckich „vereinów”<sup>57</sup> śpiewackich lub co Grekowi do zjazdu polskich Sokołów, niechodzących nawet w ewzońskich spódnickach.

I są znów miasta tak bardzo jednolite, iż chwilami przybierające charakter europej-skich, nie amerykańskich środowisk.

Nawet potężny Nowy Jork ulega dwa razy do roku takiemu przeistoczeniu.

A więc w dzień św. Patryka, dnia 17 marca, olbrzymia metropolia amerykańska za-mienia się w irlandzkie miasto, odprawia pochody i parady na cześć patrona Irlandii, jakich Dublin nigdy i przenigdy nie oglądał i oglądać nie może.

W dzień św. Patryka kosmopolityczny potwór ściąga dla większej uroczystości woj-ska stanowe i federalne, zastępy policji, mobilizuje korporacje, wypędza krocie dziatwy i młodzieży, przystraja się w chorągwie i dywany, obchodzi święto nad świętami!

Drugim równie, choć odmiennie, ciekawym dniem w Nowym Jorku jest obchodzony uroczystie Sądny Dzień żydowski.

W dniu tym życie nowojorskie zamiera całkowicie. Siedmiomilionowe miasto czyni gest w stronę dwu milionów Żydów, pogrąża się w kontemplacyjnym milczeniu...

Antagonizmy narodowe czy rasowe, pomimo zewnętrznego ich przytłumienia, w isto-cie tleją, kryją się chytrze lub pozorują swe złośliwe czynności.

Antysemityzm w Stanach Zjednoczonych, pomimo nowojorskiego gestu, jest bardzo silny. Wzmaga się z roku na rok niemal równolegle ze wzrostem wpływów i zasobów ludności izraelskiej, lecz zawsze bez nawoływań i bez głoszenia krucjaty.

Pod tym względem Ameryka jest bardzo osobliwym krajem. Przejęta protestanckim zaczytywaniem się w Biblii, raczej zbliża się mocno do społeczeństwa żydowskiego. *Nowy Testament* jest przecież dla nich niewielkim na liczbę kartek uzupełnieniem *Starego Testa-mentu*. Ameryka do ostatnich czasów kochała się w biblijnych imionach i nazwach. Roz-sypała na swym obszarze wszelakie Bethleemy, Nazarety i Hebrony. Genealogię swych obywateli przepelniła Abrahamami, Beniaminami, Samuelami i Dawidami. Te upodoba-nia przeto czyniły napływ ludności izraelskiej mniej widocznym, trudniejszym do ujęcia, zdawały się raczej wykluczać możliwość uprzedzenia jednego Mojżesza do drugiego Moj-żesza lub Sary do Sary.

<sup>56</sup>poglądać (daw.) — spoglądać, popatrywać. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Verein (niem.) — towarzystwo, związek, bractwo. [przypis edytorski]



Stało się inaczej. Antysemityzm się krzewi, chociaż nikt nie waży się głośno o nim mówić, wspominając sobie może niemiłą przygodę sławnego Henryka Forda<sup>58</sup>.

Ford podjął był walkę z Żydami, a dla wzmożenia antysemityzmu rozpoczął był wydawanie w Dearborn tygodnika, który był rozsyłał<sup>59</sup> darmo w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy po całych Stanach Zjednoczonych.

Trwała ta propaganda kilka lat, gdy nagle Żydzi amerykańscy tak mocno się zwarli przeciwko Fordowi, iż multimilioner ulękł się i odszczekał publicznie własne „zasady”, spędzając winę na owych, wynajętych przez siebie, dziennikarzy, którym zresztą za to oszczerstwo wypłacił odszkodowanie.

Amerykanin unika Izraelity, stroni odeń, nie chce z nim utrzymywać towarzyskich stosunków. Ale zachowuje się zawsze poprawnie, nawet kiedy antysemityzm swój zamienia w bojkot.

Wytworny hotel amerykański z najpoważniejszym uśmiechem odprawia rozpoznanego Izraelitę, ubolewając, że w pustym olbrzymie nie ma ani jednego wolnego pokoju, lub też z widocznym żalem informując wpuszczonego przypadkiem Żyda, że pokój przezeń zajmowany musi być opróżniony na przyjęcie od dawna zapowiedzianych gości.

W ten sam sposób majster niemiecki odprawia polskiego czeladnika, gdyż nadarzyła się sposobność zastąpienia Polaka Niemcem. W równie grzeczny sposób Irlandczyk pozbędzie się Szkota, Włoch — Serba, Węgier zgnębi Rumuna.

Minęły wprawdzie czasy, kiedy gromadki polskich emigrantów witane były na każdym zakręcie ulicy gradami błota, gradem kamieni! Obelgi „dirty” Polak nie słyszał dziś tak często jak dawniej, chociaż w zamian wśród najwspanialszej oprawy bogatej auli uniwersyteckiej można wyczuć czające się w naukowych wywodach krzyżackie pasje.

Problematy narodowe, starokrajskie hasła wybuchają sporadycznie, rozpalają do białości uśpione amerykanizacją sentymenty, decydują w walkach społecznych i politycznych. Niekiedy, zdawałoby się całkowicie stępione, tną niby brzytwą, niekiedy prawie rozpuszczone, krystalizują się, powracają do utraconej indywidualności.

Żyją ilustracją tego zjawiska mogą być amerykańscy Niemcy. Wielka wojna zaskoczyła ich niejako, pogrążyła w bezwładnej potulności. Progermańska agitacja nie zdołała ich ocknąć. Sterroryzowani energią Wuja Sama poszli kornie nawet do szeregów amerykańskich, nawet na francuski front.

Zawieszenie broni jednak było dla gromad Niemców amerykańskich pierwszym hasłem. Niemcy nagle jakby odżyli, jakby się zbudzili. Propaganda ruszyła całą siłą. Umiała dotrzeć do kongresu, do senatu, w najsztuczniejsze wystroić się formy, doprowadzić Stany Zjednoczone do wyparcia się własnego prezydenta! Boć kiedy Wilson powrócił z Paryża z paktem w ręku, z takim paktem, jakiego chciał, jakiego się napierał, do jakiego zmusił mocarstwa grozą potęgi amerykańskiej — senat odmówił swego podpisu... Bo, orzekł chytrze... prezydent Wilson podpisał był akt, który się był nie rozpoczynał od słów „w Imię Boga jedynego”...

Od zawieszenia broni po wielkiej wojnie<sup>60</sup> nastąpiła nowa konsolidacja żywiołu niemieckiego w Ameryce.

Niemcy, nauczeni doświadczeniem, zabrali się do wytworzenia w Stanach Zjednoczonych jednolitej organizacji, która by poza rozproszonymi *vereinami* była węzłem, była ogniskiem zdolnym do podsycaenia płomieni starokrajskich.

W tym celu została założona tak zwana „Steuben Society of America”, która pod imieniem niemieckiego generała, zabłąkanego w szeregach Washingtona, zaczęła w roku 1919 gromadzić Niemców amerykańskich.

Owóż ta „Steuben Society of America” w ciągu lat jedenastu niespełna (statystyka rządowa z roku 1930) zdołała osiągnąć zupełnie ścisłej liczby 3 675 000 członków, wyrażnie trzy miliony sześćset siedemdziesiąt pięć tysięcy Niemców, zorganizowanych w Stanach Zjednoczonych w jednej tylko korporacji!...

<sup>58</sup>Ford, Henry (1863–1947) — inżynier i przemysłowiec amer., założyciel Ford Motor Company (1903) w Detroit. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>był rozsyłał (daw.) — forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: rozsyłał wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>60</sup>wielka wojna — I wojna światowa (1914–1918). [przypis edytorski]

Lecz krom różnic zasadniczych, rasowych czy narodowych, na olbrzymim kontynencie musiały powoli narodzić się inne jeszcze wyodrębnienia. Nawet język angielski nie ostał się w Stanach Zjednoczonych wpływowi wszelakich dziwolągów. Inaczej przekręca mowę Szekspira rodowity „ajrysz<sup>61</sup>”, siedzący pod „Niuj-jojkiem”; inaczej szwargocze ją Meklemburczyk znad rzeki Ohio, inaczej mieszkaniec „Czykogo”, a inaczej obywatel, którego zrodził „Pytsbujh”, lub dziedzic romańskich tradycji z Teksasu, Kalifornii czy Luizjany. A cóż dopiero mówić o tych wszystkich, którzy bezkrytycznie przyswoili sobie naleciałości sięgające Irokezów, Siuksów, Apaszów albo, co boleśniej, szczątki bełkotu sponad Zambezi, z Wybrzeża Kości Słoniowej lub z Angoli...

Na koniec jakże może iść w paragon<sup>62</sup> bodaj nawet ten dawnego autoramentu *yankee* z tym prawdziwym gentlemanem południowych stanów, z tym prastarym dziedzicem siedzącym na rozległych włościach, a legitymującym się istotnie potężną sumą obywatelskiej godności?

Gdzież tu porównanie!

Z jednej strony człowiek zachłanny, zmateralizowany często, o ile religijny, to zawsze po sekciarsku, raczej mściwy, raczej w pysze własnej czerpiący wspaniałomyślność — a z drugiej strony człowiek miłujący tradycję, miłujący przeszłość, mniej przedsiębiorczy, mniej zabiegliwy, zawzięty w poglądach, ale kto wie czy nie bardziej chrześcijański, czy nie szlachetniejszy.

Wojna Cywilna czasów Lincolna, czasów walki północnych stanów z południowymi, walki, podjętej w imię zniesienia niewolnictwa, niezatarte pozostawiła szczyby.

W południowych stanach już onego czasu bytowali autochtoni, potomkowie angielskich, hiszpańskich i francuskich osadników, potomkowie najgorętszych bojowników o wolność.

Stany północne poza następcami pielgrzymów wypełniała już ciżba różnorodnych przybyszów z całego świata.

Owóż tę ciżbę nade wszystko rzucono na ujarzmienie południa, na pokaranie go, na zmuszenie do posłuszeństwa.

Abraham Lincoln wielbiony jest w stanach północnych i środkowych — w południowych imienia Lincolna się nie wymawia.

Na północy Lincoln jest ideałem ludowładztwa, na południu wypomnieniem rabunków, pożog, wyniszczenia okrutnego, mlekiem i miodem płynącego niegdyś, kraju.

Jako dawniej czerwonoskóry człowiek z pogardliwym ust skrzywieniem, wymawiał przezwisko „*yankee*” — tako i po dziś dzień w południowej Karolinie, w Alabama, Georgia, w Missisipi, a nawet w Virginii, ten sam wyraz zachował całkowite swe pierwotne indyjskie znaczenie.

Pomimo tych przeszkód ideologia amerykanizmu pali ile sił pod owym „tygłem”, w którym kotłują się stłoczone nacje i rasy. Spław ślimaczy się<sup>63</sup> jednak ociężale.

Każdy poszczególny naród, niby kruszec odmienny, innych potrzebuje warunków, innej temperatury. Jeden już w lotne gotów przeistoczyć się gazy, podczas gdy drugi zdołał pozbyć się zaledwie zaostzonych kantów.

W „tyglu” przecież już pierwsza niezawodna pociecha, że nie opuszczą go ci, którzy się doń dostali, że choć każdy po swojemu, każdy inaczej, lecz wszyscy amerykańskie wyznają sentymenty.

---

## O WOLNOŚCI SUMIENIA I O NIETOLERANCJI

Stany Zjednoczone bytują pod berłem tolerancji, prawem zastrzeżonej wolności sumienia.

Tolerancja amerykańska, jak każda tolerancja religijna na świecie, poczęła się z zatar-  
gów, z prześladowań i walk.

---

<sup>61</sup> *ajrysz* (ang. *Irish*) — Irlandczyk. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> *iść w paragon* (daw.) — porównywać się. [przypis edytorski]

<sup>63</sup> *ślimaczyć się* — wlec się; wolno postępować. [przypis edytorski]

Amerykanie z dumą wypominają, jako to ojcami ich ojczyzny byli owi słynni pielgrzymi, którzy w liczbie kilkuset na okręcie Mayflower<sup>64</sup> przybili do wybrzeży Nowej Anglii, uciekając przed gnębielstwem, zabraniającym im chwaleń Wszechpana według własnego pojęcia.

Ów historyczny Mayflower, symbolizujący niejako idealną stronę wędrówki za ocean pierwszych kolonistów, jest zarazem potężnym drzewem genealogicznym. Z tego drzewa radzi wywodzić się arystokraci Ziemi Washingtona, dyskretnie zapominając o tym, że owi męczennicy za wiarę rozpoczęli gospodarkę na nowych osiedlach pod hasłami terroru religijnego, pogardy dla wszelkiego innowierstwa i krwawych z nim porachunków.

Jako niegdyś reformacja na Ziemi Szwajcarskiej umiała własne zapalać stosy i znów ogniem karać odszczepieństwo od reformy, takż i na wolnym lądzie Ameryki w imię Chrystusa mordowano i tępieno Inkasów meksykańskich i peruwiańskich i, w imię Chrystusa, na pustkowiach Nowej Anglii śmiercią karano herezję od herezji.

Po latach dopiero, w miarę powiększania się liczby stanów, wzmagania napływu ludności, początkowy purytyzm zaczął skłaniać się ku tolerancji, jednakże w rdzeniu swoim ciągle i zawsze protestanckiej, ku czemu niemało przyczyniła się imigracja znaczniejszych grup sekciarskich, jako niegdyś, na przykład, hugonotów, morawian lub w nowszych czasach mormonów.

Po latach narosło w Stanach Zjednoczonych bez liku różnorodnych wyznań, które, aczkolwiek działając pod znakiem protestantyzmu czy pod hasłem walki z kościołem rzymskokatolickim, przyczyniły się w rezultacie do osłabienia tegoż protestantyzmu, do jego rozdrobnienia.

A gdy się uwzględni nadto owe różnorodne grupy dążące do zachowania wybitnie narodowych cech wyznawanych przez się religii, toć już bez trudu można nabrać pojęcia o tym niesłychanym chaosie, jaki przedstawiają wystrzelające ponad domostwami wieżycy i kopuły świątyń.

Nie dość bowiem, że jedni bodaj menonici tworzą aż szesnaście różnorodnych odcieni, że wpływowi prezbiterianie liczą dziewięć niezależnych od siebie związków, że krzewi się bez liku wszelakich cudactw, urojeń, teozoficznych zrzeszeń, spirytystycznych zgromadzeń, a nawet, ludzką naiwność czy głupotę wyzyskujących, bud szalbierskich — ale ponadto wszystkie wyznania posiadają inne przybytki dla szwedzkich luteranów, inne dla luteranów norweskich, inne dla Niemców, boć i schizma rumuńska nie chce się zadawać ze schizmą grecką, rosyjska różni się od serbskiej, a serbska od bułgarskiej.

Z tego wynika, iż w roku 1926 Stany Zjednoczone miały dokładnie (proszę uważać!) 232 154 świątyń<sup>65</sup>...

Jest to liczba bajeczna, przechodząca najśmielszą wyobraźnię, zakrawającą na humbug, na jeden więcej „joke”<sup>66</sup>.

Przeciętne miasto amerykańskie, liczące dwieście tysięcy mieszkańców, ma z reguły więcej świątyń, aniżeli Warszawa razem z Krakowem i Poznaniem.

Miasteczko farmerskie w stanach centralnych, przy 1573 mieszkańcach płci obojga, potrafi zdobyć się na cztery kościoły i jedną bożnicę<sup>67</sup>. Tych 1573 mieszkańców pensylwańskiego zakątka dzieli się na metodystów, baptystów, prezbiterianów, żydów i katolików, no i luteranów, lecz ci ostatni muszą wędrować półtora kilometra do stojącego w pobliskiej osadzie zboru luteranckiego.

W Stanach Zjednoczonych na jedną świątynię wypada przeciętnie 530 ludzi. Jeżeli wszakże zastanowić się nad dokumentem amerykańskim stwierdzającym, że zaledwie 60% ludności zapisanych jest w kontrolach parafialnych, że 4% bądź trwa w jeszcze nieznanym, niewykrytym herezjach czy po prostu należy do masy obojętniaków lub bezwyznaniowców, to liczba 530 parafian na świątynię skurczy się, w ciężkie zamieni się gospodarstwo dla komórki wyznaniowej.

<sup>64</sup>okręt *Mayflower* — okręt, na którym w okolicy dzisiejszego nadmorskiego Plymouth (Massachusetts) przybyli 20 listopada 1620 r. purytanie, protestanci uchodzący na tle religijnym z Anglii, w liczbie 102 osób, którym towarzyszyło 30 członków załogi statku. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>świątynia — tu: wyznanie, religia. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>joke (ang.) — żart, dowcip. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>bożnica — tu: synagoga. [przypis edytorski]

Stany Zjednoczone jako rząd federalny czy jako rządy poszczególnych republik *ex officio*<sup>68</sup> nie mieszają się do kwestii religijnych i żadnych kosztów na potrzeby kultu nie ponoszą.

Jedynym przywilejem, z jakiego korzystają związki wyznaniowe, jest uwolnienie własności kościelnej od podatków oraz prawo zezwalające na odliczanie przy obrachunku podatku dochodowego sum ofiarowanych na rzecz kościołów, jak i w ogóle sum ofiarowanych na rzecz dobra publicznego.

Duchowieństwo nie otrzymuje od rządu żadnych świadczeń, żadnych zapomóg na budowę kościołów, żadnych dotacji.

Władza amerykańska do religii się nie wtrąca. Idzie daleko dalej aniżeli nowoczesne prawo francuskie o rozdziale kościoła z państwem.

We Francji istnieje opieka rządowa nad świątynią jako gmachem użyteczności publicznej, jako zabytkiem sztuki, jako miejscem zabytki przechowującym. We Francji władza czuwa, aby dana świątynia pozostawała zawsze w rękach tych, którzy ją ku chwale swoich dogmatów dźwignęli.

W Ameryce nikogo te szczegóły nie obchodzą. Świątynia jest własnością tej lub innej kongregacji i tej kongregacji wolno robić, co jej się żywnie podoba. Władza się do wewnętrznej gospodarki parafii nie miesza, chyba gdyby nastroczała przymus rozpoczęcia postępowania karnego.

Wyznania w Ameryce żyją jedynie ze składek, z ofiar dobrowolnych czy z opłat za korzystanie z posług religijnych.

Lecz ponieważ mnogość wyznań religijnych, mówiąc bez ogródek, konkurencja tych wyznań, musi dążyć do zdobywania nowych adeptów, musi walczyć o zachowanie posiadanych już parafian, przeto owa walka o byt wytwarza niezrozumiałe dla Europejczyka dziwolągi, a obocznie<sup>69</sup> pcha rzesze ku coraz silniejszemu indyferentyzmowi religijnemu.

Świątynie amerykańskie, i to już bez różnicy wyznania, choć rzadziej mają charakter europejskich pomników architektury, w zamian imponują czystością wnętrza, dogodnym, higienicznym ich urządzeniem. Tworzą one nade wszystko widne, miłe audytoria, posiadające dla każdego wiernego wygodne miejsce w dostatniej, lśniącej ławce. Amerykanin na siedzący zwykł się z Panem Bogiem rozmawiać.

Świątynia każda jest ogrzewana; nie kataru, nie grypy człek pobożny przyszedł szukać, lecz duchowego pokarmu. Czasu zimowej pluchy nawet w świątyni panuje cisza, nie ma europejskiego akompaniamentu rozmaicie rozpętanych kaszłów i dychawic. Każdy siedzi, nikt nie klęczy. W świątyni katolickiej, bodaj czasu<sup>70</sup> podniesienia<sup>71</sup>, wystarczy zeprzeć się na pulpicie ławki, aby napotkać wygodny na odpowiedniej wysokości podnózek dla lekkiego zgięcia drażliwego kolana.

Zresztą panuje w świątyniach troska, aby nie znużyć słuchaczy, aby rozpraszać monotonię, aby ich zająć bądź jakimś wyjątkowo ciekawym tematem aktualnym, bądź popisem muzycznym, bądź schlebieniem domorosłemu talentowi przez zaprodukowanie go parafianom.

O ile niektóre wyznania jak najsurowiej trzymają się dawnych formuł i obyczajów, o tyle drugie znów prześcigają się w nowatorstwie, w krzewieniu jakowychś nauk opartych na czystym rozumie, na chrześcijańskiej etyce, na nazbyt mglistych pojęciach o Bogu.

Najpierwszym zagadnieniem każdego poszczególnego wyznania jest kwestia bytu, kwestia utrzymania parafii. Następstwem tego jest przymus uciekania się niekiedy do środków mniej poważnych, mniej zawodnych, ale i nie zawsze przystojnych<sup>72</sup>.

Gdy nie pomagają ogłoszenia stałe w czasopismach, niewiele skutkują wywieszane na świątyniach zapowiedzi, znaki świetlne, gdy koncert muzyki religijnej nie ściąga wiernych, nie zaciekawia zwykły kaznodzieja, szuka się wyjątkowych mówców, zaprasza się

<sup>68</sup>*ex officio* (łac.) — z urzędu; urzędowo, na mocy praw przysługujących danemu urzędowi. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*obocznie* (daw.) — jednocześnie. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*czasu* (daw.) — podczas, w czasie. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*podniesienie* — najuroczystszy moment katolickiej mszy św., w którym odprawiający obrzęd kapłan podnosi opłatek mający uobecnić ciało Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*przystojny* (daw.) — tu: właściwy, odpowiedni, jak przystoi (o zachowaniu). [przypis edytorski]

do wygłaszania odczytów w świątyniach ludzi świeckich, ludzi niezwykłych. Bodajby popularnego cudaka sprowadzić, bodaj gwiazdę filmową namówić, byle tym z przeciwka krzykaczom adwentystom, badaczom Pisma Świętego czy pokutnikom z jaskini Daniela nie dać się zakasować. Bodaj, na modłę Armii Zbawienia, bandę<sup>73</sup> dobrać i ruszyć na plac, łomocząc wrzaskliwego marsza, a choćby jazza uciąć, byle co najwięcej gapiów zgromadzić i pociągnąć ich za sobą na wypełnienie pustkowi Domu Bożego.

Dzień niedzielny jest dniem największej walki. Świątynie chrześcijańskie przez cały tydzień pogrążone są w Ameryce w pogodnym *far niente*<sup>74</sup>, dopiero sabat<sup>75</sup> przejmuje je rozgwarem, a dzień niedzielny prawie zgiełkiem.

Niedziela w Ameryce nie jest dniem wypoczynku, lecz jedynie dniem Boga, dniem świątyni protestanckiej, dniem strażowanym zawzięcie przez prastare kwakierskie zakazy, sięgające XVII i XVIII wieku.

W dni niedzielne w Ameryce czuwa tak zwane „*blue law*” (niebieskie prawo). To prawo koloru niebieskiego zabrania w dni niedzielne pracy, handlu, zabawy, rozrywki, swawoli, zakazuje nazbyt rozgłośnej muzyki nawet w domu prywatnym, zamyka na dzień spustów galerie obrazów, muzea, biblioteki, teatry, kinematografy i w ogóle dąży do całkowitego unieruchomienia życia powszedniego.

Bardzo nieliczne stany, jak Nowy Jork i Maryland zdołały w pewnej mierze złagodzić te surowe przepisy. Dziewięćdziesiąt procent stanów amerykańskich trzyma się jednak ślepo „niebieskich praw”, posuwa je nawet do zakazu sprzedawania na dworcach kolejowych tytoniu, zamyka wszystkie restauracje i pośrednio zmusza człeka do uznania świątyni za to jedyne miejsce, kędy w dzień niedzielny spodziewać się może jakowegoś zaprzątnięcia myśli, zbliżenia do ludzkich gromad, rozerwania się widokiem idących lub powracających z nabożeństw.

Dnia świątecznego w Stanach Zjednoczonych nie należy łączyć z niedzielą. W dni świąteczne nie ma zakazów. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia, Nowy Rok, o ile nie na niedzielę przypadają, są oddane na łaskę i niełaskę próżniactwa, pilności lub handlarzkiego zmysłu. Piątek, dzień męki Chrystusa, którego imieniem Ameryka tak mocno się legitymuje, jest dniem tradycyjnych zabaw, nawet bale parafialne i bankiety odbywają się w piątki, boć to dzień ulubiony, lepszy niż sobotni, który przeciągającą się zabawą mógłby niedzielnemu nabożeństwu umniejszyć gromady. „Niebieskie prawo” zresztą policyjnym przepisem o godzinie dwunastej w nocy w sobotę zniewala do przerwania wszelkich uciech... Zaczyna się niedziela.

Od czasu do czasu zrywają się w Stanach Zjednoczonych społecznicy, usiłujący wykażać złe strony „niebieskiego prawa”. Tłumaczą, że człek pracy w dzień niedzielny nie może ucieść się godziwą rozrywką, że pozbawiony jest możliwości korzystania z kulturalnych instytucji, że nie może pozwolić sobie nawet na tak niewinną zabawę jak gra w piłkę, jak wyścigi piechurów, że wystarczyłoby przestrzeganie godzin rannych nabożeństw. Legislatury stanowe, a więc parlamenty poszczególnych republik, milczą, boją się potężnych kongregacji protestanckich, nie wąż się narażać tym, którzy tak decydujący wywierają wpływ na wybory.

Protestantyzm zaś w „prawach niebieskich” widzi dla siebie ostoję, rozumuje cynicznie, że przynajmniej widowiska i uciechy w dni niedzielne nie mogą stawać do współzawodnictwa ze świątyniami...

Natomiast te świątynie z wielkim zapalem psują interesy klubom, salom do tańca i dziwowiskom. I nie tylko przez samo zmuszanie ich do niedzielnego milczenia.

U baptystów na rogu, po pięknym wykładzie o aeroplanach, kawa z prawdziwymi, amerykańskimi „pajami” (ciasto przekładane paćką owocową). We środę, o dwie ulice, u metodystów obiad za jednego „kwodra”, jakby w Polsce za złotówkę. Obiad niesłychany: kurczęta, szparagi, lody, mizeria, świeże selery i słynny amerykański „*grevy*”, sos generalny, zdolny nawet zardzewiałego forda nasmarować, wszystko naznaczone przez uprzejme parafianki i przez też parafianki, przy odpowiedniej strawie duchowej, przy rozstawionych stołach podawane.

<sup>73</sup>banda (z ang. band) — tu: zespół. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*far niente* (wł.) — nicnierobienie; nieróbstwo. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>sabat — tu: sobota; również: dzień świąteczny w judaizmie. [przypis edytorski]

Prezbiterianie zapowiadają świetny kinematograf — ale bądźmy sprawiedliwi i bezstronni — prawdziwa parafia katolicka w suterrenach pod kościołem urządza sobie loteryjkę i partię bridge'a! Chociaż nie wiadomo, czy się te zamierzenia powiodą, gdyż schizmatycy w pobliżu, w sali nad cerkwią wyprawiają bal, sprowadziwszy osławioną<sup>76</sup> murzyńską orkiestrę.

Duchowieństwo w Ameryce nie ma żadnej łączności z aktami stanu cywilnego. Śmierć czy przyjście na świat nowego obywatela rejestruje automatycznie dany urząd gminny. Tenże urząd wydaje zezwolenia na ślub, ślubu udziela urzędnik cywilny *respective*<sup>77</sup> spisuje odpowiedni akt, a dopiero na zasadzie tak zwanego „*license*’u” (pozwolenia), duchowny dokonuje ceremoniału religijnego, o ile to zgadza się z życzeniem nowożeńców.

Ślub cywilny wystarcza zawsze. Ślub kościelny jest dobrowolnym uświęceniem pierwszego. Toż samo dotyczy prawa rozwodowego. Rozwód i separacja musi być przeprowadzona obowiązkowo przez sąd cywilny, a dalej może być równorzędnie zdecydowana przez odnośny konsystorz<sup>78</sup>, o ile rozwodzący się chce być w porządku już nie tylko z prawem amerykańskim, lecz i ze swą własną religią.

Duchowieństwo w Ameryce nie bierze oficjalnie żadnego udziału w uroczystościach państwowych. O ile ceremonię religijną, nabożeństwo solenne łączy z jakimś obchodem, ma to zawsze charakter prywatny, ile że nie ma wyznania panującego. Wprawdzie na 130 milionów mieszkańców 85 milionów hołduje protestantyzmowi lub protestanckiej bezwyznaniowości, ta potężna jednak gromada, jak było powiedziane, jest w sobie podzielona, rozbita zarazkiem przeciwnieństw sekciarskich.

Religia prezydenta jest jego własną tylko religią osobistą.

Prezydent Stanów Zjednoczonych jaśniej przykładem dobrego parafianina. Wilson uczęszcza do kościoła prezbiteriańskiego, Grand do metodystów, Taft do unitarian, Harding do baptystów, Hoover do kwaków, Roosevelt do luteranów holenderskich, a Washington do kościoła anglikańskiego. I nikomu nie przeszkadza nawet, że prezydent Coolidge jest kongregacjonalistą, a Garfield członkiem związku Uczniów Chrystusa.

Najsilniejszą grupą wyznaniową Stanów Zjednoczonych jest kościół rzymskokatolicki, liczący, według statystyki z roku 1930, przeszło dwadzieścia milionów wiernych i 26 925 (wyraźnie: dwadzieścia sześć tysięcy dziewięćset dwadzieścia pięć) kościołów i kaplic.

Dzięki dyktatorskiej hierarchii i wielkiej swej czujności, kościół rzymskokatolicki w Stanach Zjednoczonych, w stosunku do innych wyznań, wyrasta na nie lada potęgę.

Na Ziemi Washingtona działa na prawach misyjnych, to znaczy, że biskupi posiadają władzę autokratyczną w swych diecezjach, że kapituły są wobec nich bezwładne, że godność pralata jest tylko pustym honorem, że wszystkie kościoły, szkoły, zabudowania parafialne (za wyjątkiem zakonnych) muszą być hipotecznie przepisane na własność diecezji i oddane bezkontrolnemu zarządowi swego biskupa, że kwestia mianowania proboszczów nienaruszalnych jest zawsze biskupa fantazją, że biskupowi wolno jest dane gmachy kościelne obarczać pożyczkami i zmuszać tym samym parafian do ich płacenia, iż żadne kolatorstwo, żaden dozór kościelny, w europejskim tego słowa znaczeniu, w Ameryce nie istnieje, że na koniec nuncjusz papieski rezydujący w Waszyngtonie jest osobą prywatną, nie należy do korpusu dyplomatycznego Stanów Zjednoczonych, że w stosunku do biskupów amerykańskich jest bezsilny, jest zniewolony w kwestiach spornych do szukania kompromisów, no i że nareszcie duchowieństwo rzymskokatolickie, jako przebywające na ziemi misyjnej, w kraju heretyckim zwolnione jest z bardzo wielu przepisów i obostrzeń.

Dla łatwiejszego niezawodnie pełnienia swych obowiązków duchownych, kler katolicki jest zwolniony od noszenia sutanny poza murami kościoła. Na zewnątrz w chwilach uroczystych występuje w anglezach<sup>79</sup>, w dni powszednie w marynareczkach. Znamieniem pozakościelnym stanu duchownego jest kołnierzyk, zapinany z tyłu a nie z przodu,

<sup>76</sup>osławiony — tu (niepopr.): sławny, otoczony sławą. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>respective (łac.) — względnie. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>konsystorz (z łac. *consistorium*: zgromadzenie) — daw. określenie kurii biskupiej zbierającej się, aby rozstrzygać sprawy administracyjno-sądownicze dotyczące kościoła katolickiego w danej diecezji (tj. terytorium podległego danemu biskupowi). [przypis edytorski]

<sup>79</sup>anglez (daw.) — tu: długi surdut. [przypis edytorski]

który daje się jednak zapiąć i z przodu. Ten kołnierzyk zastępuje nawet tonsurę<sup>80</sup>, która w kraju misyjnym mogłaby być uważana za niepotrzebną prowokację.

Brewiarz, bez którego ksiądz francuski nie waży się na ulicy pokazać, zastępuje w Ameryce wielkie cygaro, istny patyk, nieopuszczający oblicza poważniejszego autoramentu dygnitarza kościelnego.

Zakonne duchowieństwo, podlegające władzy absolutnej swych prowincjałów i generałów, w równej mierze korzysta z nieznanego w Europie liberalizmu, tłumaczonego misyjnym stanowiskiem kościoła. Reguły, klauzule są nadzwyczaj złagodzone. Wstąpienie do zakonu łatwe, opuszczenie również nietrudne. Zakonnicy najostrzejszych reguł w drodze, w podróży bywają dostojnie wyglądającymi gentlemanami, których niepodobna posądzić, że w sakwojażu wiozą habit, treпки i sznurki św. Franciszka.

Na tym przystosowaniu się do tłumu, być może, zyskuje większa ku kościołowi katolickiemu powolność<sup>81</sup>, lecz traci na tym bodaj czystość powołania.

Trzeba wiele czasu, aby się oswoić z typem księdza amerykańskiego, zakrojonego na miarę przeciętnego, zasobniejszego burżuja.

Od tych drobiazgów zewnętrznych, idąc w górę, należy stwierdzić, że kościół katolicki w Ameryce, przy niezawodnym swym wielkim rozwoju, ulega w rezultacie bardzo silnej protestantyzacji, łagodniej a dokładniej mówiąc, nazbyt akomoduje się do protestanckich obyczajów, na zbyt wielkie idzie kompromisy.

Na uboczach amerykańskich kościół katolicki dnia powszedniego milczy zamknięty. Mszy św. nie ogląda co dzień. W dni świąteczne ma ich w zamian kilka, odprowadzanych przez tego samego księdza. Czasu uroczystych nabożeństw posługuje się irlandzką stenografią, która sobie upraszcza i skraca ceremoniał, a przedłuża procedurę pieniężną.

Dolar, przeklęty dolar, ale potrzebny, bo jeszcze innym środkiem nie zastąpiony.

Protestantyzm amerykański ma odwieczne zapisy, darowizny, ma bogactwa, kapitały, kościół katolicki ma ich stosunkowo mniej, a potrzeb ma daleko więcej.

W zapadłym kącie, na przepastnych wertepach, siedzi sobie metodysta. Dwadzieścia drewnianych domków, dokoła zresztą bezludzie.

Jakże sobie radzi, jakże się podziewa pustelnik?

Dostaje regularnie pensję od głównego zarządu, może otrzymać podwyżkę, lepszą posadę, awans.

Rachunki parafii załatwia dozór kościelny. Ten dozór odsyła zbierane składki. Pastora niewiele to obchodzi. Pieniędzy mu nie zabraknie. Centrala operuje milionami.

W katolickim obejściu parafialnym bywa mniej bogato.

Jeżeli księżyna, na małej owczarni osiadła, nie ma wybitnych zdolności administracyjnych i gospodarczych, zmarnieje i dla siebie, i dla parafii, i dla swojej władzy duchownej.

Niewiele wart, oczywisty niedołęga.

Ten drugi, obok mego, z torbami był wysłany między ludzi i póty żebrał, póty jęczał, aż kościół zbudował.

Najpierw małutki, drewniany, potem sprzedał drewniaka z zarobkiem i zbudował w innym miejscu stylowego murowańca. I parafię sobie naciulał, pałac istny na plebanię dźwignął i dobytku znacznego przyczynił i sobie, i parafii, i całej diecezji.

W kościółku katolickim proboszcz sam musi starczyć, bo jeżeli nawet przyślą mu czasami kilkanaście mszy do odprawienia, to juści tych najbiedniejszych, najgorzej wynagradzanych.

Nade wszystko więc swoich parafian skłania do tradycyjnych opłat amerykańskich, tak zwanego ławkowego. Dalej ustanawia opłatę za wejście do kościoła. Przy wejściu do kościoła w Ameryce czuwa jakaś pocziwa dusza i bez odebrania „dajma” (dziesięć centów amerykańskich) żadnego baszybuzuka<sup>82</sup> przed oblicze Pańskie nie puści. Poza godzinami nabożeństw kościół jest zamknięty na cztery spusty, bo jakżeby na darmo było kto miał zbocza podłotkarzowe zanieczyszczać.

<sup>80</sup>tonsura — wygolone kółko na czubku głowy na znak przynależności do niektórych męskich zakonów katolickich (tj. dominikanie, franciszkanie, karmelici), względnie wygolenie całej głowy (u kamedułów). [przypis edytorski]

<sup>81</sup>powolność (daw.) — tu: uległość, ugodowość. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>baszybuzuk (daw.) — hultaj, figlarz, zawadiak; początkowo: żołnierz wojsk tureckich na przełomie XIX i XX wieku. [przypis edytorski]

Poza ławkowym i wejściowym najskromniejsza parafia ma dochód z posług religijnych, lecz główną treścią dochodu są niedzielne „kolekty”.

Te kolekty poprzedzane napomnieniami, wezwaniami, przedkładaniem rozmaitych gwałtownych potrzeb, odbywają się przy solennym obchodzeniu wszystkich bez wyjątku zgromadzonych na nabożeństwie, a nawet przy zapisywaniu znacznie większych datków i ogłaszaniu ich podczas sumy dla uhonorowania szczodrości.

Przy takiej dopiero gospodarce parafia może szukać składek nadzwyczajnych na rozbudowę, na zakup aparatów czy opędzenie nadzwyczajnych potrzeb.

Należy bowiem pamiętać, że diecezja bardzo pilnie czuwa nad kolektami niedzielnymi, że te kolekty po większej części muszą być odsyłane do biskupstwa na przeróżne ogólnokatolickie cele i że stąd jedynym, niezawodnym dochodem probostwa są wspomniane opłaty za posługi religijne, opłaty pobierane w stosunku do zasobów parafianina.

Wszystkie, razem wzięwszy, dochody z reguły nie wystarczają w Ameryce ani na utrzymanie licznej parafii, ani malutkiej.

Parafie bogate, mające od pięciuset do trzech tysięcy rodzin i więcej, uginają się pod nakładanymi na nie lub dobrowolnie na się brany ciężarami. Parafie takie utrzymują szkoły, mające bardzo często po dwa, trzy tysiące działwy, utrzymują całe kluby dla młodzieży z salami do zabaw i rozrywek, z pływalniami działającymi nawet w czasie trzaskających mrozów, utrzymują olbrzymie hale parafialne, no i mają ambicje, słuszne, dźwigania świątyń masywnych, wznoszenia niekiedy całych bazylik.

Małe parafijki nie mają wprawdzie tak kosztownych kłopotów, lecz również nie wystarczyłyby na najniezbędniejsze, gdyby nie zaprzęganie do zbierania gotówki amerykańskiej pomysłowości.

Urządza się więc, jak powiedzieliśmy, w suterynach pod kościołem loteryjkę, partię gry w karty, bale parafialne, a wreszcie organizuje się słynne na całą Amerykę wycieczkowe pikniki parafialne, coś w rodzaju polskich majówek, dorocznych wypraw na Bielany, z tą różnicą, że na terenie pikniku jedynym sprzedawcą jedzenia, napojów, słodczy, dzierżawcą przygotowanych tam zabaw jest ciągle ta sama parafia.

Lecz i przy największej energii potrzeba nie lada zapалу, aby poradzić, aby starczyć na wszystko.

Kościół katolicki w Ameryce rozwija potężną działalność, tak nawet potężną, iż należy raczej obawiać się, aby jej zbyt silne napięcie nie ściągnęło kataklizmu.

Przyjrzyjmy się oto dla lepszego zrozumienia tej sprawy następującym liczbom.

W roku 1895 w Stanach Zjednoczonych było ogółem 910 szkół wyznaniowych, prywatnych, średnich — to znaczy szkół nazywanych w Ameryce *high schools and academies*, przygotowujących młodzież do kursów kolegialnych i uniwersyteckich, a prowadzonych przez rozmaite gminy wyznaniowe.

Na te 910 szkół w roku 1895 było 280 rzymskokatolickich, a więc prawie jedna trzecia.

W tymże samym roku w tych wszystkich szkołach razem kształciło się 52 441 młodzieży płci obojga — a wśród nich 12 777 w szkołach rzymskokatolickich, czyli młodzież rzymskokatolicka stanowiła mniej niż jedną czwartą część.

W roku 1928 liczba szkół średnich prowadzonych przez gminy wyznaniowe wzrosła w Ameryce do 1789, a w tym liczba szkół katolickich z 280 poszła na 1345!

Mówiąc innymi cyframi — w roku 1928 — w szkołach średnich prowadzonych przez gminy wyznaniowe kształciło się ogółem 204 787 młodzieży płci obojga, a z nich 158 612 w szkołach średnich rzymskokatolickich — czyli przeszło trzy czwarte katolików na jedną czwartą innych wyznań!

Podkreślimy, że liczby te nie dotyczą ani rzymskokatolickich uniwersytetów i kolegiów, ani dwu milionów trzechkroć stu tysięcy<sup>83</sup> działwy uczącej się w szkołach parafialnych rzymskokatolickich!

Żadne z innych wyznań nie może się takim plonem wykazać. Przeciwnie nawet. Szkolnictwo wyznaniowe protestanckie w Ameryce upada, niknie w oczach, ustępuje miejsca szkolnictwu świeckiemu — rzymskokatolickie natomiast do coraz większego

<sup>83</sup>dwu milionów trzechkroć stu tysięcy — dwu milionów trzystu tysięcy. [przypis edytorski]



dochodzi wpływu, zdobywa nawet poważne szewrony<sup>84</sup>, jako szkolnictwo prowadzone nadzwyczaj starannie i dające w sumie lepsze rezultaty od innych.

Władze Stanów Zjednoczonych, pomimo zachowania pozorów tolerancji, niechętnie poglądną na rozwój rzymskokatolickiego kościoła i po swojemu, według starych anglosaskich recept, starają mu się przeciwdziałać, pamiętając, na przykład, przy wyznaczaniu liczb emigrantów z poszczególnych krajów, aby kraje katolickie poddać ograniczeniom.

Silniej od władzy zmagają się z katolicyzmem gminy protestanckie, protestanckie związki, protestanckie zrzeszenia, masonskie organizacje, a wreszcie terrorystyczne kluby słynnego w Ameryce Ku-Klux-Klanu.

W roku 1882 katolicy utworzyli rodzaj swej gwardii ochronnej pod postacią Rycerzy Kolumba i zdołali już doprowadzić ją do poważnego zastępu 637 000 członków w roku 1929, podzielonych na grupy rozproszone po całych Stanach Zjednoczonych.

Pomimo jednak tego silnego zwierania się katolików, pomimo rosnących ich wpływów w Ameryce, katolicyzm, zwłaszcza w tych najprzedniejszych sferach, jest uważany po dzień dzisiejszy za nie lada usterkę.

Na wolnej Ziemi Washingtona w stosunku do katolików wałęsają się gęsto równie przyjemne nastroje jak w Skandynawii, kraju złośliwego zacofania protestanckiego.

Uczciwość zmusza do stwierdzenia, że ku tej niechęci do katolików przyczynił się w Stanach Zjednoczonych żywioł irlandzki.

Irlandczycy, jako element zachłanny, podstępny, noszący na sobie piętno wielowiekowej niewoli, nie są lubiani. Owóż Irlandczycy zdołali opanować całkowicie hierarchię kościelną katolicką, dzieląc się nią jedynie z Niemcami, z którymi się wyjątkowo dobrze harmonizują i pośrednio wywierają silny wpływ na Watykan.

Ten wpływ pochodzi nade wszystko z tego właśnie cyfrowego rozwoju kościoła rzymskokatolickiego w Stanach Zjednoczonych, który Irlando-Niemcy własnej przypisują zasłudze — z podsycanych spodziewań bliskiego wzmożenia jeszcze tego rozwoju, a w ostatku wynika z darów słanych Rzymowi, darów tworzących dzisiaj jedną z najpoważniejszych rubryk budżetu Stolicy Apostolskiej.

Hierarchia irlandzko-niemiecka najwspanialej dotrzymuje obowiązków świętopietrza. Kiedy taki arcybiskup chicagowski, Niemiec, sławetny kardynał Mundelein, ponurego autoramentu dygnitarz, jedzie *ad limina apostolorum*<sup>85</sup> do Rzymu, zawozi ze sobą mały skrawek papieru, a na nim czek opiewający na jeden cały milion dolarów.

Tego miliona dolarów nie potrzebował kardynał Mundelein daleko szukać. Samych polskich parafii w Chicago ma coś około pięćdziesięciu. Nawet tych parafii w ogóle nie potrzeba było molestować, starczyło zaciągnąć po prostu pożyczki na szkoły i kościoły... Przecież w Ameryce świątynia jest taką samą nieruchomością, jak pierwsza z brzegu kamieniczka! Zresztą w Ameryce skarbcze kardynalskie mają swoją reputację nie gorszą od skarbców protestanckich. Kardynał O'Connell z Bostonu miał kuzynka, którego, wyjeżdżając do Europy, pozostawił na administrowaniu funduszami. Kuzynek przegrał okrągły milion na giełdzie... Ani stąd śladu, ani znaku nie zostało. Wszelki słuch w bostońskiej archidiecezji od dawna o tej bagatelce zaginął.

Wróćmy jeszcze do kardynała Mundeleina. Na jego przyjazd do Rzymu w świętym Kolegium nagromadzono całe stopy dokumentów żalonych.

Utyskiwania, skargi na arbitralność, na forytowanie Irlandczyków i Niemców, na gnębienie parafii włoskich, polskich, francuskich, czeskich, na niechrześcijańskie mieszanie się do polityki, na dziesięć innych bolesnych zagadnień. Lecz oczywiście ta jedna maleńka karteczka przywieziona przez kardynała Mundeleina strąca w okamgnieniu między pyły archiwalne pliki skarg i znów dalej w Stanach Zjednoczonych dzieje się, jako irlandzko-niemiecka hierarchia zdecyduje.

Aleć i bez tej karteczki święte Kolegium musi się poważnie liczyć z tą zaoceniczną gromadą i unikać wszystkiego, coby tę gromadę mogło zawieść na pokuszenie stawienia oporu. Trzeba więc folgować, zatwierdzać automatycznie przekładane promocje i raczej samemu o niej prosić, aniżeli nakazywać.

<sup>84</sup>*szewron* — naszywka w kształcie litery „V” umieszczana na rękawie lub naramienniku munduru dla oznaczenia stopnia w hierarchii sił zbrojnych i in. służb mundurowych. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*ad limina apostolorum* (łac.) — dosł. do progów apostołów; przen. określenie wizyty w Stolicy Apostolskiej, tj. w Watykanie, będącym siedzibą najwyższych władz kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

Irlandzko-niemiecka hierarchia na dwadzieścia milionów katolików ma aż czterech kardynałów, szesnastu arcybiskupów, sto dwu biskupów. Polacy, którzy stanowią jedną piątą wszystkich katolików w Stanach Zjednoczonych, mają tylko jednego biskupa, konsekrowanego w roku 1908 i może dlatego jedynie, że nosi nazwisko niemieckie „Rhode” i jednego sufragana nazwiskiem „Plagens”.

Seminariów jest 135, w nich 17 616 kleryków, 7 387 parafii ma własne szkoły początkowe, 329 sierocińców wychowuje 54 523 dziatwy, schronisk dla starców hierarchia katolicka utrzymuje 142, a szpitali 624!

W jednym tylko roku 1930 założono 62 nowe parafie rzymskokatolickie i zbudowano 6 sierocińców, 15 przytułków dla starców i 18 nowych szpitali rzymskokatolickich. Żaden bodaj kraj „czysto” katolicki nie zdolen jest<sup>86</sup> poszczycić się takimi plonami pracy społecznej swego kleru!

Zbyt wielka modernizacja kościołów rzymskokatolickich, nazbyt wielka ich nowoczesność, brak pierwiastka archaicznego, owo prztykanie elektrycznymi dzwonkami podczas Mszy św., mruganie całymi rzędami lampek elektrycznych, cała ta praktyczność parafialna, operująca w przybytku Pańskim higieną i dezynfekcją, a może zbyt wielki nacisk na nią kładąca, w znacznej mierze przyczynia się do osłabienia mistycyzmu i, jak rzekliśmy, nalotem protestantyzmu okrywa amerykański katolicyzm.

Europejczyk potrzebuje wiele czasu, aby się oswoić z tą łatwością, z jaką w Ameryce kościół katolicki skasował wszystkie niemal święta uroczyste, poprzestał na jednym dniu świątecznym Wielkiejnocy i Bożego Narodzenia, jak wiele uprzejmości okazuje cywilnym świętom amerykańskim w rodzaju „Dnia Dziękczynienia” czy „Święta Umarłych”, obchodzonego solennie 30 maja lub jak w dni szczególnie uroczyste świątynia katolicka lubi ściągać protestanckich gapiów schodzących się na oglądanie niezwykłego widowiska.

Oczywiście i w Stanach Zjednoczonych można znaleźć zakątki, kędy prastary kult wyłamuje się spod dominującego wpływu wielbicieli św. Patryka i rodaków Marcina Lutra i wielbi Pana nad Pany takuteńko, jako hen, pod Sienną, pod Kielcami czy na bretońskich piaskach.

Lecz te wyjątki, choć częste, są potwierdzeniem irlandzko-niemieckiego prawidła. Stany Zjednoczone są dzisiaj krajem, w którym silniej aniżeli gdziekolwiek można stwierdzić wzrost indyferentyzmu religijnego, a w pewnej mierze i całkowitej bezwyznaniowości. Z górą połowa mieszkańców zbliża się do świątyni jedynie w momentach przekazanych nie tyle tradycją religijną, ile raczej obyczajową.

A jednak też same Stany Zjednoczone należy uważać za kraj najusilniej zabiegający o tępienie zobojętnienia religijnego, walczący zapamiętale z bezbożnikami, a manifestujący gorąco swą wiarę w Boga.

Żadnych w tym kierunku ustępstw, żadnej powolności<sup>87</sup> bodajby dla filozoficznych dociekań, dla uniwersyteckich rozpraw.

Taż sama Ameryka, która w głębi swych laboratoriów pulsuje zawzięcie obudzonymi do życia komórkami, taż sama Ameryka chwyta na munsztuk biologiczno-chemiczne hipotezy, usuwa z katedr heretyków ośmielających się sięgać poza ramy *Pisma Świętego*.

W Stanach Zjednoczonych, jako przed stu laty, tako i dzisiaj nie masz solenniejszego zebrania, obchodu, jubileuszu, akademii, bankietu, obrad parlamentarnych, klubowego festynu bez inwokacji, bez westchnienia do Boga, bez modlitwy.

Są to modlitwy Europy nieznanne, dla Europy niezrozumiałe, żadnemu nieuchybające kultowi, chylące głowy przed jednym, wspólnym, Wszechpanem. Te modlitwy wygłaszane są wszędzie i zawsze, przed zjazdami naukowymi, przed zabraniem miejsca za stołem biesiadnym i przed takim forum, gdzie nie ma ani jednego duchownego i przed takim forum, gdzie tuż w pobliżu sąsiadują ze sobą księża, pastory różnych zwołań, popi i rabini, i przed takim forum, na którym można natrafić na chwilę, kiedy w kolejnym porządku rabin odmawia głośno modlitwę, mając za sobą poczet duchownych wszelakich wyznań.

Szkoły początkowe, średnie, kolegia, uniwersytety, owe cywilne wskroś instytucje (w odróżnieniu od szkół utrzymywanych przez gminy wyznaniowe) nie mają wykładów

<sup>86</sup>nie zdolen jest (daw.) — nie jest zdolny. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>powolność (daw.) — tu: uległość, ugodowość. [przypis edytorski]

religii, nie troszczą się rzekomo wcale o kwestię sumienia wychowywanej przez się młodzieży. Pozostawiają to zadanie duchowieństwu.

A przecież w najpotężniejszych nawet uniwersytetach amerykańskich, pnących się ku szczytom czystej wiedzy, dwa i trzy razy w tygodniu odbywają się tak zwane „chapele” (kaplice), rodzaj konwokacji, prowadzonych z urzędu przez pierwszego dygnitarza wszechnicy lub jego zastępcę.

Na tych „chapelach”, dokładniej konwokacjach, uniwersytecki dygnitarz odczytuje kilka wersetów z *Biblii* i wyklada je młodzieży.

Młodzież uniwersytecka, nie mówiąc już o szkołach niższego stopnia, bez względu na swoje wyznanie religijne, musi być obecna na tych konwokacjach.

Nie wolno karaimowi<sup>88</sup> tłumaczyć się, że go nauka chrześcijańska nie obchodzi, nie wolno katolikowi usprawiedliwiać się, że jego religia zabrania mu takich dowolnych, cywilnych interpretacji *Pisma Świętego*.

Za trzykrotną nieobecność na „chapele” uniwersyteckim, za wyjątkiem przyczyny ciężkiej, student zostaje wydalony, otrzymuje kartę zwolnienia, bez żadnych bliższych wyjaśnień. Takie ostateczności się nie zdarzają. Młodzież jest oswojona z tym łaodem. Duchowieństwo nie odważyłoby się nawet czynić jakowychś zastrzeżeń przeciw uniwersytetowi Princeton, Yale lub Brown.

Najsilniejszym przecież wyrazem tego dążenia amerykańskiego do zachowania wiary w Boga jest bardzo wielka hojność prywatna na rzecz kościoła i kongregacji.

Na kościoły łożą nie tylko bogacze, nie tylko jednostki, ale i całe zrzeczenia. Świątynie fundują banki amerykańskie, fabryki, zakłady przemysłowe, kopalnie. Nikt się tutaj nie uchyla. Nawet bezwyznaniowiec, obojętniak nie zamyka kieszeni.

Protestancki kościół episkopalny dźwiga w Waszyngtonie gotyckiego kolosa z XIV wieku, wobec którego wszystkie mu podobne pierwowzory europejskie zejdą na karłów.

W Saint Louis wspaniała bazylika katolicka już od lat w przedziwne zdobi się mozaiki, staroweneckie, florentyńskie przechodzi cuda.

Żydzi nie dają się zakasować, miliony łożą na budowę swych synagog i domów modlitwy.

A nawet, kiedy już bezwyznaniowość zakradnie się do domowego ogniska, to i tam jeszcze bodaj utrzymuje się zamiast modlitwy przed posiłkiem chwila milczenia, pochylania się w skupieniu ducha, to i tam jeszcze nie wolno jest wymówić strasznego, przejmującego drżeniem oburzenia wyrazu „piekło”.

Amerikanin tego okrutnego *memento*<sup>89</sup> nie znosi, boć wyraz „piekło” rumieńcami okrywa oblicza, które zatraciły zdolność rumienienia się, boć wyraz „piekło” jest tak obelżywym, jest tak plugawym, że wolej<sup>90</sup> błotem człowieka obrzucić, aniżeli powiedzieć mu: „idź do piekła”, boć wyraz „piekło” jest tak brzydki, że, gdy go niepodobna ominąć, to wystarczy napisać pierwszą literę, resztę brzmienia zastępując kropkami...

Nie mniej groźną od piekła samego jest siła zrzeczeń wyznaniowych. Lepiej ich się strzec, być z nimi w komitywie, aniżeli je mieć przeciwko sobie. W wielkich miastach łatwiej się przed nimi skryć, łatwiej uprawiać obojętność — w mniejszych środowiskach nie ma ratunku. Gminy wyznaniowe działają, poczuwają się do solidarności. Metodysta w ostatku zgodzi się na katolika-lekarza, gdy zabraknie protestanta — ale gnębić będzie zapamiętałe i zwalczać bezbożnika.

*Biblia* w Ameryce czuwa. Wygląda z każdego zakątka. Na stołach, w poczekalniach kolejowych umie poczesne zajmować miejsce, w skromnych mieszkankach jest zawsze najpierwszą między książkami, w bogatych domach miewa własną, uprzywilejowaną półeczkę, w hotelach leży tuż, przy każdym łóżku, u wezglowia, razem ze spisem telefonów i miejscowym przewodnikiem...

<sup>88</sup>*karaim* — wyznawca *karaimizmu*, religii monoteistycznej wywodzącej się z judaizmu, posiadającej wspólne wątki z islamem i chrześcijaństwem, która wyodrębniła się ok. VIII w. na terenie Mezopotamii, a następnie rozszerzyła się na tereny Bizancjum, Egiptu i Imperium osmańskiego; gł. kodyfikatorem karaimizmu był Anan, syn Dawida z Basry (ur. ok. 754 r.), który uważając się za reformatora judaizmu, przeciwstawił się naukom talmudycznym, postulował powrót do trzymania się ścisłych zapisów Tory (Pięcioksięgu Starego Testamentu) oraz ascetyczny tryb życia. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*memento* (łac. dosł.: pamiętaj) — prawda czy prawidłowość, o której należy pamiętać. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*wolej* (daw.) — lepiej. [przypis edytorski]

*Biblia* zawsze i wszędzie w Ameryce wypomniana być musi.

Jeżeli otworzymy bodaj tak oschłego olbrzyma jak zestawienia coroczne Amerykańskiego Biura Statystycznego, jeżeli się wpatrzymy w te nieskończone kolumny cyfr, w te nowoczesne logarytmy życia, i tam nawet znajdziemy *Biblię*...

I tam jeszcze amerykańska skrupulatność musi wyliczyć, ile *Biblia* zawiera ksiąg, ile rozdziałów, ile wierszy, ile słów... Musi stwierdzić, że ma dokładnie 3 566 480 liter... (oczywiście angielskich), że w *Biblii* wyraz „and” (po polsku „i” lub „a”) powtarza się 46 227 razy, a wyraz „pan” 1 855 razy, podczas gdy wyraz „girl” (dziewczyna) tylko raz jeden...

*Biblia* w Ameryce jest ciągle świadectwem, dokumentem, autorytetem.

A ponieważ inwencja zacierzawienia ludzkiego jest niewyczerpana, tedy bełcze<sup>91</sup> na zawołanie *Ewangelię* ze *Starym Testamentem*, więc przebacza niewiedzącym, co czynią, rozgrzesza — albo rąbie oko za oko, ząb za ząb, w równie podniosły sposób daje upust małej, ziemskiej pomście.

---

## OLBRZYMIE SKUPISKA I WIĘKSZE OD NICH PUSTKOWIA

Olbrzymie skupiska i jeszcze większe od nich pustkowia, pasy ziemi wypełnione mrowiskiem ludzkim, stłoczone, duszne getta, a tuż w pobliżu przestrzenie jakby więjące jeszcze oddechem dziewiczego kontynentu.

Pionierzy amerykańscy obsiadali brzegi oceanu, korytarzami rzek wdzierali się w głąb lądu, w ich rozwidleniach, w zaciszu jezior i dolin rozbijali szalasy.

Dzisiejsze Stany Zjednoczone tych prastarych wędrówek pionierskich są podotąd<sup>92</sup> żywym obrazem.

Wybrzeża Atlantyku, zagony w stronę Wielkich Jezior, kręte wstęgi wód, rwących do zlewiska Missisipi, wreszcie co najpospolitsze zatoki nad Pacyfikiem, toć główne, toć jedyne szlaki osiedli ludzkich.

Tu, przy ujściu Hudsonu, dziesięć milionów ludzi stłoczonych, dławiących się, na wagę złota liczących każdą piędź ziemi; tu na jednej mili kwadratowej niespełna osiem tysięcy mieszkańców, jak w obwodzie Columbii, a owdzie na takiej samej mili kwadratowej siedem dziesiątych człowieka podziewa się w Nevadzie, trzech całych ludzi w pięknej Arizonie lub w zaczarowanym Nowym Meksyku, a dwu tylko na milę kwadratową w Wyomingu. A jeżeli nawet bogata Kalifornia legitymuje się pięciu i pół milionami lub Teksas blisko sześciu milionami, to owe miliony ludzi zbliżają się w zwarte gromady w pewnych tylko punktach, pozostawiając trzy czwarte stanu odłogiem.

Nawet tak ludny i gęsto zamieszkały stan nowojorski ma powiaty liczące po sto pięćdziesiąt i dwieście tysięcy mieszkańców i ma powiaty (hrabstwa) sięgające kilkudziesięciu, a nawet kilkunastu tysięcy zaledwie.

Bardzo niewiele miast amerykańskich można by porównać z miastami europejskimi, a dostojność ich mierzyć szczątkami prastarych murów, śladami początkowych rozsypisk.

Szanownym wyjątkiem jest niezawodnie leciwy Boston, tradycji pełna Savannah, wreszcie Charleston w Południowej Karolinie, bodaj najstarsze nad Atlantykiem St. Augustin, a dalej tu i ówdzie rozrzucone złomy hiszpańskich klasztorów, francuskich barykad czy niepozorne resztki jakichś prymitywnych obozowisk.

Przeciętne miasto amerykańskie rodowód swój zwykło wywodzić od fabrycznego komina.

Najpierw dźwignął się był komin, dokoła niego powstały bezkształtne łamańce pogmatwanych zabudowań, a do tych łamańców dopiero zaczęły przystawać, zrazu bardzo prymitywne, a dalej coraz to kształtniejsze, drewniaki ludzkich ognisk, żywiących się jakby tym jednym ogniskiem, buchającym ze środkowego komina.

Jako niegdyś w Europie, dokoła jakiegoś srogiego zamku, czyli<sup>93</sup> rezydującego w tym zamku mocarza, tako w Stanach Zjednoczonych dokoła tego pierwszego komina, doko-

---

<sup>91</sup>bełcze — daw. forma 3 os. lp cz. teraźniejszego od *bełtać* (mieszać); dziś: bełta. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>podotąd — jak dotąd; dotąd; dotychczas. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

ła tych pierwszych szalasów, rozbitych ponad odkrywka przyszłej kopalni, jęły wyrastać inne, bezładna osada przedzierzgać się w tężejące w oczach miasto.

Teraz dopiero, wśród labiryntu fabrycznych budowli, wśród całego śmietniska odpadków, zrytych częstokroć kilofami obszarów, wśród gmatwaniny bocznic kolejowych ruszała z miejsca ambitna, lecz zawsze chciwa zysków, urbanistyka.

Spójrzmy z lotu ptaka na jedno z przeciętnych wielkich miast północnoamerykańskich.

Jak okiem sięgnąć szachownica kwadratów, rozszczepionych tu i ówdzie przekątniami, a buchająca snopami ostrego, gryzącego dymu.

Tu gromada pośmigłych gmachów, jakby żywcem wyrwanych Rzymowi Trajana, jakby wprost z Aten sprowadzonych, a tuż obok brudne rumowisko, ponury warsztat ciężkiego trudu, a tuż obok ponad lampasem korynckich kapitelów potworny płomień stalowni wypalający lunę na podniebnej chmurze. Tu park nad parkami, wymuskany, pióropuszcami najosobliwszych, zdobnych krzewów, tu wspaniałe kobierce zieleni rozpostarte kornie u podnóża hardych pomników, a tuż obok zapadlisko nędzy, życia wielkomiejskiego co najbrudniejsze oficyny, jeden targon odpadków, zwałów węgla, szyn, desek, nor ludzkich, pyłu i kłębow dymu.

Niekiedy, jak na przykład ze wzgórza ponad widłami Monangaheli i Allegheny, zlewającymi się w głębokie nurty Ohio, widok przepiękny, widok w zmrúzeniu powiek budzący zachwyt liniami wśród skalistych zrębów żłobionej doliny — widok grający po nocach snopami iskiei, krociami światelek, włóczących się po górach, przeglądający się w trzech naraz wstęgach rzek, widok niby złuda rozplywający się w szarzyźnie i monotonii dnia powszedniego, widok na Pittsburgh.

Wolej<sup>94</sup> poglądać z daleka, a nie wpatrywać się, wolej bryły ogarniać, niż linii dociekać.

Toć nie Monte Pincio, toć nie rzut spod bazyliki na Montmartrze na złomy murów współczesnej Luteccji.

Kędy okiem rzucić fabryczne kominy, fabryczne zabudowania, fabryczne szopy. Tam, gdzie kolos architektury, tam hotel albo bank, tam dworzec kolejowy, tam nowoczesny, amerykański karawan-seraj handlu, przemysłu, businessu. Niekiedy między gigantycznymi zrębami jakaś wysmukła strzałka, jakiś nikły czubeczek fontanny sięgający mrowanemu olbrzymowi powyżej łydki — to wieżyca świątyni, niekiedy modlitwami ponad miasto ku niebu wystrzelająca, dzisiaj skarłały budynek dwudziestego nawet nie dogoni piętra.

Niby z góry Tibidabo pod Barceloną, ze zrębów Eagle Rock w pobliżu Orange w stanie New Jersey można jednym rzutem objąć nie siedem krajów, jak chce tradycja katalońska, lecz w zamian przyrzeć się świetnej wypukłomapie siedmiu miast amerykańskich z Nowym Jorkiem na czele, rozrzuconych na poszarpanych oceanem płaszczyznach. Lecz z tego rzutu też sama nużąca jednostajność rozplanowania, toż samo nagromadzenie reprezentacyjnych wspaniałości w pewnym punkcie i też sama nieskończoność kwadratów, toż samo geometryczne pokratkowanie.

Bardzo niewiele miast amerykańskich, czy to dzięki wyjątkowemu swemu położeniu, czy jakimś niezwykle warunkom, zdołało wyłamać się, zerwać z pętami monotonii, zdobyć się na jakiś własny rys, własny charakter. Nawet tam, gdzie natura sama zdawała się pracować na wyrobienie tego charakteru, tej odrębności, tej oryginalności, tam handel z przemysłem ruszył o lepsze, ażeby tę odrębność, tę oryginalność pokryć jak najstaranniej nalotem standaryzacji.

Boć jako każda ze sfederowanych republik ma swoją własną stolicę, a w stolicy tej musi mieć gmach swego własnego parlamentu, swój własny kapitol, wzorowany na kapitole waszyngtońskim, a więc zdobny w olbrzymią kopułę, zaparty o podstawę kilkudziesięciu szerokich, marmurowych czy granitowych schodów, wydłużony mniej lub więcej klasycznymi skrzydłami — tako i każde miasto amerykańskie ma wszędzie i co kroku kubek w kubek takie same sklepy rzeźnicze, tak samo urządzone standardowe restauracje i restauracyjki, mleczarnie, owocarnie, składy apteczne i nawet benzynowe stacje.

Tam oczywiście, gdzie Chicago lub Filadelfia moszczą sobie spacerowe drogi, zdobywają się na monumentalne konstrukcje, gdzie wszystko chcą mieć jeszcze większe,

<sup>94</sup>wolej (daw.) — lepiej. [przypis edytorski]

jeszcze bogatsze, jeszcze wspanialsze niż gdziekolwiek, tam banalność ustępuje, tam na kilku placach czy ulicach bogaty gród wszystkie swe rozpościera precjoza.

Lecz dość zboczyć z Michigan Avenue, dość zanurzyć się w głąb jednej z przecznicy, aby paść niebawem w labirynt kwadratów, brudnoczerwonych, mrocznych ulic lub dostać się między pasy szarych, przylepionych szczelnie do siebie, jednakowych w każdym calu domków ciągnących się setkami metrów po obu stronach niechlujnych, wyboistych ulic.

Przeciętne wielkie miasto amerykańskie przygnębia swoją szarzyzną.

Równie uszeregowane ulice, o ile nie urozmaicają ich zabudowania jakichś warsztatów pracy, jakichś składów, jakichś zakładów szkolnych, są tak do siebie ludzko podobne, że nawet w Nowym Jorku bez sprawdzenia numeru ulicy niepodobna odróżnić Trzydziestej Siódmej od Trzydziestej Szóstej, Pięćdziesiątej od Pięćdziesiątej Pierwszej, nie można jednym rzutem rozeznaczyć czasami domu, w którym się mieszka.

Przeciętny dom „apartamentowy” starszego nieco autoramentu jest zakrojony z reguły na jedną i tę samą modłę.

Cztero- lub trzypiętrowy czworogran cegły obrzucony wiśniową lub żółtą farbą, czworogran bez bramy wjazdowej, z wystającymi na zewnątrz, otwartymi schodami mającymi pod swym skosem wejście na parter, a idącymi wprost z ulicy na pierwsze piętro, gdzie znów z sieni idą już wewnętrzne schody do wyższych kondygnacji.

Front takiego domu, co więcej, jest zeszepecony dodatkowymi jeszcze, żelaznymi, pożarnymi schodami wiszącymi bezładnie, a ogarniającymi swą siecią wszystkie poszczególne mieszkania.

Drugi typ domów amerykańskich, aby uniknąć brzydoty schodów żelaznych na froncie, nie ma wspólnych ścian szczytowych z sąsiednimi domami, lecz jest odgradzony od nich przejściami tak zwanymi „elami” (*aisles*). W takich domach schody żelazne wychodząc już na te „ele”, będące zarazem składami wszelkiego rodzaju odpadków i nieczystości.

Nowoczesny typ kamienic wielkomiejskich usilnie zabiega o większe zharmonizowanie zewnętrznych linii, lecz przy największych, przy najgorętszych usiłowaniach wpada w koszarową jednostajność. Tak wspaniała nawet, a siłąca się na zalotność Commonwealth Avenue w Bostonie przy bardzo czujnym dozorze architektonicznym zdołała w rezultacie rozciągnąć po obu stronach przenućne kłocze schematyzmu.

Dopiero idąc od centrum miasta amerykańskiego, uciekając przed piwnicznym oddechem arterii, zastawionych drapaczami nieba, [dostrzec można, jak] znika oszczędność w wyzyskaniu każdej stopy gruntu, budowie maleją, zyskując na kształcie, poszerzają się ulice, coraz odważniej, coraz śmielej przystrajają drewnianymi domami, zanurzają wreszcie w zieleni spowite dzielnice rezydencyjne.

Ameryka, wbrew europejskim wyobrażeniom, była i jest jeszcze po dziś dzień drewniana.

Drewno przez długie lata stanowiło główne miast amerykańskich tworzywo.

Drewno było pałacem Jerzego Washingtona, drewno było siedzibą pierwszego kongresu w Filadelfii, drewno starczyło i na świątynie, i na uczelnie, i na strażnice.

I dzisiaj jeszcze, pomimo bloków kamiennych, pomimo żelaza, pomimo dającego się wygniatać niemal w rękach cementu, drewno, choć wypychane przemocą z reprezentacyjnych dzielnic, ze śródmieść, jednak broni się, nie ustępuje tak łatwo, nie daje się wyżenąć<sup>95</sup> całkowicie nawet z trzech największych metropolii. Drewno pospolite amerykańskie podziwia się jeszcze i w Nowym Jorku, i w Filadelfii, i w Chicago.

Zresztą cały szacunek dla tego niepożytego materiału, dla tego praojca architektury, rodziciela kolumn i pilastrów.

Drewno amerykańskie streszcza swoją moc nie tylko w chatkach, w prymitywnych szopach, w farmerskich obejściach, nie tylko w ubogich schroniskach, lecz idzie na służbę na publiczne gmachy, bogaczom szlifuje salony, możliwym piękne ściele gniazdko.

Drewno jest ozdobą Ameryki.

Żaden kraj chyba nie zdołał tyle pomysłowości, tyle dobra wszelakiego z drewna wykrzesać, tylu imponujących gmachów wystrugać, na taką pomysłowość konstrukcji się zdobyć.

<sup>95</sup>wyżenąć (daw.) — wygonić, wygnać. [przypis edytorski]

Spójrzcie na tego kolosa spoglądającego ze wzgórza. Gra z daleka czerwienią niby forteca. Mury zda się na schwał, mięsistą dachówką kryte, szacunek dla swej mocy wdrażające. I słusznie, boć w zamaszystym labiryncie schronisko dla sieroctwa, dla niedoli dziecięcej.

Schronisko? — Najzwyczajniejszy drewniak jedną cegłą zewnątrz obłożony, zbudowany na modłę bala bawełny, bo związany stalowymi linami i zasupłany nimi na poddaszu a, dla umocowania go na ziemi, ciężarem dachówki przyciśnięty.

Niebezpieczeństwo ognia? — Zapewne. — Czasu awantur z Murzynami w St. Louis czterysta domów poszło z dymem, jakby kto zapalką spalił. Czasu słynnego pożaru w Chicago drewniaków dwa tysiące zamieniło się w perzynę. I cóż stąd za nauka? — Kamienny Rzym niegdyś spopielał, wytyliły się mury i marmury Kartaginy, najzawziętsze zamczyska bywają wypomnieniem pogorzezi, żużli żalonym chaosem.

Czułość uchroni nawet prochnię, niedbalstwu nie pomoże żelazobeton.

Lecz drewno w Ameryce nie jest znamieniem ubóstwa.

Przeciwnie, tam, kędy nędza z niechlujstwem podają sobie ręce, tam w Ameryce, niby w Nowym Jorku na East-Side, brud i niedola w kamiennych gnieźdzą się domostwach, tam rudoczerwone bety, łachy i sienniki zdobią mroczne wąwozy cuchnących zaułków. Kogo stać na powietrze, na słońce, ten osiada w drewnianym domku umiejącym być równocześnie i szczytem wykwintu, i szczytem prostoty.

Ponadto drewno w Ameryce zawsze odgrywa rolę materiału przejściowego. Gdy brak środków na kamiennego potwora, gdy podźwignięcie muru zbyt wielkie pociąga koszty, Amerykanin zaczyna od drewna. Drewnem się dorabia, na drewnie wyrasta, woli mieć czytelną publiczną w drewnianym domku, aniżeli czekając latami na cegłę, nie mieć czytelną.

Drewno amerykańskie jest budulcem tanim, świetnie spreparowanym, drwiącym sobie z „grzybów” i „kurczenia” i udostępnionym tak mocno, że można nim operować niby pudłem klocków, z których według wzorów da się ułożyć kilkanaście miniaturowych domków — a z których żwawszy chłopczyna wykombinuje sam kilkanaście innych...

Drewno amerykańskie zakasowało od dawna wszelką tradycję najsłynniejszych mdrzewiowych siedzib, poematami opiewanych dworów i dworków.

Drugim rysem charakterystycznym miast i miasteczek amerykańskich, tym rysem, który mocniej, silniej uderza, aniżeli wszystkie razem wzięte spiętrzenia drapaczy chmur, aniżeli nawet te osobliwe piramidy, prowadzące ze sobą walkę o coraz większą liczbę pięter, jest niepojęty dla Europejczyka brak zawór<sup>96</sup>, brak ogrodzeń, brak płotów, brak krat.

Osobliwie człek przybywający z kraju, w którym byle płatek zieleńca obwiedziony jest drutem kolczastym, kędy<sup>97</sup> byle ogródeczek podkościelny ujęty jest w sztachety, kędy z parków, żelazem otoczonych, wypędza się ludzi na rozpalony bruk uliczny w momencie, gdy te parki tchną pełnią ożywczego oddechu — osobliwie taki człek w miastach amerykańskich, w amerykańskich osiedlach wyznać się z początku nie może.

Dziwny, niezrozumiały kraj.

Toć i tutaj, jak i w Europie, włóczy się co kroku też sama hołota, też same Maćki, Wojtki, Kaśki, Gastony, Luizy, Doroty i Giowanny — też same morusy przebiegłe a psotliwe.

A jednak nieogrodzone zieleńce lśnią swymi kobiercami, a przecież do każdego parku amerykańskiego można właściwie wejść z każdej piędzi otaczającej go ziemi, można weń wjechać o każdej porze dnia i nocy, można, o dziwo, rozpostrzeć się na trawie, można sobie wyprawić majówkę, można nawet naśmiecic.

A choćby sobie w takim Central Parku w Nowym Jorku! Podczas upałów można na całą noc rozłożyć się z poduchami i materacami, urządzić sobie pokój sypialny tuż w pobliżu jakiegoś bardzo artystycznego trytona, a buduar w sąsiedztwie marmurowych nimf, brązem świecących posągów.

Można...

<sup>96</sup>zawora — tu: tama, zamknięte przejście. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

W Ameryce bowiem, na przekór tradycjom ludów wywodzących się od króla Ćwieczka, panują odmienne zasady. Parki, ogrody, zieleńce publiczne są dla publiczności, są dla ludzi, są dla wszystkich, a nie dla wielkorządców, nie tylko dla policmajstrów.

Trawniki, nawet pod świątyniami, są również dla ludzi i nie wyłącznie dla radowania ich soczystością swego koloru, dzieciom wolno kulać się<sup>98</sup> nie tylko na piasku, ale i na wymuskanych „gazonach”.

Ład panuje wzorowy, najdelikatniejsze rośliny się nie skarżą, bo w Ameryce zawsze jest zadość ludzi, którzy w pewnym wieku chętnie imają się miotły i grabi, bo w Ameryce ogrodnicy są również dla publiczności, a nie publiczność dla ogrodników.

O wiele ciekawszą jeszcze jest tajemnica ogrodzeń tam, kędy już prywatna zaczyna się własność.

Setki i tysiące mil angielskich drogi poprzez różnorodne stany i wszędzie własności prywatne stoją otworem... A jeżeli zdarzy się płot, to płot ruchomy z tarcic, niby z klocków we fryz układany w szczerym polu i wznoszony jedynie na pohamowanie żarłoczności żywego inwentarza.

Jeszcze gdzieniegdzie w Nowej Anglii można znaleźć przeżytek murowanej barykady zabezpieczającej milionera przed ciekawością natrętów. Lecz są to już szczątki. Najpiękniejsze rezydencje zdobywają się co najwyżej na symbol zamknięcia, symbol graniczny. Więc oto dwie urny oznaczają bramę wjazdową, ówdzie dwa słupy wskazują drogę przed zawsze otwartym podjazdem, oddzielony od ulicy zieleńcami, niskopiennymi krzewami.

Do ogrodu poza domem równie łatwy o każdej porze dostęp. Jeżeli ostatecznie kratka, to na tenisową piłkę, na kojec dla psów, na drabinkę dla pnących latorośli.

Tym brakiem płotów, brakiem ogrodzeń Ameryka bije nawet Francję, zaćmiewa słynące urokiem wille podmiejskie.

We Francji nieskończone rzędy ciągnących się po obu stronach ulic zagród murowanych, gęstych sztachet, wysokich drucianych siatek podtrzymujących żywopłoty. We Francji najuboższy domek z pęczkiem zieleni zamyka się w samym sobie, chroni przed wzrokiem przechodnia swoje samolubne „chez soi”. Gdzieniegdzie spoza bukietu róż, poprzez wykrętasy żelaznych zawór, spoza ażurowej furtki, wygląda zręb pałacyku, luską szyfrową opancerzona wieżyczka, niekiedy głąb cienistej alei, skrawek dywanowego kwietnika.

W Ameryce piękny szeroki gościniec pruje nawet skromniutkie osady. Boki tego gościńca obramowane są pasami cementowych chodników, do których przylegają głębokie, starannie wystrzyżone zieleńce, idące ku odsuniętym wgląd domostwom, graniczącym ze sobą drożynami prowadzącymi do garażu na tyłach domów, do ogrodów, niekiedy nawet do całego poza domem farmerskiego obejścia.

Dopiero w punkcie, kędy zaczyna się handlowa część osady lub miasteczka, tam dopiero urywają się zieleńce, a domy, już zazwyczaj murowane, przysuwają się do chodników.

Za wyjątkiem bardzo nielicznych naśladowań staroangielszczyzny czy holenderszczyzny, która front domu chce mieć zawsze tuż przy ulicy, a ogródek i najmilsze pokoiki umieszcza na tyłach, ten ład panuje niemal na całej ziemi amerykańskiej.

Duże miasto amerykańskie pomimo swych wielkich wysiłków, pomimo bogatej swej zabiegalności, jest jakby z reguły niechlujne i brudne. Nawet wspaniałe parki, nawet owe dzielnice reprezentacyjne nie łagodzą nieprzyjemnego wrażenia. Pył, dym i często dławiące wprost wyziewy zatruwają powietrze najwspanialszych metropolii.

Choćby kogoś olśnić milionami dolarów, rozrzuconymi hojnie na wybrzeżu jeziora Michigan, choćby się ktoś dał porwać istotnie pięknej linii drapaczy nieba, zdumieć chicagowskim kolosem, to przecież jak mu przy zwiedzaniu miasta dmuchnie raz od przelądnego „Armoura”, jak mu zawieje tym rzeźnickim kolosem, to na trzy dni starczy mu wypomnienia... A przecież tym Armourem w Chicago oddychają krocie tysięcy ludzi, a przecież tym okrutnym fetorem olbrzymich zakładów przemysłowych oddycha nie tylko dwadzieścia tysięcy pracowników, ale i pięć kilometrów najbliższego z tymi zakładami sąsiedztwa.

<sup>98</sup>kulać się — turlać się. [przypis edytorski]



Choćby się więc jakiś technik z kretelem zachwycił takim Kansas City (Kanzas), które wydaje się jakby było miastem zbudowanym na czubkach głów cukru, ustawionych obok siebie a połączonych całą siecią mostów, to jednakże jak wpadnie na siostrzyczkę chicagowskiej rzeźalni, to w pierwszej chwili gotów by skończyć samobójczą śmiercią.

Nie mniej przykre są wyziewy z fabryk chemicznych, rafinerii nafty, z wszelakich potworów zięjących zabójczymi kwasami, fermenty idące chmurą miazmatów od Manhattan Transfer, aż do samego Newarku.

Lecz istną klęską wielkich miast amerykańskich jest żrący, dławiący, pyłem węglowym nasączony dym.

Taki Pittsburgh, Cleveland, Youngstown, Bethlehem, Cincinnati, Atlanta i dziesiątki innych pławią się niemal w kłębach dymu. Dym i pył wciska się do mieszkań, przyćmiewa światło słoneczne, bluzga brudnym deszczem, szarym od razu sypie śniegiem, dosięga człowieka nawet na piętnastym piętrze hotelu, wytwarza w płucach osady węglowe, skażuje nawet gentlemanów na mniej wytworną, a jednakże konieczną czynność dłubania palcem w nosie.

Ale choćby nawet na takim Park Avenue w Nowym Jorku, kędy komina fabrycznego ani poświęć, biada ciekawemu, który by nazbyt śmieie ważył się głowę zadzierać, ścigając linie spiętrzonych brył...

Nie wszyscy od razu chwytają, że kamieniczka dwudziesto- czy czterdziestopięciopiętrowa musi być odpowiednio ogrzewana i że samo utrzymywanie maszynierii, operujących w podziemiach, wymaga mocnego paliwa, że pył węglowy leci zawałami sponad drapaczy nieba, że biada nieuzbrojonemu w szkła spojrzeć ku niebu bodajby na Park Avenue w Nowym Jorku.

Wielkie metropolie amerykańskie zdumiewają raczej szalonymi wprost nakładami pieniędzy, trudnym do pojęcia bogactwem dochodów, raczej swą rozrzutnością, aniżeli osiąganymi za cenę tej rozrzutności rezultatami.

Dość sobie uprzytomnić, że jedno jedyne miasto Nowy Jork ma budżet roczny o półtora raza większy niż największy dotychczas budżet Rzeczypospolitej Polskiej, że jeden jedyny Nowy Jork ma cztery razy więcej długów aniżeli Rzeczpospolita Polska, że Filadelfia więcej wydaje na swoje utrzymanie niż Rzeczpospolita Polska na swoją armię, a Baltimore pochłania więcej pieniędzy aniżeli polski budżet ministerium oświaty i wyznań religijnych — aby bardzo krytycznie spoglądać na całe urbanistyczne tworzywo amerykańskie i bez zdumienia patrzeć na wielkowiejskie osobliwości, inżyniersko-techniczne sztuczki i bodaj doznawać zawodu.

Duże miasta amerykańskie są ambitne, chciwe sławy, prześcigają się w pomysłach, idą w zawody o powiększanie obszaru, przyrost ludności, o jeszcze hojniejsze nakłady.

We wszystkich poczynaniach są nadzwyczaj śmiałe, energiczne, gotowe do chwytania w lot najzawrotniejszych planów. Żadnego zamiłowania do staroświecczyny, żadnego fetyszyzmu dla tego, co wczoraj było pięknym, szanownym czy sławnym.

Choćby szło o te dwie sakramentalne arterie amerykańskich miast „Broadway” i „Main Street”, to w każdej chwili linia regulacyjna lub byle koncept inżynierski gotów jest ściągnąć wszystkie domy po jednej stronie drogi, rozbić dynamitem żelazobetony, zapłacić hojnie, ale zburzyć i banki, i pałace, i świątynie...

Miasto amerykańskie nie wdaje się w żadne korowody.

Ma, przypuśćmy, w swym łonie piękny początek warszawskiego Krakowskiego Przedmieścia, które, od Karmelitów począwszy, zazębia się dwukrotnie i wpada w krzywy wąz wóz mizernego Nowego Świata.

Jedno posiedzenie Rady Miejskiej i oto już linia jak strzelił idzie od Bernardynów i pozwala królowi Zygmuntowi poglądać wprost na Plac Trzech Krzyży...

Znikają w oczach skrzydła dawnego pałacu Radziwiłłowskiego, idzie na miazgę hotel Bristol, syją się frontony gmachów, ginie Pałac Staszica.

Barbarzyństwo nie do darowania w Warszawie, w Ameryce świetnie zrealizowane odrodzenie miasta. Pomnikowa Avenue budzi zachwyt. Karmelici mają jeszcze większą banie, Kopernik jeszcze potężniejszego Staszica za plecami, to co narastało przez dziesiątki lat bez ładu i składu, zamienia się w celowo a nowocześnie przeprowadzoną arterię wielkowiejską.

Na Piątej Avenue w Nowym Jorku pałac Vanderbiltów. Miliony dolarów pochłonął, w co najdroższe freski, stiuki, brązy i marmury się przystroił. Tu, w tym pałacu, złota gwiazda słynnego machera kolejowego doszła do zenitu. Tu zaczęła się piękniejsza historia możnego rodu amerykańskiego.

Piękny pałac, skwapliwie wypominany przez nowojorskie przewodniki. Aliści metropolia żwawiej się posunęła w stronę Pięćdziesiątej ulicy. Pałac Vanderbiltów w jednej chwili wyrósł na idealne miejsce dla jeszcze wyższego od dotychczasowych drapacza nieba. Tyle było wahania, ile kwestii o wagę złota. I był pałac Vanderbiltów, był wczoraj jeszcze i jest dzisiaj, ale gdzie indziej, bo nowy sobie, jeszcze ładniejszy zbudowali.

Jeszcze mniej dla Europejczyka zrozumiałym przykładem są dzieje słynnego hotelu Waldorf-Astoria.

Nie było mu równego. Takich salonów, tak bogatych urządzeń, tak przepastnych sal koncertowych, bankietowych, sal na zebrania, na zjazdy, takich apartamentów w żadnym bodaj na świecie hotelu by nie znalazł.

Waldorf-Astoria był wyrazem ostatniego szczytu, Waldorf-Astoria był postojem wszystkich potentatów, zatrzymujących się nad Hudsonem, Waldorf-Astoria był ciągle i przez całe swoje bytowanie miejscem najpocześniejszym. W Waldorf-Astoria zbierała się „cała” Ameryka, książęta rodów panujących, zarówno jak i prezydenci Stanów Zjednoczonych mogli się byli zatrzymywać tylko w Waldorf-Astoria.

I oto ten wszechświatowy, niezmierzony, nowojorski Waldorf-Astoria pewnego dnia, przed trzema zaledwie coś laty, wydał był wspaniały bankiet nad bankietami, zebrał śmietankę wykwintu amerykańskiego, wprowadził w ekstazę pomysłowością fety i... nazajutrz zawarł brązowe podwoje... A w półtora roku niespełna na gruzach pięknego budynku dźwignął się ku niebu słynny nowojorski „Empajer”, więc sto cztery piętra w górę, sto cztery piętra bogactwa, zbytku, techniki, sto cztery piętra wszelkich w tym kierunku „naj” amerykańskich, czyli 60 000 ton stali, 6 400 okien, miejsca na 25 000 lokatorów!...

Położmy nacisk. Wspomniany Waldorf-Astoria mógł być przetrwać jeszcze całe lat pięćdziesiąt, mógł być okryć się patyną starości, mógł być jeszcze przez dwa pokolenia w arystokratycznej chadzać oprawie, mógł być zakosztować może mniej wytwornej, ale zawsze wielkiej popularności, mógł być niby podcienia Palais Royal w Paryżu, wiać czcigodną pustką dawnych czasów — jako Amerykanin wołał przecież odejść w pełni sił, bo tak mu nakazywał duch czasu, rozmach amerykańskich metropolii.

Wszystko, co w amerykańskim wielkim mieście chce trwać, chce żyć, musi się odradzać, musi w oczach rosnać, musi się przeistaczać. Zatrzymać się, znaczy w Ameryce niknąć, znaczy zapadać się.

O ile wielkie miasta amerykańskie nastroczą bardzo wiele sposobności do krytyki, o tyle niewielkie osiedla największego sceptyka mogą przejąć zachwytem dla ładu, wzorowej czystości, niepojęcie zamożnych urządzeń.

Tu już nie ma milionerów ani setek tysięcy mieszkańców i nie ma na miliony wyciąganych budżetów, lecz co najważniejsze, nie ma również skarbu państwa, nie ma oglądania się na zwierzchność sypiącą pieniędzmi, nie ma skamłania o zapomogi, o inwestycje, o fundowanie jakichś zakładów dobra publicznego.

Dwadzieścia, piętnaście, siedem, cztery, dwa tysiące ludzi zaledwie w miasteczku.

Dwa tysiące ludzi, więc szkoła początkowa, więc szkoła wyższa, więc bocznic kolejowa, więc światło elektryczne, kanalizacja, wodociągi, telefony, czytelnia, straż ogniowa, izba handlowa, kluby, własne czasopismo, banki, starannie utrzymane jezdnie, bardzo porządne chodniki (nikomu nie wolno postawić domu bez wybudowania chodnika), miejsce spacerowe, kilka świątyń, szpital, teatrzyk... I to wszystko dźwignięte, zorganizowane i prowadzone staraniem tych dwu tysięcy ludzi!

Oni sami się zawzięli, oni sami się opodatkowali, oni sami między sobą zarządzili odpowiednie składki, aby się innym nie dać, aby się nie pozwolić uprzedzić, aby życie uczynić nie tylko znośnym, ale przyjemniejszym, lepszym, czystszy, zdrowszym.

Nic temu małemu miasteczku do starosty czy szefa jakiegoś departamentu, nic im do naczelnika powiatu. Sami sobie wybierają „mayora” z ławnikami, sami tworzą swego sędziego, swego dozorcę robót publicznych, swego własnego policjanta. Sami radzą, sami się rządzą i patrzą swojej własnej polityki.

Każdy idzie o lepsze, aby rodzonemu miastu dobra przysporzyć, aby historii tego miasta pocziwie imię przekazać, w złotej księdze ofiarności się zapisać.

Gdyby przyjąć za skalę porównawczą najstaranniej zagospodarowane miasta flamandzkie czy bawarskie, choćby szwajcarską wypolerowaną drobiazgowością, to jeszcze amerykańskiemu osiedlu trzeba by przyznać pierwszeństwo.

Być może to pierwszeństwo dałoby się umniejszyć wyjątkowymi warunkami — istotnie swobodnym, nieskrępowanym żadnym biurokratyzmem rozwojem, brakiem klasowości, całkowitym brakiem chłopstwa i drobnomieszczaństwa, a raczej tym faktem, że w Ameryce każdy chłop jest rzemieślnikiem-mieszczaninem i każdy mieszczuch gotów jest zaciągnąć się na chłopą. Pomimo i tych jednak zastrzeżeń małe miasta amerykańskie biją na głowę wszystko to, co Europa najlepszego wyprodukować zdołała, biją na głowę dziesiątkami lat całe stulecia pracy.

Nie tylko sam rodowód wielkich miast amerykańskich, ale i siła ich rozkwitu jest godna zastanowienia.

Cóż bo w Europie rozstrzyga o rozroście danego miasta? Co stanowi o zamożności, o piękności nowoczesnego „city”?

Więc najpierw hierarchia, władza.

Im większa hierarchia rezyduje, tym gród dumniejszy, tym bardziej imponujący, tym wspanialsze gmachy, tym hałaśliwsze wszędy<sup>99</sup> dygnitarstwo.

Poza hierarchią o rozwoju miasta decyduje nagromadzenie instytucji, scentralizowanie ich, sztuczne niejako zniewolenie mieszkańców dalszych obszarów do ściągania, zbierania się w jednym punkcie.

Stąd w Europie najpiękniejsze są miasta stołeczne, one bowiem są niejako kwintesencją całego kraju, one przodują, one reprezentują, kosztem miast prowincjonalnych stroją się na pokaz...

W Stanach Zjednoczonych przepotężna stolica czterdziestu ośmiu republik dosięga zaledwie pół miliona mieszkańców, z których czterdzieści pięć procent z górą stanowi ubogi, nieciekawy plebs murzyński... Stolica „Ameryki” jest ładna, znakomicie rozplanowana, wystrojona w federalne instytucje — ale gdzie tam równać się Waszyngtonowi z żywotnością, z pędem takiego Milwaukee, Detroitu, San Francisco w Kalifornii, nie mówiąc już o tak szerokiego życia ogniskach, jak Los Angeles!...

Wielka polityka sfederowanych rzeczpospolitych odprawia się więc raczej w zaciszu flegmatycznej pracy urzędniczej, wśród parków i ogrodów, hardych pomników i mizernych domków, na wspaniałej perspektywie Penn Avenue, domów wąskich, dwupiętrowych, ochlapanych niedbale rozczynem wapna i pokratkowanych od frontu żelaznymi schodami. Nie ma w Waszyngtonie ani szkół wojskowych, ani jakichś nadzwyczajnych instytucji naukowych, ani owej pychy, która zwykła rozsiadać się w stolicach państwa.

Na wielką politykę Stanów Zjednoczonych nie wpływa przeto tłum wielkomiejski, nie miesza się do niej młodzież, nie reagują zastępy robotnicze. Waszyngton trwa na uboczu, jakby na neutralnym gruncie, ma ambicje Mekki, delfijskiej rad zażywać powagi, na co dzień jest tylko sympatycznym, o polorach wszechświatowych, miasteczkiem idącym pod względem liczby mieszkańców bardzo skromnie tuż za nowojorskim Buffalo.

Ale i te mniejsze, bo dotyczące jedynie poszczególnych republik, polityki odprawiają się w nie mniej niezwykłych warunkach.

Za wyjątkiem jednego jedynego stanu Massachusetts, który stolicę swoją prastarą zachował w potężnym Bostonie i za wyjątkiem Colorado i Virginii, które swe serca umieściły w dość ludnym Richmondzie i rozłożystym Denverze, wszystkie inne stany wyemigrowały ze swymi parlamentami do osiedli względnie maleńkich, do miast stojących poniżej ich własnych stanowych metropolii.

Siłą rzeczy władze stanowe łożą na zdobienie tych siedzib, nie żałują grosza publicznego. Te nakłady przecież nie są w stanie zaćmić miast idących, że tak powiemy, o własnych siłach. Nawet taka stolica jak Harrisburg dla Pensylwanii ze swoimi osiemdziesięcioma tysiącami mieszkańców jest drobiazgiem wobec Pittsburgha i Filadelfii. Nawet stolica Ohio, nawet Columbus z trzystu prawie tysiącami mieszkańców jest tylko trzecią częścią swego powiatowego miasteczka, trzecią częścią Clevelandu. A cóż dopiero mówić

<sup>99</sup>wszędę (daw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

o stolicach małych w rodzaju Jackson dla Missisipi, Augusta w Maine lub o stolicy potężnego Oregonu, o Salem liczącym dwadzieścia sześć tysięcy mieszkańców.

Miasta amerykańskie idą własnym pędem, ich bogactwem, ich drogą do rozwoju jest przemysł, wytwórczość, a dalej handel, a dalej punkt węzłowy, spław łatwy, bliskość materiałów podstawowych, wreszcie port zaciszny.

Stalownia osiada albo tuż na rudzie żelaznej albo na węglu, szuka rzeki, opiera się o własne linie kolejowe, a nie trwoni kapitału na wciskanie się między kadłuby domów mieszkalnych. Gdy te domy za blisko do niej podchodzą, przerzuca się na inne miejsce, miliony zarabia na opróżnionych terenach.

Fabryka mebli szuka lasów, szuka bodaj ich поблизу, aby nie trwonić pieniędzy raz na przywóz surowca, a drugi raz na transport tych mebli.

Garbarnie patrzą rzeźni, tkalnie uprawy bawełny, fabryki krawieckie ciżby ludzkiej, kinematograficzne zakłady słońca, naturalnych dziwów natury.

Miasta się specjalizują, starają ogarnąć pewien dział pracy i ławą idą w obranym kierunku. Żywym przykładem może być Detroit, które zdołało chwycić wszechświatową produkcję samochodów, uczynić ją niejako swoją własną i swego stanu Michigan specjalnością. Pięćdziesiąt cztery fabryki, skupione tuż przy sobie, lasy całę najwspanialszych składów i wystaw automobilowych. Zdawałoby się, że ta szalona konkurencja powinna by pogrążyć współzawodników, tymczasem oddaje im w zysku siedemdziesiąt pięć procent całej wszechświatowej produkcji.

Miasta amerykańskie idą naprzód z zawrotną szybkością. Sprzyja temu w znacznej mierze zwiększająca się stale wędrówka ludności farmerskiej w stronę liczniejszych osiedli. A bardziej jeszcze może, nieznana w innych krajach, ofiarność obywatelska.

Są miasta w Ameryce, które niemal wszystko mają do zawdzięczenia szczodroliwości swoich własnych obywateli. Oni dobrowolnie i nieprzymuszenie dźwignęli biblioteki, zbudowali muzea i galerie, szpitale i przytulki, parki, uniwersytety, konserwatoria muzyczne, świątynie, pałace klubowe, stadiony, lecz oni nade wszystko z bogacili i z bogacają swych współobywateli rozkwitem założonych przez się instytucji.

Jeżeliby takiemu Pittsburghowi odebrać dzisiaj to wszystko, co Pittsburgh wziął od jednego tylko Carnegiego, jeżeliby takiemu miastu jak Bridgeport zabrać dowody rzetelnego przywiązania okazywanego Bridgeportowi przez... Barnuma, jeżeliby bodaj takiemu miastu jak Rochester wyrwać dzisiaj jednego jedyne go, a żyjącego podotąd, Eastmana, to jakżeby skarłały, jakżeby się zubożyły te piękne miasta.

Eastman? — Po polsku... „Kodak”, więc zakłady przemysłowe szalonego rozmachu, żyjące krocie tysięcy ludzi w samych Stanach Zjednoczonych, nie licząc Europy.

Eastman? — Więc dla Rochester nie tylko chlebobdawca, nie tylko król aparatu fotograficznego, nie tylko arcy-milioner, ale wielki dobrodziej, wielki filantrop, niewyczerpany w swej hojności mecenas.

Rochester słynie jako miasto pięknych ogrodów, jako miasto kwiatów.

Owóż te kwiaty, owóż te ogrody, te możne uczelnie, te schroniska niedoli ludzkiej, te szerokie aleje, te pośmigłe wieżycy, ten niezwykły tak w Ameryce kult dla muzyki, temu wszystkiemu na imię jest Eastman.

Bardziej jeszcze od tych milionerskich hojności godną jest uwagi drobna ofiarność, zapal nie tylko do składkowania, nie tylko poczucie do obywatelskiej solidarności, ale i owe ciągłe i stałe zapisy i ofiary drobnych kapitalistów, którzy niewielkie sumy rzucają chętnie w otchłań bezimiennych milionów.

Bogaczowi można łatwo imputować ambicję kupienia sobie nieśmiertelności, ofiarność wyprowadzić z pychy, przed legionami amerykańskich małych dobroczyńców należy z uszanowaniem uchylić czoła.

Miasta w Ameryce wyrastają i rosną jako grzyby po deszczu, często rozrzucone, o setki mil oddalone od siebie, a niekiedy rozpryskane tak gęsto na mapie, jakby kto butlą atramentu w jednym miejscu bluznął.

Kędy okiem rzucić miasto tuż obok miasta, na jednej linii tuż kolos przy kolosie, osiedle przy osiedlu, nieraz ledwie o godzinę drogi koleją, a czasami o godzinę drogi na piechotę.

Często dwa miasta tuż obok siebie. Po jednej stronie Missouri — Kansas City w stanie Kansas, a naprzeciwko, po drugiej stronie mostu, Kansas City w stanie Missouri. Po

jednej stronie zatoki Duluth, a po drugiej Superior — a niekiedy i bez logiki wodnego przedziału tuż pod St. Paul, tuż przy stolicy stanu Minnesota rośnie zamaszyste i bogate miasto Minneapolis. Niekiedy znów takie stłoczenie, że nie wiadomo, gdzie się kończy stan Indiana, gdzie zaczyna Illinois, a gdzie Illinois zamienia się na dzierzawy Wisconsinu.

Przy tym wszystkim nie lada zamęt z nomenklaturą.

Ameryka, ta prawdziwa, odziedziczyła znaczną liczbę nazw po czerwonoskórych autochtonach. Te nazwy przecież obejmowały raczej rzeki, góry, doliny, a w bardzo małym stopniu wpłynęły na nazwiska osiedli białych twarzy. Te blade twarze miały ambicję albo przenoszenia na grunt amerykański nazw starokrajskich, albo unieśmiertelniania w tych nazwach swoich własnych rodaków czy samych siebie.

Lecz nawet przy tak uproszczonym systemie w Stanach Zjednoczonych powstał nie lada zamęt. Zabrakło jakby fantazji na tak olbrzymi kontynent. Wyczerpano bezkrytycznie nazwiska wszystkich wielkobrytyjskich miejscowości, przepisano bez mała całą europejską mapę i w ostatku nie zdołano nawet pohamować powtarzania jednych i tych samych ciągle nazwisk. Nafabrykowano tyle naraz Springfieldów, Frankfurtów, Greenvilleów, Greenfieldów i różnorakich Warsaw, Kościuszków, Bismarck, Rom, Neapol, Paris, Richmond, Westfield, że w ostatku bez wymienienia stanu, w którym dane miasto się znajduje, niepodobna jest określić położenia miejscowości.

Praktyczność amerykańska wpadła tutaj na pomysł skrótów nazw poszczególnych stanów i stąd dla cudzoziemca powstaje niezrozumiały z początku galimatias monosylab, bez których niepodobna jest wymienić mniejszego nieco miasta. Na przykład taki Pittsburgh może być albo Pa. a może być Kan., czyli w Pensylwanii albo w Kansas — Columbus jest znów Ga., lecz może być również O., Neb, a nawet In. lub znów Kan., to znaczy, że Columbus jest w stanie Georgia, w stanie Ohio, w Nebraska, w Indiana i jeszcze w Kansas.

Nieco oryginalności w nazwach Ameryka ma do zawdzięczenia Hiszpanom, a po części Francuzom, oryginalności bardzo niekiedy niezwyklej, ile że impet anglosaski nazwę Des Moines wymawia sobie bez ceremonii jako „desmojnes”. Ale w ostateczności łatwiejsze to jest do zapamiętania, aniżeli wymawianie nazw, których, szczerze mówiąc, ani jedna biała twarz w Ameryce porządnie wymówić nie potrafi, a które są spadkiem po Irokezach, Apaszach, Siuksach, Komańczach i tym podobnych.

Olbrzymie skupiska i większe od nich pustkowia.

Dość się wyrwać z dygoczących południowym życiem ulic San Antonio, dość dwudziestu kilometrów na wschód czy na zachód, aby już wpaść między płaszczyzny, mizernym porastające krzewem, wystrzelające gdzieniegdzie suchymi ramionami kaktusów, aby już wydostać się między nietkniętą ręką ludzką obszary. Parę kilometrów mostów na Missisipi i wiaduktów drewnianych ponad jej bagniskiem, aby dotrzeć do drogi wiodącej od strony Memphisu ku Little Rock, aby mieć przed sobą dwieście kilometrów bogatej, żyznej, a ledwie gdzieniegdzie uprawianej ziemi. Tak jest w Teksasie, tak w Arkansas, jeszcze smutniej w Oklahoma, w Kansas, jeszcze puściej tam, kędy spiętrzyły się góry, kędy stwardniała czy bagnami rozmiękczonej ziemia naturalne stawia człowiekowi przeszkody. Aleć gdzie i tych przeszkód nie ma, gdzie nawet najstarsza tradycja amerykańskiego podziwiania, tam również pustkowia, tam również niekiedy jak okiem sięgnąć ani śladu życia ludzkiego.

Pusto, głucho jest za Richmondem w Virginii. Kiedy nawet jej czerwona glina przechodzi w słynny, śnieżny piasek Karoliny, to i tu dalej ziemi próżnującej bezlika. I więcej jeszcze takiej samej ziemi choć bogatej, choć soczystej w stanie Georgia. I jeszcze więcej w brodatym od lasów podniebnych Mainie, i jeszcze więcej, i coraz więcej w Alabamie, w Arizonie, w Dakotach, w bogatym Oregonie.

Tam, nad brzegami Sudersee, zdesperowany człowiek bierze się za bary z całym morzem, grodzi tamy, zabiega o każde ziarno piasku, nie daruje byle mieliznie, z dna morskiego rad by sobie przysporzyć gruntu pod nogami.

Tam, w Ameryce, nie tylko miejsca, ale i chleba, i bogactwa zadość jeszcze na całą choćby Europę, ale tam, w Ameryce Ameryka jest podobno tylko dla Amerykanów...

## IM CIĘŻSZA PRACA, TYM LICHsza PŁACA

Gdy w Ameryce dwu ludzi spotyka się po dłuższym niewidzeniu, jednym z najpierwszych jest zapytanie:

— Czy masz dobry „dziab”? Jak tam twój „business”?

To zapytanie idzie z pokolenia na pokolenie jako najglówniejszą, najbliższą symbolizujące troskę, troskę o byt, troskę o kawałek chleba.

Praca jest życia amerykańskiego treścią, sensem tej pracy jest zysk, rezultatem dolar.

W Ameryce nie ma pracy nikczemnej, podłej, nie ma takiej pracy, która by człowiekowi przynosiła ujmę, która by, jak w Europie, mogła zagradzać drogę do przyszłej kariery lub stanowić na tej karierze jakowąś plamę. Przeciwnie. Co największy dygnitarz im cięższą może się wylegitymować samopomocą, dziwniejszymi kolejami życia, bardziej zawrotnym odskokiem, tym większego zażywa miru, większej popularności.

Mały łobuziak, pędzący na bosaka z pakami gazet, wyrasta w Ameryce na gubernatora najbogatszego stanu, na kandydata partii demokratycznej do godności prezydenta republiki, przedzierzga się w szanowanego powszechnie, znakomitego pana Al. Smitha.

Inny andrusek, przyjęty niegdyś na usilne prośby wpływowej swej wujenki, szorującej co popołudnia kamienne płyty westybulu bankowego, na chłopca do posyłek, przeistacza się powoli w dostojnego prezesa banku, filara największej na świecie giełdy, genialnego żonglera górami złota.

Praca w Ameryce.

Miotła czy pilnik, nóż rzeźniczy czy maszyna do pisania, młot czy pióro, każde narzędzie dobre, każdy początek dobry, wszędy<sup>100</sup> droga, stojąca otworem, byle głowa na karku.

W Ameryce nie ma systemu szufladek europejskich, w które ładuje się ludzi na całe niemal życie, bacząc pilnie, aby przypadkiem z jednej do drugiej nie dostali się przegródki...

W Europie, jeżeli ktoś życie swe rozpoczyna z małą w rękę szcztoką, to po latach może co najwyżej dojść do większej szcztoki.

W Europie trzeba pilnować swego zawodu, swego fachu, a nade wszystko trzymać się swego środowiska. W razach wyjątkowych zaś dowodzić swoich zdolności, swoich praw do wyższej szufladki za pomocą świstków papieru.

W Ameryce rozstrzyga zapal do pracy, zamięłowanie, decyduje nie rezultat egzaminu, nie patent, nie to, czego się człowiek był uczył<sup>101</sup>, lecz co człowiek umie, co w praktykę życia zakłąć zdoła.

Cztery doktoraty posiada pan profesor, na sto zapytań gotów odpowiedzieć, a najprostszej kwestii nie umie drugiemu wytłumaczyć. Siedmioklawiaturowy fortepian w głowie, lecz bez zdolności wystukania jednym palcem „włazł kotek na płotek”. Mózg wysuszony, jeden z wielu europejskich trupków.

W Ameryce na każdym szczeblu można znaleźć „chance”, można napotkać upragnioną sposobność do wydobywania się, do wypłynięcia na wierzch, do osiągnięcia zamierzonego celu.

Nigdzie zawór<sup>102</sup>, nigdzie przeszkód, ułatwień zawsze bez liku, byle chcieć, byle zęby zacisnąć i godziny swej doczekać.

O pracę w Stanach Zjednoczonych nigdy nie było łatwo, a zawsze trudno było w niej wytrwać, zastosować się do wymagań, starczyć energią, starczyć poczuciem obowiązku.

Wynagrodzenie nierównomierne, ale stosunek ze zwierzchnością więcej niż dobry, zażyły prawie.

Dygnitarz biurowy czy fabryczny chętnie stroi się w pozory swego własnego pionka, żadnych fanaberii, uścisk dłoni bodaj dla posługacza, uśmiech w odpowiedzi na poufale

<sup>100</sup>wszędę (daw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>się (...) był uczył (daw.) — forma czasu zaprzeszłego; znaczenie: uczył się wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>102</sup>zawora — tu: tama, zamknięte przejście. [przypis edytorski]

okrzyki „hallo boss<sup>103</sup>” i żadnej urazy, gdy naczelnego inżyniera zamorusany „foreman<sup>104</sup>” poklepie po ramieniu.

Nie ma wyzwisk, pomstowania, lokajskich dygów, nie ma służalstwa, zimny rachunek rozstrzyga ciągle.

Czas na pracę przeznaczony należy tylko do pracy, do pracy wydanej, do pracy obliczonej, nieznoszącej najniewinniejszej dystrakcji<sup>105</sup>.

Nieubłagany poganiaczem i dozorcą każdego pracownika amerykańskiego jest niepewność jutra.

Nie ma żadnych praw ochronnych, gwarantujących, na przykład, choćby wytwornym urzędnikom bankowym, dostojnym pracownikom wielkich instytucji asekuracyjnych czy olbrzymich domów handlowych jakieś terminy zwolnienia, jakieś odszkodowania, jakieś ekwiwalenty.

Z tygodnia na tydzień każdy pracownik może być odprawiony bez żadnego wyjaśnienia, bez podania nawet powodu.

Prawo obyczajowe amerykańskie odznacza się w tym kierunku niesłychaną prostotą.

W sobotę najczęściej otrzymuje pracownik tygodniowe lub dwutygodniowe należne mu wynagrodzenie.

W poniedziałek rano, przyszedłszy do pracy, znajduje na swoim stoliku czy w swojej przegródce zaadresowaną kopertę, a w niej na karteczce wypisane lakoniczne wyrazy: „Od dziś pracy dla pana nie mamy”...

Tymi wyrazami kończą się w Ameryce relacje chlebodawcy z pracownikiem, nawet z pracownikiem, który ćwierć i więcej życia swego spędził przy tym samym warsztacie.

Zdarzają się przypadki jakiejś wspaniałomyślności względem odprawionego, jakiegoś daru, gratyfikacji, lecz są to wszystko wyjątki, akty dobrego serca.

Dla lepszego zilustrowania stosunku chlebodawcy do pracownika przyjrzyjmy się warunkom obowiązującym nie biedne, bezsilne, bezbronne mrowie foreignerskich<sup>106</sup> wyrobników, lecz spójrzmy ku wyżynom, kędy<sup>107</sup> zatrudniona jest elita społeczeństwa amerykańskiego.

Przed nami zakłady przemysłowe wszechświatowej firmy ogarniającej, przypuśćmy, wszystko to, co dotyczy siły i światła elektrycznego. Zajrzyjmy do tajemniczego działu tych zakładów zwanego „Research Bureau”, czyli działu poszukiwań, działu eksperymentów i działu wynalazków.

Czterystu inżynierów, elektrotechników i elektrochemików pracuje bez wytchnienia, mając pod ręką do dyspozycji olbrzymią fabrykę doświadczalną z elektromechanikami...

Wre tutaj praca twórcza, naukowa, idą naprzód dociekania, niemające dla laików żadnego praktycznego rezultatu. A przecież tutaj właśnie tkwi mózg instytucji targającej całą wszechświatową produkcją.

Łatwo sobie wyobrazić, że tu właśnie mieszczą się olbrzymie laboratoria, że tu dla nowej hipotezy buduje się nowe, jeszcze inaczej skonstruowane warsztaty, że równorzędnie pracują archiwa, biblioteki, że praktyka z teorią idą ciągle na wyścigi, że szef poszczególnego departamentu za pociśnięciem guzika elektrycznego może dowiedzieć się o wszystkim, co w tej chwili dzieje się w tajnym laboratorium u antypodów, że oczywiście równorzędnie z własną pomysłowością, z napięciem własnej wiedzy działa bez wytchnienia szpiegostwo naukowe, szpiegostwo przemysłowe, szpiegostwo handlowe.

Do „Research Bureau”, jak łatwo zrozumieć, ma dostęp jedynie elita. Między tę elitę łatwiej się jest dostać wprost z politechniki, wprost z wszechnicy, aniżeli po latach pracy w innych instytucjach. Zakłady przemysłowe czuwają same nawet nad rwącą się do nauki młodzieżą. Taki „General Electric” lub „Westinghouse” chwytają w lot nazwisko wyjątkowo zdolnego studenta docierającego do mety w Bostonie, w Pittsburghu czy Cornell i otwierają przed nim wrota do bajecznej kariery.

Nie po europejsku jednak ta kariera się układa.

<sup>103</sup>hallo boss (ang.) — cześć, szefie. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>foreman (ang.) — majster, brygadzysta. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>dystrakcja (daw.) — rozproszenie (uwagi, skupienia). [przypis edytorski]

<sup>106</sup>foreignerski (z ang. foreigner: cudzoziemiec) — cudzoziemski. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Młody inżynier dostaje zazwyczaj pół pensji fabrycznego robotnika, ale w zamian cięższe, mizerniejsze do spełnienia obowiązki. Musi wykonywać początkowo zupełnie podłe czynności. Myć butle w laboratoriach, szorować marmurowe stoły, znosić starszym kolegom paki książek z biblioteki, utrzymywać w porządku podłogi, słowem, ten orzeł przyszły musi odbyć pewnego rodzaju termin, zdać egzamin z karności, z poszanowania pracy, z mocnego postanowienia wytrwania w obranym zawodzie.

Za najmniejsze uchybienie, byle objaw niezadowolenia lub dąsu młody inżynier wylatuje jak z procy na bruk.

Skoro uznany został wreszcie za godnego przyjęcia do elity, musi podpisać szereg zobowiązań.

Pierwsze z nich to bezwzględne poddanie się fabrycznemu ładowi.

A więc wybijać na równi z każdym robotnikiem na zegarowym aparacie godziny przyjsia i wyjścia z fabryki. Prezentować się przy wychodzeniu z zakładów do rewizji osobistej, a nade wszystko przedstawiać do rewizji wynoszone pakunki. Wyrzec się z góry wszelkich pretensji do własności jakichkolwiek wynalazków czy prac wykonanych w zakresie elektrotechniki czy elektrochemii w czasie pozostawania na służbie zakładów. Zobowiązać się do zachowania w jak najściślejszej tajemnicy wszelkich prowadzonych robót i doświadczeń, nawet wobec własnych, sąsiadujących w innych oddziałach kolegów — zobowiązać się do nieogłaszania drukiem żadnych prac naukowych, do wyrzeczenia się wszelkich prelekcji i odczytów z zakresu swojej specjalności i w ogóle zobowiązać się do niewystępowania publicznie nigdy w żadnym przypadku bez specjalnego każdorazowego zezwolenia potężnego prezydium instytucji i na koniec zobowiązać się do utrzymania w sekrecie sumy pobieranego wynagrodzenia nawet przed najbliższym swym otoczeniem.

Ale i teraz jeszcze okres prób się nie kończy, a raczej pogłębia.

Młodemu inżynierowi dają „chance”, dają sposobność wykazania się, a więc jakowyś problemat do rozwiązania, wynalazek, ulepszenie do wykonania, dają mu pełną swobodę ruchu, wolno mu bodaj tydzień cały siedzieć z nogami założonymi na biurku. Po kilku takich próbach, o ile inwencja młodego inżyniera zawiodła, wykazując jednak niepoślednie zalety mrówcze, wówczas taki inżynier nie jest odprawiany. Idzie jeno między szeregi pionków, sił pomocniczych, a jego dobytec się ponad równię pozostawia się przypadkowi. Wynagrodzenie jego stopniowo się polepsza, lecz do chwili owego wybicia się nigdy nie przekroczy pensji dobrego fabrycznego majstra.

Jeżeli młody inżynier zdołał istotnie rozwiązać postawione mu zagadnienie, wówczas w nagrodę otrzymuje w zapieczętowanej kopercie jednego dolara. Ten dolar symbolizuje szewron<sup>108</sup> zasługi, ten dolar jest znakiem dokonanej pracy naukowej i ten dolar w dalszym ciągu prowadzi go od etapu do etapu.

W tego rodzaju zakładach przemysłowych wypłata odbywa się w ten sposób, że w oznaczonym dniu, na dźwięk specjalnych dzwonków elektrycznych pracownicy muszą ruszać do kasy, tam podpisują martwy szemat<sup>109</sup> pokwitowania bez oznaczenia sumy i w zamian otrzymują zapieczętowaną kopertę z pieniędzmi.

W takiej kopercie tych właśnie inżynierów zdobywających symboliczne dolary czekają częstokroć wielkie niespodzianki. Zamiast pięćdziesięciu dolarów znajdują sto pięćdziesiąt, dwieście, pięćset a bodaj i tysiąc. I nie z racji Nowego Roku lub podwyżkowego terminu. Wynagrodzenie skacze do góry z miesiąca na miesiąc, temperaturę wartości pracy reguluje jej rezultat. Skąpstwa nie ma, raczej dobrze pojęta hojność.

Zastanowiwszy się głębiej nad tymi warunkami, trzeba przyznać, że są one jednak bardzo niemiłe, dokuczliwe, drażniące godność osobistą, boć w dodatku zakłady przemysłowe amerykańskie tego pokroju są strzeżone przez detektywów, przez własną fabryczną policję, przez jakąś prywatną siłę zbrojną, która w każdym wolnym kraju byłaby poczytana za przemoc, za przywłaszczanie sobie władzy.

Fabrycznej policji trzeba się strzec, trzeba się z nią bardzo liczyć, jedno jej słowo gotowe jest zredagować lakoniczną notatkę i pozbawić pracy. Oko ma czujne, natrętne, sięgające do spraw często bardzo osobistych, z upodobań czy rozrywek czerpie materiał do personaliów, całe akta z nich układa.

<sup>108</sup>szewron — naszywka w kształcie litery „V” umieszczana na rękawie lub naramienniku munduru dla oznaczenia stopnia w hierarchii sił zbrojnych i in. służb mundurowych. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>szemat (daw.) — formularz; schemat. [przypis edytorski]



Zresztą elitę pracowników obowiązują prawie zawsze i wszędzie obostrzenia dotyczące tłumu roboczego. Nie wolno się spóźniać, nie wolno bez poważnej bardzo przyczyny opuszczać pracy. Urlop dwutygodniowy raz do roku, w ciągu dnia kilkanaście minut na spożycie dorywczej przekąski, zresztą ani pary z ust, a już w zetknięciu z klientem rygor nieubłagany.

W czasie godzin przepisowych ciągle, nieustanne natężenie i gorsze bodaj od niego *memento* o wiszącej w powietrzu konotatce odprawnej...

Bez trzymiesięcznego z góry wymówienia, bez trzymiesięcznej pensji, bez sześciomiesięcznej zapomogi, bez funduszu bezrobocia, tylko zawsze i ciągle zawzięte, nieubłagane współzawodnictwo.

Do dziwów amerykańskich, w pojęciu Europejczyka, należą owe sute wynagrodzenia, owe płace szczodroblive, owe bajeczne dobrodziejstwa i reklamarskie deklamacje różnego rodzaju Fordów i Fordzików.

Człowiekowi spokojnemu w głowie się nie mieści, biorąc nawet pod uwagę wartość zakupną dolara, aby przeciętny wyrobnik pracujący w fabryce bodaj samochodów mógł zarabiać pięć i sześć dolarów dziennie, czyli sto dwadzieścia pięć i sto pięćdziesiąt franków francuskich, przy ośmiogodzinnym dniu pracy, a nawet dokładnie przy czterdziestu czterech godzinach pracy tygodniowo!

Dzieje się to, według europejskiego urojenia, dzięki właśnie filantropijnym konceptom możliwym fabrykantów, dzięki czulej trosce o bytowanie maluczkich, dzięki tej trosce, która już tak daleko sięga, że tenże sam klasyczny Ford dobrowolnie i nieprzymuszenie podwyższył płacę o dolara dziennie, aby robotnikowi jeszcze i całą sobotę podarować i dać mu zamiast sześciu tylko pięć dni trudu powszedniego!

Z bliska wyglądają te kombinacje zupełnie inaczej.

Ford i jemu podobni są u szczytu taylorizmu, to znaczy u szczytu zmechanizowania pracy, uproszczenia pracy, natężenia pracy, zaoszczędzenia każdego zbytecznego drgnięcia ludzkiego muskułu.

Praca w tego rodzaju zakładach przemysłowych opiera się na systemie łańcuchowym, na posuwaniu się, dajmy na to, budowanej maszyny od odlewu, od ramy żelaznej, od kadłuba wychodzącego z formy, a zamieniającego się w miarę przebywanej drogi w piękny, stylowy samochód.

Po obu stronach tego łańcucha twórczego stoją szeregi robotników, wykonujących jedno po drugim czynności z zawrotną szybkością. Ten w zbliżającym się doń kadłubie wierci zawsze ten sam otwór, ów przykręca ciągle jednakową śrubę, trzeci sztukuje przez całe lata jedną i tę samą część, czwarty zakłada ciągle te same pakuły.

Kadłub posuwa się. Chwili nie ma do stracenia. Na sekundy obliczony jest każdy ruch. Jedno opóźnienie powoduje dwieście innych opóźnień, jedna niezręczność burzy tempo, więc kryminał, bo przecież za pierwszym kadłubem idzie drugi, dziesiąty, setny, tysięczny. Łańcuch kończy się tam, kędy wypadają na próbny teren gotowe samochody.

Człowiek pracuje przy szalonym natężeniu nerwów. Jeżeli po narzędzie co pół minuty musi się schylić, to musi się schylać zawsze jednakowo, ani krócej, ani dłużej, ani nie sięgając za daleko, ani nie chwytając zbyt gwałtownie. Na moment przymusowego oddalenia trzeba dawać sygnał, trzeba czekać na zastępcę. Zbyt częste takie oddalanie kończy się odprawą do infirmerii, uwolnieniem oczywiście... chorego osobnika...

Taylorizm, więc ruch za ruchem jak cykanie zegara, jak chód dobrze naoliwionego tłoka, taylorizm więc bezmyślność, więc automatyzm, odrętwienie mózgu, praca w pocie ducha, wyciskanie z człowieka każdej kropli energii.

Za taką pracę w Stanach Zjednoczonych Fordowskie pokolenie płaci każdemu mizerakowi pięć i sześć dolarów dziennie.

I jak tenże sam Henryk Ford w swych enuncjacjach światu obwieścił, do takiej pracy jest mu potrzebny tylko pospolity wyrobnik. Im człek głupszy, im mniej rozumiejący się na mechanice, tym odpowiedniejszy!

Umysłem jest maszyna. Człek tymczasowym narzędziem jeno do wykonywania czynności jeszcze przez maszynę zaniedbanych.

Czułość atoli<sup>110</sup> amerykańska spostrzegła, że przy tym udoskonalonym systemie w drugiej połowie tygodnia praca słabnie, ludzie przy łańcuchach drętwieją, wydajność pierwszych trzech dni przewyższa trzy ostatnie.

Jakże począć? Do taylorizmu należy przykroić stary, ale dobry system, pouczający, że kto chce w szkapę dobrze orać, ten musi baczyć, aby zadość miały i obroku, i spoczynienia.

Dokonane przerachowanie na dolary wykazało plusy.

Więcej się opłaca wyrobnik za sześć dolarów dziennie przez pięć dni w tygodniu, aniżeli ten sam wyrobnik sześć razy na tydzień po pięć dolarów.

Tu za trzydziestkę ma się wypoczętego, wyspanego, wynygusowanego draba, a tutaj czleka, który po przepracowanej sobocie ledwie czknął i znów zapyziały gwizdkowi fabrycznemu musiał stanąć na baczność.

W zakładach Fordowskiego pokroju panuje zawsze ten sam system bezwzględności, o jakim wyżej była mowa.

Jedno biuro przyjmuje pracowników, drugie ich automatycznie odprawia bez żadnych wyjaśnień czy moralów. Na takie drobiazgi nie ma czasu.

W ciągu roku z reguły większość podobnych zakładów zapada w całkowity bezruch. Kominy nagle gasną. Nazywa się to potrzebą sporządzenia inwentarza lub koniecznością przeprowadzenia reform. Z tych dwu ten drugi argument jest zawsze prawdziwy.

Zakłady przemysłowe amerykańskie nie stoją w miejscu.

Ciągle dążą do ulepszeń, a z tych ulepszeń najważniejszym jest oszczędność na materiale i oszczędność na robociźnie, a więc znów zwiększenie mechanizacji pracy.

Istnieje jeszcze i trzecia przyczyna nagłego unieruchomienia zakładów przemysłowych. Jest nią po prostu rachunkowo wyłożona kwestia dwutygodniowych płatnych urlopów, niby to należnych pracownikom, przebywającym w danych zakładach co najmniej jeden rok. Owóż, zawieszając pracę, a więc odprawiając równocześnie wszystkich robotników fabrycznych, fabryka niemal kosztem tych urlopów, których by musiała udzielić, przeprowadza sobie gruntowny remont, a dalej rozpoczyna przyjmowanie robotników od nowego terminu, wykluczając przy okazji zadzierzyszy materiał. Pracownicy wchodzić znów jako ludzie nowo przyjęci, bez żadnych do przeszłości praw.

Niektóre instytucje aplikują w stosunku do zwykłych wyrobników restrykcje, którym do niedawna podlegali jedynie pracownicy zajmujący wybitniejsze stanowiska.

Kontrolują na przykład wkłady bankowe swoich robotników i pozbywają się ludzi żyjących z dnia na dzień, ludzi nieoszczędzających, niedążących do posiadania własnego domku, własnego ogródka, ludzi nieosiedziały<sup>111</sup>.

I odwrotnie, w pobliskiej Kanadzie są kompanie angielskie, które w polityce swej chlebobawczej idą daleko dalej, nie dopuszczają bowiem do zbogacenia się pracownika.

Jeżeli na przykład robotnik zdolny objawia zbyt wielki zapal do oszczędności, jeżeli, co się często zdarza, przy pomocy dorastającego potomstwa, dosięga już znacznego kapitału, w takim razie najniespodziewaniej otrzymuje odpawę, jest zniewolony nagle do próżnowania, które trwa, o ile z danego miejsca nie wyjedzie, aż do czasu skurczenia się kapitaliku. Zbiedniałego kompania angielska przyjmuje z powrotem...

Opieka społeczna, opieka państwowa jest w Ameryce nad pracownikami bardzo a bardzo mała. W niektórych stanach wprost śmieszna, we wszystkich niedostateczna, zakrawająca na filantropię, rzadziej na obowiązek.

Łatwiej jest gwiazdzie filmowej piątorzędnej świetności otrzymać pół miliona dolarów za wybite zęby podczas pijatyki, aniżeli biedakowi pracującemu w słynnych rzeźniach Armoura tysiąc dolarów za poszatkowaną przy wyrabianiu masy salcesonowej rękę. Nawet i tyle taki biedak nie zdobędzie ekwiwalentu, ile potężnej kompanii dzięki tej zmiażdżonej ręce przybyło funtów salcesonu.

Pomoc w chorobie, zaopatrzenie rodziny wszystko to należy do dobroczynności.

Jakiś potentat fabryczny zbudował szpital, piękny szpital, wspaniały szpital, ale za opłatą pięciu dolarów dziennie. Inny potentat otworzył dla swoich pracowników sklepy towarów, handel wiktuałów, dostarcza wszystkiego o dwadzieścia pięć i trzydzieści procent taniej i sam zarabia.

<sup>110</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>nieosiedziały — tu: nieosiadły, niezakorzeniony. [przypis edytorski]

W razie wypadku cięższego, nawet tak fabryczny stan jak Pensylwania, kędy jeden Pittsburgh chwalił się czasu wojny, że produkuje więcej stali niż cały świat, zakład przemysłowy obowiązany jest zapłacić pracownikowi poszkodowanemu tylko za jeden miesiąc leczenia.

I to wszystko.

Po miesiącu wolno jest dowodzić temu pracownikowi nieuleczalności czy kalectwa, ale to już, razem ze śmiercią... należy do asekuracji stanowej, asekuracji bardzo oszczędnej, bardzo małej.

Młody inżynier wskutek wybuchu kwasów przy dokonywaniu doświadczeń traci wzrok. Jest synem wdowy i jedyną jej i rodzeństwa podporą.

Taki wypadek z tak wielkim stosunkowo dygnitarzem wart jest w Pensylwanii sto dolarów dożywocia.

Wyrobnik otrzymuje mniej. Skala trzyma się zasady „byle z głodu nie umarł”.

W wypadkach katastrof, w stanach wyjątkowo niezależnych od magnatów przemysłowych, rzecz załatwiają naganicze asekuracyjni wyrastający niby spod ziemi i w krytycznej chwili wyłudzający od zrozpaczonej rodziny za byle grosze zrzeczenia się pretensji do odszkodowania.

O nieszczęśliwych wypadkach fabryczno-przemysłowych mówi się zresztą jak naj-mniej. W zakładach takich „General Electric” i takiego „Westinghousa” każdy dzień i każda godzina pracy okupowana jest haraczami życia i zdrowia ludzkiego.

Lecz jeżeli wypadek nie rozwali murów fabrycznych, ani o nim słycho, ani śladu. Prasa milczy pokornie w obliczu milionów, policja kurczy karki, nikt wyrazu nie pisnie, nawet statystyka.

Ale istnieje przecież w Ameryce tak zwana „Zorganizowana Praca<sup>112</sup>”, o której wpływach często gęsto się słycho, która posiada nie byle jaki związek, tysiące adherentów, własne biura, własnych obrońców, reprezentantów, dygnitarzy, strażująca w samym Waszyngtonie, aby się krzywdą człowiekowi pracującemu w Stanach Zjednoczonych nie stała. Jakoż do pewnego stopnia, kędy się działaczom udało ogarnąć bardziej zwartą lub bardziej uświadomioną gromadę pracowników, tam Federacja Pracy wywiera nacisk, tam nawet tak zwane „unie” robotnicze niemało zmartwień przyczyniają społeczeństwu.

Federacja Pracy obejmuje niby cały alfabet zawodów, od aktorów, muzyków i artystów filmowych poczynając, aż do górników, pracy, murarzy, białoskórników<sup>113</sup>, zdunów i nauczycieli.

W niektórych działach Federacja Pracy urosła nawet na potęgę, na organizację terroryzującą produkcję, terroryzującą kapitał, a szczególnie tam, kędy<sup>114</sup> porozumienie jest łatwiejsze, materiał pracowników podatniejszy do przekucia na solidarną masę.

Takim słynnym produktem amerykańskim jest na przykład unia drukarzy, która w najbogatszych stanach przeistoczyła się w bardzo arbitralną władzę. Praca w drukarniach została zredukowana do sześciu i pół godzin, wydajność jej ograniczona z góry określoną normą, której nie wolno jest pracownikowi chętnemu przekroczyć. Cennik ustala wynagrodzenie, żąda podwójnej zapłaty za każdą godzinę poza normą wykonanej pracy, ale i zezwala na odmówienie dodatkowej pracy! W każdej drukarni unia ma wyznaczonego delegata, którego władza przewyższa władzę zarządcy drukarni czy jej właściciela. Wydalanie pracowników, przyjmowanie nowych nie może się odbyć bez zgody unii. Obsługa maszyn, względnie<sup>115</sup> do swej wydajności, ma przepisowe liczby pracowników i musi ich utrzymywać, choćby się można bez nich obejść.

Unie drukarskie ograniczają liczbę uczniów, miarkują powiększanie nowych sił drukarskich, a zniewalając swych członków do względnie wysokich opłat, gwarantują bezrobotnym pięćdziesiąt procent wynagrodzenia.

W zasadzie tendencje dobre, tendencje uczciwe, lecz traktowane tak bardzo jednostronnie, że w Ameryce, a dokładniej w miastach, kędy unia drukarska zdołała narzucić swoją kontrolę, „linotyper” zarabia więcej aniżeli dobra siła redaktorska, składacz ogłoszeń

<sup>112</sup>Zorganizowana Praca — tu: związki zawodowe. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>białoskórnik — rzemieślnik garbujący skóry na rękawiczki i odzież. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>względnie — tu: zależnie (od czegoś, w stosunku do czegoś). [przypis edytorski]

jest nababem wobec reportera, a koszt prowadzenia samodzielnego warsztatu drukarskiego tak wielki, że jeno<sup>116</sup> rozporządzające wielkimi środkami instytucje mogą wytrzymać warunki i cenniki narzucone im przez unię drukarską.

Te wielkie trudności na tym olbrzymim kontynencie juścić<sup>117</sup> regulują warsztaty buntownicze, nie lękające się browningów i działające nawet tak, jakby w Ameryce nie istniało żadne prawo chroniące pracownika przed wyzyskiem...

Tu unijny sybaryta zgarniający, śpiewając, po sześćdziesiąt i siedemdziesiąt pięć dolarów tygodniowo, a tuż w pobliżu nędzarz zatruty wyziewami ołowiu, pobierający za trzy razy większą pracę dwadzieścia, a niekiedy i dwanaście dolarów na tydzień!

Zorganizowana Praca amerykańska zabiega usilnie o wzmożenie swych arkanów, niekiedy odgrywa imponującą rolę superarbitra między kapitałem a pracą, niekiedy powoduje strajki górnicze czy krawieckie, niekiedy stara się je łagodzić, stara się przychodzić z pomocą ogłodzonym rzeszom.

Gra to ciężka, niesłychanie skomplikowana.

Kapitał amerykański jest czujny, przebiegły i twardy.

Są strajki wybuchające pod wpływem nagromadzenia robotniczych dezyderatów lub krzywd, ale są strajki rozmyślnie wywoływane przez kapitalistów, przez fabrykantów. Na strajku robotnik amerykański zyskuje czasami, lecz pracodawca zarabia zawsze, no a ogół pracowników zawsze pokrywa koszty...

Strajki w Ameryce idą zazwyczaj w pewnym, z góry dającym się przewidzieć porządku. Kiedy cena węgla ulega zwyczajnie skutek strajku górników, automatycznie ta zwyczajna odbija się na artykułach najpierwszej potrzeby, zmusza innych do szukania polepszenia płacy.

Ponadto między przewodnikami tłumów robotniczych są ludzie uczciwi, ludzie ideowi, ale daleko więcej, niestety, wśród tych przewodników bywa karierowiczów, niegodziwców, pnących się po niedoli do naczelnych stanowisk społecznych i politycznych, więcej jest sprzedawczyków czy może jeno ludzi słabych, lekkomyślnych...

Amerykańska Federacja Pracy jest silna, ale tam jedynie, kędy rzesza robotnicza sama przez się siłę wytwarza.

Jeżeli w pewnym określonym punkcie bytuje tyle i tyle tysięcy sfederowanych górników, kolejarzy, krawców, tam w krytycznym momencie łatwo jest i o pęd solidarności, i o należyłą karność, tam można stanąć do walki z kapitałem, można kapitałowi warunki podyktować.

Wpływ atoli społeczny Amerykańskiej Federacji Pracy w szerszym rozumieniu tego słowa jest bardzo ograniczony, czego najwymowniejszym dokumentem kulawe ustawodawstwo amerykańskie i bezkarnie gwałcone przepisy ochronne.

Ciekawym rysem Amerykańskiej Federacji Pracy jest jej ksenofobia, jaskrawa inwidia<sup>118</sup> w stosunku do elementu cudzoziemskiego, obojętność na udręki robotników-imigrantów.

Każdy przybysz poczytywany jest za intruza, za konkurenta, za szkodnika. Stąd wysiłki zmierzające do ograniczenia jego napływu, zabiegi w myśli uchwalania coraz większych obostrzeń, coraz większego bojkotowania nowo przyjeżdżających.

W tym kierunku Amerykańska Federacja Pracy umie nadawać ton anglosaskiemu szowinizmowi, dąży wytrwale do zmniejszenia podaży pracy, do zmonopolizowania pewnych działów pracy przez zawistne, złośliwe nawet związki, czyli unie, nie troszcząc się bodajby o tępienie karygodnego wyzysku...

Amerykańska Federacja Pracy rozbija się, huczy niekiedy bardzo mocno w Pensylwanii, w stanie nowojorskim, w Ohio lub w Illinois — ale co jej tam do dramatów rozgrywających się w Zachodniej Virginii, kędy robotnik-cudzoziemiec jest niemal więźniem kopalni, więźniem zmuszanym batem policyjnym do posłuchu, kędy robotnik nie może nawet roić o potulnym oddaleniu się, o znalezieniu sobie pracy innej, nie lepszej, lecz choćby znośniejszej... co jej do „obcych”...

<sup>116</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>juścić (daw., gw.) — juści: tak, owszem (potwierdzenie), tak, owszem (potwierdzenie), wzmocnione partykułą -ci, skróconą do -ć. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>inwidia (daw., z łac.) — nienawiść, zawiść, zazdrość. [przypis edytorski]

Leży przed nami pismo błagalne robotnika-górnika (forejnera<sup>119</sup>) z kopalni Kinloch spod New Kensington, z tej nadymającej się już kulturą Pensylwanii. Nędzarz woła o ratunek... W ciągu lat trzech za dziesięciogodzinny dzień pracy w kopalni pobierając około dwu dolarów i czterdzieści centów dziennie... otrzymał od kopalni gotówkę (przez całe trzy lata) dolarów czterdzieści!... Resztę kopalnia zagarnęła mu za komorne i za towar, wybierany musowo po dowolnych cenach w kopalnianym sklepie!...

Błagalne to pismo dostało się do prasy naturalnie tylko obcojęzycznej — nie angielskiej, więc nie amerykańskiej... I przebrzmiało bez następstw...

Imigrant-pojedynk, samotnik zdołał się jeszcze z rąk oprawców swoich wyrwać, uciec, przynajmniej gdziekolwiek i w ostateku, poznaawszy warunki, lepszego kawałka chleba doczekać. Człek obarczony rodziną musi poddać kark pod jarzmo...

„Majnera<sup>120</sup>” z West Virginii, górnika-cudzoziemca żadna fabryka amerykańska nie przyjmie, bo „majner” powinien zbutwieć w „majnach”.

A Federacja Pracy?

Federacja Pracy nie wszędzie sięga, nie wszędzie może sięgnąć i nie wszędzie chce sięgać.

Rzemieślnik bez chleba? Więc musi nade wszystko wkupić się do unii. Za darmo nie może wszak korzystać z przywilejów!

Przywileje nie są zdobywane dla przybłędów.

Godziny pracy, ograniczenie czasu pracy, przepisy dotyczące zatrudniania kobiet i dzieci — są to niby te wspaniałe „reprezentacyjne” arterie chicagowskie, zdolne najbogatszym metropoliom europejskim zaimponować, są to bulwary nad Hudsonem, są to pomnikowe aleje Waszyngtonu klasycznymi strojne gmachami.

Godziny pracy, ograniczenie czasu pracy, przepisy dotyczące zatrudniania kobiet i dzieci mają niby miasto Chicago daleko więcej beznadziejnie monotonicznych, brudnych, źle brukowanych, opuszczonych, nędznych ulic i uliczek, aniżeli owych miliony kosztujących bulwarów i spacerów nad Michiganem!

Są tysiące, którym zegary wydzwaniają systematycznie chwilę spoczynku i są krocie takich, dla których nie ma zmiłowania.

Dziesiątki tysięcy nieletnich, nawet w Pensylwanii, trwoni przedwcześnie niezmiętnie siły w fabrykach i warsztatach przy zachowaniu pozorów sfalszowanej daty urodzenia.

Nawet w Pensylwanii wyrobnik przybywający z Polski zniewolony bywa do pracy na farmie od świtu do zachodu w porze letniej, a w zimie od przedświtu do nocy. I wyrobnik taki świąt katolickich, jako w Ameryce nieobowiązujących i przez kościół do niedziel ograniczonych, obchodzić nie ma prawa, no i również nie obserwuje<sup>121</sup> świąt cywilnych amerykańskich, bo nie ma o tym pojęcia, że świętym jest Dzień Lincolna czy też Dzień Zawieszenia Broni. Wynagrodzenie pobiera nędzne, boć jest nieświadomym swoich praw, niezdolnym do samoobrony przybyszem.

Są w Ameryce całe zastępy kobiet pracujących w odlewniach żelaza, są całe zastępy takich, które skulone na czworakach skrobią po nocach zabłocone posadzki i mozaiki wszelakich hal publicznych i są damy zasiadające we wspaniałych kancelariach w charakterze dostojnych naczelniczek i organizatorek, i są miliony dziewcząt tułających się po biurach, sklepach i warsztatach fabrycznych, i są tysiące marniejących beznadziejnie wśród obojętnego gwaru ulicznego.

Podlegają one niby w zasadzie tym samym co i mężczyźni warunkom, z tą przecież różnicą, że praca ich jest zawsze, jak i na starym kontynencie, gorzej wynagradzana. Są one poza tym również skazane na automatyzm, na owo okrutne zmechanizowanie trudu powszedniego, które zmienia istotę ludzką w jakiegoś niezwykle dziwoląga.

Wyobraźmy sobie człowieka, który przez lat kilkanaście z rzędu, dzień w dzień, w ciągu ośmiu godzin wybija w nożyczkach lewą dziurkę na pomieszczenie dużego palca u ręki... Wyobraźmy sobie osobę, która w ubraniach męskich wykonywała jedynie lewą górną kieszeń, osobę, która przez dziesiątki lat nic innego nie robi, która nazywa się krawcową, lecz która, poza do perfekcji doprowadzoną tą lewą górną kieszenią, pojęcia nie ma

<sup>119</sup>forejner (z ang. *foreigner*) — cudzoziemiec. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>majner (z ang.) — górnik; pracownik kopalni. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>obserwować (daw., z łac.) — tu: zachowywać; przestrzegać. [przypis edytorski]

o krawieczyźnie... No i wyobraźmy sobie, że ów specjalista niesłychany od lewej dziurki w nożyczkach traci pracę, że krawcowa od lewej górnej kieszeni została odprawiona...

Odprawa nadeszła, musiała nadejść... Pewnego dnia „foreman”<sup>122</sup> spostrzegł jakby przemęczenie owej specjalistki od lewej górnej kieszeni. W kancelarii rzucono okiem do kartoteki... Pięćdziesiąt lat? — Czas skończyć!... Młodszej sile trzeba dać „sposobność”... zmarnowania życia nad lewą górną kieszenią...

Wiek jest strasznym w Ameryce gnębicielem. Po czterdziestym piątym roku życia ciężko, trudno o kawałek chleba, nie ma dla takiego pracy ani u Forda, ani w lepszej fabryce, ani w urzędzie nie ma już zajęcia dla zbliżających się ku starości...

Czterdziestopięcioletniego nikt nie chce, każdy unika. Wykwalifikowany nauczyciel, profesor? — Cóż po takim? — Rozpędzić się nie zdoła i już szron go chwyci! — I jeszcze względy dla wieku? — Ani myśli! — Trudno, niech próbuje gdzie indziej. — Młodych sił potrzeba...

Pracował, tyle lat pracował, dostawał wynagrodzenie, teraz słabnie, więc słuszna<sup>123</sup>, aby go odprawić. Zakład przemysłowy nie może być schroniskiem dla starców, przytułkiem dla niedołęgów.

Więc dalej? — Dalej jeżeli brak zabezpieczenia, własnego naciulanego fundusiku, trzeba imać<sup>124</sup> się za cokolwiek i to żwawo, bo na każdy pozór „dziabu” dziesięciu zawsze kandydatów.

Rzemiosła, w europejskim pojęciu tego wyrazu, należą w Ameryce do zabytków po-dziwiających się jedynie między wczorajszymi przybyszami.

Rzemieślnikiem w Ameryce nie jest człowiek, lecz nade wszystko maszyna, mniej lub więcej skomplikowana, a więc potrzebująca obsługi.

Nieliczne bardzo zawody ocalały w Ameryce po dziś dzień. Niektóre z nich, jak kowalstwo, prawie zanikły, inne znów jak kapelusznictwo, strycharstwo<sup>125</sup>, tkactwo uległy całkowitemu zmechanizowaniu.

Kapelusznik amerykański kapeluszy nie wyrabia, dozoruje jedynie pewnej maszyny kapeluszniczej, która wykonuje jakąś część pracy. Więc jeden kapelusznik wycina runda, drugi je obrębia, trzeci wytłacza głowy, czwarty zszywa skórki, piąty zakłada podszewki. Strycharz również nie miesi gliny ani nie bawi się ładowaniem jej w czworoboczne formy, znów jest tylko strażnikiem, towarzyszem mechanizmu. Rachmistrz zestawia liczby, maszyna przecież dokonywuje działań i wystukuje gotowe rezultaty. Za jednym pociągnięciem pióra prokurent bankowy podpisuje nie jeden, lecz pięćdziesiąt równocześnie czeków! Tysiące aparatów drukuje równocześnie w całej Ameryce zmiany kursów giełdowych, wypisywane przez jeden główny nowojorski aparat.

Rzemiosło w Stanach Zjednoczonych staje się coraz większym zbytkiem, boć w ogóle zbytkiem jest praca ręczna. Wszystko to, co nosi nadpis „hand made”, należy do osobliwości dostępnych jedynie dla ludzi zasobnych, osobliwości zresztą cenionych przez europeizowanych smakoszków.

Wspaniały garnitur mebli, przebogaty jedwabnym pluszem kryty, każdy fotel zdolny rozmarzyć wyrafinowaniem puchowych swych falistości. Istne cacko, sympozjon linii, barwy, miękkości i bogactwa...

Lecz gorze<sup>126</sup> uchylć rąbka pluszowego, gorze sielską manierą zajrzeć fotelowi od spodu... Brudnoszare, nieheblowane glony drzewa, zbite jakby z tarcic dobytymi gwoździami...

Na pracę ręczną nikt w Ameryce czasu nie ma. Chałupnictwo, stanowiące jedną z ukrytych sprężyn francuskiego dobytku, nie jest rozwinięte. Wszystko to, co wymaga naprawy, co potrzebuje doświadczonej ręki rzemieślnika, i to wszystko, co daje się w Europie do nieskończoności zmieniać, przerabiać, dopasowywać, odnawiać, to wszystko razem stanowi w Ameryce „jung”, czyli bezwartościowe graty, które, o ile nie dadzą się zreperować domowym sposobem, żadnej nie przedstawiają wartości.

<sup>122</sup>foreman (ang.) — majster, brygadzysta. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>słuszna — daw. forma oznaczająca: słuszne jest, aby. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>imać się (daw.) — chwycić się za coś; zajmować się czymś. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>strycharstwo — wyrób ceramiki budowlanej, cegielnictwo. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>gorze (daw.) — biada; nieszczęście; tu: nie wolno, nie należy (pod groźbą ściągnięcia nieszczęścia). [przypis edytorski]

W zaułkach amerykańskich ponieważ się jeszcze i dzisiaj tuberkuliczne biedaczysko pracujące w brudnej norce zaopatrzonej osobliwym nadpisem „*shoe hospital*” (szpital dla butów), ale i to biedaczysko zaczyna już podeszwy przylepiać cementem za pomocą specjalnie skonstruowanej maszynki.

Ale kto by tam znów po takich zaułkach się włóczył. Zdarła się podeszew, pękł naszkórek, był trzewik — nie ma trzewika.

To samo dzieje się ze stłuczonym garnuszkiem, z rozdartą częścią ubrania, ze złamanym krzesłem lub uszkodzoną lampą.

Albo należy sobie radzić samemu kłajstrem, gwoździem, nitką, albo po długim szukaniu upragnionego majsterka opłacić każdy jego zabieg na wagę platyny.

Schematyzm amerykański stara się zastąpić brak rzemieślników. Produkuje z reguły zapasowe części do każdego ze swych wyrobów. Z łatwością można dobrać taką samą listewkę, tych samych rozmiarów ramę okienną, taką samą klamkę, zatrask, skuwkę, takie same drzwi. Lecz gdyby na tych drzwiach zapragnął ktoś mieć pośrodku wydłubany kwadracik, innego kształtu wgłębienie, z największym trudem będzie mógł znaleźć desperata, który by się podjął zadowolić tego rodzaju fantazję.

I dlatego amerykański człek od dzieciństwa prawie uczy się dawać sobie samemu radę.

Oto piękna rezydencja położona w zaciszu równie zamożnych sąsiadek.

W rezydencji tej mieszka inteligent, przypuśćmy, nadinteligent, bo profesor uniwersytetu.

Jeżeli mu się przyjrzeć uważnie, jeżeliby zrachować czynności pana profesora w ciągu pierwszego lepszego tygodnia w roku, to zaiste można się szczerze zadziwić wszechstronnością jego wiedzy, sięgającej poza ramy popularnego w Ameryce „pi-ejcz-di” (Ph.D.) tworzącego monogram doktora filozofii.

Pan profesor uniwersytetu myje regularnie swój własny samochodzić, smaruje go, wsuwa się pod jego podwozie na własnych plecach, opatruje każdą jego śrubeczkę. Do tych czynności posiada, jak każdy przyzwoity amerykański gentleman, odpowiedni pokrowiec „*overalls*”, przypominający konstrukcją majteczki dzieciinne, tworzące razem z kurteczką ubranko, do którego się wchodzi przez tylny rozporek. Pan profesor ścina co drugi dzień za pomocą maszynki trawniki przed swoją rezydencją i, o ile posiada ogródek, jest jego jedynym pracownikiem. Pan profesor co trzy lata maluje osobiście swój dom olejną farbą. Pan profesor zmiata co dzień chodnik przed swoim domem. W zimie pan profesor odgarnia szuflą zawały śniegu. Pan profesor opiekuje się centralnym ogrzewaniem, jest westalką paleniska w piwnicy, wynosi popiół, a po drodze wynosi śmieci na godziny i dni przejazdów śmieciarzy. Pan profesor albo pani profesorowa tapetuje pokoje, pan profesor poleruje specjalnymi heblami lub elektrycznymi skrobaczkami podniszczone posadzki, pan profesor zakłada gumowe lub skórzane podkładki do kranów, umie załatać ciekącą rurę ołowianą, wyśmienicie zмага się z przewodami gazowymi, a drutami elektrycznymi operuje jak urodzony elektrotechnik.

Pan profesor, jak rzekliśmy, jest nadinteligentem, ma stanowisko, które mu przynosi co najmniej trzy tysiące dolarów rocznie, ale przynosi za mało na opłacanie doraźnych usług. W ostateczności, jeżeli w danym osiedlu znajdzie się majsterkę chętny do wystąpienia w roli tapicera lub tylko tapeciarza, to jest to zazwyczaj nieco sprytniejszy od pana profesora „*tausendkünstler*”, który gotów jest podjąć się każdej czynności i każdą po dytlancku wykonać.

Posługa osobista uważana jest w Stanach Zjednoczonych za pracę niewolniczą. Amerykanin nierad zarabiać zginaniem karku. „*Tip*” (napiwek) nie pociąga go, woli bluzę robotniczą niż jedwabną czarno-żółtą kamizelkę kamerdynerską. Za doraźną pomoc woli cygaro, woli uścisk dłoni aniżeli datek. Dziewczyna amerykańska zawsze woli warsztat, maszynę tkacką aniżeli maszynkę do kawy lub cudzy odkurzacz, woli rygor fabryczny aniżeli pozór zależności od pani domu.

Praca nie hańbi, żadna praca nie poniża, służąca jednak nie będzie czyściła trzewików, w hotelu nikt nie śmie wystawiać butów na korytarz... choć w Ameryce nie ma żebraków podsuwających na rogach ulic stołeczki zabłoconemu obuwiu.

Czyszczenie butów?

Więc zakład odpowiednio urządzony z siedzeniami na wysokości człowieka, z metalowymi formami na ludzkie stopy, z obywatelem mającym pod ręką cały arsenał rozma-

itego rodzaju szczotek, płynów i smarowideł, zdolnych byle końską skórę doprowadzić do połysku nieskazitelnej giemzy.

Czyszczenie butów, więc jedna z czynności załatwianych przez fryzjerskie zakłady, więc zawód lukratywny, w uczelniach, w uniwersytetach, w pensjonatach pożądany przez ubogą młodzież zarobek.

Czyszczenie butów toć świetny początek, wiodący nierównie pewniej do milionów niż gra na cytrze, przepisywanie u adwokata, niż zmywanie naczyń w restauracjach...

I stąd Europejczyk wyrzucony na bruk nowojorski, i stąd pół czy też cały inteligent ateńskiego pokroju za tragedię życia poczytuje sobie to, przez co Amerykanin zwykł przechodzić z pogodnym uśmiechem. Imigrant w Ameryce musi od razu wyrzec się przesądów, nie pomogą mu rekomendacje, nie pomogą listy polecające, a w zamian głód ten pospolity, najordynarniejszy głód zmusi powoli do dźwigania worków przy ładowaniu okrętu, do obdzierania cieląt ze skóry, do posuwania się naprzód od zmywacza wagonów do urzędnika wytwornej instytucji. Musi przejść przez te próbne ognie albo spłonąć, zmarnieć, ugrzęznąć w mizeractwie. I, co więcej, musi być przygotowanym na zapadanie się, na ponowne wdzieranie się ze szczębła na szczębel.

I ten sam inteligent europejski, który w Budapeszcie, w Stutgarcie czy Krakowie wolałby raczej za rewolwer chwycić aniżeli za kociubę, jałmużny patrzeć, grosze wyłudzać aniżeli za łopatę ująć, za ścierkę, aniżeli zhańbić się pospolitym wyrobkiem — ten sam inteligent w Ameryce zbywa się fałszywego wstydu, zapomina o przesadach i toczy odważnie walkę o byt, zostaje Amerykaninem.

I ten sam inteligent europejski nie zdaje sobie w ostatku sprawy, że gdyby był w swym ojczystym kraju z równym samozaparciem, z równym impetem wziął się był za bary z przeciwnościami, może daleko świetniejszych doczekałby rezultatów, może by i na ojczystym pustkowiu sięgnął skarbów Kolchidy.

---

## MAŁE KAGANKI I WIELKIE POCHODNIE

Podstawą nauczania powszechnego w Ameryce jest szkoła publiczna, ośmioklasowa, o bardzo szczupłym programie. Język angielski, arytmetyka i gimnastyka i jeszcze jakaś reszta przedmiotów dodawanych lub usuwanych względnie do środków i widzimisię poszczególnych republik, a dokładniej poszczególnych miast i poszczególnych gmin.

Stany Zjednoczone nie posiadają ani jednolitego systemu nauczania, ani uzgodnienia bodaj zasad przymusu szkolnego.

Są więc stany, a właściwie gminy, które by rade mieć szkołę publiczną za pierwszy stopień, wiodący do średniego wykształcenia i są gminy, które tę samą szkołę uważają za kres potrzebnych mizernemu człękowi wiadomości. Są gminy, które przymus szkolny warunkują nie tylko ukończeniem ośmioletniego kursu, ale mierzą granicą wieku. W niektórych stanach uczęszczanie do szkoły obowiązuje bezwzględnie do lat szesnastu, z czego wynika, że śledziennik kwakerski udziela ślubu piętnastoletniej dziewczynie, zmusza przeciw młodą mężatkę do dalszego trwania na ławie szkolnej.

Jeżeli się usunie poza nawias wielkomiejskie wspaniałości, siedziby możnych osiedli, to przeciętnym typem amerykańskiej szkoły elementarnej będzie mały, drewniany domeczek, składający się z jednej izby szkolnej i półtoraizbowego pomieszczenia dla tępicieła analfabetyzmu.

Ten domeczek niewymyślny, lichy zaopatrzony, to pustkowie, na którym jęlczej przedwcześnie młoda siła nauczycielska, to jest jedyna niesfałszowana norma elementarnej szkolnictwa w Ameryce. Wszystko inne toć albo zbytek, albo dorobek wyjątkowo czujnych gromad ludzkich.

Przewodnia publicznej szkoły elementarnej jest wszędy jednakowo nastawiona.

Nie ma wykładu religii, nie ma rzekomo żadnej predylekcji dla poszczególnego wyznania, ale w zamian duch protestantyzmu, duch nieustępliwy, zawzięty.

Obok niego tuż amerykanizacja, ta anglosaska, propagująca zawzięcie najwyższość rasy, najwyższość anglosaskiej kultury i usiłująca sprowadzić do jednego mianownika umysły różnonarodowego pochodzenia.



Słabe rezultaty, bo za wątłe siły przeciętnego wychowawcy seminarium nauczycielskiego na pokonanie w jednej i tej samej klasie kilku, a nawet kilkunastu odmiennych sposobów wymawiania, czucia, myślenia.

Ostatnie liczby statystyki amerykańskiej przyznają się w okrągłych cyfrach coś do pięciu milionów analfabetów, a wśród nich do czterech milionów trzystu tysięcy dorosłych. Lecz całe odium za tyle nieuctwa ta sama statystyka zwała na urodzonych poza granicami Ameryki, a więc na imigrantów, a dalej i na Murzynów, choć od lat pod sztandarem gwiazdzystym bytujących. Mniej oficjalne dokumenty stwierdzają jednak analfabetyzm, którego się wcale nie oblicza, a mianowicie analfabetyzm powrotny, jakiemu, na przykład, w bardzo silnym stopniu ulegają Szkoci w stanie Kentucky.

Ilość szkół publicznych w Stanach Zjednoczonych jest olbrzymia (dokładnie szkoły publiczne, nie licząc prywatnych, posiadają 257 521 budynków), rozrzucona wszakże na tak przepastnym kontynencie, że znów w sumie nikła, niedostateczna. Są bowiem szkoły w zapadliskach, niemogące się doliczyć kilkanaścioro dziesiątym i są w miastach szkoły publiczne działające na dwie zmiany i jeszcze niezdolne podoląć napływowi kandydatów.

Więc niedostateczna ilość elementarnych szkół publicznych, lecz, co więcej, niedostateczna ich wartość.

Najlepszym argumentem jest tutaj niezwykle rozwój szkół parafialnych i w ogóle początkowych szkół prywatnych, nauczających miliony dziesiątym.

Gradacja kształcenia w Ameryce chadza w odmiennej szacie nomenklatury.

A więc, po szkole elementarnej następuje „*high school*”, szkoła „wyższa”, a dokładniej średnia, a zupełnie ściśle mówiąc, szkoła stojąca o wiele niżej od odpowiednich uczelni europejskich.

Po „*high school*” idzie tak zwane „*college*”, które jest albo oddzielną instytucją, albo stanowi młodszy oddział uniwersytetu. „*College*” udziela pierwszych stopni naukowych i jest przejściem do specjalnych kursów uniwersyteckich.

Amerykańska szkoła średnia, jako ciąg dalszy szkoły elementarnej, przypomina niemiecką „*Volksschule*” i na podobieństwo szkoły elementarnej we właściwym swym typie jest jak gdyby drugim kresem nauki, niestarájącym się otwierać bram koleżeńskich.

„*High school*” ma kurs czteroletni, cztery lata nauki i obowiązek pobierania tylko czterech przedmiotów rocznie. A ponieważ jednym z tych czterech przedmiotów musi być język angielski i może być gimnastyka, więc słabe stąd dla podstaw wiedzy wyniki.

W stosunku do europejskiego gimnazjum amerykańska szkoła wyższa dosięga klasy szóstej, lecz nie dorównuje jej ani zakresem przedmiotów, ani ich pogłębieniem.

Co więcej, o ile świadectwo z ukończenia elementarnej szkoły publicznej jest uważane za bilet wstępu do „*high school*”, to przeciwnie dyplom z ukończenia tejże „*high school*” jest skrawkiem zadrukowanego papieru niedającym żadnych prerogatyw...

Uniwersytety bowiem amerykańskie mają swe własne wymagania, i to niejednokrotnie. Żądają od kandydata znajomości pewnych przedmiotów i żądają przedkładania im wykazów całokształtu jego nauki w szkole wyższej, z dokładnym wymienieniem wszystkich stopni, począwszy od klasy pierwszej. Jeżeli przeciętna tych stopni (skala oblicza się w stosunku stuprocentowym, przyjmując zazwyczaj siedemdziesiąt procent za stopień dostateczny) wynosi mniej niż osiemdziesiąt procent, w takim razie każde „szanujące” się kolegium odrzuca dyplomowanego kandydata, *respective*<sup>127</sup> wymaga egzaminów ze wszystkich przedmiotów.

Ponadto uniwersytety i kolegia bardzo czujnie zważają, czyli stopnie danej szkoły określają sumiennie postępy naukowe wychowawców. O ile spostrzegą, że student nie posiada dobrego przygotowania w którymkolwiek przedmiocie, aczkolwiek szkoła wykazała dobre postępy w tymże przedmiocie, w takim razie szkoła otrzymuje pierwsze napomnienie od uniwersytetu, grożące na przyszłość odebraniem akredytywy, czyli grożące mu nieprzyjmowaniem wcale jej wychowawców bez egzaminów... Takie ostrzeżenie bywa dyskretnie komunikowane innym uniwersytetom i kolegiom. Stąd zarówno publiczne jak i prywatne szkoły muszą bardzo skrupulatnie oceniać wartość swych wychowawców, o ile w ogóle chcą prowadzić kursy przygotowujące do wyższego wykształcenia.

<sup>127</sup> *respective* (łac.) — względnie. [przypis edytorski]

Dyplom z ukończenia szkoły wyższej nawet i poza kolegiami i uniwersytetami jest zaledwie symbolem. To znaczy, że, gdy zachodzi kwestia ukończenia przez kogoś „*high school*”, wówczas musi być przedkładany cały obrachunek szkolny. I nie dość na tym, ten obrachunek musi być przesyłany bezpośrednio przez szkołę, jako dokument natury dyskrecjonalnej.

Z tego wynika, że stosunek wychowawcy do szkoły trwa przez długie lata, że gdy się nawet dobije stanowiska, to jeszcze chodzi za nim niby mara lichego stopień z algebry, wypomnienie drugiego roku w trzeciej klasie i widma wszystkich grzechów dzieciństwa, no i z tego wynika, że praktyczne Stany Zjednoczone uprawiają biurokracizm szkolny, o jakim nawet przeświećta c. k.<sup>128</sup> Austria nie miała wyobrażenia.

Kolegia i uniwersytety mierzą swe wymagania tak zwanymi „*units*”, czyli jednostkami, określającymi pobieranie danego przedmiotu przez ustanowioną ilość tygodni i godzin wykładowych.

Przeciętny taki kandydat do „dobrego” uniwersytetu powinien być posiadaczem piętnastu i pół „*units*”, to znaczy mieć za sobą cztery lata języka angielskiego, trzy lata matematyki, dwa lata francuskiego, dwa lata historii powszechnej (zaledwie dwie godziny na tydzień), rok historii Stanów Zjednoczonych, rok chemii, fizyki i czasami dwa lata łaciny...

Lecz pamiętajmy, że ta uboga lista stanowi wymagania kolegów i uniwersytetów, ale nie „*high school*”... Publiczna szkoła wyższa najczęściej wybór przedmiotów, poza językiem angielskim i historią Stanów Zjednoczonych, pozostawia upodobaniu ucznia, niewiele się troszcząc, że upodobania te idą po linii najmniejszego wysiłku.

Koedukacja w szkołach publicznych dobrego wpływu nie wywiera, sporzy<sup>129</sup> raczej różnego bałamuctwa.

Na pierwszych szczeblach szkoły elementarnej zadawanie się dziewczątek z chłopczykami łagodzi być może temperament drugich, hartuje miękkość pierwszych. Ale już w siódmej i ósmej klasie elementarnej, a więc od trzynastu lat wzwyż, koedukacja do postępu w naukach się nie przyczynia, moralności nie buduje. W najlepszych warunkach wytwarza pewnego rodzaju otrząskanie się ze sobą dwu płci, narodziny pewnego cynicznego zobojętnienia dla siebie.

Z tą dzisiejszą publiczną szkołą najzapamiętałej walczy samo społeczeństwo amerykańskie.

Wielkie miasta starają się rozszerzać zakres nauki, a przynajmniej utrzymywać pewną liczbę szkół jednopłciowych, na poziomie wymagań uniwersyteckich lub tworzyć tak zwane „*academy*”, czyli szkoły przygotowujące już bezpośrednio młodzież do wyższych zakładów naukowych, a nawet prowadzić wzorowe szkoły elementarne, idące daleko poza ramy przyjętych norm.

Lecz te szlachetne wysiłki troszczą się głównie o przyszłość anglosaskiego pokolenia, baczą na anglosaskie dzielnice, unikają starannie przyjmowania młodzieży nienależącej do czołowej rasy „Nordyków”.

Potężniej jeszcze walczy o dobrą szkołę w Ameryce szkolnictwo prywatne, szkolnictwo olbrzymie, oparte na dobrowolnym składkowaniu, a nade wszystko rozpoczynające pracę od szkoły parafialnej, wyznaniowej, bardzo często narodowej, traktującej język angielski jako jeden z przedmiotów wykładowych, a dalej idące poprzez szkołę średnią ku najwyższym szczytom...

Szkoły prywatne amerykańskie stoją na względnie wysokim poziomie i są właściwie głównymi dostawcami kandydatów do wyższego wykształcenia. Posiadają daleko wybitniejsze siły nauczycielskie, roztaczają czujniejszą opiekę nad młodzieżą i są uzbrojone w bogatsze środki naukowe i urządzenia wychowawcze.

Prywatne szkoły amerykańskie tworzą niekiedy bardzo drogie i szczelnie zamknięte w sobie instytucje. Do wstępu do takiego zakładu nie wystarczają zdolności młodzieńca, nie wystarcza świetne przygotowanie panienki, ani niezależność materialna rodziców... Krom<sup>130</sup> wysokiej opłaty potrzebne jest jeszcze świadectwo pochodzenia... i to świadectwo, które wystawia kandydatowi agent objazdowy szkoły... Taki agent dociera do naj-

<sup>128</sup> c. k. — skrót od: cesarsko-królewski. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *sporzyć* — tu: przysparzać; dostarczać. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *krom* (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

zapadlejszego kąta Ameryki i sprawdza, z jakiej to rodziny pochodzi kandydatka i jakiej zażywa opinii jej rodzina. Jeżeli są to „nuworysze” jacyś z bogaceni<sup>131</sup> karczmarze, a broń Boże jacyś niesympatycznego pochodzenia świeżo upieczeni obywatele amerykańscy, to mowy nie ma, aby pisklę z takiego gniazda mogło być przyjęte do akademii w Mercersberg.

Tam przecież, w tej akademii, pobierają naukę synowie elity, tam bywają Roosevelty, Hughesy, Davisy, Taffy, Coolidge'e, Mellonowie i tym podobne poważnego autoramentu arbuzy. Godzi się więc, aby syn jakiegoś znaczniejszego urzędnika, poważniejszego obywatela, zawarł szkolne przyjaźństwo z potomkiem elity, ale nie godzi się, aby choćby najzdolniejszy „bonky” zajeżdżał przed gmachy akademii niepoczesnym fordem, tam gdzie jest miejsce jedynie dla stylowych rolls royce'ów, a przynajmniej dla packardów lub stutzów.

Szkolnictwo prywatne w Ameryce żadnym nie podlega ograniczeniom.

Nie ma w europejskim znaczeniu szkół z prawami i szkół bez praw, bo jedynym prawem jest pocziwie naładowana mózgowica.

Dobra renoma prywatnej szkoły amerykańskiej wymaga, aby poddała się dobrowolnie pewnej kontroli ze strony swoich stanowych władz edukacyjnych. Ta kontrola polega na tym, że tym władzom dostarcza się pewnych danych statystycznych i że z roku na rok zaprasza się inspektora szkolnego na wizytację.

O ile takie zaproszenie nie jest ponowione co roku, inspektor szkolny nie przyjeżdża. Wizyta jego ma na celu dokonanie przeglądu zakładu naukowego albo w myśli poczerpnięcia zeń jakiegoś nowego doświadczenia, albo też udzielenia mu przyjacielskich wskazówek. O żadnych nakazach mowy nie ma. Szkoła prywatna może się w rezultacie obejść całkowicie bez wizytatora. W ogóle zresztą zadaniem władz edukacyjnych w poszczególnych stanach jest opracowywanie rozmaitych danych, mogących współdziałać szkołom. Starczy na przykład zwrócić się do Harrisburga, do departamentu oświaty Rzeczypospolitej Pensylwańskiej, aby otrzymać całą literaturę o szkolnictwie elementarnym lub średnim, aby uzyskać najświetniej opracowane plany nowoczesnych budynków szkolnych, wykresy statystyczne, higieniczne wskazówki, aby znaleźć zawsze chętną radę i najskrupulatniejszą a bezpłatną pomoc.

Szkolnictwo amerykańskie nie jest w ogóle krępowane przez organy władzy wykonawczej. Poszczególne stany mają swe ustalone schematy godzin wykładowych z zakresu obowiązujących przedmiotów, ale nie wglądają w automatyczne przestrzeganie jakichś reguł pedagogicznych. System nauczania, wybór podręczników, wybór przedmiotów drugorzędnych czy dodatkowych wszystko to jest pozostawione zarządowi szkoły.

Wolno nawet w Ameryce dalej iść, wolno choćby prowadzić szkoły nowatorskie w rodzaju szkoły bez wykładów... Nauczyciele urzędują w małych kancelariach i tam udzielają wyjaśnień indywidualnych zgłaszającym się do nich uczniom.... Uczniowie operują sami podręcznikami szkolnymi i uczniowie uczą się jak im się podoba, czego im się podoba i zdają egzaminy kiedy im się podoba.

Przy tak bardzo liberalnych stosunkach szkoły publiczne amerykańskie toczono są przez okrutnego raka, wydane na łaskę i niełaskę straszego wprost obskurantyzmu<sup>132</sup>.

Szkoły publiczne w każdej miejscowości zależą od tak zwanej rady szkolnej, złożonej najczęściej z dziewięciu „politykierów”, czyli ludzi bądź wybranych w powszechnym głosowaniu, bądź mianowanych przez wybranych zwierzchników miasta czy powiatu.

Członkostwo w radzie szkolnej jest honorowe, wraca co najwyżej minimalny koszt straty czasu, ale to członkostwo w radzie szkolnej w istocie swej jest zupełnie niehonorowym „graftem”.

Małe miasteczko Dureya liczy dokładnie (1930 r.) osiem tysięcy pięciuset mieszkańców. Nadchodzą wybory. „Honorowy” członek rady szkolnej rzuca na szalę dziesięć tysięcy dolarów byle tylko się utrzymać, byle tylko „honorowego” mandatu nie utracić.

Pytanie, ile taki jegomość w małym miasteczku Dureya musi ukraść rocznie, żeby mu się te dziesięć tysięcy dolarów wróciły z należytych zyskiem.

<sup>131</sup>zbogacony — dziś: wzbogacony. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>obskurantyzm (z łac.) — ciemnota; zacofanie, nieświadomość, nieuctwo. [przypis edytorski]

Rady szkolne amerykańskie kradną. Kradną przy budowie gmachów szkolnych. Architekci, przedsiębiorcy budowlani, dostawcy materiałów muszą z góry gotówką uiszczać się z „należnych” członkom rady szkolnej procentów. Podręczniki szkolne, materiały piśmienne, które szkoły publiczne dostarczają bezpłatnie młodzieży, muszą dać tyle i tyle procentu. Haracze odpowiednie płać wszyscy, łaskawego skinienia rady szkolnej muszą patrzeć i setki tysięcy nauczycieli.

A idzie tu nie o lada budżet.

W roku 1928 koszt utrzymania szkół publicznych w Stanach Zjednoczonych wynosił w dokładnej liczbie 2 184 336 638 dolarów, czyli niemal dwadzieścia miliardów złotych polskich rocznie!

Jedno Chicago wydaje siedemdziesiąt milionów dolarów, jeden Nowy Jork sto osiemdziesiąt siedem milionów dolarów.

Tam gdzie idzie choćby o dostarczenie dla rady szkolnej miasta Chicago dwustu tysięcy egzemplarzy podręcznika do nauki arytmetyki, tam nie żal przecież wsunąć ciepłą ręką trzydziestu tysięcy dolarów gotówki, aby przekonać wysoką radę szkolną, że podręcznik firmy Allyn and Bacon bije na głowę wszystkie... mniej hojne wydawnictwa.

Wypada lojalnie wyłuszczyć, że nie wszyscy członkowie rad szkolnych są tymi bezczelnymi „grafciarzami”. Bynajmniej. Na dziewięciu członków jest zawsze czterech sprawiedliwych... Bo ponieważ pięciu stanowi większość, więc tych pięciu, zmówiwszy się ze sobą, ani myśli dzielić się z pozostałymi kolegami... Czyli że zawsze czterech stanowi ucziwą, bo ogłodzoną, opozycję...

W potężnych miastach, w znaczniejszych miasteczkach posiedzenia rady szkolnej odbywają się publicznie. Publiczne toczą się rozprawy nad tą lub inną kwestią, nad takim lub innym systemem, nad tym lub owym planem rozbudowy, nad takim lub takim pudełkiem cyrkli... A po świetnych przemówieniach, znakomitych wywodach, miażdżących referatach — bęc, bęc gałeczkami — ten zwycięża, kto dał więcej...

Smutne i przykre stosunki. Wydanie ciał pedagogicznych, ludzi pracy umysłowej na widzimisię chamstwa. Do rad szkolnych dostają się brutalni nieucy, zasiadają w nich niekiedy analfabeci i to nie w takim zapadłym kącie jak Oconomowoc lub Wauwatosa, choćby sobie w pięknym Detroit lub w siedzącym mu na żołądku Hamtramck. Zresztą jak wszędzie, tak i w Ameryce dla ludzi wrażliwych, ludzi uczciwych miejsca w polityce nie ma, a rady szkolne w Ameryce są tylko partyjno-politykierskimi żerowiskami.

Ciało nauczycielskie szkół publicznych w Ameryce tworzy gromadę 831 934 desperatów, skazanych „na uczenie cudzych dzieci”. Wynagradzane jest w stosunku do innych zawodów bardzo lichy, niekiedy płacone nieregularnie, niekiedy, nawet w takim Chicago, zniewolone do czekania po dwa i trzy miesiące na wypłatę pensji!...

Hojnym dla nauczycielstwa jest stan Nowy Jork, New Jersey, hojna nawet Kalifornia i Massachusetts, lecz im dalej od tych mecenasów, tym biedniej, tym głodniej. Zabezpieczenie na starość jedynie w niektórych stanach i to mizerne, nędzne, a cały przywilej nauczycielstwa amerykańskiego to gwarancja dziewięciomiesięcznej pracy, a dla „pryncypałów”, czyli dyrektorów szkół, kontrakt trzyletni. A poza tym zależność od aroganckich łapowników z rady szkolnej, od tej bandyckiej piątki, a w małych osiedlach, w małych szkołach bezpośrednia zależność od fumów rodzicielskich komitetów.

W małej szkole publicznej bez kryminalnego przestępstwa ani mowy o wydaleniu nieuka czy gorszyciela, co więcej, ani mowy o zatrzymaniu osła w tej samej klasie na drugi rok... Bo przecież powiększa to automatycznie koszt szkoły, bo przecież miłość rodzicielska może się ująć honorem i taką zrobić politykę, że fakultet razem z „pryncypałem” zostanie bez chleba.

Stąd szkoła publiczna amerykańska jest wątła, działa jedynie paliatywami, sama uprawia politykierskie sztuczki, a dla pewnej kategorii wychowawców kończy się zasługą odesiedzenia tyłu i tyłu lat różnej kategorii ławek.

I stąd nauczycielstwo szkół publicznych, zarówno elementarnych, jak i średnich, coraz bardziej się ukobieca. Mężczyźni stronią od tego niepewnego, niewdzięcznego chleba.

Przed laty pięćdziesięciu kobiety miały już przewagę w nauczycielstwie amerykańskim, już w roku 1880 przy stu dwudziestu trzech tysiącach mężczyzn nauczycieli, kobiety tworzyły masę stu sześćdziesięciu czterech tysięcy nauczycielek.

Była to przewaga zrozumiała. Szkolnictwo elementarne powinno być bodaj całkowitym kobiety monopolem. Natomiast szkolnictwo średnie owych czasów posiłkowało się nade wszystko siłami męskimi.

Po latach pięćdziesięciu początkowy ten stosunek uległ rewolucyjnej zmianie. Na 832 tysiące nauczycieli płci obojga — mężczyzn jest 138 tysięcy a kobiet 694 tysiące — czyli przeszło pięć razy więcej kobiet aniżeli mężczyzn.

Byłaby to okoliczność względnie obojętna dla szkół publicznych amerykańskich, które by mogły przyznać kobietom pierwszeństwo w nauczaniu, gdyby kobiety w znacznym procencie nie stanowiły żywiołu przelotnego.

Do nauczycielstwa garną się z reguły wszystkie jako tako z kolegów dobyte panny. Należy to i do dobrego tonu, należy to bezwzględnie do pewnej społecznej ideowości amerykańskiej, aby młoda panienka, i to niezmuszona do zaprzęgnięcia się do twardej, powszedniej pracy, spróbowała zawodu nauczycielskiego. Toć plon doświadczenia na przyszłość, toć piękna legitymacja, no i zawsze upragniony własny grosz, owo amerykańskie „*superfluous*”, a więc to co jest ponad potrzebę, co jest już fantazją, co uchyla obowiązek tłumaczenia się, usprawiedliwiania wydatków.

Młoda panienka amerykańska lubi mieć własne pieniądze.

Szkola publiczna na tym upodobaniu nie wychodzi dobrze.

Zamożne panny, rodziny których posiadają zazwyczaj wpływy, nie dopuszczają do zawodu nauczycielskiego dziewcząt ubogich, pragnących się poświęcić nauczaniu zawodowo, a przynajmniej utrudniają im drogę do posad. Ponadto krzywdzą szkoły swą, jak wyżej, „przelotnością”. Zamożna panienka po kilku latach bądź wstępuje w związki małżeńskie, bądź, uprzykrzywszy sobie nauczycielstwo, porzuca je i porzuca z reguły w momencie, kiedy po odbytej praktyce, po wyrządzeniu często nie lada jakich spustoszeń w młodych umysłach, nabrała w ostatku doświadczenia, zaczęła być jaką taką siłą pedagogiczną.

W niektórych stanach nauczycielka, wychodząca za mąż, traci automatycznie zajmowaną posadę. Więc i panny, które by i po zamążpójściu rade były w dalszym ciągu pracować, powiększają element przejściowy.

Na stanowiskach przeto trwają nieliczne szeregi kobiet, które fatalność skazała na osamotnienie, trwają osoby zgorzkniałe, cierpiące na brak pogody ducha.

Żle na tym wychodzi zespół amerykańskiego nauczycielstwa. Niewiele jeszcze pojęcia dla tej niezawodnej prawdy, że bardzo łatwo jest zostać dobrym profesorem uniwersytetu, lecz bardzo trudno budzicielem maluczkich.

Nieskończenie wyżej od amerykańskiej szkoły średniej stoi amerykańska szkoła zawodowa, bijąca na głowę swą europejską siostrzycę.

Przewagę fachowego amerykańskiego szkolnictwa stanowi jego mocno skoncentrowana celowość, a obok niej, niepojęta w europejskim rozumieniu, sprężystość i postępowość uczelni.

Rzemieślnicza szkoła zawodowa amerykańska jest z reguły bezpłatna, a po większej części dająca nawet zarobek swym wychowankom, którzy uczą się, ale i pracują, i za wykonywane prace otrzymują wynagrodzenie.

Szkoły zawodowe w Ameryce tworzą jakby olbrzymie warsztaty fabryczne i to warsztaty wyposażone we wszystkie nowoczesne urządzenia. Każdy nowy pomysł techniczny, każdy mechaniczny eksperyment musi być przeniesiony na grunt szkolny, bez względu na koszty, na wydatki musi dotrzeć do tych, którym sądzono być pracy wytwórczej pionierami.

Prywatne szkolnictwo zawodowe amerykańskie jest w rękach fabryk i zakładów przemysłowych. One prowadzą szkoły fachowe, kursy wieczorne, zawodowe i w ogóle starają się o wykształcenie samym sobie potrzebnych niższych pracowników.

Spomiędzy tłumu roboczego, spomiędzy hałaśliwej ciżby wyrostków zaciąga do nauki, kształci ich i jeszcze płaci.

Jako w słynnej amerykańskiej szkole wojskowej w West Point, względnie do klasy każdy kadet pobiera żołd dzienny, żołd suty, pozwalający na zadowolenie bodajby pewnych fantazji, tak i setki szkół zawodowych amerykańskich rozumuje, że zdobycie dobrych fachowców jest tak wielkim zyskiem przemysłu, iż godzi się nie tylko szkołę bezpłatną

utrzymywać, ale zdolnym a zmuszonym do zarobkowania jeszcze za ich ochotę do nauki płacić, a więc naukę im umożliwiać.

Szkolnictwo elementarne, szkolnictwo średnie amerykańskie może wypełnić samo przez się karty doniosłej rozprawy pedagogicznej, ale dopiero wyższe wykształcenie, dopiero kolegia i uniwersytety niezwykłością swych koncepcji zdolne są wyprowadzić z równowagi najbujniejszą wyobraźnię.

Nade wszystko szalone wprost bogactwo, niesłychana różnorodność wyższych zakładów, istne skarby naukowych środków, zatrzesienie stopni naukowych i milion bez mała studentów płci obojga i w ostatku zamęt norm, gradacji, wyobrażeń o tym, co jest wiedzą ścisłą, co tej wiedzy abecadłem, co jej blichtrzem.

Amerykański „college”, więc znów kurs czteroletni, zakres wiadomości, o ile nie specjalnych, równa się siódmej i ósmej klasie humanistyki czy filologii, plus jakoweś, mniej gruntowne, a uroczyście brzmiące, przedmioty z zakresu pierwszo- a niekiedy drugorocznego kursu europejskiego uniwersytetu. Po tych czterech latach już stopień naukowy bakałarza sztuk lub bakałarza nauk przyrodzonych!... W istocie zaledwie tylko niezła europejska matura. W Ameryce przecież po takim bakałauracie albo już zawodowa kariera, bodajby w charakterze nauczyciela w szkole średniej, albo wjazd bez egzaminu na kursy uniwersyteckie.

O ile taki bakałarz pozostaje na rok piąty w kolegium, to już po roku zdobywa stopień magistra! A już dalej po dwu latach może się wystroić w błękitne wyłogi płaszcz doktora filozofii...

Lecz i ten porządek dotyczy jeno wysoko postawionych kolegiów i bardzo wymagających uniwersytetów. Normalnie dwa lata „college” wystarcza do przejścia całkowicie na kurs uniwersytecki, normalnie już w drugim roku nauki kolegiatnej przyszedł kandydat na lekarza bierze rozbrat całkowity z ogólnokształcącymi przedmiotami, już się zaczyna specjalizować...

Nie dość na tym. Kolegia amerykańskie znów trzymają się uporczywie kabalistycznej czwórki przedmiotów wykładowych, pośród których jednym z nich może być na przykład wychowanie fizyczne, po prostu sport, drugim „domestic science”, a więc sztuka ślania łóżek, operowania odkurzaczem, zmywania naczyń, pieczenia „keyksów”. Rysunki mają też samo prawo obywatelstwa, co ekonomia, nauka sztuki ogłoszeń i reklam jest znów częścią składową kursu ekonomii, dobrą grą na mandolinie można z łatwością potłuc w szrankach biologię, ile że zakres nauk kolegiatnych w Ameryce nie ma kresu i ma równy szacunek i równie dźwięczne stopnie naukowe i dla tego, który sięgnął absolutu względności, i dla tego, który pobił wszystkie rekordy skoków wwyż.

Bezpośrednim następstwem tego systemu jest chorobliwa tytułomania naukowa, często nieuczka, parady w maskaradowych togach, szafowanie bezwartościowymi kwitami na rzekomy rozum. Amerykanie silą się w tym kierunku o zakasowanie małomiasteczkowości germańskiej, wiedeńskiej chcą jakby zaćmić tradycje. Trzeba gruntownego wniknięcia w istotę szkolnictwa amerykańskiego, aby zgłębić otchłań dzielącą doktora uniwersytetu w Valparaiso w stanie Indiana, uniwersytetu będącego zwykłym geszefciarskim przedsiębiorstwem, od tak zamkniętych, niedostępnych zakładów naukowych, jak Brown University lub Princeton, trzeba długiego czasu, aby nauczyć się sztuki oceniania wartości amerykańskich stopni naukowych.

Stany Zjednoczone posiadają wyższe uczelnie znakomicie zorganizowane, posiadają możne instytucje, zasobne, ale mają również zakłady naukowe początkujące, nieudolne, słabe, liczące po kilkuset zaledwie słuchaczy, jak choćby taki Santa Clara University lub jakiś ubogi Chattanooga University w Tennessee.

Następnie trzeba sobie uprzytomnić, że Stany Zjednoczone mają jeszcze do dnia dzisiejszego takich lekarzy, którzy nigdy lekarzami nie byli, mają duchownych, którzy żadnych nie kończyli szkół, mają sędziów, mają prawników, którzy ukończyli jeden rok prawa!

Przed laty pięćdziesięciu zjeżdżał do Stanów Zjednoczonych emigrant, wywieszał tabliczkę lekarza i praktykował spokojnie. Nikt się nie pytał o dyplom, o praktykę, nikt nie dociekał. Jeżeli były nawet dane po temu, że jest jedynie felczerm, że jest wyszkolonym sanitariuszem, nikt mu tytułu doktora nie zaprzeczał.

Tak było przed laty pięćdziesięciu, a nawet w niektórych stanach mniej niż przed pięćdziesięciu.

Na pustkowiach brakło ludzi, brakło specjalistów, brakło zawodowców. Bodaj pokątny doradca, bodaj kancelista starczył za mecenasa, byle mądrała za profesora, byle gadacz za kaznodzieję.

Dopiero w miarę kształcenia młodzieży zaczęto stawiać pewne wymagania, początkowo bardzo małe, bardzo niewinne. Starano się brać na munsztuk<sup>133</sup> owych uczonych emigrantów, lecz najprzód bardzo łagodnie. Na przykład godzono się na zdawanie egzaminów lekarskich w języku ojczystym kandydata. Tłumaczami byli „specjaliści” i tak znakomici, że te egzaminy szły jak z płatka, że „specjaliści” napychali sobie kieszenie.

Lecz i ten postęp szedł zresztą nierównomiernie i do dnia dzisiejszego wtóruje nierównomiernemu rozkwitowi poszczególnych stanów.

Do wytwarzania tych tak wielkich różnic przyczynia się w znacznym stopniu okoliczność, że wyższe wykształcenie w Stanach Zjednoczonych opiera się przede wszystkim na inicjatywie prywatnej, na prywatnych kolegiach i uniwersytetach.

Tradycja prywatnej wszechnicy w Ameryce zaczyna się od roku 1636, od Harwarda, od myśli utworzenia amerykańskiego Cambrigde.

Od tej chwili prawie inicjatywa prywatna nie przestała przodować urzędowym wysiłkom poszczególnych republik i doprowadziła do tego, że i dzisiaj uniwersytety prywatne amerykańskie, kolegia prywatne, biją na głowę uczelnie państwowe. One im torują drogę, one narzucają prawa i regulaminy, one, i całkowicie słusznie, są dumą amerykańskiej społeczności.

W umyśle Europejczyka to się w ogóle nie mieści.

Jak to? — Więc można dzisiaj jeszcze w Stanach Zjednoczonych założyć sobie prywatny uniwersytet i wydawać stopnie naukowe? — Juści<sup>134</sup>, że można. Przyszkód żadnych, ta jedna i główna klauzula, ażeby posiadać dostateczny fundusz, zabezpieczający trwanie instytucji, no i odpowiednią organizację. Poza tym wolno założyć uniwersytet z językiem wykładowym choćby portugalskim, można zmniejszyć lub powiększyć liczbę lat obowiązującej nauki, można iść drogą największego zacofania lub krańcowego postępu.

A prawa, a przywileje?

Prawem i przywilejem w Stanach Zjednoczonych jest ciągle i zawsze mózg ludzki, nie świstek papieru, nie świadectwo, lecz sama wiedza, ściślej, synteza, jaką ta wiedza wytwarza.

Więc niesłychane pole do nadużyć, fabrykowanie stopni naukowych, wprowadzanie w błąd, okazja do fałszowania nauki. Bywa i tak. Ten szeroki liberalizm miewa swoje złe strony, lecz w sumie dobro bierze górę.

Pomimo tych usterek rozwój wyższego wykształcenia w żadnym państwie na świecie nie może się pochlubić równym impetem. Ten impet nie dosięgnął może szczytów, ten impet niezdolen jeszcze iść o lepsze z prastarymi krynicami nauki, ale już zbliża się ku nim, już pośpiesza.

Prywatna inicjatywa, ofiarność prywatna, niekiedy zapomoga od miasta, rzadziej od władz stanowych, a zresztą wszystko na barkach własnej administracji, na barkach ludzi, którzy pracę dla uniwersytetu obrali sobie za cel życia.

Niektóre uniwersytety i kolegia opierają swój byt na kongregacjach, na wyznaniowych związkach. Statystyka, schwytana w momencie oddawania tej pracy do druku, stwierdza, że w stu sześćdziesięciu czterech katolickich kolegiach i uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych w roku szkolnym 1930/31 było ściśle 104 023 studentów i studentek! Ale najczęściej te najbogatsze uczelnie opierają się jedynie na swych własnych wychowawcach, na swych abiturientach, na swych byłych słuchaczach. Oni tworzą związki opiekuńcze, oni czuwają nad swymi Alma Mater, oni prześcigają się w ofiarności, oni to sprawiają, że własność Harwardu wynosi 115 milionów dolarów, że Uniwersytet Columbia ma jej za 77 milionów, a Yale ma tej własności za 90 milionów.

<sup>133</sup>*munsztuk* — daw. munsztuk (z niem.); część uprzęży zakładanej na pysk konia, kielno stosowane w połączeniu z metalowym drążkiem (wędzidłem) umieszczanym między zębami zwierzęcia oraz skórzanymi paskami (wodzami); munsztuk umożliwia kierowanie głową konia. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*juści* (daw., gw.) — tak, owszem (potwierdzenie). [przypis edytorski]

Trudno sobie wystawić<sup>135</sup>, wyobrazić te pałace, te bajeczne urządzenia, te wspaniałe laboratoria doświadczalne, te bogactwa wyższych zakładów amerykańskich. Niczego tu nie brak, ani dość marnego drobiazgu, ani dość wielkiego nakładu, aby o nim zapomniiała, aby nań się nie zdobyła wszechnica amerykańska.

Przeciętny tak zwany „campus” uniwersytecki, a więc obszar, który zajmuje, jest jednym labiryntem pięknych gmachów, wpadających niekiedy w styl starogreckich świątyń, wystrzelający łukami gotyku, nieskąpiący wydatku choćby na odtworzenie koronek sewilskiej Giraldy, choćby na zbudowanie jeszcze jednej Campanilli.

„Campus” amerykański, więc pęki zieleni, bukiety kwiatów, wolny przestwór, powietrze, słońce. Tak, brak, po tysiąc razy brak, brak Ameryce tych wielmożnych zakamarków, tej czcigodnej stęchlizny wieków, tego pyłu filozoficznego, który pamięta czasy Medycjuszów, Juliusza II miłościwą pieczę, pergaminowych twarzy oczy gorejące...

Tak, w tych pięknych gmachach amerykańskich brak jeszcze ducha nauki, za wiele radości życia, za wiele swawoli, za wiele szczebiotania, a za mało wiedzy, za mało takich, którzy by ją chcieli mieć za cel, a nie tylko za środek, za sposób do życia.

Schematyzm, standaryzacja i masowa produkcja i tutaj do zbytku się panoszą, zamieniają wyższe uczelnie w jakoweś młocarnie, młyny, sita, w kotłownice, z których wylatują całe zawały plew, w istne fabryki stopni naukowych, naukowych banalności, naukowego ubóstwa. I tu wszędzie cyfry potworne, jakby obniżające powagę czystej wiedzy.

Wystawmy jeno sobie w jednym uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku czterdzieści tysięcy studentów, a tuż obok, na uniwersytecie New York jeszcze trzydzieści pięć tysięcy... Taki słynny uniwersytet Kalifornijski w Berkeley na dorocznej uroczystości feruje za jednym zamachem cztery tysiące stopni naukowych. Ówdzie w jednym roku uniwersytet rzuca na rynek tysiąc lekarzy, półtora tysiąca adwokatów, dwa tysiące dentystów... A ileż tysięcy wszelakich bakałarzy. Stany Zjednoczone mają 576 wyższych zakładów, wydających stopnie naukowe!!

Wprawdzie zapotrzebowanie stopni naukowych wzrasta z roku na rok.

Pamiętajmy, że już tak zwany „skład departamentowy”, czyli typowy amerykański bazar, często wspanialsze jeszcze odtworzenie magazynów paryskiego Luwru, że taki handel wymaga od starszego subiekta, a choćby od eleganckiego jegomości, którego całym obowiązkiem jest kłaniać się wchodzącym, wskazywać drogę, no i po trosze zerkać na kolegów, a po trosze czuwać nad smukłymi paluszkami pięknych dam, nurzającymi się w fatalaszkach — otóż taki handel od takich pracowników wymaga ukończenia pełnego „college”. Nie szkoły handlowej, nie kursów specjalnych, lecz ogólnie kształcącego zakładu naukowego.

Ale pomimo tego, że równocześnie nawet zakłady fabryczne zaczynają żądać przynajmniej dwu lat koleżeńskich od kandydatów na majstrów warsztatowych, pomimo tego w Stanach Zjednoczonych daje się uczuwać już pewna nadprodukcja... stopni naukowych.

Stąd dążność wytrwała do polepszenia wartości tych stopni, do pogłębienia nauki, do podniesienia jej skali.

Jakoż w tym kierunku amerykańskie uniwersytety idą zwartym krokiem naprzód.

Taki na przykład rektor uniwersytetu Columbia, N. M. Butler, znakomity działacz i organizator, nie waha się nigdy rzucać gromami z mównicy publicznej w marność doktoratów, w nicość pychy naukowej, w głupotę tytułów, w brak naukowej skromności, w brak mrówczej pracy. Prezydent Calvin Coolidge w ostatnich czasach przedłożył opinii amerykańskiej dowody niskiego poziomu umysłowego prawników, którzy, przy całej znajomości procedury, są przeważnie typowymi nieukami, niezdolnymi do utrzymania etyki prawniczej na odpowiedniej wysokości.

Takich głosów jest mnóstwo.

Uniwersytety amerykańskie czuwają. Z roku na rok nowe stawia trudności, z roku na rok coraz silniej działa maszyna brakarska.

Wielkie uczelnie odgradzają się drutami kolczastymi.

Oto młodzieniec zdobył już wszystkie potrzebne dokumenty, które zwalniają go od składania egzaminów, pozostaje jedynie ceremonia słynnego „*mental hability test*”, owa

<sup>135</sup>wystawić sobie (daw.) — wyobrazić sobie. [przypis edytorski]



amerykańska łamigłówka, mająca stwierdzać giętkość, sprawność rozwoju umysłowego kandydatów.

Pięćdziesiąt pytań, jedna minuta czasu na odpowiedź na każde. Jedna minuta czasu na postawienie jednej lub dwu kreseczek na przygotowanym druku. Wszystko to dziecinne, śmieszne, bardzo często zdolne umysł mędrca doprowadzić do histerycznego bezruchu, ale w tym wszystkim sposób nad sposobami...

Kwakierska szkoła, znakomita szkoła prawa w Filadelfii powzięła naraz przeświadczenie, że za wielki procent Izraelitów chwyta się adwokackiego chleba...

*Numerus clausus*<sup>136</sup>? — Nigdy w świecie.

Liberalizm amerykański takim ograniczeniem nigdy by się nie splamił — lecz oto „*mental hability test*”... Co? — Jak się stało? — Nie wiadomo. Próba tego osobliwego egzaminu wypada zawsze w ten sposób, aby uczynić zadość linii wytycznej kierownictwa szkoły.

Tyłu i tyłu bezspornych kandydatów, posiadających wszystkie dane do wejścia do szkoły prawa, przypadło na egzaminie „wypробowania sprawności umysłowej”...

Wyjaśnienia, dochodzenia, toć rzeczy niemożliwe. Takie tłumy kandydatów, taki napływ zgłoszeń, że nie ma sposobu do wnikania w drobiazgi osobiste.

Zresztą w każdej wielkiej instytucji naukowej amerykańskiej pierwsze lata studiów upływają niby ów wstępny egzamin...

Młodzież studencka w Ameryce przy wszelkich pozorach zewnętrznego rozholania, rozpuszczenia, braku pieczy, jest trzymana przez uniwersytety bardzo krótko.

Student ma swoje numerowane miejsce w auli. Na wykładach bywać musi regularnie, nie wolno mu się spóźniać, nie wolno mu odprawiać wagarów czy wczasów, musi odrabiać zadawane mu prace, składać je w oznaczonym terminie, musi odpowiadać z zadawanych niemal mu lekcji...

W ciągu pierwszych dwu miesięcy zazwyczaj każdy student musi napisać trzy większe kompozycje z zakresu języka angielskiego. Owóż te kompozycje są przeglądane i poprawiane przez specjalnie na to wyznaczonych „poprawiaczy”, gdyż, jak łatwo sobie wystawić<sup>137</sup>, profesor nie miałby czasu na przeczytanie uważne czterystu do pięciuset niekiedy elaboratów studenckich.

Tedy bezimienny poprawiacz mierzy kompozycje jakąś przepisową całówką i składa je w kartotece danego studenta. Po dwu miesiącach znów jacyś bezimienni pomocnicy profesora lub dziekana sprawdzają owe kartoteki i wątpliwe przedkładają kancelarii fakultetu.

Dziekan sam je rozpatruje i decyzję swoją wyraża jakimś umówionym, kolorowym „filutkiem”...

„Filutek” zamienia się od razu w małą, drukowaną karteczkę, opiewającą, że taki a taki student z dniem pierwszym listopada zostaje wykreślony z listy słuchaczy tego i tego zakładu naukowego...

Żadnych wyjaśnień, żadnych morałów, żadnych rozmów. Nikt o niczym nie wie, każdy przyjacielsko się uśmiecha i każdy jest bardzo „*sorry*”, że tak się stało, a nie inaczej.

Cyfrowo to się przedstawia w ten sposób, że jeden tylko Cornell University w Ithaca, liczący tylko sześć tysięcy studentów, wydała rok rocznie po pierwszych dwu miesiącach nauki około ośmiuset młodzieży płci obojga, nie zwracając wydalonym pobranych opłat, a więc i na materialny skazując ich uszczerbek.

Wydaleni oczywiście mogą od następnego roku szkolnego starać się o przyjęcie do innych zakładów, może do łagodniejszych, do mniej wymagających niż „Cornell”.

Dopiero po dwu latach nauki w uniwersytecie student nabiera jakby pewnych praw. Szeregi już się przerzedziły. Następuje większe zbliżenie do ciała profesorskiego, możliwość zwracania uwagi na indywidualne cechy słuchaczy.

Zewnętrzne życie uniwersyteckie w Ameryce cechuje niefrasobliwość, zapal do burzowskich psot, do figlów, do uciech wszelakich, no i nade wszystko do sportów, do

<sup>136</sup>*numerus clausus* (łac.) — dosł. zamknięta liczba, ograniczona liczba; zasada ograniczania liczby studentów uniwersytetów, motywowana przyczynami politycznymi a. praktycznymi; w okresie międzywojennym stosowana w Polsce, Rosji, Niemczech, Rumunii, na Węgrzech i w Stanach Zjednoczonych w stosunku do chcących uzyskać wykształcenie wyższe kandydatów pochodzenia żydowskiego. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*wystawić sobie* (daw.) — wyobrazić sobie. [przypis edytorski]

sportów. Władze naukowe pobbłają temu zapalowi, może nie bez racji wolą ten nadmiar swawoli, nadmiar ochoty do balów, do zawodów, od „weltschmerzu”<sup>138</sup>, od przedwczesnego zatruwania młodych umysłów ponurymi problematami życia powszedniego.

Uniwersytet amerykański idzie za tradycjami angielskiego Cambrigde, angielskiego Oxfordu. Pojedynek dwu ekip piłki nożnej, pojedynek między uniwersytetami Harvard i Yale toć ewenement nad ewenementami, toć sto tysięcy publiczności na galeriach stadionu, zakłady, świetlne telegramy na ulicach, podniecenie, dla całych Stanów Zjednoczonych dzień pamiętny...

I uniwersytety amerykańskie hodują w tym celu jakby nowoczesnych gladiatorów, utrzymują drabów-studentów, których nie tylko uwalniają od opłat, ale którym płacą, bogate zapewniają oprawy, a którym w ostatku po latach pracy nad rozślawieniem sportowej dzielności danej gromady uniwersyteckiej, za rozbite nosy, połamane obojczyki i żebra wysuplują jakiś początkowy stopień bakalarza sztuki, będącej w gruncie jedynie sztuką podbijania piłki palantem lub czubkiem buta.

Nie przynosi to zaszczytu uniwersytetowi Harvard ani uniwersytetowi Yale, ale jest to już przymusowy nieobyczaj, jest to kwestia reklamy, przynęty. Dziecko skłania się do nauki niekiedy cukierkiem, a młodzieńca bierze się na sport.

Charakterystycznym rysem całego życia uniwersyteckiego w Ameryce, co jeszcze raz należy podkreślić, jest radość, jest szczęśliwość.

Czasy uniwersyteckie toć najmiłsze wspomnienia, toć prawdziwa wiosna, pogoda serc i umysłów, nawet przy walce o kawałek chleba. Może za wiele nawet dziecięcych dźwięków w kaskadach śmiechu rozbrzmiewających po „campusach”, ale kto wie, czyli<sup>139</sup> dla społeczeństwa nie więcej stąd zdrowia, nie więcej energii, nie więcej siły.

Wykształcenie w Stanach Zjednoczonych jest rzeczą kosztowną. Kto się chce uczyć, musi albo mieć pieniądze, albo musi pracować na zdobycie tych pieniędzy.

Wykształcenie w Ameryce nie jest żadną filantropią, nie jest żadnym obowiązkiem obywatelskim w stosunku do młodzieży.

Stany Zjednoczone dają bezpłatnie szkołę elementarną, tę przeciętną, tę dla tłumu — dają bezpłatnie szkołę średnią, również tylko tę przeciętną, dają bezpłatnie szkoły rzemieślnicze, a nawet w tych szkołach płacą wychowañcom za fatywę uczenia się, ale poza tym na wszystkich wyższych szczeblach żądają pieniędzy, niekiedy bardzo wysokich, bardzo ciężkich.

Stypendiów uniwersytety amerykańskie mają liczbę znaczną, ale nie dla biednych studentów, nie dla ogłodzonych studentów, ale dla wyjątkowo zdolnych. Stypendium w Ameryce nie jest zapomogą dla ubożego młodziana, lecz nagrodą dla zdolnego, dla pracowitego, choćby syna bogaczy.

Dla zdolnego, dla pracowitego studenta uniwersytet amerykański gotów jest na wszystko. Zwolni go od opłat, zapewni mu pensję, uczyni asystentem profesora, laborantem, wyśle go na swój koszt na wyprawę naukową, przed daniem mu stopnia naukowego już znajdzie mu stanowisko, już mu zapewni pole do pracy, jeszcze i dalej, i później tenże uniwersytet będzie czuwał nad swoim dobrym uczniem, będzie z nim utrzymywał jak najbliższe relacje, będzie go wspierał.

Ale to dotyczy jedynie bardzo zdolnych i bardzo pracowitych, którzy już na ławach uniwersyteckich zdolali dowieść tych dwu przymiotów.

Nikogo jednak w Stanach Zjednoczonych nie obchodzi szczegół, że, dajmy na to, jakaś pani Brownell ma syna, że ten syn chciałby się kształcić, że chciałby zostać całym dygnitarzem... no i że nie ma środków po temu. To nikogo nie obchodzi.

Mama młodzieńca czy sam młodzieniec ma aspiracje — niech pracuje, niech zarabia, niech ciula pieniądze na naukę.

Jeżeli zaś na taki wysiłek go nie stać, niechże sobie zostanie zamiast doktorem filozofii, niech zostanie choćby tak zwanym w Ameryce „chimney doctor” alias dygnitarzem rozstrzygającym o cierpieniach kominów, a będącym jakby kwintesencją zduna z kominiarzem.

<sup>138</sup>weltschmerz (z niem.) — ból świata; bolesne odczuwanie świata (istnienia itp.); cierpienie egzystencjalne. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

Tu i ówdzie jakaś grupa narodowa w Ameryce, trwająca u podnóża społecznego, wysila się na zapomogi dla swej młodzieży, aby dźwignąć się na wyższy szczebel.

Są to przykłady oderwane. Ogół amerykański jałmużnictwa na wyższe wykształcenie nie uprawia, na dziadowanie pod tym hasłem nie odpowiada, kosztów wykształcenia z roku na rok podnosić się nie waha.

Przeciętny wydatek roczny skromnego studenta lepszej, wyższej uczelni amerykańskiej wynosi co najmniej tysiąc dolarów rocznie. Jest to duża suma pieniędzy, to nie jest ani tysiąc złotych, ani nawet pięć tysięcy złotych, biorąc na miarę zdolność nabywczą dolara. A przeciętny koszt przeprowadzenia młodzieńca od szkoły elementarnej do zawodowego stopnia naukowego tworzy już znaczny mająteczek, bo około dwunastu tysięcy dolarów...

Jakże więc studenci mogą starczyć, jakże sobie radzą? Czyżby wyższe wykształcenie w Ameryce było przywilejem bogaczy?

Młodzieniec, dziewczyna w Stanach Zjednoczonych pracują, muszą pracować...

Nadeszły w szkole średniej amerykańskiej wakacje, wakacje prawie trzymiesięczne, w europejskim rozumieniu, upragniony, wyglądzany okres wytchnienia...

Wakacje! — Więc letnie mieszkania, wycieczki, może włóczęga po jakimś Podkarpaciu, może trzymiesięczne próżniactwo, może wyjazd na wieś, na przyjemne kondycje, może *dolce far niente*<sup>140</sup>?

Nie. — Dla dziewięćdziesięciu dziewięciu procent młodzieży płci obojga te wielkie trzymiesięczne wakacje amerykańskie są tylko trzema miesiącami natężonej pracy zarobkowej.

Piętnastoletni chłopiec szuka zajęcia, musi zarobić. Ojciec ma zadość, lecz on chce mieć własne pieniądze. Idzie na posyłki, szuka zarobkowania w uzdrowiskach, w jakichś letnich restauracjach, szuka zastępstwa w biurze, idzie do kopalni na płuczkacza, ima<sup>141</sup> się kilofa, zaprzęga się na palacza do stalowni. Najcięższej się pracy nie ulęknie.

Syn adwokata w małym miasteczku, osobistości, promieniującej na swe otoczenie, czasu wakacji wdziewa obrzędowe amerykańskie majteczki z przyszytą do nich kamizelką... Nie wstydi się malować rudery choćby należącej do ostatniego z dryblasów. On, syn promieniującego na całe miasteczko, jaśnie wielmożnego pana mecenasa... Po „fajerancie” ubiera się w „*toxido*” (po polsku: smoking) i jedzie na spacer w rodzicowym cadillacu.

Czy pan mecenas odmawia synowi jakichś kieszonkowych pieniędzy, żałuje na ekspensy<sup>142</sup>? Bynajmniej. I młodzieniec, i panna chcą mieć własne pieniądze nawet wówczas, kiedy mogą je dostać od rodziców bez żadnego wysiłku. Mówi się tutaj dopiero o szkole średniej amerykańskiej, mówi się tutaj o młodzieży zasobnej, a cóż dopiero uniwersytet, cóż dopiero młodzież uboga.

Na udry trzeba iść z przeciwnościami.

System szkolny amerykański, choć dla Europejczyka tak niedalekonośny, tak praktycznie przecież zbudowany, że wyklucza nawet korepetytorstwo, że młodzież uniwersytecką zmusza do sięgania twardych zawodów, imania się gołymi rękoma najcięższych w walce o byt narzędzi.

Dolar łatwo młodzieży amerykańskiej nie przychodzi. Dolar nie pobleża, nie romanuje.

Oto dom rezydencyjny. Centralne ogrzewanie, w zimie ciężkie z paleniskiem turbacje. Jak sobie poradzić? — Trzeba chłopca do pomocy. — Woła się więc studenta uniwersytetu i daje mu się dziesięć dolarów na miesiąc. Za te dziesięć dolarów student obowiązany jest stawić się co najmniej o szóstej rano przed paleniskiem, oczyścić je, wynieść popiół, ogień rozżarzyć, węgla nasypać i przejąć całe domostwo umiarkowaną temperaturą. I tenże sam student musi jeszcze opatrzyć palenisko dwa razy w ciągu dnia i raz jeszcze przed północą, czyli zrobić niekiedy dwadzieścia kilometrów dziennie od paleniska do paleniska i mieć za to dziesięć dolarów miesięcznie przez sześć miesięcy, a więc raptem dolarów sześćdziesiąt, które nie wystarczają w uniwersytecie nawet na zakupno<sup>143</sup> potrzebnych książek.

<sup>140</sup>*dolce far niente* (wl.) — słodkie nicnierobienie; słodkie nieróbstwo. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>*imać się* (daw.) — chwycić się za coś; zajmować się czymś. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*ekspens* (daw.) — wydatek. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*zakupno* — dziś: kupno a. zakup. [przypis edytorski]

A gdzie reszta? Student jest krom<sup>144</sup> tego posługaczem w restauracji albo zmywaczem naczyń, za co otrzymuje bezpłatnie resztki z obiadu i kolacji, żywi się. W hotelu pobliskim ma nocną służbę przy telefonie. Jest niezłym skrzypkiem, gra w orkiestrze. Zamiatą, szoruje, idzie do pralni za pracą, lata na reporterkę dla gazety, sprzedaje gazety, zbiera prenumeratę. Wreszcie ma zapasik z tych upragnionych wakacji trzymiesięcznych, wreszcie ma pomoc z domu.

Ciężki uniwersytet, ciężka szkoła życia, ale z tej szkoły amerykańska młodzież uniwersytecka wychodzi lepiej uzbrojona od europejskiej, lepiej zahartowana. Słabszą ma niezawodnie wyobraźnię. Mniej jest wrażliwa na psychologiczne skurcze, mniej ateńska, ale społecznie jest zdrowsza, pogodniejsza, może nie lepsza, lecz mniej skomplikowana, zaprawiona do karność, więc posiadająca wszystkie zalety do dobrego dowodzenia.

Przy tych wszystkich pozornych utrudnieniach, przy tych olbrzymich kosztach, Ameryka posiada i w tym kierunku, w małym stopniu gdzie indziej znane, cnoty.

Druty kolczaste, żądania, obostrzenia, wysokie opłaty, ale równocześnie drzwi stojące otworem. Ucz się, kształć się.

Kursów bezliku! Dla starych, dla młodych, dla głuptasków, dla magistrów, bodaj dla doktorów filozofii. Czy komuś się przywidziało kury hodować, czy tkackie zakładać warsztaty, czy ktoś dopiero w Chrystusowych latach<sup>145</sup> uczuł głód wiedzy, dla tego otworem wszystko.

Oto kurs jedwabnictwa, kurs pszczelarstwa — poezja, artyzm, sztuka, pchnięta na szczyty — oto kursy korespondencyjne, idące do zabitych deskami kątów, listami otwierające mózgi. I ciągle ułatwienia, i zawsze ułatwienia, i w sumie też sama wielkowość naukowa.

A przy tej wielkowości żadnych przesądów. Oto jeden z tysiąca przykładów, tym jedynie ważniejszy, że datujący z czerwca roku 1931.

A więc prezydent (rektor) uniwersytetu stanowego w Missouri, więc uniwersytetu nawet „rządowego”, znany dobrze uczony Walter Williams, przy rozdawaniu uroczystym ośmiuset trzydziestu dziewięciu stopni naukowych, przypomniał panom studentom, że on sam żadnego stopnia naukowego nie posiada, że jako trzynastoletni chłopiec opuścił był<sup>146</sup> szkołę elementarną, zaciągnął się był do pracy w drukarni i doszedł powoli jako samouk do rektorskiego stolca. Walter Williams ma dzisiaj siedem tysięcy studentów, ma fakultet złożony z trzystu siedemdziesięciu pięciu profesorów i jest twórcą i organizatorem pierwszego na świecie fakultetu dziennikarskiego... Taki człowiek bez żadnych praw.

Jeżeli jutro zjawi się taki sam Walter Williams, to i jutro, choć bez praw, w amerykańską togę rektora uniwersytetu spowić się może.

Bardzo ciekawym przyczynkiem do dobrego zrozumienia rozwoju i bytowania wyższych zakładów naukowych w Stanach Zjednoczonych są wykazy źródeł, z jakich te zakłady czerpią swe fundusze.

Wszystkie dochody kolegów i uniwersytetów amerykańskich (ostatni rok sprawozdawczy 1927–28) tworzą 547 milionów dolarów — około pięciu miliardów złotych rocznie!

Z tych 547 milionów opłaty studenckie wynoszą 178 milionów — kasy stanowe i kasy miejskie wykładają 115 milionów dolarów — rząd federalny wydatkuje 17 milionów dolarów — procenty od kapitałów przynoszą uczelniom 58 milionów — różne dochody 64 miliony — brakującą sumę 115 milionów dolarów otrzymują uniwersytety i kolegia amerykańskie w formie ofiar od pocziwych obywateli...

Sto piętnaście milionów dolarów rocznie, czyli przeszło jeden miliard złotych rocznie dobroczyńcy amerykańscy składają dobrowolnie na ołtarzu wyższego wykształcenia!...

I wyższe wykształcenie amerykańskie rwie naprzód z zawrotnym pędem.

Europejski sarkazm bez trudu wykrywa w olbrzymich bibliotekach uniwersytetów amerykańskich wyróżniane panienki czytające romansidła.

<sup>144</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Chrystusowe lata — po trzydziestce; wiek dojrzały. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>opuścił był (daw.) — forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: opuścił wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

Europejski sarkazm podrzuca sobie mocno z dziecinady amerykańskiej, z tego niewolenia młodzieży do pisania „*short stories*”, do pisania nowel przy wbijaniu jej w głowę znakomitych przepisów na tworzenie arcydzieł...

Europejski sarkazm zadość się rozpisuje o tych świątyniach bez bóstwa, o tych pałacach wiedzy rozbrzmiewających zawodzeniem „jazz bandu”, o tych przybytkach nauki, które są jeszcze tylko gmachami, murami czy marmurami, ale jeszcze nie kwiatem żywego ducha ludzkiego.

Aleć ten sarkazm europejski jest już sarkazmem zbiedniałego rycerza o rdzewiejącym herbie, toć jest może już i zawiścią, i uczuciem bezsilności tych zasłużonych zasługami wielkiej przeszłości, a dzisiaj przeważnie na chudopacholstwo wydanych, znakomitych europejskich uczelni.

Ameryka idzie naprzód, tak śmiało, tak zawrotnie, że bodaj niedalekie już czasy, kiedy jako dawniej imć pan Kochanowski do Padwy, do Sorbony paryskiej się napierał — tako młodzieniec ambitny, a gorący będzie roił o politechnice w Bostonie, o uniwersytecie w Kalifornii, o chemii w Columbus, Ohio, o medycynie u John Hopkinsa w Baltimore.

Niedalekie już czasy.

## TWÓRCZY RDZEŃ ORGANIZACYJNYCH SZKIELETÓW

Najpotężniejszą bodaj dźwignią bytowania amerykańskiego jest sztuka organizacji, jest niespotykana nigdzie zdolność do ujmowania byle odruchu życia w karby pewnego zmechanizowanego ładu. A znamieniem tej potężnej dźwigni jest sprawność, jest sprężystość i jest to, co obywatel Ziemi Washingtona nazywa „*emergency*”, a co jest jakby równoczesnym napięciem strun mózgowych i natężeniem mięśni.

Organizacja pracuje, dociera do najbłahszych, najdrobniejszych szczegółów — „*emergency*” działa w ukryciu, oka nie zmruży, na sekundę nie spocznie, szukając, kędy<sup>147</sup> organizację ulepszyć, kędy ją wzmocnić, kędy uprościć.

Amerykanin szybciej ogarnął, że nie tylko struktura państwowa, nie tylko kontury społeczności muszą opierać się na organizacyjnych szkieletach, być niejako cieniem ładu i harmonii wszechświata — aleć i każdy ludzki wysiłek, każdy zamysł winien mieć swój własny kościec — stąd bowiem zysk powszechny, stąd ułatwienie, oszczędzenie trudu, umniejszenie krwawego potu, przysporzenie drogiego czasu.

Ale ten szkielet, ten kościec organizacyjny nie może być martwy, musi posiadać rdzeń, twórczy miąższ, musi być przejęty włóknami nerwów, aby czuć, aby rozumieć, aby wnikać w najmniejszą komóreczkę życia zbiorowego.

Jakoż od prezydenta Stanów Zjednoczonych począwszy do ostatniego pariasa obywatelskiego, każdy rozumie wartość organizacji, każdy się do niej garnie, każdy ją wyznaje.

Tysiąc listów do głowy państwa co dzień, co godzina prawie, i co dzień, co godzina tysiąc rusza odpowiedzi za podpisem Coolidge’a czy Hoovera.

Żadnych ceremoniałów, żadnej chińszczyzny.

„Mój Drogi Panie Prezydencie!” — pisze sobie jakiś farmer spod Dallas i podpisuje się na dole „*yours trully*”, czyli „pański szczerzy”, a więc tak, jakby pisał do mało znanego kumotra lub do dostawcy smarów do sieczkarni. I co więcej, farmer „klaruje” pierwszemu dygnitarzowi jakąś sprawę, którą sam nie bardzo rozumie. List wyprawił, list doszedł, a więc odpowiedź musi nastąpić natychmiast...

Imć pan Hoover ani czasu nie ma zadość na odczytywanie korespondencji, na wysłuchiwanie nadsyłanych mu telegramów. Do tego jest biuro, do tego są pełnomocnicy mający prawo podpisywania listów imieniem i nazwiskiem prezydenta, do tego są referenci, aby z worków bibuły dobywać kwestie ważne, doniosłe, wymagające już bezpośredniej uwagi pierwszego dostojnika.

Kto pisze do prezydenta, kto się doń zwraca, ten może być pewny szybkiej odpowiedzi a, co więcej, najprzychylniejszego rozpatrzenia dezyderatów.

Też same zasady wyznaje każdy amerykański urzędnik, tej samej reguły trzyma się zarówno gubernator stanu, jak i małuczki kancelista biura podatkowego. Nie ma mitręgi, nie ma bałamuctwa, ani marek pocztowych, ani marek stemplowych, ani wyjątkowej

<sup>147</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

laskawości, ani dowodu nadzwyczajnego wychowania, lecz obowiązek, lecz poczucie organizacji.

W silniejszym jeszcze stopniu każda instytucja państwowa, naukowa czy społeczna mają we krwi swej wszczepione zrozumienie potrzeby służenia pomocą każdemu obywatelowi.

Wyobraźmy sobie tego rodzaju instytucję jak jakowys Centralny Urząd Statystyczny, jakoweś astronomiczno-fizjograficzne stacje lub wreszcie całe gmachy rolnych, handlowych, prawnych czyli<sup>148</sup> przemysłowych pełne zagadnień.

Czynią, zabiegają jako i wszędy, ale równocześnie i czynią, i zabiegają jeszcze inaczej.

W stanie Luizjana, niedaleko miasta Baton Rouge, proponują komuś nabycie bardzo pięknej własności. Ów ktoś mieszka, przypuśćmy, niedaleko San Diego w Kalifornii. O Luizjanie pojęcia nie ma.

Jakże sobie radzi?

Pisze wprost do Waszyngtonu do odnośnych biur. I biura te, choć pochłonięte własną pracą, dostarczają mu natychmiast najskrupulatniejszych danych dotyczących wartości gleby, tej jemu proponowanej, produktów nadających się do uprawy, opadów atmosferycznych, komunikacji, najbliższych rynków zbytu, słowem, czeka nieznanego obdarzą przemożnym materiałem informacyjnym, przestrzegają, uchronią od niejednego zawodu.

Inny człek pracuje naukowo. Stara się wyczerpać ogłoszone już drukiem prace z danego zakresu wiedzy, ale ma wątpliwości. Ogarnął najbliższe biblioteki, najbliższe źródła, lecz tysiące mil dzieli go od tych najbogatszych krynic, jak na przykład słynna Biblioteka Kongresu w Waszyngtonie lub Biblioteka Publiczna w Nowym Jorku.

Jakże uczynić?

Starczy napisać list. Biblioteki zaprzęgają do poszukiwań swoich urzędników, udzielają wyczerpujących wskazań. Co więcej, prześlą drogocenny materiał do biblioteki znajdującej się w najbliższym sąsiedztwie szperacza. A jeżeli ten szperacz przedstawia, uchowaj Boże, jakiś drobny autorytet, to mu księgi dostarczą do domu, pożyczą na miesiące.

Nieco podobnie postępuje sprytny handlarz kosztowności...

Jaś amerykański chce amerykańskiej Zosieńce kupić na wiązarek drogocenne świecidelko. Wyczytał ogłoszenie jubilera z Indianapolis, aleć to czterdzieści osiem godzin drogi koleją. Handlarz przecież jest zorganizowany. Przesyła Jasiowi katalog. Jaś wybiera sobie kilka przypadających mu kosztowności i zawiadamia o tym handlarza. Handlarz odwrotną pocztą, bez żądania pieniędzy, wysyła paczkę biżuterii do... bankczku znajdującego się w najbliższym Jasia osiedlu. Banczek zaprasza Jasia do siebie i pokazuje mu wybrane próbki. Jaś kupuje i płaci albo niezadowolony uchyla się od transakcji. Nie ma urazy...

Ale co główniejsza, między handlarzem a poszczególnymi bankczkami nie ma żadnej komitywy, nie ma żadnej umowy. Jest to sobie równie prosta kombinacja jak wysłanie telegraficzne bukietu kwiatów przez Jasia mieszkającego w Filadelfii do tejże Zosi amerykańskiej kąpiącej się w danej chwili w Pacyfiku.

Ogrodnik w Filadelfii wziął pieniądze, zatelegrafował do ogrodnika w San Francisco, aby tej a tej pani Zosi doręczył taki i taki bukiet, w takiej i takiej cenie.

Lecz warto jeszcze wrócić do Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie.

Cztery miliony książek, prawie trzy miliony map, sztychów i wszelakich muzykaliów. Centrala regulacji praw autorskich, przemożne archiwum żywota Stanów Zjednoczonych. Praca wre. Decymalny system kartkowego katalogu. Każda książka opisana z bajeczną ścisłością. Każda kartka katalogu to rezultat skomplikowanej, trudnej pracy... długiego ślęczenia, niekiedy długiej dyskusji... To majstersztyk bibliotekarstwa.

Owóż dla tych majstersztyków właśnie istnieje równie wspaniała organizacja.

Zapamiętajmy sobie dobrze, że nad zakatalogowaniem jednej i tej samej książki męczy się pan bibliotekarz w Krakowie, dręczy się pan bibliotekarz we Lwowie, poci się pan bibliotekarz na Krakowskim Przedmieściu i pan bibliotekarz na ulicy Rakowieckiej w Warszawie.

I przypuśćmy, że wszyscy ci panowie bibliotekarze odznaczają się tą samą skrupulatnością, w rezultacie przecież dają nie sumę wysiłku wielu mózgów, lecz wysiłek tylko jednego...

<sup>148</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

W Waszyngtonie Biblioteka Kongresu karty katalogowe ma do dyspozycji wszystkich innych bibliotek i zbiorów. Wystarczy napisać do Biblioteki Kongresowej, że potrzebne są karty katalogowe takich a takich dzieł, aby dla swego księgozbioru, aby dla każdej innej biblioteki posiadać równie znakomite źródło decymalnej orientacji katalogowej.

Jegomość wybiera się w podróż. Północną swą powłokę chciałby w południowym wyprażyć słońcu. Jest niezdecydowany, rad by wybrać odpowiednią marszrutę, bądź wyjątkowo piękną, bądź najkrótszą, najdogodniejszą czy najtańszą. Spogląda na pierwszą z brzegu mapę i rzuca kilka lub kilkanaście kart pocztowych z oschłym zapytaniem. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin docierają doń całe zeszyty rozkładów kolejowych, objaśnień, albumów ilustrowanych zachwalających te lub inne postoje, te lub inne kombinacje. Ale wyobraźmy sobie, że jegomość zamierza puścić się swoim samochodem i że nie należy do związku amerykańskich automobilistów, który by go od razu zaprowadził we wszelki materiał informacyjny, a, dajmy na to, ma zamiar dotrzeć z New Bedford w Massachusetts do Santa Fe w Nowym Meksyku. Posyła więc zapytanie do izby handlowej w Santa Fe. Izba handlowa tego niewielkiego, bo coś dwanaście tysięcy mieszkańców liczącego miasteczka, wyprawi mu również bezpłatnie najpiękniej wydane wskazówki, postara się dlań o wykres najdogodniejszej drogi i gotowa będzie wniknąć w najdrobniejsze kłopoty spodziewanego turysty.

Ale jegomość nie lubi pisaniny. Dość tedy, aby się udał na najbliższą stację kolejową, gdzie nie tylko ustnie otrzyma objaśnienia, ale i całą pakę bezpłatnych przewodników i rozkładów jazdy.

Duszą każdej fabryki i każdego handlu, każdej instytucji prywatnej lub państwowej jest nie administracja, nie dyrekcja, lecz to biuro właśnie, które stoi jakby poza nawiasem wszelkich codziennych turbacji danego zakładu, a które tworzy wymienione powyżej „emergency”.

To „emergency” jest równocześnie i laboratorium doświadczalnym, i czynnikiem twórczym, i kontrolerem, i wywiadowcą, i kalkulatorem, jakby ośrodkiem mózgu.

Dyrekcja, administracja działają w określonych ramach, idą równomiernie w pewnym kierunku.

„Emergency” szuka nowych dróg, nowych metod, nowych materiałów, nowych sposobów produkcji, szuka oszczędności, większej wydajności pracy, nowego pomysłu na reklamę, nowych terenów działania, szuka nowych konsumentów, nowych rynków zbytu.

„Emergency” baczy na współzawodnictwo, nic jego uwagi nie ujdzie. A celem, a zadaniem głównym tego ukrytego ośrodka mózgu amerykańskich instytucji jest, aby naprzód iść, aby nie ustawać w drodze, aby nie dać się wyprzedzić, aby nie dać się pleśnić, aby uniknąć tego, czym lubi się chwalić instytucja europejska... a więc bezruchu, strupieszności, trwania na jednym miejscu aż do rozsypania się w gruzy.

Jeżeli sto lat liczy firma kupiecka, to po stu latach w Ameryce na tym samym miejscu, kędy zajmowała niepozorny sklepik, w tym samym miejscu ogarnęła już cały blok budynków, po stu latach ma sto sklepów, po stu latach istnienia do stu sięgnęła miast...

A dokazała tego dzięki „emergency”, dzięki tej czujnej sprężystości, która nie waha się napływające dochody rzucać na inwestycje, na rozbudowę, na doskonalenie.

Wysiłek amerykańskiej pracy organizacyjnej posiada i tę wielką zaletę, że nikim nie gardzi, niczego z góry nie odrzuca i niczego nie lekceważy.

Myśl ludzka jest wszystkim i ta myśl chadza niekiedy i po topieliskach, i ta myśl świeca często pod czaszkami małuczkich.

Jednej myśli starczy, aby rozproszyć grożącą ludzkości nawałnicę, aby uciszyć rewolucję, uśmierzyć bunt. Jedna myśl znaczy więcej, aniżeli latami wzbierający ekonomiczny kataklizm.

Otóż Amerykanin ma dla tej myśli ludzkiej jak najgłębszy szacunek, gotów jest zawsze w lot ją chwycić, czyha na nią, skrada się ku niej.

Nie gardzi zresztą nawet konceptem, nawet dowcipem, nawet żartem.

Ma w sobie zawsze i coś z Barnuma, nie z samej jego dobroci i poczciwości wielkiej, ale i z tej pogody ducha, którą filantrop a genialny organizator cyrku tłumy umiał rozbrajać.

Do Barnuma, który był po całym świecie szperał zawsze wszelakich pokrak, wszelakiego połamaństwa, wszelakiego cudactwa, zgłosił się był<sup>149</sup> nędzny człeczyna z propozycją, czyby odeń nie nabył kota wiśniowego koloru...

Barnum ani chwili się nie targował. Nędzny człeczyna stawiał się był z osobliwym okazem, umieszczonym w koszyku. Otworzył jego pokrywkę i oto oczom Barnuma ukazało się pospolite, gnaciaste, czarne kocisko.

— Toć miał być przecież wiśniowy!

— A czyliż nie ma czarnych wiśni? — odparł spokojnie człeczyna...

W trzy dni później olbrzymie afisze ogłaszały kota wiśniowego koloru całej Ameryce.

I cała Ameryka podwójnym pędem gnała do bud cyrkowych i trzęsła się szczerym, zdrowym śmiechem...

Statystyka amerykańska może nieco zarożumiale utrzymuje, że od roku 1733 cały świat zdołał zaledwie dokonać dwudziestu sześciu istotnie doniosłych wynalazków, podczas gdy Ameryka, podczas gdy Stany Zjednoczone od roku 1752, a więc od piorunochronu Franklina, zdobyły wynalazków sześćdziesiąt jeden!...

I można by od razu z tą statystyką amerykańską pójść na pięści, boć maszynę do szycia wynalazł Francuz Thimonnier w 1830 roku, a nie Amerykanin Howe, jak chce statystyka amerykańska dopiero w roku 1846. Aeroplan nie jest wynalazkiem braci Wrightów, boć przed nimi większe zasługi położył choćby Santos Dumont, jeden z wielu pionierów szybowania w powietrzu. Kinematograf nie jest dziełem Edisona, lecz braci Lumière, zarówno jak i wiele innych zdobyczy amerykańskich, które poczęły się z prac przygotowawczych, z nauki, z idei europejskiej.

Należy atoli<sup>150</sup> przyznać, że Ameryka zdołała daleko większą liczbę pomysłów i dociekań ludzkich zrealizować, że umiała je i umie szybciej stosować, że nie posiada ani krzty tego uporów, tej niewiary, tego sceptycyzmu, tej ociężałości, jaką odznacza się Europa.

Każdy europejski wynalazek jest najczęściej zdobyczą jakiegoś cichego laboratorium, dziecięciem w nędzy tarzającej się wiedzy, najczęściej tuła się po prelekcjach, broszurkach, przez całe lata służy za fajerwerk dla popularnej gadaniny, przez całe lata wygląda światła dziennego.

W Ameryce takież wynalazek szuka z miejsca praktycznego wyrazu, szuka wiru życia, chwili jednej nie zmitręży. Tę zdolność swoją zawdzięcza właśnie sztuce organizowania, sztuce potężnej, bo równającej się niekiedy wartości samego wynalazku, a nieraz go przechodzącej.

Europejski Edison byłby może po dziś dzień poźółkłą plamą jakowejś akademii, nieznanym szerszemu ogółowi zeschłym profesorem, może kawalerem krzyża, a może nawet całym tegoż krzyża komandorem, ale zawsze chodzącym w tyle luminarzy mających jedną gwiazdę na wątrobie, a drugą powyżej śledziona.

Ameryka tegoż samego Edisona robi z miejsca milionerem, usuwa odeń wszelkie zgryzoty chleba powszedniego, umożliwia realizowanie najzawrotniejszych jego pomysłów, zamienia go w czołowego człowieka olbrzymiego przedsiębiorstwa, które nie tylko rewolucjonizuje świat lampami żarowymi, zasypuje fonografami, kinematografami, ale i skupuje wszelkiego rodzaju projekty, bada plany, z plew wyluskuje ślady zdrowego ziarna, wytwarza jakby masową produkcję wynalazków.

Boć jeżeli trzeba nie lada dowcipu, ażeby wpaść na pomysł tak zwanej „mameczki”, a więc szpilki z bezpiecznikiem chroniącym od ukłucia, toć trzeba jeszcze większego sprytu, aby taki drobiazg jak „*safety pin*” spopularyzować, zamienić na góry dolarów.

Niedołężny sentymentalizm rad wypominać, że ten i ów wynalazca w niedoli dokonał żywota, podczas gdy produkt jego inwencji obcym ludziom, niegodnym chciwcom przyczynił milionów.

Powierzchowny sąd. Krzywa sprawiedliwość.

Ileż to genialnych wynalazków zmarniało w zamierzchłej przeszłości. Ileż było takich, które w onym niezapomnianym Muzeum Aleksandryjskim zamieniły się w okazy zabawek, wymyślnych sztuczek, które nigdy nie znalazły praktycznego zastosowania.

<sup>149</sup>zgłosił się był (daw.) — forma czasu zaprzeszłego; znaczenie: zgłosił się wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>150</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]



Weźmy dla przykładu tak prosty instrument jak popularna „żyletka”, maszynkę do golenia pomysłu Francuza Gilette’a. Francuz otrzymał był<sup>151</sup> ponoć za swoje dzieło liche centy i zmarniał w biedzie. Towarzystwo akcyjne produkujące jego maszynkę do golenia znaczne osiągnęło zyski, cały świat ogarnęło, lecz, czego się nie bierze pod uwagę, o całe miliony większego musiało dokonać wysiłku, aniżeli twórca owej maszynki.

Przyjrzyjmy się jej z bliska. „Żyletka” w ciągu kilku lat dobyteła się z trudnych początków kosztownej osobiowości i zamieniła powoli w nieodzowny przedmiot męskiej toalety... Cena jej równoległe jeła spadać z zawrotną szybkością, doszła wkrótce do takiego zenitu, że w Ameryce można mieć „żyletkę” jako dodatek do pudełka cygar.

Dlaczego? — Dlatego, że amerykańska „emergency” zrozumiała, że zyskiem na maszynce do golenia powinny być zużywane ostrza, że stąd każda „żyletka” jest sama przez się kapitalikiem przynoszącym dużą lichwę.

Po pewnym czasie ta sama „emergency” stwierdziła, że dochód ze sprzedaży ostrzy do golenia nie wzrasta dostatecznie. Czyżby zawiniły tu konkurencyjne maszynki? — Bynajmniej. Przekonano się, że wina spada właściwie na same ostrza, na ich zbytnią wytrzymałość, na łatwość ponownego ich naostrzenia.

„Emergency” rzuciło się do gwałtownych prób, do ratowania towarzystwa akcyjnego.

Cenę sprzedażną „żyletki” sprowadzono do centów, wypiękniono ją, wymuskano, a natomiast ostrza usprawniono... Golą znakomicie, w dotknięciu zdają się być jedwabną niteczką, lecz są cieńsze i mają pośrodku dwa wycięcia w formie rombów... Stąpione, za najlżejszym pokuszeniem się o naostrzenie pękają na dwoje...

Konsumcja ostrzy do „żyletek” wzrosła o sto procent.

Ów pan Eastman rochesterski, król Kodaka, ów bogacz, o którym było wspomniane w poprzednim rozdziale...

Nie maż<sup>152</sup> bodaj miasta większego na kuli ziemskiej, w którym by nie było sklepu Kodaka, nie maż bodaj takiego aparatu fotograficznego, który by za równie niską cenę był uzbrojony w tak precyzyjną konstrukcję, nie maż aparatu fotograficznego, który by równie łatwo było prowiantować<sup>153</sup>.

Czasy wszakże przyszły w Stanach Zjednoczonych gorsze. Dwa lata temu liczba sprzedanych w ciągu roku Kodaków spadła raptownie.

Biuro „emergency” zakładów pana Eastmana wydało decyzję...

Szlachetny bogacz z wielkopańskim gestem w okresie zamknięcia roku szkolnego ogłosił: „wszyscy uczniowie kończący w tym roku »high school«, otrzymają w darze aparat fotograficzny Kodaka razem z dwunastu kliszami”...

Innymi słowy, pan Eastman ofiarował czterysta do pięciuset tysięcy aparatów fotograficznych... Miliony kosztujący prezent. Uciecha szalona dla młodzieży...

Nie mniejsza uciecha dla biura „emergency”, biura sprawności wytwórczej, boć prosty rachunek wykazuje, że im więcej działa Kodaków, tym większy obrót, tym większa produkcja klisz i akcesoriów fotograficzno-kodakowych.

Kupiec, przemysłowiec amerykański stara się czym prędzej swój business dobyć z pieluch początkowości. Za to dobyte z pieluch uważa zamianę swego handlu, swego przedsiębiorstwa na towarzystwo akcyjne. Firma może nosić jego nazwisko, wszystkie akcje mogą stanowić jego osobistą własność, zarząd towarzystwa może się składać z kilku słomianych ludzi, z członków jego najbliższej rodziny — byle tylko odpowiedzialność była ujęta granicami towarzystwa akcyjnego.

Kupiec, przemysłowiec amerykański ogranicza w ten sposób własne ryzyko, rzuca na szalę fortunę czy część tej fortuny, ale z góry zabezpiecza sobie odwrót.

Dzięki temu, dzięki niesłychanej łatwości zakładania towarzystw akcyjnych, organizacja amerykańskiego handlu i przemysłu odznacza się śmiałością, może ryzykanctwem, może zbyt lekkomyślnym przyprowadzeniem innych o milionowe straty. Rozumie się bowiem samo przez się, że kupiec, że przemysłowiec staje się niejako administratorem swego własnego przedsiębiorstwa, że odpowiada jedynie majątkiem akcyjnego towarzystwa, że bankructwo jest bankructwem towarzystwa, a nie właściciela akcji. Liberalizm w tym

<sup>151</sup>otrzymał był (daw.) — forma czasu zaprzeszczonego; znaczenie: otrzymał wcześniej, uprzednio (przed wydanieniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>152</sup>maż — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>prowiantować — zaopatrywać w prowiant; tu: zaopatrywać w materiały do eksploatacji. [przypis edytorski]

kierunku idzie tak daleko, że stan Delaware, stan w porównaniu do innych ubogi, zrobił sobie istną specjalność z zatwierdzania stowarzyszeń akcyjnych. O ile, dajmy na to, stan Connecticut stawia korporacji akcyjnej trudności, żąda od niej pewnej gwarancji, żąda zabezpieczenia kapitałów, kandydaci do geszefciarskich akcji jadą sobie do Wilmingtonu, jadą sobie do Delaware. A tam byle opłaty wnieść — nie ma żadnych zastrzeżeń. Raz, dwa — wszystko podpisane, akcje na pergaminach wylitografowane, byle handel szedł, byle był zysk niby w słynnym Reno na rozwodach... Prawo o wzajemności towarzystwu zatwierdzonemu w jednym stanie pozwala działać we wszystkich innych.

A więc z tych akcji wiele sposobności do szalbierstwa, do oszustwa, ale nieznana gdzie indziej łatwość prowadzenia interesów. Kupiec, któremu się noga poślizgnie, może nowe czynić próby, może, jeżeli nie za pierwszym, to za piętnastym razem wypłynąć, osiągnąć powodzenie.

Co ważniejsze, z tego mrowia towarzystw akcyjnych w Ameryce dźwigają się zawrotnego rozmachu korporacje, które niejednokrotnie od maleńkich zaczawszy obrotów, opanowują rynki produkcji czy zbytu, zamieniają się we wszechświatowej mocy krezusków.

Za plecami takich anonimowych korporacji stoją zazwyczaj ich główni reżyserowie. Oni targają arkanami rynku, oni dochodzą do milionów, oni dyktują ceny, oni swymi mackami obejmują sprzężyny władzy wszystkich czterdziestu ośmiu republik.

Tacy „macherzy” z reguły specjalizują się, chwytają w ręce pewien produkt, pewien dział pracy ludzkiej, wyrastają dzięki sztuce organizacji na królików, na mocarzy panujących między, stali, węglowi, srebru, złotu czy po prostu dolarowi.

Z tego królowania wynika standaryzacja, wynika dążność do ujednostajnienia, do utożsamienia sposobu eksploatacji, z tego wynika szkodliwe pod wielu względami zagarnianie, odbieranie ludziom samodzielności.

Wielki kapitał w tym wypadku jest w całkowitej zgodzie z taką polityką państwową, którą dręczy chorobliwy etatyzm, a więc chęć upaństwowiania rozmaitych działów pracy, chęć powiększenia swych dochodów przez upaństwowianie przedsiębiorstw.

Jednym z takich chorobliwych tworów, które w ogólnym dorobku wiele krzywdy wyrządziły i wyrządzają Stanom Zjednoczonym jest tak zwany „łańcuch”<sup>154</sup>.

„Łańcuch” w umiarkowanym zastosowaniu posiada nawet zalety, lecz tenże sam „łańcuch” nieco silniej rozciągnięty, zamienia się w sploty dusiciela miazdzącego wszystko to, co niezdolne jest oprzeć się jego stalowym uściskom.

„Łańcuch”? — Więc supremacja kapitału, więc monopol, więc zamiast stu sklepów towarów kolonialnych cztery tylko olbrzymie składy, i składy powtarzające się automatycznie we wszystkich amerykańskich miastach i miasteczkach.

Te składy posiadają własne wytwórnie, te składy zakupują produkty u źródeł, te składy posiadają własne plantacje, własne hodowle, własne fabryki, własne okręty...

Taki oto „Atlantic-Pacific” kpi sobie ze wszystkich amerykańskich cen rynkowych, nic go nie obchodzi, czy na pobliskim targu ziemniaki poszły w górę, czyli<sup>155</sup> mąka spadła w cenie, czyli cukier podrożał. „Atlantic-Pacific” nie zna pośredników, idzie wprost z pola do konsumenta. Biję, rujnuje, niszczy drobnych sklepikarzy, bogatych skazuje na suchotniczy żywot, jeno<sup>156</sup> wyjątkowo zdolnym pozwala przetrzymać zabójczą konkurencję.

„Atlantic-Pacific” zyski swoje redukuje niekiedy do jednego centa na przedmiocie. „Atlantic-Pacific” pracuje w tysiącu naraz sklepach, zagarnia miliony, miliony zarabia z godziny na godzinę, kontroluje rynek amerykański, wydaje mu rozkazy, rządzi, włada, ma go za swego pacholka.

Każdy nowy skład „Atlantic-Pacific” to wyrok śmierci, to zbliżanie się zagłady, to ruina dziesiątków rodzin... Toć dla sklepikarza jedyna jeszcze nadzieja dawanie „na borg”<sup>157</sup>, spodziewanie, że nędza wyżywi go lichwą.

Handel tytoniem w Stanach Zjednoczonych nazywa się albo „Schulte Retail Stores” albo „United Cigar Stores” i znów od Pacyfiku do Atlantyku, od Kanady do Rio Grande

<sup>154</sup>łańcuch (ang. *chain*) — tu: sieć sklepów. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>na borg (daw.) — na kredyt; z umówionym opóźnieniem płatności. [przypis edytorski]

w każdym miasteczku, w każdym osiedlu łańcuchowe sklepy tych dwu firm zezujących ku sobie. One decydują o powodzeniu takich i takich gatunków, one swymi cenami obrzydzają wszelkim innym wysiłkom tytoniowe rachuby.

Niekiedy między fabrykantami wybucha bijatyka, niekiedy nawet tak potężna firma jak magazyny Macy w Nowym Jorku biorą się za czuby z magazynami Gimbla i rozpoczynają bodaj papierosową chryję. Oto taki Macy, aby Gimblowi dokuczyć za obniżenie cen na jedwabkach, ogłasza naraz, że pudełko paczek słynnych „Camel” będzie sprzedawał tego i tego dnia po sześćdziesiąt pięć centów, czyli poniżej ceny fabrycznej! Gimbel w tej chwili reklamuje, że taka sama ilość „Camel” u niego jest warta tylko sześćdziesiąt centów. Licytacja *in minus* idzie z zawrotną szybkością. Po pięciu dniach robi się awantura. Muncypalność deleguje pięciuset policjantów, aby tłumy pędzące po te tak niesłychanie tanie papierosy utrzymać w jakiejś takiej karność... Macy traci na „Camelach” tysiące, ale równocześnie czekającym w ogonkach wyprzedaje mnóstwo wszelakich fatalaszków, stratę na papierosach ratuje rękawiczkami, krawatami, płótnem i różnymi wycinanymi zeń kombinacjami...

Systemu łańcuchowego trzymają się nawet „departamentowe” sklepy, czyli te przepastne magazyny, tworzące amerykańskie arki Noego wszelkich artykułów zbytku czy też codziennej potrzeby. I one mają rozrzucone swe filie, swe agencje, swe „*chain stores*”.

Choćby słynny „Montgomery Ward” i konkurujący z nim chicagowski „Sears Roebuck”, którzy całą niemal ogarniają Amerykę, a którzy zabiegliwością<sup>158</sup> kupiecką biją wszystkie możliwe rekordy. Taki „Montgomery”, taki „Sears Roebuck” na jedno skinienie wyprawiają bezpłatnie księgi ilustrowane liczące do tysiąca stron druku, na jedno skinienie klienta ślą wszystko, poczynawszy od kolii pereł i samochodu aż do młocarni, aż do pudełka wykalacek. I zawsze gotowe do przyjęcia z powrotem towaru, zawsze gotowe do zamiany, i zawsze gotowe do zwrotu pieniędzy, i zawsze łomocząc cenami wszystkie handle amerykańskie razem wzięte.

Mocniejszym łańcuchem są bodaj tak zwane sklepy dziesięciocentowe, sklepy, w których każdy przedmiot kosztuje dziesięć centów, a które słyną wprost z niesłychanych „okazji”.

Genialny twórca tych sklepów, jakim był Woolworth, a za nim jego współpracownik Kresge, pokryli całe Stany Zjednoczone siecią tych jedynych w swoim rodzaju sklepów. Roi się w nich od świtu do nocy, czasami ani się do nich docisnąć, ani dotrzeć, ile że krom<sup>159</sup> przedziwnego doboru najpraktyczniejszych przedmiotów mnóstwo rzeczy za bezcen... Są to z reguły resztki jakowychś przymusowych likwidacji, szczątki bankructw, trociny po komorniku, sprzedawane ze stratą, sprzedawane na przynętę.

Ale system łańcuchowy idzie dalej, sięga jeszcze głębiej. Taki sławetny Hearst, właściciel kilkudziesięciu czasopism amerykańskich, ma już łańcuchowych dziennikarzy, ma takiego Brisbane’a, którego artykułiki ukazują się codziennie we wszystkich wydawnictwach Hearsta, ma felietonistów standaryzowanych, ma ilustratorów...

W ten sposób kilkunastu ludzi odbiera chleb powszedni setkom swoich uboższych czy mniej zdolnych, czy mniej protegowanych kolegów.

Nawet humorystyka, nawet karykatura amerykańska jest w ten sam sposób złańcuchowana. Owi słynni w Ameryce „kartoniści”, a więc rysownicy humorystycznych historii, opowiadający na modłę niemiecką całymi latami kłopoty jakiegoś dorobkiewicza, przygody pustogłowej daktylografki czy psie figle dwu dzieciaków, toć jeno<sup>160</sup> dostarczyciele towaru do odpowiednich agencji, które znów systemem łańcuchowym cały szereg obejmują wydawnictw. Ten sam koncept Manusa, ten sam dowcip setki powtarza się razy.

A cóż dopiero mówić o handlu łańcuchowym takich produktów jak benzyna do samochodów, czyli tak zwana w Ameryce gazolina.

Toć już cała monarchia, całe państwo, mające za głowę Rockefellera, którego niehumor, zmarszczenie brwi może zrujnować dziesiątki tysięcy ludzi, a którego uśmiech dobrotliwy zdolny jest skłonić całą społeczność do przymusowej filantropii...

<sup>158</sup>zabiegliwość — zapobiegliwość, staranność, nieszczędzenie zabiegów i starań połączone z dalekowzrocznością przewidywań co do możliwych konsekwencji. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

Taki Rockefeller, który, co trzeba przyznać, sypie milionami dolarów na wsze strony, na różnorodną humanitarność, umyślił sobie znów rzucić na szalę dobra publicznego kilkadziesiąt worków złota. Jednak nawet skarby Rockefellera, nawet jego zachcianki mają swe granice... Od czegoż przecież siła organizacyjna!...

Sto milionów na filantropię rusza z miejsca, a obocześnie cena gazoliny idzie w górę o jednego centa na galonie, o dziesiątkę na garncu. Po kilku miesiącach sto milionów wraca z powrotem do kasy Rockefellera... i cena gazoliny wraca do poprzedniej skali.

Poza systemem łańcuchowym handel amerykański posługuje się w bardzo wielkim stopniu tak zwanym z angielska „pedlarstwem”, czyli domokrażcami.

To, co w pewnych krajach kupiec, nawykły do leniwego wyglądu za ladą sklepową przybycia klienta, rad jest uważać za nadużycie, za przestępstwo, za wkraczanie w jego drogo opłacane przywileje — to kupiec amerykański poczytuje dla siebie samego za jeden z najpewniejszych sposobów zdobywania klientów.

Nie ma w Ameryce większego składu, nie ma producenta, nie ma księgarni, nie ma czasopisma nawet, które by nie miało całej sfery rozstawionych symetrycznie na danym terenie agentów, komiwojażerów, domokrażców chadzających, jeżdżących wytrwale i ciągle tymi samymi drogami, tymi samymi ścieżkami, od domu do domu, od kolonisty do kolonisty, z piętra na piętro i proponujący po sto razy też same zaprawy do podłóg, też same żelazka elektryczne, też same serwety, też same dywany, też same ścierki, też same świece, też same koldry, też same maszyny, też same artykuły.

Wazon czy książka, miesięcznik obrazkowy, naukowy przegląd czy encyklopedia nie poprzestaje na ogłoszeniach, nie zadowala się rozsyłaniem katalogów, wyprawianiem tysięcy listów, musi jeszcze mieć swoich domokrażców — domokrażców odpowiednio wykształconych, nie pyskaczy, nie natrętów, nie chodzików, lecz kupców uzdolnionych do demonstrowania artykułów, do budzenia chęci zakupna, do zaciekawiania, do kuszenia, do sprzedawania wreszcie.

Kupiec amerykański słusznie rozumuje, że ten klient, którego domokrażca zdobędzie, że ten klient samorzutnie doń się nie zgłosi, że błędnym jest mniemanie, jakoby domokraństwo krzywdę wyrządzało składom towarów.

Domokrażcy są w Ameryce głównymi sprężynami sprzedaży na raty, są jej pionierami i są z reguły niezawodnymi budzicielami pożądania nabywczego. Nie odbierają składom klientów, lecz raczej ich ściągają, kaptują, namawiają, do tych składów powoli przekonują.

Z tego wynika, że gdy domokraństwo w innych krajach bywa pierwszym stopniem budzącego się zmysłu kupieckiego, dziedziną uprawianą przez biedactwo, formą nieco złagodzonej żebraniny, pozorem do wyludzania pieniędzy, w Ameryce jest ono jedną z bardzo ważnych sprężyn, jednym z niezawodnych sposobów wzmożenia obrotów.

Sztuka reklamy trwa ciągle na swych niedosiętych w pomysłach, w artyzmie, w humorze niewyczerpanym wyżynach. Sztuka reklamy toć w Ameryce prawie nauka, toć symfonia najprzedziwniejszych splotów znajomości ludzkich upodobań, ludzkich słabości, ludzkich potrzeb. Wszystko tu wymierzone, psychologicznie wycelowane, uwydatnione. I wszystko to czatuje, poluje, wabi, rozśmiesza, kształci nawet niekiedy, a sprzedaje ciągle i wszędzie.

Reklama działa bez wytchnienia. W dzień i w nocy, w mrowiskach, kędy tłumy wirują i na rozstajnych drogach, na wertepach, kędy życie ludzkie ledwie gdzieniegdzie się kołaczy.

Reklama amerykańska pracuje zawsze. W przełomowych chwilach, w odpowiednich dla się momentach huczy mocniej, gorączkowiej wykrzykuje — lecz nie ustaje.

Kupiec amerykański ogłasza się najpierw stale, a oprócz tego ogłasza się i wyjątkowo mocno. Kupiec amerykański ogłasza się tym zawzięciej, im lepiej, im obficie zarabia. Żaden nie osiada na laurach wprowadzonego, ustalonego produktu czy wyrobu. Ani jeden nie da się skusić fałszywemu rozumowaniu, że jego firma już nie potrzebuje ogłoszenia, że jego firma może już na ogłoszenia mniej wydawać...

Kupiec amerykański zna, docenia niezawodną prawdę, że klientela zmienia się ciągle, że klientela wymiera, rozprasza się, że co dnia zjawiają się ludzie nowi, że tych nowych trzeba ciągle i bez wytchnienia nakłaniać, zachęcać, przekonywać, jako początkowo przekonująco się tych starych, tych wiernych, tych klientów wczorajszych.

Jedne tylko czasopisma amerykańskie w roku 1927 (ostatnie ze znanych obliczeń statystycznych) zebrały za ogłoszenia 725 (siedemset dwadzieścia pięć) milionów dolarów — czyli około sześciu i pół miliarda złotych polskich!

A gdzie miliardy wydawane na ogłoszenia na murach, na domach, na olbrzymich sztalugach, gdzie ogłoszenia świetlne, radiowe, gdzie góry cyrkularzy, listów, gdzie ogłoszenia na wszelakich podrzędnych przedmiotach, gdzie koszty tej stugębnej reklamy amerykańskiej!

Lecz kupiec amerykański miewa i swe własne koncepty, pieniędzy na wiatr nie rzuca, kontroluje wartość ogłoszeń. Operuje drukowaniem w czasopismach listów zwrotnych i sprawdza za pomocą ukrytych znaków, ile które czasopismo przyniosło mu zapytań, ile przyczyniło listów...

Sama kompozycja ogłoszenia toć problemat, toć najczęściej utwór specjalisty, toć uniwersyteckiej doniosłości zagadnienie. Wystawa magazynu to dzieło swego rodzaju artysty, zwrócenie uwagi przechodniów, to bodajby sobie nieśmiertelny pierwowzór klasycznego barnumizmu.

Spryt „do handlu” święci zawsze powodzenie.

Oto skromny właściciel handelku. Takiemu ogłoszenie w dzienniku niewiele pomaga, boć ginie, wiednieje w tłoku tysiąca innych ogłoszeń, zamożniejszych, tęższych. Zresztą klientela tego handelku — ludzie małego autoramentu.

Jak tu dojść do ładu, jak tu sobie poradzić, handelek ledwie zipie, konkurencja go dławi.

Na szczęście ocknął się ów spryt.

Właściciel handelku zakupuje dziesięć skrzyń, dajmy na to, pomarańcz. W każdej skrzyni jest tysiąc sztuk. Koszt własny jednej pomarańczy wynosi, przypuścmy, dwa centy za sztukę. Składy takie pomarańcze sprzedają po pięć centów...

Właściciel handelku powiada sobie naraz — spróbuję wydać sto dolarów na... reklamę... i zapowiada w oknach wystawowych, że dla swych klientów tego i tego dnia będzie miał znakomite pomarańcze po jednym cencie za sztukę... że, chcąc jednak wszystkich obdzielić, będzie sprzedawał jednorazowo każdemu zgłaszającemu się sztuk dziesięć...

Innymi słowy, kupiec dopłaca do każdej pomarańczy jednego centa, każdemu kupującemu daje w prezencie dziesięć centów, a równocześnie ściąga do siebie tłumy, równocześnie zarabia na musztardzie, na herbacie, na kawie, na cukrze, na serze... I w rezultacie święci niebywały dzień, odbiera współzawodnikom klientów, dobywa się z opresji, mniej sprytnych, mniej zabiegliwych<sup>161</sup> zwycięża.

Tam gdzie pracują ciche trusty, bogate firmy, tam organizacja nie waha się milionami bodaj pracować na udoskonalenie, na umniejszenie kosztów eksploatacji, kosztów handlowych.

Kto by tam naftę, naftowy surowiec włókł do rafinerii z głębi kontynentu... Zakłada się rury, przepastnej długości rurociągi; dwa tysiące kilometrów długości liczy sobie taka, z angielska nazywając, „pajpa” — i ta „pajpa” leje naftę wprost z Teksasu, z Oklahomy ku brzegom Atlantyku, wali do rafinerii, do jej zbiorników... I nie ustaje, gdyż po drodze rozstawione stacje pompami dodają jej ciągle impetu...

Pociąg za pociągiem zwała w Nowym Jorku, zwała w Chicago, w węzłowych punktach amerykańskiego ulla całe wagony brzoskwiń, jabłek, melonów, arbuźów, ananasów czy śliwek... Ceny spadają z zawrotną szybkością... Co począć? — Rozkazy nadchodzą błyskawicznie... I oto pociąg za pociągiem wysypuje owoce w nurty Atlantyku, w tonie Jeziora Michigan... Cena utrzymana. W ogólnym rozrachunku pozorne straty gwarantują niezawodne plusy.

Sezon chyli się ku zenitowi, zbliżają się ogórki, jesienne muszą ukazać się towary. Lecz po wiośnie, po czerwcu remanent nie lada. Cóż teraz z tymi górami niesprzedanych batystów, jedwabików, letnich ubrań, słomianych kapeluszy, wiatrem podszytych sukienek, paltocików?...

Kalkulacja ma aparat w pogotowiu.

Pierwsza część towaru sezonowego płaci z zasady wartość całego towaru — a pozostałość toć czysty zarobek tylko!...

<sup>161</sup>zabiegliwy — zapobiegliwy, staranny, nie szczędzący zabiegów i starań; przewidujący. [przypis edytorski]

Więc na handel z nim! Wyprzedaż i nie wyprzedaż byle jaka, okpilska, naciągalska, lecz szczerą, uczciwą... To, co wczoraj warte było dolara, to idzie za pół dolara, za ćwierć dolara, za centy idzie... Byle teraz zysk napłynął, byle towar się nie przestarzał, byle nie zleżał, byle magazyny opróżnić, byle mieć wolne składy dla przyszłych nowości...

Trudno jednak wspaniałej firmie, tylko zamożną posiadającej klientelę, poniewierać własne ceny... Trudno? — Tedy wspaniała firma całe swe niesprzedane zapasy wali na prowincję i tam, pod innym nazwiskiem, wyprzedaje za bezcen, wyprzedaje dokładnie za czysty ciągły zysk.

Nie inaczej radzi sobie amerykański księgarz.

Nowość wielka, wielki gwałt. Pamiętniki Clemenceau ukazały się na rynku. Sensacja, osobliwość... I dziesięć dolarów za książkę... Cena okrutna nawet w Ameryce, pijana cena!... Rzucają się ciekawi i możni, chwytają, bo chwycić muszą takie dzieło, biblioteki publiczne. Upływa pół roku. Nakład wyczerpany... Nadchodzi drugi już tylko po dwa dolary... Niech i tańsza publiczność ma swoje, i równie piękne wydanie.

Handel amerykański jest sprawny, energiczny, oparty na szerokim kredycie i kredytu tego nikomu nieskąpiący. Kredyt przynosi straty. Nieuczciwości nie brak. Głowa po temu, aby niewypłacalnych dłużników procentowo zrachować i z góry ich obliczyć. Rachunek strat nie może być niespodzianką dla rachunku zysków.

W handlu nie ma targów, a więc i nie ma maruderstwa i przykrej gadatliwości. Gotówka, oczywiście, zwyczają, ma swe ustępstwa, ma swe procentowe przywileje.

Kupiectwo amerykańskie cechuje pogodna uprzejmość.

„*Keep smile*” — wołają do wchodzącego klienta napisy, rozwieszone, rozstawione po całym amerykańskim magazynie.

„*Keep smile*” — świecą tuż przed oczyma złote litery klientowi pochylonemu nad podpisywaniem w banku jakiegoś cyrografu.

„*Keep smile*” — więc „zachowaj uśmiech”, więc nie trać równowagi, więc nie bluzgaj żółcią, więc nie dręcz ani samego siebie, ani swych bliźnich, więc zanim pójdziesz między ludzi, wypłuj ślinę pesymizmu, nie zatruwaj nią ani siebie, ani innych — świat należy do pogody ducha, do pogody serca!

Owóż ta pogoda ducha i ta pogoda serca jest przewodnią organizacji amerykańskich w ścisłym rozumieniu tego słowa.

Amerykanin sam przez się jest jakby urodzonym do społecznego łączenia się w gromady. Ma w sobie, być może, coś z angielskiego upodobania do życia klubowego, a może również i coś z zamięłowania do germańskiego „*vereinerstwa*”. W sumie jednak przewyższa bodaj i angielski pierwowzór, i bruderszafckie piwomaństwo, bo tworzy koliska nierównie głębiej sięgające, bardziej symbolizujące potęgę zbiorowości.

Pierwszym takim szczeblem organizacyjnym amerykańskim są stowarzyszenia ochronne, są związki oparte na wzajemności, a mające na celu samoobronę społeczną.

Francuz jest wzorem oszczędności.

Francuz ciuła, zbiera grosiwo na czarną godzinę, przewiduje zbliżającą się niemoc, nadchodzące lata chude, dni szare.

Amerykanin nie chce o tym myśleć, nie chce tym sobie głowy zaprzątać. Oszczędzać nie lubi, a w zamian zmusza samego siebie do zobowiązań, do opłat, do haraczów, w zamian asekuruje się.

I Amerykanin asekuruje się na przeżycie, asekuruje się na wypadek śmierci, choroby, asekuruje od kalectwa, od złodziei, od ognia, od gradu, od trąby powietrznej, asekuruje od nieuczciwego kasjera, asekuruje swój głos, jeżeli jest śpiewakiem, swoje palce, jeżeli jest malarzem, asekuruje nogi, jeżeli jest baletmistrem, asekuruje i towar w drodze, i majątek swój, i żonę, i dzieci i poczytuje asekurację za deskę zbawienia, za ratunek swych najbliższych od nędzy, za warunek pomyślności, za jedną z najkardynalniejszych potrzeb.

I w tej intencji, aby zmniejszyć koszt opłat, aby nie oddawać zbyt wielkich procentów zarobkowym przedsiębiorstwom asekuracyjnym, tworzy stowarzyszenia oparte na wzajemności.

Idzie tutaj nie o byle cyfry. Pamiętajmy, że w Stanach Zjednoczonych temu lat trzydzieści wszystkich polis asekuracyjnych było około czternastu milionów, opiewających na

osiem i pół miliarda dolarów — w roku 1930 takich samych polis było już sto dwadzieścia dwa miliony, a ogólna suma zabezpieczenia wynosiła sto pięć miliardów dolarów!

Według tegoż obliczenia z roku 1930 w Ameryce trzysta sześćdziesiąt dwie osoby były zaasekurowane powyżej jednego miliona dolarów. Jeden tylko znany pan S. Du Pont z Wilmingtonu jest zaasekurowany na siedem milionów dolarów, z czego wynika, że do asekuracji garną się nawet najwięksi bogacze.

Stanowe legislatury, choć w stosunku do organizacji asekuracyjnych dość czujne, nikomu wstrętów nie robią.

Asekuracja należy do działu przedsiębiorstw prywatnych, tak samo jak i telefony, gazownie, tak samo jak i linie telegraficzne.

Owóż przy takim impecie do asekuracji obok przemożnych instytucji zarobkowych wyrastają organizacje, o jakich się gdzie indziej nie śniło.

Jedno jedyne choćby takie stowarzyszenie „Wood Menów”, czyli „Leśnych Ludzi” liczy jeden milion i sto tysięcy zaasekurowanych członków, posiada dla nich nie same polisy, nie same wynagrodzenia, zapomogi, ale i wspaniałe szpitale, i sanatoria, na jakie żadna na świecie kasa chorych zdobyć się nie może.

Obok tych „Wood Menów” działają setki całe mniejszych, ale zawsze zasobnych i dobrze prowadzonych organizacji. Nawet narodowości tak bardzo niesforne jak polska tam, w Ameryce umieją się zwierzać w szeregi, zakładać związki asekuracyjne liczące po pięćdziesiąt, po sto, po dwieście i więcej tysięcy członków!

Lecz i w każdym innym kierunku obywatele amerykańscy łączą się ze sobą, tworząc wspierające się nawzajem solidarne grupy uzbrojone do działania.

Począwszy od amerykańskich masonów, miliony liczących w szeregach, a tym do swych imienników europejskich niepodobnych, że wyznają rytuał szkocki, że nie zaprzeczają istnieniu Boga, że są raczej podporą amerykańskiego protestantyzmu, aż do tak młodej organizacji jak słynny wszechświatowy amerykański „*Rotary international*” wszystko to, co trwa na mocnych fundamentach, działa, pracuje i, co więcej, nigdy nie pomija celu publicznego.

Tu „Elki”, czyli łańcuchowa organizacja „Łosi”, licząca około ośmiuset tysięcy członków i niesłychaną ilość pięknych w rozmaitych miastach budowli — tu znów „Lionsy”, więc po prostu „Lwy” i to razem z „Lwicami” — ówdzie „Kiwanisy” — tu czterysta tysięcy „Zakonu Młodszych Mechaników” — tu sto trzydzieści pięć tysięcy sfederowanych muzykantów, tu jakieś dwieście lub pięćdziesiąt tysięcy ludzi zorganizowanych w myśli prowadzenia odczytów, w myśli samokształcenia, a tuż obok sześćset tysięcy „Orłów” czy dwa miliony jednej tylko jedynej „Gwiazdy Wschodu”, czy czterysta tysięcy tak zwanych „Red Menów”, a więc „Ludzi Czerwonych”, choć na białą działających!

A we wszystkich tych olbrzymich zrzeszeniach silnie rozwinięte poczucie karności i poczucie braterstwa. Dla nowo wstępujących istna szkoła mnożenia społecznego dobra.

Niektóre z tych stowarzyszeń amerykańskich zdołały od dawna sięgnąć poza oceany. Taka organizacja, na przykład, jak „*Young Womens Christian Association*”, która legitymuje się dwoma tysiącami oddziałów i okręgów, a która liczy sześćkroć sto tysięcy członkiń, operująca budżetem sięgającym dwudziestu siedmiu milionów dolarów, jest przecież tylko młodzieńką względnie siostrą starszej i potężniejszej organizacji „*Young Mens Christian Association*”. Ta ostatnia posiada tysiąc czterysta stowarzyszeń, pięć tysięcy płatnych urzędników, milion sto członków i dwieście trzydzieści milionów majątku zgromadzonego i pracującego na chwałę ideałów chrześcijańskich młodzieży... tak wielkich ideałów, tak olbrzymich, że, na przykład, zarząd niektórych filii chicagowskich sprawują niechrześcijanie, którzy zresztą równie chętnie, jak i chrześcijanie przyjmowani są do tego stowarzyszenia.

Zasługi, choćby te jedne czasu wielkiej wojny, położone przez „*Young Mens Christian Association*”, są znane wszelkiej onych lat niedoli. Mniej znany w zamian jest szczegół, że delegaci rozdający wspaniałomyślnie mleko skondensowane, zaopatrujący biedotę w mydło, żołnierzy w czekoladę i tytoń, nieskąpiący nikomu pocieszycielskiego słowa, że ci sami delegaci zbierali po zakątkach Europy dane dotyczące handlu, przemysłu, komunikacji, towarów poszukiwanych, szukali informacji niemających bezpośredniego związku z krzewieniem nauki Chrystusa.

W tym razie owi delegaci z całą skrupulatnością szli utartymi ścieżkami amerykańskich konsulatów, szli śladami amerykańskiej komory celnej...

Każdy konsulat amerykański jest głównie i tylko świetnie zbudowaną instytucją przemysłowo-handlową. Konsulat amerykański jedynie w zapadłych kątach musi zabawiać się obowiązkami komisariatu policyjno-emigracyjnego. Jedynie w wyjątkowych razach zajmuje się polityką, natomiast zawsze i wszędzie pracuje dla amerykańskiego handlu, dla amerykańskiego przemysłu. Zbiera informacje, udziela informacji. Komunikuje interesowanym wszystko to, co w jakimkolwiek dziale wytwórczości czy zamiany jest inne, jest niezwykle, jest nowe, jest w Ameryce nieznane. I konsul amerykański nie jest fabrykantem bibuły, która w tasiemcowych bajaniach napływa do ziewających referentów jakiegoś europejskiego MSZ. Prace konsula amerykańskiego nie służą do wypełniania piwnic niepożyteczną bibułą, lecz idą ciągle od źródeł do źródeł: o chemikach do chemików, o inżynierach do inżynierów, o sklepikarzach do sklepikarzy.

Równie niezwykle instytucją jest amerykańska komora celna, ów wszechświatowej sławy „*Customs House*”, który przy sprowadzaniu towarów żąda nie tylko ich opisu, składu chemicznego, sposobu zastosowania, ale wymaga nawet dokładnego wyluszczenia całej fabrykacji. „*Customs House*” amerykański musi wiedzieć, jak mianowicie został wykonany ten nowy wzór francuskiej wstążki nadesłany do Nowego Jorku, ile i jakich nitek liczy wszędy, ile i jak wplecionych idzie wzdłuż... I „*Customs House*” jest w swych zapytaniach niezmordowany, niewyczerpany. Albo trzeba cofnąć towar, albo wypowiadać się ze swych największych sekretów... Bo amerykańska komora celna czuwa i nad własną produkcją, i tej własnej produkcji stara się przysporzyć twórczego materiału...

Lecz ta mniej chrześcijańska czy bardziej praktyczna strona działania sławnej „Cioci Ymci” nie umniejsza ani jej wpływu, ani jej znaczenia.

Amerykańskie kluby, amerykańskie organizacje, korporacje, stowarzyszenia są jednym z najważniejszych silników bytowania czterdziestu ośmiu republik.

W każdej większej potrzebie, w każdej ważniejszej chwili, te organizacje zabierają głos, sięgają poza ramy swoich powszednich turbacji. Delegacje ich ruszają, wzywane do Waszyngtonu, bo i Waszyngton w momentach ważnych musi szukać punktu oparcia wśród zrzeszeń amerykańskich. One bowiem mogą miliardami rzucić, mogą zdecydować o poborze rekruta w roku 1917, mogą dostarczyć kadr oficerskich, mogą rozkupić wewnętrzną pożyczkę, bo ich siła reprezentacyjna, bo ich głos znaczy więcej aniżeli najszumniejsze deklaracje senatu lub kongresu.

Wszystkie stowarzyszenia i organizacje amerykańskie cechuje praktyczność. Nie ma trwonienia energii, trwonienia pieniędzy, trwonienia czasu. Jeżeli kogoś powołują na dygnitarza towarzystwa, na jego delegata, na jego kontrolera, to w Ameryce znaczy najpierw gruba pensja, a dalej i honor także. Zrzeszenia wracają z reguły swoim wybrancom ponoszone koszty, wynagradzają trudy, starają się ułatwiać obcowanie swych członków.

Jeżeli ktoś zapisał się do izby handlowej czy do klubu rotariuszy, to wystarczy, jeżeli raz na tydzień to śniadanie czy ten obiad, który zniewolony jest spożyć w restauracji, spożyje w tym samym czasie przy wspólnym stole klubowym. Zajmie mu to co najwyżej pięć kwadransów, włączając wysłuchanie przemówień, niekiedy bardzo ciekawych, bardzo pouczających, załatwienie szeregu interesów ze spotkanymi „businessmanami” oraz odmówienie dwu modlitw i odśpiewanie wspólne czterech pieśni...

Czyli należenie do izby handlowej jest jakby częścią zwykłego, powszedniego życia, żadnego kłopotu, żadnej mitręgi, żadnego wysiadywania po nocach, a korzyści bez liku.

Jeden wszakże obowiązek bardzo ciekawy, może godny naśladowania. Oto członek klubu rotariuszy, członek izby handlowej, o ile wyjeżdża z danego miasta i pomija tygodniowe śniadanie w swoim mieście, powinien się stawić na takież samo skromne i tanie śniadanie w innej miejscowości, w innej izbie handlowej, w innym klubie rotariuszy. W przeciwnym razie płaci karę, ile że klub czy izba innego miasta zawiadamia natychmiast bratnią organizację, że ten i ten jej członek gościł w jej gronie.

Z tego zaś wynika już nie samo utrzymywanie ciągłej łączności ze stowarzyszeniem i z jego odłamami, ale i zawieranie znajomości, ale i współzycie miast z miastami, bratanie



się pokrewnych korporacji, a oboczne<sup>162</sup> zyski osobiste, nie lada dla kupców i przemysłowców korzyści.

Organizacje amerykańskie cechuje trzeźwość rachunkowa.

Gdy wielka działaczka zjeżdża, dajmy na to, do Antwerpii, aby reprezentować jakieś szlachetne zbiorowisko kobiet amerykańskich, to nie zapominajmy o tym, że ta działaczka jest osobą zapłaconą, że to zbiorowisko zaopatrzyło ją w potrzebne fundusze, zaopatrzyło w diety, że ta działaczka rozdaje cudze pieniądze, a nie swoje, że jest wykonawczynią zbiorowych uchwał. Działaczka pomieniona może być osobą zamożną, podróżuje zaś na koszt organizacji nie dla skąpstwa, nie przez chciwość, lecz że właśnie te wyłożone przez organizację koszty są dokumentem pełnoprawności wydelegowanej działaczki.

Jeżeli jakaś instytucja amerykańska urządza sobie, przypuśćmy, w Filadelfii dzień kwiatka, to zamiast bawić się w niebezpieczne eksperymenty, sprowadza specjalistę z Clevelandu i nie waha się podpisać z nim umowy na dwadzieścia pięć procent od zebranych pieniędzy.

Bo taki specjalista zna się już na maszynierii kwiatka, zna się na odpowiednim nerwie psychologicznym, umie dobierać kolektorki, umie dowodzić zastępami, no i równie zdaje sobie sprawę, że owych „chętnych” czy „chętnie” należy wynagrodzić.

Filantropia wkracza więc na tory handlu, lecz na takiej kombinacji zyskuje ofiarność, unika się amatorskich błędów i płynących z nich bardzo często amatorskich nadużyć.

Najważniejsze w tym, że opinia publiczna nie gorszy się takim uprzemysłowianiem dobroczynności, a nawet uważa je za nieuniknione, za potrzebne.

Ameryka rada wynagradzać i pracę społeczną, i prowadzarskie zdolności. Im zasobniejsze towarzystwo, im silniejsze, tym hojniejsze. Kiedy ogólne zebranie powołuje na sekretarza odpowiednio zdolnego kolegę... to niezawodnie pamiętać będzie o uchwaleniu dlań odpowiedniego za ślęczenie nad protokołami ekwiwalentu.

Taki „honorowy” sekretarz w następstwie może otrzymane pieniądze ofiarować wspólnaomyślnie temuż stowarzyszeniu. Ale praca pracą — a dar darem. Członkowie, którzy jeno<sup>163</sup> pożywają niefrasobliwie z żywotności zrzeszenia muszą wynagradzać tych, którzy się dla zrzeszenia trują.

Dolar ma swe prawo obywatelstwa nawet na sesjach doktorów obojga praw, nawet w zamkniętych kółeczkach amerykańskiej elity klubowej.

Ile że w ogóle dolar, pośród różnorodnych wartości monetarnych jest zawsze szczerzy, otwarty, nieobłudny i nawet w nieokrzesaniu swym uczciwy w gruncie, a nade wszystko chętny, rychliwy i prawdziwie uczynny, zwłaszcza gdy amerykańska gromada przejmie go swym organizacyjnym zmysłem, swą karnością, swym zapalem do społecznego działania.

---

## Z CZASEM I PRZESTRZENIĄ NA WYŚCIGI

Stany Zjednoczone są bodaj jedynym krajem na świecie, kędy w razie nieporozumienia można się obrazić śmiertelnie na całą linię kolei żelaznej. I nie tylko wymierzyć sobie wątpliwej wartości satysfakcję przez wniesienie skargi do księgi zażaleń, której nikt nie czyta, lecz po prostu zerwać dalsze relacje ze źle zorganizowaną czy nieszanującą pasażerów instytucją.

Obraził się, na przykład, ktoś na dworcu kolei żelaznej pensylwańskiej w Nowym Jorku w chwili zakupywania biletu do Chicago. Zabiera tedy manatki i jedzie na dworzec kolei New-York-Central, która go równie wygodnie i równie szybko do tegoż samego Chicago zawiezie. A jeżeliby mu i ta kolej nie dogadzała, to może jechać jeszcze koleją Erie lub koleją Lackavanna, idącymi w tym samym kierunku.

Koleje żelazne w Stanach Zjednoczonych bytują na prawach wolnej konkurencji, monopolu nie ma nikt, państwowe hipoteki nie istnieją. Dwa, cztery, pięć i sześć nawet wstęg torów kolejowych zbiega się, schodzi, setkami kilometrów ciągnie równolegle do siebie. Każda taka wstęga to inna kolej, inne towarzystwo akcyjne. Współzawodnictwo

---

<sup>162</sup>oboczny (daw.) — jednoczesny. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

jest wielkie, walka niekiedy na śmierć i życie, mająca zresztą tradycję homerycznych konceptów takiego słynnego geszefciarza kolejowego, jakim był Vanderbilt. Niekiedy wspólne turbacje skłaniają koleje żelazne do łączenia się w mniej lub więcej solidarnie działające grupy dla zmniejszenia wydatków na utrzymywanie oddzielnych dworców w dużych miastach lub dla ujednolajnienia taryf. Rola władz federalnych i stanowych polega raczej na przeszkadzaniu za daleko idącym zmwom magnatów kolejowych i niedopuszczaniu do monopolizacji.

Kolej żelazna w Ameryce jest oparta na zdrowych zasadach dobrze zrozumianego przedsiębiorstwa handlowego, a więc na sprawnej obsłudze, wygodzie klientów i dążeniu do skarbienia sobie ich przychylności.

Ostra konkurencja zmusza kompanie kolejowe do szukania reklamy, do sypania ogłoszeniami, do dźwigania wspaniałych dworców kolejowych o bajecznie pomysłowych urządzeniach, do ciągłego doskonalenia wagonów, upraszczania manipulacji i oszczędzania na formalistyce.

Trudno zaiste wyobrazić sobie, w jak szybkim tempie załatwia wszystkie czynności podróżny zajeżdżający z wielkim bagażem przed jeden z pałaców zaczarowanych kolei amerykańskiej.

Ledwie dobył się z taksówki, już bagaż ciężki zniknął, już ręczne walizki, schwytane przez Murzyna, prowadzą go do kas biletowych. Pół minuty trwa najwyżej najbardziej skomplikowana manipulacja zaopatrzenia się w jakowyś pogmatwany bilet, drugie pół minuty zajmuje ekspedycja bagażu już razem z ewentualnym świadectwem na specjalną asekurację. I już, o ile czas pozwala, można się rozsiąść we wspaniałościach dworca lub, jeżeli dusza zapragnie, załatwić na miejscu legion najrozmaitszych spraw.

O ile zbliża się moment odjazdu, w takim razie ręczne walizki stają do apelu i wiodą do zamkniętych kratami kilometrowych peronów. Tu przy tych kratkach żadnych przywilejów. Generał czy minister, sam pan naczelnik czy bodaj dyrektor podlegają tym samym przepisom. Jeżeli jest to pociąg zwykły, zwykła kontrola biletowa wpuszcza podróżnych, pozwalając im na dowolne sadowienie się w wagonach zawsze dość przestronnych. Jeżeli jest to pociąg na dalszy dystans z tak zwanymi pulmanowskimi wagonami, w takim razie każdy pasażer miał już w kasie wyznaczone miejsce i wyznaczony numer wagonu. Nie ma tłoczenia się, nie ma zajmowania dwu miejsc zamiast jednego, nie ma walki o byt ani kłótni, ani swarów, ani tej specyficznej rycerskości niekulturalnych krajów europejskich.

O ile przypływ niespodziewany zagraża, kasa kolejowa w jednej chwili alarmuje wydział ruchu. I pociąg zostaje natychmiast zdublowany, choćby był najosobliwszym ekspresem.

Dla kolei żelaznej amerykańskiej nie ma wszakże takich niespodzianek. Każda z nich czuwa, dociera, na przykład, do dykcji szkół poszczególnych, aby wiedzieć dokładnie daty wyjazdu i przyjazdu młodzieży, pilnuje wszelkich uroczystości, zjazdów, odbywających się nawet w zapadłych kątach, baczy, aby na małej stacyjce nie zabrakło raptem wagonów, nie zabrakło miejsc wolnych.

Koleje amerykańskie, jak wszystkie zresztą instytucje Stanów Zjednoczonych, zachowują pozory przestrzegania bardzo demokratycznych zasad.

Nie ma klas w wagonach. Nie ma numeracji. Wszyscy pasażerowie należą do jednej i tej samej klasy obywatelskiej... W wagonach zwykłych nie ma przedziałów. Jedna olbrzymia próżnia stalowa, wystrojona dwoma rzędami dwuosobowych wyścielanych ławek, przez które prowadzi dość wygodne i szerokie przejście. Miejsca w siatkach tylko na drobny bagaż, co nikogo nie przeraża, gdyż przewóz większego bagażu jest bezpłatny, a raczej zapewniający każdemu pasażerowi przywilej wielofuntowej premii. Wagony są dla palących i dla niepalących. Okna są zamknięte. Działają górne wentylatory. Czasu gorętszych dni niektóre okna są zasłonięte gęstymi stalowymi siatkami, przepuszczającymi nieco pędu powietrza i kurzu, ale za to iskiek wcale. Nikt się przez okno nie wychyla, nikt nie wiesza na stopniu, gdyż przy wejściach końcowych drzwi zamykają automatycznie stopień zewnętrzny.

Przy tym demokratycznym urządzeniu są jednak różne kategorie pociągów, mniej lub więcej szybkoieżnych, bezpośrednich, błyskawicznych, spacerowych, luksusowych. Są pociągi pędzące z zawrotną szybkością, są złożone jedynie z wagonów sypialnych, są niezwykłości, podzielone na mile pokoiki z osobistymi urządzeniami higienicznymi, ma-

jące na zawołanie już nie tylko jakąś restaurację, ale i fryzjerów, manikiurzystki, wanny, wagony obserwacyjne z werandami, czytelnie itd. itd. Są nareszcie pociągi, których najgłówniejszą troską jest wysiłek ku oszczędzaniu podróżnym zmęczenia, ku rozproszeniu monotonii cztero- i pięciodniowej podróży jednym tchem, są jeszcze pociągi „własne”, należące do milionerów i są pociągi, które niby ruchomy apartament można wynajmować na całe miesiące podróży i, według fantazji, zwracać w dowolnym kierunku, przesuwając je z jednej linii kolejowej na drugą.

Ponieważ te wszystkie kategorie pociągów powodują bardzo nierównomierne koszty, łatwo tedy sobie wyobrazić, że na względnie krótkiej przestrzeni różnica na bilecie wynosi trzy, dziesięć i dwadzieścia dolarów, względnie do rodzaju pociągu, jego szybkości, zajmowanego przedziału, co w rezultacie daje podróżnym ten sam europejski podział na klasy...

Najbardziej charakterystycznym wozem amerykańskiej kolei jest wagon pulmanowski; więc długi równoległobok, o dwudziestu czterech oknach z każdego boku, o dwu krańcowych wejściach zamykanych szczelnie razem ze stopniami, przedstawiający na krwisty mahoń malowane wnętrza, wyściełane zielono-trawiastą, narodowo-irlandzkiej barwy materią. W wagonie ani śladu drzewa, stal i tylko stal. Pośrodku szerokie przejście, bokami rzędy zwróconych do siebie po dwie, wygodnych dwuosobowych ławeczek. Na ławeczce takiej zasiada jedna tylko osoba. W końcach wagonu mieści się gabinet do palenia, umywalnie dla pań i panów, woda lodowa do picia ze szklaneczkami papierowymi, zawsze czyste ręczniki do dyspozycji, mydło, rozkłady jazdy i przewodniki do zabierania na pamiątkę etc. Wagon jest pod ciągłą opieką na biało wystrojonego Murzyna, wytresowanego specjalnie do obsługi w drodze. Taki wagon pulmanowski oczywiście komunikuje się za pomocą harmonijek z restauracją i pozostałymi wagonami pociągu.

Otóż ten pulmanowski wagon z chwilą zapadania nocy przeistacza się w jeden olbrzymi korytarz łóżek. Górne zbocza wagonu otwierają się i opuszczają na ławeczki platformy na stalowych łańcuchach. Ławeczki obocześnie<sup>164</sup> zesuwać się. W ten sposób po każdej stronie wagonu tworzy się dwanaście łóżek dolnych i dwanaście łóżek górnych. Łóżka te zakrywane są od góry do dołu grubymi zielonymi kotarami. Selekcja najbliższego sąsiedztwa nocnego pozostawiona jest siłą rzeczy przypadkowi. Kasa kolejowa, wyznaczając miejsca, stara się mniej więcej o łączenie płci słabej ze sobą. W drodze jednak trzeba brać te miejsca, jakie są. A ponieważ na górne łóżko wchodzi się po przystawianej każdorazowo przez Murzyna drabince, więc podróżny musi albo ryzykować na roznegliżowanie się w korytarzu, albo skazać na niesłychanie skomplikowane wyczyny w przestrzeni, w której można jedynie siedzieć z nogami na posłaniu. Wygodniejsze jest łóżko dolne, ale zresztą i ono przedstawia nie lada komplikację, bo i doń trzeba się ostrożnie wsuwać, aby nie nabić sobie guza o stalowe przegrody. Nieco promiskuityczny<sup>165</sup> może się wydać ów „sleeping” pulmanowski, a jednak jak bardzo, jak niesłychanie jest dogodny.

Przestrzeń do przebycia w Ameryce są olbrzymie. Podróż równająca się dystansowi Warszawa-Paryż, nie jest podróżą. Na taki spacer wystarczy mała torebka ze „składanymi” pantoflami, nocną koszulą i szczotką do zębów. Amerykanin normalny bagażu w takim wypadku nie zabiera. A przy tych tysiącach kilometrów zawsze przymus chwytania czasu w lot, a więc w nocy jeno<sup>166</sup> można rwać w dal. I noce amerykańskie aż dudnią od pasażerskich pociągów. Towary jeżdżą w dzień — ludzie po zachodzie słońca.

Człęk z Nowego Jorku ma pilną sprawę do Waszyngtonu. Porywa swą kabalistyczną torebkę i, po załatwieniu swoich wszystkich spraw, jedzie wieczorem na dworzec, kupuje bilet, idzie do czekającego pociągu i kładzie się spać. Nowy Jork — Waszyngton, odległość niewielka, cztery i pół godziny drogi. Ale gdzież ten człęk z Nowego Jorku ma się podzielić w nocy? Cóż ma począć w Waszyngtonie o piątej czy o czwartej rano?

W Ameryce takich problemów nie ma.

<sup>164</sup>obocześnie (daw.) — jednocześnie. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>promiskuityczny (z łac. *promiscus* a. *promiscuus*: wspólny) — właściwy *promiskuityzmowi*, czyli wspólnemu bytowaniu w nieplanowany sposób dobranych ludzi; dziś gł. w odniesieniu do seksualnych kontaktów pozabawionych więzi uczuciowych, podejmowanych z przypadkowymi partnerami. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

Jegomość położył się w Nowym Jorku spać, dajmy na to, o godzinie dziesiątej wieczorem. Pociąg z nim razem wyruszył dopiero z Nowego Jorku około godziny pierwszej w nocy i zjechał spokojnie na dworzec w Waszyngtonie około pół do szóstej rano.

Jegomość z Nowego Jorku śpi dalej w najlepsze. Murzyn wagonu pulmanowskiego czuwa, zanotował sobie, że ten właśnie pasażer zaczął się obudzić o dziewiątej rano, bo lubi długo spać. Murzyn nie chybił. Jegomość ubiera się spokojnie, myje, goli i nareszcie wyświeżony wyskakuje na opustoszały peron około dziesiątej rano, oddaje swoją torebkę na przechowanie, spożywa suty „breakfast” i wyrusza załatwiać interesy w stolicy państwa.

Wieczorem, po kolacji, po teatrze nawet siada znów do wagonu w Waszyngtonie i śpi spokojnie do Nowego Jorku, gdzie wstaje z łóżka nie kiedy pociąg przychodzi, lecz kiedy się już sam wyspał.

Ale wyobraźmy sobie, że ktoś jedzie pociągiem idącym z Nowego Jorku do Saint-Louis, chce jednak wysiąść w Cincinatti, gdzie pociąg zatrzymuje się nad ranem. W takim razie będzie załadowany do wagonu, który jest odczepiany stale w Cincinatti i będzie sobie spał w odczepionym wagonie, zawsze pod opieką Murzyna, aż do momentu normalnego podźwignięcia się z posłania.

Ta kombinacja pulmanowska jest niesłychanie w Stanach Zjednoczonych popularna. Daje oszczędność czasu, oszczędność na hotelu i oszczędność na zdrowiu. Podróżny nigdy nie jest zmuszony do poniewierania się od świtu po obcym mieście, włóczenia się bezcelowego po dworcach, wycierania ławek w poczekalniach, przyjeżdża zawsze wyparty, niezmiętoszony, zjawia się na czas godzin biurowych, może najspokojniej załatwić szereg spraw i powrócić w równie dogodnych warunkach do miejsca zamieszkania.

Eksploatacja kolei, jak było wspomniane, z racji konkurencji, przy pozorach olbrzymiego zbytku trzyma się systemu zawziętej oszczędności. Koleje amerykańskie nie posiadają wcale tak zwanych dróżników. Nie mają tych domków strażniczych rozstawionych symetrycznie wzdłuż torów. Sygnały świetlne, znaki optyczne, działające mniej lub więcej automatycznie, zastępują czujność ludzką. Powiedzmy od razu bardzo niedostatecznie, szczególnie przy szybkości pociągów bezpośrednich, przy takich akrobatyzmach kolejowych, jak na przykład zmiana lokomotywy podczas biegu pociągu lub zaopatrywanie w wodę zbiornika parowozu również podczas biegu — a zwłaszcza przy świdrowaniu wielkich osiedli ludzkich. Mieszkaniec starego świata z trudem niezawodnie może sobie wystawić pociąg kolei żelaznej rwący całą siłą pary środkiem Alei Jerozolimskich albo jakiegos bulwaru de Clichy w Paryżu... I to rwący torem nieogrodzonym, stanowiącym ulubione miejsce zabaw dla okolicznej dziatwy...

Tuż obok pędzącego pociągu beczą automobilowe sygnały, dudnią wozy, lśnią światła wystaw sklepowych, snują się gromady przechodniów... A pociąg tymczasem podróżuje sobie przez ulice Chicago, jedzie przez środek miasta Syracuse i tak dudni przez tysiące miast, osad i miasteczek.

Grobla, wiadukt, wąwóz kolejowy, pomost specjalny zjawiają się jako niedające się uniknąć urządzenia. Tam, gdzie tylko można, gdzie się tylko da, tam dąży się do oszczędności, do taniości bodajby kosztem ludzkiego życia.

A ponieważ życie ludzkie, choć dwadzieścia razy droższe w Ameryce niż w Europie, jest jeszcze ciągle bardzo tanie, wobec tego lepiej wypada zapłacić milion dolarów rocznie za potraskane na drzazgi baby, dzieciaki, rozmaite uliczne drapichrusty, rozbite samochody czy „zawiane” wozy, aniżeli wyładować sto milionów dolarów na dźwignięcie kamiennych wiaduktów, aniżeli rzucić dwieście milionów na przerobienie węzła kolejowego, na przeprowadzenie dróg objazdowych... To może być nawet dobrym „businesssem” dla mieszkańców Chicago, niechże więc Chicago zapłaci kolei, niech sypnie złotem, bo drodze żelaznej taniej wypada funt ludzkiej miazgi niż jeden blok pomostu.

W ogóle komunikacja kolejowa w Ameryce odbywa się pod hasłem wielkiego ryzykanctwa. Nikt się tam byle podkładem, byle brakiem balastu drogowego, zbyt śmiałym mostem, przejazdem pozostającym na opiece Opatrzności nie denerwuje. Kolej żelazna mocniej jeszcze niż społeczeństwo amerykańskie trzyma się zawołania: „take chance”.

Od nieszczęśliwych wypadków jest asekuracja. Asekurować się można ciągle i na każdym kroku. I jeszcze na własnej śmierci grubo zarobić. Może nie bez kozery amerykańskie lokomotywy są zaopatrzone w sygnaturki, które bywają puszczone w ruch przy zbliżaniu się pociągu do zamieszkałych miejscowości lub przy manewrowaniu wśród tych-

że. Miarowy, monotonny głos tych sygnaturek, to nigdy niemilknące podzwonne, jest bodaj symbolem tego ryzykanctwa.

Linii kolejowych Stany Zjednoczone mają około dwustu czterdziestu dziewięciu tysięcy mil angielskich, czyli na długość Stany Zjednoczone mają dwie piąte wszystkich kolei na świecie. Dla lepszego porównania warto zapamiętać, że Rosja posiada tylko czterdzieści siedem tysięcy, Niemcy trzydzieści trzy tysiące, a Francja dwadzieścia sześć tysięcy mil angielskich kolei.

Przy wielkich udogodnieniach i ułatwieniach koleje amerykańskie grzeszą wielką niepunktualnością. Winien tu niezawodnie system oszczędności, ale i w znacznej mierze zmiany atmosferyczne. Ta niepunktualność narodziła nawet słynny pociąg zwany „*twenty century*”, który, utrzymując błyskawiczną komunikację między Chicago a Nowym Jorkiem, gwarantuje każdemu pasażerowi przyjazd na wyznaczoną godzinę. W razie opóźnienia kolej płaci odszkodowanie za każdą minutę, pobierając, oczywiście, olbrzymie dopłaty za tę niezwykłą gwarancję.

Pociągi towarowe chodzą stosunkowo bardzo szybko, przerzucają miliony ton produktów z jednego krańca kontynentu na drugi, redukując, jak zwykle, biurokratyczne manipulacje do minimum.

Zaden rodzaj ładunku nie przedstawia trudności. Węgiel, ruda żelazna, owoce, nafa, trzoda, bydło, maszyny, wszystko znajduje na kolei amerykańskiej odpowiednio dla siebie zbudowane wagony oraz doprowadzony do automatyzmu sposób ładowania i wyładowywania.

Czasu najostrzejszych mrozów najwrażliwsze na zimno rośliny docierają bezpiecznie spod Meksyku do Winnipegu w Kanadzie, kędy<sup>167</sup> lata nie wystarcza na wyhodowanie warzywa. Największe upały nie mogą przebić panczerzy wagonowych okrywających chłodnie dźwigające miliony ton mięsa, drobiu bitego, ryb mrożonych, puszkami świeżości spowitych owoców.

Komu zwykła sprawność kolejowa nie wystarcza, ten udaje się do słynnej na cały świat organizacji zwanej American Express, będącej doprawdy wcieleniem sprężystości i uczciwości.

American Express powstał hen, przed wielu dziesiątkami lat, jako prywatna pantoflowa, jak się to mówi, poczta, zajmująca się dostarczaniem przesyłek. Przedsiębiorstwo, sumiennie prowadzone, zdobyło sobie zaufanie i z maleńkiego domu komisowego, z obsługi przy pomocy wozów frachtowych i dylżansów, wyrosło na olbrzymią instytucję ogarniającą wszystkie zakątki Stanów Zjednoczonych i nie tylko samych Stanów.

American Express ma dzisiaj własne wagony, własne okręty, własne banki, agentów na największych pustkowiach i American Express działa za pociśnięciem guzika dzwonka elektrycznego.

Starczy wziąć za słuchawkę, aby w kilka chwil zjawił się urzędnik American Expressu, niekiedy jakiś starszy tragarz, którego podpis niezdarny, nagwazdany chropowato wart jest krocie tysięcy.

Ktoś ma do wysłania towar, skrzynię olbrzymią, miniaturowe pudełeczko pełne brylantów, Stradivariusa ocenionego na wagę złota, jedną chińską filizankę czy też trzy naraż samochody — wystarczy zadzwonić do American Expressu, na zawołanie, względnie do<sup>168</sup> potrzeby, zjawi się wóz ciężarowy, motocyklista albo może zwykły posłaniec i sprawa jest załatwiona na miejscu. Posyłka zabrana, kwit wydany w tej chwili, bez żadnej trudności, dokładnie zapowiedziany czas doręczenia. Z zapłatą żadnych kwestii, można regulować na miejscu, można przy odbiorze posyłki.

Równie dzielnie American Express załatwia kwestie pieniężne. W ciągu kwadransa można otrzymać książeczkę czekową na dowolną sumę pieniędzy i dalej czeka te zmieniać po całym świecie, rozwozić je przez lata, nie starzeją się nigdy, bo American Express dotrzymuje zobowiązań zawsze.

Lecz to olbrzymie zaufanie, jakie sobie zdobył American Express w Ameryce i na całym świecie, nie wynika jedynie ze sprawności, z uczciwości, ale i z tego podobno gestu, jakim odpowiada na każdą reklamację, na każde najmniejsze uchybienie. American

<sup>167</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>względnie — tu: zależnie (od czegoś, w stosunku do czegoś). [przypis edytorski]

Express wraca szkodę natychmiast, żadnych nie czyni trudności, uwzględni nawet pozór szkody, dopłaci do sfalszowanego czeku, ale każdy czek gotówką i natychmiast ureguje.

Na odległej stacyjce kolejowej wielki kwadratowy chłop ustawia skrzynie na wózku. Ten kwadratowy chłop jest agentem American Expressu. Podchodzi interesant.

— Mam tu kopertę, a w niej dwa tysiące dolarów w banknotach. Ponieważ w Warszawie nie wypłacają przekazów dolarami amerykańskimi, chcę tę kopertę z pieniędzmi wysłać wprost do Polski...

Kwadratowy chłop liczy flegmatycznie pieniądze, zalepia kopertę, z zatłuszczonej kurtki skórzanej wyciąga mały kwitariusz, wypisuje trzy wyrazy na tym kwitariuszu i kopiowy skrawek kwitariusza doręcza jegomości...

Koperta z dwoma tysiącami dolarów doszła nietknięta do Warszawy, bez względu, czy to się podobało wówczas jakiemuś urzędowi czy nie podobało.

Zachodzi pytanie: na jakich podstawach działa American Express?

Jedynie na tych samych, na jakich ugruntował swoją egzystencję.

American Express nie ma żadnego monopolu, żadnych przywilejów, na kolejach pracuje na podstawie porozumienia z odnośnymi liniami, jest sobie zwykłą, prywatną instytucją, prosperującą na terenie wolnego kraju... A więc takiego kraju, gdzie inicjatywie prywatnej nie przeszkadza ani poczta, ani chciwość monopolu kolejowego i kędy władza wykonawcza nie rozprasza swych szczytnych obowiązków dosmaczaniem tytoniu lub wyszynkiem alkoholu.

Do wczoraj jeszcze jedynym współzawodnikiem dróg żelaznych w Ameryce był system kolejek podjazdowych, a dokładnie tramwajów szybkobieżnych, elektrycznych, tak zwanych „trolleys”, to znaczy kółek toczących się po drucie. Linie tramwajowe tak gęstą siecią pokrywały Stany Zjednoczone, iż mówiło się popularnie, jakoby na upartego można było zajechać tramwajem z Baltimore do Los Angeles. Nie było to oczywiście dokładne, lecz raczej obrazowe wyrażenie. Tramwajów było bez liku, przy bardzo natężonej nieraz szybkości przebiegu, niekiedy w formie całych łańcuchów wagonowych, z czego współzawodnictwo dla dróg żelaznych bywało dość znaczne.

Wynalazek samochodów, chwycenie piorunowe francuskiego pomysłu i wydoskonalenie go zrewolucjonizowało całkowicie środki komunikacji. Zadało cios śmiertelny kolejkom podjazdowym, powyrywało nawet szyny tych kolejek, miejskie sponiewierało wagoniki, podcięło zyski dróg żelaznych i w ostatku samo zawisło tuż na skrzydłach aeroplanów.

Produkcja samochodów, zapoczątkowana w r. 1900 — 4192 cudakami-samowarkami budzącymi raczej pogodny uśmiech przechodniów, w ciągu lat dziesięciu dosięgnęła już liczby stu osiemdziesięciu siedmiu tysięcy samochodów rocznie. Po latach dwudziestu Stany Zjednoczone produkowały 2 227 000 automobilów rocznie, w roku 1929 doszły do 5 358 000 samochodów.

W ciągu lat dwudziestu dziewięciu od początkowej produkcji, ocenianej na pięć milionów dolarów, przemysł automobilowy dosięgnął sumy 3 576 000 000 dolarów rocznie...

Stany Zjednoczone pokrywają pięć szóstych produkcji samochodów całego świata, a w tym z górą 60% produkcji wytwarza jedno jedyne miasto Detroit...

W roku 1929 w Stanach Zjednoczonych było w ruchu dwadzieścia sześć i pół miliona samochodów, czyli że na jednego mieszkańca więcej wypadło samochodów aniżeli parasoli i cztery razy więcej aniżeli... par kaloszy... Dokładniej na każdych pięciu mieszkańców wypadła jeden samochód... Czyli że całą ludność można by na automobile załadować...

Rozwój przemysłu samochodowego, który żywi w Ameryce dzisiaj przeszło pięć milionów ludzi... szedł oczywiście równolegle z budową odpowiednich dróg, z przeistaczaniem dawnych wyboistych traktów w jasne wstęgi cementu lub szare pasma „makadamu”.

Samochody rozstrzygnęły kwestie mieszkaniowe, przyczyniły się do piorunowej rozbudowy podmiejskich osiedli, zbogaciły małe przejazdowe miasteczka, wzmogły ruch turystyczny, udostępniły milionom poznawanie olbrzymiej swej ojczyzny, przyczyniły się w znacznej mierze do postępu na drodze amerykanizacji.

Amerykanin w lot odgadł był znaczenie samochodu. Niczego był nie zaniedbał, aby mu drogę wymościć i piętzące się przeszkody usunąć. Bez zatrzymania szedł i dalej idzie po szczeblach ciągłych ulepszeń.

Trakt napuszczany asfaltem, słynna droga Lincoln, która od Waszyngtonu poprzez Allegheny i Góry Skaliste biegnie do San Francisco, bardzo krótko była przedmiotem amerykańskiej dumy. Przeszły ją, zakasowały wspanialsze, lepiej zbudowane, bogatsze wstęgi, z cięższego materiału...

Przy asfalcie najdłużej bodaj upierały się Stany Nowej Anglii, aż i one wyrzekły się go, jako materiału niebezpiecznego... Wyciekające z samochodów smary wytwarzają powłokę, która szczególnie na asfalcie podczas deszczu zamienia się w oślizgłą i bardzo niebezpieczną maź.

Część stanu nowojorskiego i stan Ohio zapaliły się do cegły i drobnymi czerwonymi lub żółtymi cegielkami wykladać zaczęły pracowicie swe arterie. Świetny ten materiał, odporny na mroziska, niedający się ślizgawicom, zachowujący chropowatość powierzchni został jednak zdystansowany... Cegła utrzymała się tylko na ostrych spadkach, na gwałtownych, górskich załamach. Zresztą została uznana za nie dość elastyczną, za nie dość przylegającą do opon kół.

Na czoło zaczął się dobywać cement przy bardzo już skomplikowanej budowie podłoża drogowego, przy zachowaniu pewnych wklęsłości, podniesień na łukach, falistych linii na pnących się lub biegnących na dół pasmach.

Stany Zjednoczone posiadają już dzisiaj drogi nad drogami, nie ma im równych i może równych im nigdy nie będzie. Zanim inne kraje zdołają Ameryce nastarczyć, może te szlaki cementowe na powierzchni ziemi staną się już jednym więcej przeżytkiem.

Weźmy jeno<sup>169</sup> taką na przykład drogę, jakbyśmy ją nazwali, „reprezentacyjną”... która przebita została w szczerym polu, na przełaj z Filadelfii do Trenton. Pięćdziesiąt coś kilometrów drogi, jak strzała, szybkość dowolna... bodaj dwieście czegokolwiek... na godzinę, skoro wola, skoro maszynka po temu.

Środkiem, na dwa podzielony pasy, tor główny. Na każdym pasie sześć samochodów może rwać obok siebie w jednym rzędzie — czyli sześć w jednym i sześć w przeciwnym kierunku. Boki tego głównego toru obramowane są kwietnikami, zdobnymi w potężne lampiony elektryczne. Za tymi kwietnikami, po dwu stronach toru głównego, boczne drogi, nieco węższe — każda droga dla ruchu w jednym kierunku i wyłącznie dla wozów ciężarowych...

Na takiej drodze, oczywiście już nie byle samochód — ale jak się mówi w Ameryce byle „ford” zamienia się w Pegaza...

Lecz przy tych tysiącach mil angielskich najpiękniejszych, znakomitych dróg, idących poprzez góry, doliny, przepaście, wydłużające się w mosty, wiadukty, są jeszcze ciągle w Ameryce drogi zwykle asfaltowe i drogi prasowane, i drogi żwirowo asfaltowe, i wykładane cegłą, i są drogi w połowie wymoszczone, i są drogi mające dwie wążutkie wstążeczki, niby na twardo wyprawione koleje, byle na koła jednego wozu starczyły. Są wreszcie szosy jak stół, choć zbudowane z ubitej glinki tylko, zaprawionej dla uniknięcia kurzu ropą naftową i są w stanie Georgia, tuż pod Savannah wyborne drogi ostrzygowe... Muszle ostrzygowe dają wapniak, nieustępujący wapniakowi dróg francuskich. I są w Ameryce bardzo piękne i wygodne trakty samym żwirem nasypywane, jak we Florydzie, kiedy<sup>170</sup> upały kruszą cement, asfalt zaś roztopiają na syrop.

Lecz w tak olbrzymim kraju, jak Stany Zjednoczone nie brak i świata zabitego deskami. W północnej i południowej Dakocie bywa gorzej niż pod Nowogródkiem. Kentucky i Tennessee jeszcze w roku 1928 miały dla samochodów przeważnie gliniasto-piaszczyste zajady, znaczone głębokimi, błotnistymi kolejami. A do słynnego miejsca kuracyjnego Hot Springs w Arkansas (czyta się Arkanzo) trzeba było łomotać trzysta kilometrów po drodze, wobec której szosa pod Sochaczewem lub Tarnopolem jeszcze by się jedwabnie snuła.

Tak było wczoraj i tak jest jeszcze dzisiaj.

Stany Zjednoczone w dniu 1 stycznia roku 1930, posiadały z górą trzy miliony mil angielskich traktów i dróg — Europa miała ich tylko dwa miliony czterysta pięćdziesiąt tysięcy — lecz Stany Zjednoczone miały już blisko pięćdziesiąt tysięcy mil dróg cementowych... Na rok 1932 zapowiadają 750 000 mil dróg „reprezentacyjnych”.

<sup>169</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>kiedy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Ziemia Washingtona imponuje zresztą automobilście nie sumą wykładanych na budowę dróg milionów, lecz raczej troskliwą konserwacją tych dróg, pieczołowitością, jaką je otacza.

Drogi amerykańskie posiadają stałą lotną obsługę, krążącą na samochodach służbowych. Ta służba najmniejsze uszkodzenie reperuje natychmiast, czuwa nad rysowaniem się i pękaniem powierzchni, ogradza najmniejszą wyrwę, zakłada w tej chwili znaki ostrzegawcze i pali na największych pustkowiach nocne światła, baczy na mosty, wycina starannie trawę i zielska na zboczach przylegających do drogi, walcuje żwirowe powierzchnie, pozostaje w ciągłej komunikacji z centralami drogowymi, które o wszelkich objazdach, reperacjach, zamkniętych arteriach informują sieć klubów automobilowych.

Znaków i sygnałów drogowych w Stanach Zjednoczonych jest bez liku. A ponieważ niektóre stany mają swój własny na regulację ruchu drogowego pogląd, stąd sygnalizacja jest ciągle niejednostajna, regulaminy niejednokowe.

Amerykanin lubi nadpisy, lubi objaśnienia i lubi sam objaśniać. Stąd nawet na drogach równych jak stół znajduje sposobność do napomnienia „*keep right*” — trzymaj prawą — a więc nie rozpieraj się pośrodku — lub do ostrzeżenia przed asfaltem „niebezpieczny, gdy mokry”. Cóż dopiero kiedy nadchodzi otwarty, bezszlabanowy najczęściej przejazd kolejowy. Z daleka już widnieje sygnał, niekiedy wprost na cemencie wypisany białą farbą „R.R.”, czyli „droga żelazna”, a tuż bliżej krzyżyk z wyciągniętymi ramionami i wykrzyknikami „*look*”, „*listen*”, „*stop*”, no i jeszcze ponure, groźne „*danger*” lub wymalowana trupia głowa. Dopieroż na górach, w wąwozach, na skrętach diabelskich, krzyżówkach. Droga bez wytchnienia ciągle i stale poucza „skręt na lewo”, „ostry skręt na prawo”, „zmniejszyć szybkość”, „jechać drugim biegiem”, „objazd”, „reperacja drogi”, „droga zepsuta”, „robotnicy na drodze”.

W nocy grają światła, śwędzą na wertepach ropowe maźnice, mrugają na kryształ rżnięte kolorowe szkła, które lśnią w świetle samochodowych reflektorów.

O zabłądzeniu w Ameryce mowy nie ma.

Na wszystkich skrzyżowaniach dokładne nadpisy, czytelne, logiczne. Co kilka mil, przed każdym wyjazdem i wjazdem do ludzkiego osiedla tablice podające dokładnie odległości do najbliższych punktów i krańcowych kierunków drogi. Ponadto każda droga zaopatrzona jest w numer, powtarzający się stale i ciągle.

Jeżeli, na przykład, droga numer piąty prowadzi z Buffalo przez Pittsburgh do Charlestonu, to numer tej drogi idzie, powtarzany stale, na specjalnych żelaznych słupkach z prawej strony drogi i doprowadzi samochód przez wszystkie skręty przebieganych miast i miasteczek, przez cały labirynt uliczek dolnego Pittsburgha aż do ratusza w Charlestonie, w stanie West Virginia. Jadący zważa ciągle na numer piąty, gdy nadchodzi skręt, to przed skrętem piątka na słupku ostrzeże go zawczasu literą „L” (czyli „*left*”, skręt w lewo) lub „R”, („*right*” — skręt w prawo). Żadnych zapytań w drodze, żadnych kłopotów po nocy. A zresztą wszędzie są do dyspozycji kierowcy doskonale wręcz mapy — mapy wykreślane przez filie klubów automobilowych, a raczej jednego i tego samego klubu A.A.A. (*American Automobil Association*) — lecz co najważniejsze bezpłatne mapy, bardzo szczegółowe, ciągle poprawiane i uzupełniane, wydawane przez wielkie kompanie, eksploatujące co najprzedsiejsze stacje „gazolinowe”, jak „Socony”, „Standard Oil”, „Texaco”, „Gulf”. Te stacje na żądanie i bez potrzeby zakupienia gazoliny służą kierowcom i ustną informacją, i mapą podręczną danego stanu.

Jakież ma kłopoty automobilista amerykański? Prawie żadnych. Co parę kilometrów, nawet na odludziach garaż przydrożny, w miasteczkach pełno garaży specjalnie pewnym „markom” poświęconych, i wszędzie istny „automobilowy doktor”, którego diagnoza wykrywa najzawilsze niedomaganie mechanizmu.

Dość zajechać przed garaż. Zanim się zażąda bodajby szklanki wody czy muszelki lodów... służba już bez pytania załatwiła pierwsze czynności, już wytarła szyby zakurzone, już napoiła zziąjaną maszynę.

Tragiczna „polska kiszka”<sup>171</sup> toć żart. Jeżeli przypadek zdarzy się w drodze dalekiej, dość by maszyna się zatrzymała, aby tuż przystanęły inne. Każdy śpieszy z pomocą. Solidarność między automobilistami jest wielka. W kilka chwil kłopot skończony. W razie

<sup>171</sup> *polska kiszka* — tu: pęknięta dętka, przedziurawione koło; flak. [przypis edytorski]



wypadku przejeżdżający kierowca da znać do najbliższego garażu. Wóz ratunkowy nadjeżdża z szybkością błyskawicy, wóz w takie zbrojne dźwigary, że najcięższą limuzynę, bodajby samochód ciężarowy, gotów sobie na plecy zarzucić. Zresztą na wielkich arteriach są skrzynki telefoniczne, ogłoszenia pobliskich ambulansów, nawet... pogrzebowych zakładów.

Komu w drodze odległej przyjdzie fantazja wrócić zbrukanej maszynie kolor czystości, starczy zatrzymać się przed jedną z „*automobil laundry*” (przed pralnią samochodów). Manipulacja mycia przy pomocy szpryc nowo wynalezionych trwa około piętnastu minut.

Lecz oto turysta dotarł był nareszcie późną nocą do środka Nowego Jorku czy pomiędzy chicagowskie lub nieznane mu równie detroickie drapacze nieba... Zajeżdża przed pograżony w ciszy hotel... Co zrobić z samochodem? Co począć z takim pojazdem przed amerykańskim „Brühlem” czy „Bristolem”?

Nawet ust nie potrzeba otworzyć. Rzeczy pójdą do pokoju hotelowego, samochód odjedzie sobie do garażu. Jeżeli turysta nie chce wyładowywać swej maszyny — rzeczy mogą w niej najbezpieczniej nocować, nawet gdyby wypadało na świt... dokonać przy niej reperacji... Hotel gwarantuje uczciwość. Nazajutrz na skinienie maszyna zajedzie przed hotel wypoczęta, naoliwiona, zaopatrzona w paliwo, naprawiona...

Samochód w Ameryce stał się od dawna narzędziem powszedniego użytku. Samochodem piekarz rozwozi pieczywo, bez samochodu nie może już obejść się ani mleczarz, ani rzeźnik, ani węglarz, ani personat bankowy, ani kancelista, bo samochodem jeździ majsterka, robociarz, agent z próbkami towarów i przekupień domokrażca, dama i matka dzieciom, panienka na wydaniu i kawaler do wzięcia.

Każdy jest nade wszystko swoim własnym szoferem, każdy rozumie się po trosze na mechanizmie, każdy i najbogatszy człek umie rękawy zakasać, wsunąć się na plecach pod podwozie, każdy umie maszynę wymyć, do lustru ją doprowadzić i wymieść śmiecie ze swego garażu.

Szofer w Ameryce jest artykułem nadzwyczajnego zbytku. Jest ich stosunkowo bardzo niewiele i głównie w wielkich miastach, gdzie garaże są rozrzucone i gdzie „postój” maszyny podlega bardzo kłopotliwym przepisom z racji na niesłychane stłoczenie samochodów i nadmierne ich nagromadzenie w pewnych godzinach i w pewnych punktach. W takim Nowym Jorku bodaj, komu istotnie bardzo pilno — ten musi zejść do tunelu, wsiadać w kolej podziemną... gdyż samochód skazany bywa na szybkość siedmiu kilometrów na godzinę w ruchliwych centrach... A jeżeli samochód zdoła prześlizgnąć się, dotrzeć do miejsca, to bardzo często wolny „postój” znajdzie dopiero o pięć i sześć ulic dalej... Stąd w miastach wielkich czasu godzin pracy kierowcy musi trwać ciągle przy kole.

Drogi w Ameryce dzielą się, zarówno jak i ulice, zawsze na bezpośrednie i pośrednie — bezpośrednia ma zawsze pierwszeństwo. To znaczy, że każdy pojazd wjeżdżający na ulicę czy szosę bezpośrednią z drogi pośredniej, musi zatrzymać się i dopiero skręcić. Przepis ten obowiązuje nawet w momencie, gdy żywego ducha nie widać. Kara jest doraźna zawsze i dla kieszeni bolesna.

Dalej drogi bezpośrednio w miastach i miasteczkach posiadają przywilej dłuższego światła aniżeli pośrednie. Jeżeli oto na piątej Avenue w Nowym Jorku błysnęły umieszczone w górze czerwone światła na rogach poprzecznic — wszystkie bez wyjątku sunące przez nią wozy dojechały do najbliższych rogów i pod narożnikami zatrzymały się. W tej samej chwili martwe dotychczas poprzecznicę wysypały gromady pojazdów, gdyż tym poprzecznicom ukazało się było równocześnie światło błękitne. Po dwuminutowym ruchu poprzecznym — ukazuje się światło żółte, ostrzegawcze, zapowiadające nowy sygnał. W ćwierć minuty po świetle żółtym ukazuje się światło błękitne i Piąta Avenue znów dudni wzdłuż, lecz przez całe trzy minuty... gdyż jest ulicą bezpośrednią...

Ten uproszczony system sygnalizacji nie zawsze wystarcza, trzeba w pewnych punktach całych strażnic policyjnych, znaków ręką, sygnałów gwizdawką, tu grają jeszcze dzwonki, tam w nocy na wysokim podniesieniu, oblany snopami reflektora policjant wyprawia zda się w powietrzu cudaczne ruchy; w innym mieście przy okrężnych objazdach stoją drewniane olbrzymy-manekiny, przedstawiające policjantów, wskazujących stały kierunek... tam znów jednokierunkowy ruch (zwłaszcza w Filadelfii i Pittsburghu)

obcego kierowcę przyprawia o istną kołowaciznę, z której niełatwo mu się wydobyć, zwłaszcza gdy musi przez centrum miejskie celować.

Ale pomimo tych znakomitych znaków świetlnych, nadpisów, wielkiej czujności policji drogowej, bez względu na ograniczenia szybkości — liczba wypadków samochodowych z roku na rok się zwiększa.

Statystyka powiada, że w roku 1930 padło trupem na miejscu w wypadkach samochodowych 33 000 osób, nie licząc tych, którzy wskutek odniesionych obrażeń zmarli po pewnym czasie.

Na 100 000 mieszkańców Stanów Zjednoczonych ginie w wypadkach samochodowych 26 osób — przed dwudziestu jednak laty padało ofiarą zaledwie 10 ludzi na sto tysięcy — ale przed laty dwudziestu było w zamian samochodów czterdzieści razy z górą mniej...

Stąd, poza wszelkimi przepisami ochronnymi i nakazami, pomysłowość amerykańska nie gardzi sposobami zaiste niezwykłymi, byle okiełznać hulanie kierowców, byle pohamować pożeraczy odległości, a może i ku głębszym myślom zwrócić pędziwiatrów...

Więc oto stan Ohio wpadł był na koncept, aby w miejscach wypadków śmiertelnych stawiać krzyże przydrożne, licząc po jednym krzyżu na każdego nieboszczyka. W ten sposób na szlakach stanu Ohio zaczęły wyrastać całe pęki białych, dwumetrowej wysokości krzyżów, a jak w niektórych fatalnych miejscach stale i co roku się rozmnażających.

Skutek tego cmentarnego *memento* był wątpliwy. Zamiast budzić czujność, rozpręgał słabsze nerwy. Turyści zaczęli wyrzekać, wreszcie unikać niegościnnych dróg ohajoskich. Po dziesięciu latach koncept stanu Ohio zabrał się do odwrotu — krzyże zaczęto usuwać.

Na tęszą pomysłowość zdobył się stan Virginia i stan Północna Karolina. Tam na pomiarkowanie automobilistów sięgnięto do Biblii, do pośmiertnego obrachunku...

Droga wije się, wspina ze wzgórza na wzgórze wśród zawałów zieleni, poprzez krwiste zręby w czerwonej glinie rytych wąwozów. Czasami przez kilkanaście kilometrów ani śladu życia ludzkiego. Na pięknej drodze ruch mały. Samochód rwie, koła warczą, śmigają. Naraz tuż w górze srogi jakiś nadpis...

„A czy zrobiłeś rachunek sumienia?”

Kierowca mruży powieki, nie ogarnia, zaskoczony niezwykłością zapytania, gdy już następny nadpis woła ku niemu:

„Ostatnia chwila, abyś pomyślał o Bogu”.

I dalej w tym samym sensie:

„Kajaj się, grzeszniku”. — „Już czyha na ciebie”. — „I ogniem wiecznym palon będziesz”. —

Rozwój komunikacji samochodowej idzie naprzód. Konie giną, rozpylają się w mgłę, zaczynają być osobliwością. Kawaleria amerykańska wyrzeka się stopniowo całkowicie swych niezrównanych „mustangów”. Samochód jest już wozem farmera, podniesiony za tylne koła służy mu nawet za siłę pędną, obraca młynek, tnie sieczkę... Drogi dzisiejsze ciągle są za wąskie, nie dość jeszcze dogodne — mówi się o jednokierunkowych drogach.

Ruch pasażerski na kolejach zmniejszył liczbę pociągów pasażerskich o 33%. Jedynie dalekie podróże nie ucierpiały. Lecz kto ma do przebycia 600 kilometrów, ten woli je odbyć jednym tchem, w 10 godzin co najwyżej, własną maszynką.

Autobus w Ameryce jest już olbrzymim pojazdem zaopatrzonym w łóżka, umywalnie i kursującym we wszystkich kierunkach od Atlantyku do Pacyfiku.

Autobus potłukł koleje, zrujnował, pogrzebał?

Bynajmniej, gdyż linie autobusowe są przeważnie utrzymywane przez... linie kolejowe... W sumie wynikły plusy, gdyż w ogóle ruch przewozowy niesłychanie się wzmógł.

Temu szalonemu rozwojowi samochodowemu, pomimo wysiłków, nie wtóruje w Ameryce rozwój komunikacji napowietrznej.

Stany Zjednoczone zaprowadziły u siebie przeszło trzydzieści jeden tysięcy mil angielskich linii napowietrznych. Posiadają bardzo potężną eskadrę napowietrzną. Departament lotnictwa armii na rok 1931/1932 rozporządza budżetem sięgającym trzydziestu siedmiu i pół miliona dolarów, departament lotnictwa marynarki amerykańskiej na ten

sam okres czasu<sup>172</sup> ma zapewnione trzydzieści jeden milionów dolarów, a lotnictwo handlowe pomoc rządową w sumie dziesięciu milionów dolarów.

Równocześnie działają bogate towarzystwa akcyjne finansujące bądź produkcję aeroplanów, bądź kuszące się o eksploatację napowietrznej komunikacji.

Ameryka chlubi się całym zastępem napowietrznych championów, którzy z Lindberghiem na czele osiągnęli i osiągają wciąż niebotyczne rekordy, dokonują niezwykłych wyczynów.

W stosunku przecież do nakładu pracy, energii i pieniędzy praktyczne rezultaty są słabe, liczby pasażerów napowietrznych znikome, opłaty za przejazd aeroplanem bardzo wysokie, ruch cały oparty na transportowaniu specjalnych ładunków pocztowych, jazda napowietrzna dziedziną zawodowców lub żądnych wyjątkowych wrażeń lekkoduchów.

Propaganda lotnicza w Stanach Zjednoczonych pracuje wytrwale, w każdym większym osiedlu ludzkim miejscowy aeroplanik odbywa przejażdżki, aby oswajać młodsze pokolenie; czasopisma roją się od ilustracji i opisów, giełda namawia na akcje, wróży lotnictwu przyszłość niesłychaną. Lecz ta przyszłość bardziej w Ameryce aniżeli gdziekolwiek szuka daremnie nowej konstrukcji, szuka nowego silnika, nowej energii, nowej siły pędnej, dającej większy niż podotąd<sup>173</sup> punkt oparcia.

Lotnictwo amerykańskie ma bardzo trudne warunki atmosferyczne, ma owe korytarze przeciągów, idących z południa na północ, ma olbrzymie do opanowania przestrzenie, ma do pokonania brutalne spadanie i podnoszenie się temperatury, ma na szlakach swych trąby powietrzne, burze elektryczne, piekielnej szybkości wichury. I stąd niezawodnie ruch pasażerski, wprowadzenie aeroplanu do życia powszedniego idzie opornie. Aeroplan nie ma tak praktycznego jak w Europie zastosowania; posiada już aeroporty, gotowe na nowoczesnych drapaczach platformy do lądowania, brak mu jednak tego błyskawicznego rozwoju, jaki niemal w tym samym okresie czasu osiągnęły amerykańskie samochody.

W ciągu lat dziewięciu, od 1920 do 1929 roku, liczba przewożonych rocznie przez koleje żelazne pasażerów z jednego miliarda dwustu sześćdziesięciu milionów spadła na siedemset osiemdziesiąt sześć milionów. Pół miliarda bez mała pasażerów odebrały drogą żelaznym samochody.

Ilu pasażerów przypada na amerykańskie aeroplany?

Statystyka milczy dyskretnie, nie dosięga bowiem liczb wykazywanych przez polskie lotnictwo komunikacyjne.

## ON I ONA – MĄŻ I ŻONA

Amerykanin silniej niż jakikolwiek biały człowiek na świecie ma sobie wpojone przeświadczenie, iż obowiązkiem jego jest zdobywać, naprzód iść, stawić czoło.

Od najmłodszych lat życie chroni go przed mrzonką, przed mazgajstwem. Wycho- wuje się w atmosferze, w której praktyczność jest najpierwszym przykazaniem, kędy kultura nie ustępuje pierwszego miejsca kultowi ducha, a zimny rachunek trzyma na wodzy niepożyteczne rojenia.

Odnacza się z reguły prostotą, głęboką wiarą w sprawiedliwość tego, co mówi, co wyznaje, a co graniczy z jakąś szczątkową, purytańską naiwnością, która ufa swej własnej prawdzie nawet w momencie dokonywania „lynchu”, karania bez sądu.

Amerykanin nie lubi dociekań, trwa zaparty o *Biblię*. Ta księga nad księgami jest mu odpowiedzią na wszystko, co w nim może budzić wątpliwość. Wątpliwości zresztą nie znosi. Rad zagłusza ją w sobie, wyrывa z korzeniem. Sensem bytowania jest dlań praca, tej pracy owoce, a poza nimi jest spocznienie, jest oderwanie, zapomnienie o troskach, pustota chłopięca, swawolna bezmyślność.

W walce o byt Amerykanin ma zawziętość pięściarza stojącego w szrankach do decydującej rozprawy.

W „businessie” nie uznaje żadnych względów, żadnej czułości, żadnego sentymentalizmu. Konkurenta gotów zrujnować, zmasakrować, podkupić, spalić, żadnego dlań

<sup>172</sup>okres czasu — błąd logiczny (pleonazm); prawidłowe jest użycie jednego ze słów: okres a. czas. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>podotąd — jak dotąd; dotąd; dotychczas. [przypis edytorski]

zmiłowania, bodaj z torbami go puścić, sideł najzdradliwszych nazakładać, w zasadzkę zwabić, byle go unicestwić, byle zwyciężyć.

W walce politycznej Amerykanin jest niemniej zapamiętały, ale i nazbyt może powolny<sup>174</sup> dla unoszącej go fali, nie dość na jej pokusy odporny...

Do polityki w rezultacie garnie się ociężale, pozostawia to niemiłe zajęcie swym mniej skrupulatnym, mniej uczciwym rodakom. Woli raczej dawać na polityków, a więc trzymać ich w rękę, rządzić nimi, bawić się niby marionetkami, wywierać wpływ decydujący na senat, na kongres, na legislaturę, na zarządy miejskie i powiatowe, woli trząść najbliższym merem niż samemu na merostwie czas trwonić.

Amerykanin gorąco miłuje swoją rozległą ojczyznę, stara się opromienić ją urokiem wspomnień historycznych. Z drobnych epizodów, ze sporów kompanii eksploatujących dawniejsze kolonie angielskie i francuskie, z dziejów walki o niepodległość, z niespełna stu pięćdziesięcioletniego swego bytowania ma już potężne księgi, ma na szlakach swej ziemi rozstawione tablice pamiątkowe, opowiadające przemarsze amerykańskich kadrówek, heroiczne potyczki z białymi czy kolorowymi nieprzyjaciółmi, ma pomnikami usiany kontynent, pomnikami własnych bohaterów, własnych sław.

W ocenianiu zasługi, w hołdzie dla cnoty Amerykanin jest bodaj jednym z najliberalniejszych umysłów. Żywi kult zarówno dla swych ulubieńców, jak i dla ich przeciwników. Umie zakuwać w spiż nie tylko praworządnych wodzów Wojny Cywilnej, ale i buntowniczych generałów, ale i straceńców Południowych Stanów.

Nie ma w ogóle takiej sławy obcej nawet, której by Amerykanin nie był gotów uwielbić.

W Stanach Zjednoczonych, niby w jakowymś międzynarodowym Panteonie, można oglądać posągi wszelkiego pochodzenia znakomitości.

Inicjatywa tych hołdów rodzi się bez wątpienia w kolisku pewnej osiadłej w Ameryce narodowości. Prusacy zabiegają tam o spiż dla Humboldta, Niemcy kołaczą o Goethego i Schillera, Polacy chcą mieć nawet Chopina, Francuzi upominają się o Pasteura, Anglicy radzi by przenieść za Atlantyk cały swój Westminster, całe swoje Campo Santo odtworzyć.

Amerykanin chętnie folguje tym zamysłom, co ważniejsze, jeszcze chętniej łoży na te brązy i marmury, rad jest bodajby Homera, bodajby Cervantesa przyjąć do swego gwiazdzystego obywatelstwa.

Dolar nie jest celem życia Amerykanina, ale jest niezawodnie tego życia podstawą, dokładniej dźwignią, instrumentem.

Przy żądzy z bogactwa się, pomnożenia dobytku, Amerykanin jest raczej rozrzutny. Goni za groszem, zdobywa go, ale nierównie łatwiej wydaje. Lubi się nim szczyścić, lubi pokazać, lubi zaimponować, lubi go ciągle obliczać... Szanuje prawość charakteru, lecz rad jest wiedzieć zawsze, ile kto znaczy na liczbę dolarów... Nawet w lepszym towarzystwie przy zapoznawaniu dobrze jest szepnąć jednej lub drugiej stronie do ucha: „Wart jest sto tysięcy”. Pieniądze łatwo lgną do siebie. Ich rodowód za oceanem jest zawsze w porządku... skoro ktoś swobodnie po świecie chadza...

Amerykanin jest zresztą rozrzutny w dobrym tego słowa znaczeniu, bo jest ambitny, zaprawiony do solidarności. Ten „bliższy” patriotyzm skłania go nieraz do wielkich ofiar.

Ten „bliższy” patriotyzm nie pozwala mu znieść, żeby w jego osadzie, w jego powiecie czy w jego mieście miało być coś mniejsze, coś podlejsze niż w sąsiednim. Skoro urodził się w Pacanowie, trzeba, aby w Pacanowie nade wszystko przetrwało o nim wspomnienie, trzeba, aby Pacanów, nie tylko jego nazwiskiem się chlubił, ale i jego nazwiskiem się wzmógł, wypiękniał.

Amerykanin daje się ciągle dobrowolnie opodatkowywać. Łoży na instytucje, należy do kilku, niekiedy do kilkunastu stowarzyszeń i klubów. Na pierwszy zew sypie krociami, bo trzeba, aby Ameryka dała, ażeby się pokazała, trzeba, aby Detroit nie pozwoliło się ubiec Pittsburghowi. Daje każdy, każdy dać musi, każdy się musi przyłożyć, boć każdy jest Amerykaninem, boć idzie o wspólne dobro.

Ten sam zajadlec, zachłannik, który, jak było powiedziane, dla adwersarza nie zwykł mieć względów, ten sam chciwiec, w „businessie” nie mający skrupułów, ten sam chciwiec jest gotów rozrzewnić się nad rachitycznym sierotą, troszczyć się o opuszczonego

<sup>174</sup>powolny (daw.) — tu: uległy, ugodowy. [przypis edytorski]

w lepiance starca, ślać mu na „Dzień Dziękczynienia” całą ucztę w prezencie lub swemu wczorajszemu przeciwnikowi, obranemu do nitki, wetknąć przyjacielską ręką zapomogę.

Ta szczodroblowość, ta ofiarność amerykańska jest często z ambicji, często z pychy, często z pasji do przetrwania, do unieśmiertelnienia się, lecz z tych małych pobudek wielkie się tworzą dzieła, a toć dla społeczności najważniejsze. Oto wspaniałe uzdrowisko, cóż, że attyk jego razi nazwiskiem giełdowego szalbierza, skoro z tego uzdrowiska tyle samarytaństwa dla cierpiących, dla bezsilnych.

Pojęcie honoru Amerykanin w znacznej mierze traktuje na modłę tak plastycznie uwydatnionych scen obyczajowych noszących stempel kalifornijskiego Hollywoodu.

Obrazę reguluje się albo pięścią, albo wyprawieniem komuś pośredniego lania. W wyjątkowych przypadkach na drodze sądowej.

Pojedynki, honorowe roki nie istnieją wcale. Na obelgę odpowiada obelgą, uderzenie zmywa się uderzeniem. Sąd jest znakomitą ucieczką, jeżeli do obrazy można przytroczyć sprawę materialną. Jeżeli takiej straty nie można dowieść, to lepiej do sądu z honorem się nie wybierać, bo w najlepszym razie, nawet przy klasycznym oszczerstwie, po latach procesowania można od oszczercy uzyskać co najwyżej symbolicznego dolara.

W ogóle honor w Ameryce jest zaliczony do wartości względnych i to na długo przed urodzeniem się profesora Einsteina. Jeden wyraz mniej lub więcej w rachubę nie wchodzi. Wyzwisk jest tyle, iż najprzykrejsze jest czym odeprzeć.

Amerykanin ma w sobie wyrobione poczucie karności. Statuty, przepisy uważa za przykazania, których sam rad przestrzega, a dalej innych do przestrzegania zniewala. Owi „inni” toć oczywiście *foreignerzy*<sup>175</sup>, emigranci czy świeżo upieczeni obywatele. Żywił więc niepewny, podejrzany, surowy. Amerykanin jednak czuwa bodajby na ochotnika i gotów jest każdej chwili o zauważonym przez się uchybieniu zawiadomić najbliższą władzę...

Więc pisuje denuncjacje?

Najczęściej zaopatrzone podpisem, bardzo rzadko anonimowe, ale zawsze ściągające na oskarżonego niespodziewane represje.

Amerykanin ten sposób uważa za słuszny i sprawiedliwy. Godzi się władzy dopomagać, godzi się obywatelowi baczyć na poszanowanie ustaw krajowych.

Czasu Wielkiej Wojny każdy wybitniejszy człek amerykański niezaszyty w mundur był ochotnikiem „*Secret Service*”, zważał na podejrzanych, a pilnie zezował ku Niemcom, wówczas chwilowo... mniej w Ameryce popularnym, i z dumą przyznawał się do wolontarskiego delatorstwa<sup>176</sup>.

Amerykanin, przy tak odmiennych wyobrażeniach o honorze, słowa danego lubi do trzymywać, poza „*businesssem*” jest człowiekiem prawym, a nawet i w samym „*businessie*” rządzi się pewnymi normami przystojności, jeżeli nie zawsze etyki.

Wystrzega się pożyczania pieniędzy, wstydzi się po prostu przyznać do ich braku, gdyż brak ich sam uważa za dokument niedołęstwa.

Z natury jest ciekawy, skłonny do entuzjazmu, do podziwu, do łatwowierności. Wciśnięty w gromadę, tworzy jeden z najbardziej dziecinnych tłumów, gotowych do wycia, do gwizdania z zachwyty, do porywu dla byle grymasu, dla byle koziołka w powietrzu.

Amerykanin nie jest wybredny w zabawach, jest skłonny do cieszenia się, do radowania. Byłe nieco muzyki, byłe skrawek wolnej przestrzeni, gotów tańczyć o każdej porze dnia i nocy.

Jakoż tańczy bez ustanku. Nie potrzebuje nawet dancingu, nie szuka specjalnie balu. Idzie na zwykły „*lunch*”, zwykłe drugie śniadanie do restauracji, schodzi na dół na posiłek do hotelowej kawiarni... Zanim z garsonem się rozmówi, zanim porządek dań wypośrodkuje, już sobie utnie fokstrotę. Między zakąskami a zupą pomidorową machnie dwa „*one-steps*”, a jak mu zagra tęskliwie rozlewne tango, to z kawalkiem nieprzelkniętej szynki gotów jest zbelać sobie całkowite trawienie.

Woli tańczyć niż rozmawiać, niż flirtować.

<sup>175</sup>*foreigner* (ang.) — cudzoziemiec. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*delatorstwo* (daw.) — donosicielstwo. [przypis edytorski]

W męskim towarzystwie lubuje się w rozprowadzaniu „dżoków” (joków), a więc dokładnie anegdotek, historyjek trefnych, które godzinami walczy i pęka ze śmiechu nawet z tych, które sam po raz setny i tysięczny opowiada.

Czyta mało, wystarcza mu przerzucanie dzienników, chwycenie nowin sportowych lub giełdowych, a w zamian bardzo starannie wertuje humorystyczne pomysły modnych „kartonistów”. Poza tym żyje zapasami nagromadzonymi w uniwersytecie czy tylko w szkole lub szkółce. I tym jedynie różni się od swoich europejskich odpowiedników, że te zapasy miewa uboższe, a dokładniej bardziej specjalne, więc mniej ciekawe dla ludzi odmiennego powołania.

Jest wytrzymały, rozmiłowany w sprawności fizycznej. Kocha się w sportach, ale sportów sam nie uprawia. Kocha je, bo lubi hazard, bo sport zamienia na grę, na zakłady, na wszelkiego rodzaju totalizatory... Bo nawet na higienicznym a statecznym golfie umie się splukać do nitki.

Amerykanin jest niezawodnie spadkobiercą awanturnictwa, zawiadackiej energii swych przodków, owych pionierów, owych desperatów, owych poszukiwaczy złota, poszukiwaczy chleba. Jest równocześnie produktem klimatycznych warunków, jest człowiekiem zahartowanym na zmiany temperatury, gotowym każdej chwili na burzę, na nawałnice, na trąby powietrzne. Dziesięćkroć razy powalony, wytarzany, podcięty, umie zebrać siły, umie podźwignąć się, umie znów stanąć do zapasów z losem.

Takim jest on, takim jest Amerykanin.

Ona, Amerykanka, ród swój wywodzi wprost od owego bajecznego „Kwiatu Prerii”, pod którego hasłem pierwsi osadnicy zażarte staczali boje.

Dzisiaj, choć przestała być osobliwością, przestała być upragnioną zjawą, zachowała przecież cały swój urok, a co najważniejsze, nie straciła żadnego ze swych dawnych przywilejów.

Niegdyś bożyszcze pustkowia, przedmiot homerycznego współzawodnictwa, nawet kiedy musiała wyrzec się proporcji: jedna kobieta na stu, na pięćdziesięciu, na dziewięciu mężczyzn, jeszcze nie pozwoliła sobie odebrać osiągniętych wpływów.

Te wpływy, te przywileje w znacznej mierze przyczyniły się do wyrobienia w Amerykance samodzielności, energii i pewności siebie.

Wczorajszy „Kwiat Prerii” utracił aksamitne puszek swego dawnego sentymentalizmu, jego słodycz zaprawił kapryśny pieprzyk, czar spojrzenia przejęły stalowe błyski bystrości pojęcia.

Wiotki, delikatny, wrażliwy „Kwiat Prerii” dał życie dorodnej, muskularnej, zwinnej istocie o silnie rozwiniętym poczuciu równości i swej wartości społecznej.

Trzeźwe, pozbawione czułościowości wychowanie ostateczne wycisnęło piętno. Pod znakiem zdrowia docierają do jej młodego umysłu wskazania życiowe, może niekiedy za mocno, za daleko, może ze szkodą dla pewnych wrażeń czy dla pewnych złud.

Amerykanka jest na swój sposób zalotną i po swojemu strojnisią.

Kocha się w jasnych kolorach. Do czarnych czeluści, zadymionych podwórców fabrycznych rada wędrować w białej, jedwabnej spódnicy, z którą nawet w matuzalowych<sup>177</sup> latach nie rada się rozstawać.

Osiemdziesięcioletnia *lady* amerykańska drepce sobie figlarnie w błękitnych pantofelkach i równie błękitnych muślinach. Nie ma umówionych różnic dla wieku i dostojenstwa. Nie ma żalosnych wdów w szare paski, ani uroczystych mam na bordo, ani filuternych wdówek w czarne krążki, nawet pod oczyma.

Mody paryskie słabo w Ameryce oddziałują. Paraduje w nich plutokracja, stosuje się nieco stan średni, lecz wrażeniowo przeważa krój sportowy, zaprawiony pewnym neglizmem, skłonny do wycięć i podkasań, a bijący zawsze świeżością barw i wytwornością materiałów.

„Twarzowo” Amerykanka przedstawia dwa odrębne typy. Pierwszy, będący zresztą w olbrzymiej mniejszości, daje buzie „*au naturel*”<sup>178</sup>, według urody różowe czy poślółke, wyblakłe czy spalone na słońcu, a sromające<sup>179</sup> się najłżejszego śladu pudru. Drugi typ to

<sup>177</sup>matuzalowe lata — określenie nawiązuje do postaci Matuzala (a. Matuzalema), biblijnego patriarchy, dziada Noego, który wg *Księgi Rodzaju* miał żyć 969 lat. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>*au naturel* (fr.) — naturalnie, w sposób naturalny. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>sromać się (daw.) — wstydzić się. [przypis edytorski]

twarze pokrywane systematycznie i co chwila powłokami wszelkiego rodzaju kosmetyków. Ten typ „smaruje się” równie często i z większą jeszcze zwinnością niż jakikolwiek inny na świecie.

Zresztą należy pamiętać, że w Ameryce wszystkie kobiety bez różnicy wieku i stanu są zawsze „girlsami”. Wyraz bowiem „*girl*” (dziewczyna) w obyczajowości amerykańskiej oznacza każdą przedstawicielkę płci niekoniecznie słabszej.

Lecz to niezwykle uogólnienie sięga głębiej, symbolizuje niejako owo, nieistniejące gdzie indziej, zacieranie różnic między „girlsami”. Gdyż nie tylko kolor sukni odmładza co najstarsze nawet pokolenie dam amerykańskich, ale i cała towarzyska i społeczna obyczajowość równie temu sprzyja.

Amerykanka starzeje się albo bardzo późno, albo wcale. Przestaje chętnie z młodzieżą bodaj z dorosłymi swymi dziećmi, każda rozrywka jest dla niej stosowna, broni się jak najzawzięciej przed godnością matrony — „matronami” w ostatku zwykła nazywać olbrzymie baby pełniące obowiązki dozorczyń w więzieniach amerykańskich.

Amerykanka garnie się chętnie do pracy, widząc w niej dla się podstawę niezależności. Szuka zarobkowania nawet wówczas, kiedy warunki materialne do tego jej nie zmuszają, pożąda, jak to nadmieniliśmy, własnego grosza, dokładniej swobodnego nim szafowania. Jest ambitna, gotowa stanąć w szrankach i spierać się z mężczyzną w najtrudniejszym zawodzie. Umie, co więcej, temuż mężczyźnie dotkliwie zadawać ciosy, wydziera mu całe dziedziny pracy, pobiła go już na miazgę jako nauczycielka, jako profesorka, wypędza go z biur, wypędza z fabryk, wypędza z laboratoriów, wypędza z handlu, dociera nawet do polityki, walczy już o mandaty, o naczelne stanowiska.

Amerykanka goni mężczyzną wykształceniem uniwersyteckim, ściga tak zawzięcie, że na przykład w roku 1927/1928, na dziewięćset tysięcy dziewiętnastu studentów w amerykańskich uniwersytetach i kolegiach, mężczyzn było pięćset sześćdziesiąt trzy tysiące, a kobiet już trzysta pięćdziesiąt sześć tysięcy! A przecież są stany takie, jak Teksas, jak Południowa Karolina, jak Missisipi, w których liczba studentów-kobiet przewyższa liczbę studentów-mężczyzn, są stany, w których kobiety w uniwersytetach i kolegiach stanowią pięćdziesiąt procent, czterdzieści osiem procent, a nigdy mniej czterdziestu.

Amerykanka garnie się do nauki, do wiedzy. Nawet kiedy to czyni dla zadowolenia norm życia towarzyskiego, znacznie przewyższa swoje europejskie siostry. Ona jest główną konsumentką książek i czasopism, ona jest ostoją amerykańskiego ruchu umysłowego.

W tym kierunku nie ma sobie równej. Śpieszy tłumnie nie tylko na popularne wykłady, błyskotliwe prelekcje, ale i na naukowe seanse, i tak nieraz mocne, że Niemkę gotowe by przyprowadzić do choroby śpiączki na całe lata, a Francuzkę doprowadzić do hysterii.

Amerykanka znosi świetnie najzawilszą strawę naukową, co więcej, pożąda jej, choć często nie dość wyszkolony jej umysł ześlizguje się na zboczach wiedzy ścisłej, przecież to Amerykanki nie zniechęca.

Społecznie Amerykanka przedstawia niezrównanej wartości materiał organizacyjny. Od najmłodszych lat, od ławy szkolnej jest zaprawiona do łączenia się, do zwierania we wspólnie obrany cel.

Ideowo przewyższa mężczyznę. Amerykanin patrzy zazwyczaj w stowarzyszeniu praktycznego zysku, jeżeli nawet nie własnej korzyści, jeżeli nie punktu oparcia w gromadzie, to przynajmniej zabawy, uciechy. Amerykanka natomiast sięga dalej, szuka rozwiązania wszechludzkich zagadnień, szuka nowych dróg, szuka nade wszystko duchowego pokarmu, szuka ich w kole niewieściem, ile że w każdym innym kole czeka ją co najwyżej fokstrot, cocktail, partia bridge’a, swawola niefrasobliwych wczasów<sup>180</sup>.

Amerykanka jest nie tylko miłośniczką literatury, ale i sztuk pięknych w ogóle. On rzuca niekiedy na nie tysiącami dolarów, ale najczęściej dla zadowolenia pychy, najczęściej przez snobizm, przez parweniuszowską chęć posiadania w ogóle tego wszystkiego, co na rynku wszechświatowym zwie się wartością. Ona jedna tylko w Ameryce ją rozumie, ona co najmniej ją odczuwa. Boć ona kształci się ciągle, kształci zawsze, nawet i wówczas, kiedy on już był osiadł na mieliźnie jakowegoś dyplomu, czy zawodowego tytułu, nawet

<sup>180</sup>wczasy (daw.) — tu: każdy wypoczynek, odpoczynek. [przypis edytorski]

wówczas, kiedy on zdolny jest już, poza „joke’ami”, banalnym droczeniem, rozprawiać jedynie o swym lekarskim, adwokackim czy po prostu rzeźnickim „businessie”.

Amerykanka jest patriotką, silniej oddziałuje na podtrzymanie miłości do Ziemi Washingtona, aniżeli mężczyzna. Takie jedno stowarzyszenie kobiece, jak słynne „*Daughters of the American Revolution*”, aczkolwiek liczy tylko sto siedemdziesiąt jeden tysięcy członkiń, przechodzi niezawodnie przemożnym swym wpływem nawet potężny „*American Legion*”, a więc Związek Weteranów Wielkiej Wojny.

Amerykanka nie jest religijna, lecz jest przywiązana do wyznawanej przez się religii, podtrzymuje kongregacje, wypełnia regularnie ławki zborów i świątyń, tworzy, jak zresztą i we wszystkich innych krajach na świecie, siedemdziesiąt pięć procent najgorliwszych parafian.

Lubi pokonywać przeciwności, lubi się nimi jakby odurzać. Nieodrodna córka tych samych warunków klimatycznych, które urabiają Amerykanina, wyróżnia się wśród innych kobiet swą odpornością, swą zdolnością do szybkich decyzji, do piorunowego odzyskiwania zachwianej równowagi.

Amerykanka nie znosi drobiazgowości, jest złym materiałem dla domowego kłopotarstwa, nie lubi ręcznych robótek, nie lubi bibelotów, kocha się w haftach, ale wykonywanych na Maderze, gotowa się wystroić w brabanckie koronki, lecz klnie losy, które ją niekiedy zmuszają do przyszcicia sobie tasiemki.

Z usposobienia trzeźwa, zimna, chyba w mniej wybrednych sferach i pod wpływem sztucznych podnieceń mniej rozważna, mniej czujna na następstwa.

Taką ją urobiło życie, ku temu pchnęła ją początkowa koedukacja, owo zbliżenie się dziecinne dwu płci, które, o ile żadnej nie wyrządziło szkody, otrząsało przecież te płcie ze sobą do zbytku, pozbawiło je pewnych iluzji.

Ta koedukacja w dzieciństwie zapoczątkowana trwa w Ameryce i wówczas kiedy młodzież na jednopłciowe podzielona jest uczelnie, ile że trwa w obyczajności, w owym sportowym czy gimnastycznym rozbieraniu się, owym higienicznym umniejszaniu sobie liczby łokci jedwabiu czy bawełny, owym figowym zadawaniu się ze sobą na stadionach, plażach, wycieczkach czy majówkach.

W ten sposób płcie, o ile bez szwanku wytrzymują te próby, dochodzą do pewnego stopienia, zdemagnesowania wzajemnego. Następstwem tego jest aż nazbyt wielkie uniezależnienie młodzieży, aż nazbyt wielka swoboda nie tyle dawana przez rodziców i opiekunów, ile tym rodzicom i opiekunom przemocą wydzierana.

Młodzieniaszek, dorastająca panienka mają mnóstwo swoich własnych spraw i sprawek, do których nikomu, a zwłaszcza domowi rodzinnemu, nic do tego. Swoje własne mają znajomości, swoje własne sympatie, swoje własne zebrania, swoje własne spacer, swoje własne widzimię.

Ceremonii żadnych, żadnego skrępowania.

Uroczą panna Mary zapowiada swoim rodzicom, że tego i tego wieczoru potrzebuje salonu do dyspozycji, gdyż spodziewa się odwiedzin pewnego „boy’a”.

Kto? — Co? — Jak? — To nie należy do rzeczy. Gdyby coś z tego miało wynikać, będzie dość czasu na szczegóły. Ważne jedynie, aby salonik był pusty, aby nikt się nie naprzykrzał, nikt nie podsłuchiwał, nie przeszkadzał, bo to jest sprawa uroczej panny Mary, a nie czyja inna.

Na *ultimatum* ratunku nie ma, poddać się trzeba. Co ma być, to ma być. Lepiej zresztą w saloniku, aniżeli na rozstajnych drogach w jakimś „fordzie” czy między opłotkami.

Większy bodaj niepokój, kiedy uroczą panna Mary starannie się ogarnąwszy i, rzucając roześmiane „bye-bye”, zniknie poza drzwiami wchodowymi<sup>181</sup>.

Poszła nie wiadomo dokąd, nie wiadomo z kim, a raczej znów wiadomo, że z jakimś „boy’em”.

Uroczą panna Mary miewa bowiem bardzo dużo „boys’ów”, z jednym lubi pędzić dziesiątki kilometrów w samochodzie, z drugim lubi chodzić do pływalni, z trzecim na „show” (widowisko), z czwartym do restauracyjki na kolację, z piątym tylko do „peek-ease” (na pogawędkę do cukierni), a jeszcze z innym na dancing.

<sup>181</sup>wchodowy — wejściowy; ten, którym się wchodzi. [przypis edytorski]



„Boys”, a raczej mile widziani przez pannę Mary kawalerowie asystują, zabiegają, nadzarpując sobie w miarę autoramentu mniej lub więcej mocno swe własne dochody.

Panny Mary są wymagające, lubią się bawić, nie lubią oszczędzać, zwłaszcza kiedy obowiązek regulowania rachunków zawsze i tylko jest niedolą kawalera.

Lecz od tych droczeń, jeżeli się tak najłagodniej wyrazić, do ołtarza, do związku małżeńskiego droga daleka. Toć są dopiero czasy kawalerskiego życia, toć są swawole niebezpieczne, ale tylko swawole. Igraszki z amorem rzadko kończą się małżeństwem. To ostatnie zjawia się raczej spoza koliska operacyjnego panny Mary. Niekiedy jako kombinacja rodzinna, niekiedy jako wyjątkowe „*coup de foudre*”, niekiedy jako trzeźwe wyrachowanie niezawodnych danych.

Posagów w Ameryce nie ma. Co najwyżej wyprawa i odpowiednio do środowiska wielka liczba obowiązkowych prezentów, składanych przez najbliższe grono krewnych i znajomych — co najwyżej jakaś pomoc dla pana młodego w formie korzystniejszej pracy, jakieś współdziałanie ze strony bogatego teścia. Co reszta dopiero po śmierci rodziców, fortuna, i ta wielka, dopiero jako spadek. I tu jeszcze mocne rozgraniczenie tytułu własności.

Bogate dziedziczki i w Ameryce kupują sobie mężów, parweniusze i w Ameryce kupują sobie utytułowanych zięciów — lecz są to przypadki rzadsze, pewnej właściwej sferze, procentowo bardziej okrzywane, lecz mniej częste aniżeli w Europie.

Na pana młodego spada więc od razu cały ciężar utrzymania domu, ciężar zazwyczaj dotkliwy, ile że taż sama wczorajsza, garnąca się do pracy, do zarobkowania panna — opuszcza ręce... uważa, że od dnia ślubu on, jej towarzysz, jej mąż jest obowiązany myśleć o wszystkich potrzebach. Co więcej, gospodarstwo ją nudzi, męczy, pociąga natomiast dalej życie zewnętrzne, praca społeczna, towarzyskie obowiązki. Nawet w tych uboższych stadłach, kędy Amerykanka godzi się dalej zarobkować, nawet tam gospodarstwo domowe ulega zmechanizowaniu, nawet tam opiera się na rozgrzewaniu puszek z konserwami, nawet tam operuje uproszczeniami, nawet tam wystrzega się zmywania statków<sup>182</sup>, gotowania, smażenia, prania, wyprawiania kłopotliwych przyjęć — nawet kiedy jest zadość na sługi, to jeszcze dążenie, byle ich mieć jak najmniej, byle się i o nie nie troszczyć.

Mąż powinien pracować, powinien zarabiać i zarabiać stosunkowo wiele. Ona zaś powinna zażywać *dolce far niente*, jako jego wybranka, jako istota, która mu daje szczęście, która mu przyczynia rozkoszy, umilenia życia.

On co ranka zrywa się kornie, pochłania olbrzymi *break-fast*, który swędem „bancónów” całą wypełnia jadalnię, połyka talerz konfitur, opija się kawą i rwie wprost do „businessu”. Tam, w „businessie” najczęściej około południa przekąska na stojąco i dalsza orka aż do piątej, do szóstej wieczorem, dopiero powrót, niekiedy istna podróż do domowego ogniska.

W ognisku westalka już wystrojona, wymuskana, jeno w ubogiej kondycji decydująca się na przygrzanie jakowejś „puszki” na obiad — a zazwyczaj napraszająca się restauracji, rozrywki, „*show*”, wieczornej, a bodajby popołudniowej eskapady. W ognisku zatręśnienie nowin towarzyskich, jakoweś zawile dla spracowanego małżonka problematy, co gorsze, niekiedy stosy paczek i żałośniejsze od nich litanie rachunków do zapłacenia.

Dzieci? — Z nimi im wyżej, im bogaciej, im więcej środków na dzieci — tym mniej dzieci.

Ultranowoczesne małżeństwa nie miewają ich wcale — mniej krańcowe zdobywają się na jedno, na dwoje, zacołane dochodzą do trojga. Rezultat stąd oplakany dla statystyki. Na szczęście Ameryka ma jeszcze zadość biedactwa, zadość cudzoziemskich przesądów, które wysypują drobiazgu całymi tuzinami, chronią Ziemię Washingtona przed wyludnieniem.

Harda, ta „nordycka”, ta najlepsza rasa oczywiście bierze cięgi. O tym się nie mówi, natomiast mówi się tak obszernie, tak uczenie o ograniczeniu liczby potomstwa, o uprawianiu niszczenia płodów, że już postępowi pastorzy zaczynają łaskawie tym teoriom przyświadczać, że nawet w koliskach „obcych”, tych „niezamerykanizowanych” równie niezamerykanizowani „doktorkowie” tysiącami dopuszczają się kryminalnych operacji, z tych operacji nade wszystko żyją...

<sup>182</sup>statki (daw.) — naczynia pozostałe po posiłku, wymagające pozmywania. [przypis edytorski]

Więc dzieci? — Owszem, dobrze czasami takie jedno, takich dwoje — jedno takie i drugie takie — stąd niezawodnie nawet miłe rezultaty bywają, godziwe rodu przedłużenie — ale byle nie więcej, bo na tym i figura, i cera, i brak spokoju domowego, i wycofanie się z życia społecznego, i koszt, i turbacje... Słowem, wszystko możliwe byle bez tego piszczącego, żywego następstwa.

I pracują zawzięcie uczone wywody, idą ciągle dociekania społeczne do ataku, prowadzą się nawet, o zgrozo, szperania po *Biblii*, byle ulżyć cierpiącej ludzkości, byle zaniechać bezmyślnego krzewienia pauperyzmu, byle... piękne a zamożne nade wszystko Amerykanki legalnie upoważnić do wyrzeczenia się według woli macierzyństwa.

Ale to wszystko inne powinno jednak pozostać, powinno już całkowicie przeistoczyć się w znakomity dobór płciowy.

Impet w tym kierunku rwie naprzód. Zjawiają się koncepty w rodzaju małżeństw „na próbę”, małżeństw zakontraktowanych na kilka lat z możliwością przedłużenia zawartej umowy — ale podobno i całkowicie uroczyste związki małżeńskie przeistaczają się w równie „próbne” eksperymenty.

Sięgnijmy do urzędowych liczb.

A więc nade wszystko obrachunek ogłoszony przez Fundację Milbank Memorial stwierdza, że „bezdziethość” szerzy się w miastach amerykańskich, że na sto zamężnych kobiet, które doszły do lat 49., szesnaście jest bezdziethnych, że wśród inteligencji zawodowej bezdziethnych małżeństw jest 18%, wśród handlowców 16%, lecz co donioślejsze już 15% wśród żon wykwalifikowanych robotników, a 14% wśród wyrobników.

Harmonia małżeńska w jednym tylko stanie Illinois, w roku 1925 obliczyła, że na 79 000 małżeństw, okrągłe 13 822 stawało w sądzie rozwodowym, a w roku 1926 spośród 82 529 małżeństw — 14 125 wniosło skargi i te skargi zostały uwzględnione.

I to w jednym stanie Illinois!

Statystyka roku 1929 wykazuje, iż w Stanach Zjednoczonych w ciągu roku sprawozdawczego zawarto 1 232 559 małżeństw — czyli na każde tysiąc mieszkańców 10,1 — oraz, że w tym samym roku sprawozdawczym rozwodów dokonano 201 475 — czyli 1,66 na każdy tysiąc mieszkańców — czyli 16,3% na każde sto zawartych małżeństw.

Są to znamienne liczby, bacząc, że przed laty trzydziestu jeszcze na sto małżeństw rozwodziło się zaledwie siedem.

Prawodawstwa poszczególnych stanów walczą z tą epidemią rozwodową, piętrzą trudności. Aleć są stany, są osiedla, które na przekór tym dążeniom prowadzą rozwodowe przedsiębiorstwa... Takim klasycznym środowiskiem jest miasteczko Reno w stanie Nevada, które przy odpowiednich opłatach najzawilsze rozcina węzły i to w najszybszym tempie. Więc komu pilno, komu sądy niechętne w Indiana czy w Virginii, ten pędzi do Reno, do tego rajy rozwodownictwa.

Z tych liczb można by wysnuć, że dobór małżeński w lichych, pomimo tych przedślubnych swobód, odbywa się warunkach, można by pomówić obie płcie o lekkomyślność. Słuszność niewoli do wypomnienia w rzędzie winowajców i prawa ochronne, i przywileje otaczające kobietę.

Pamiętajmy, że Amerykanka posiada nie tylko całkowite równouprawnienie, ale i czerpie z prawa obyczajowego, z prastarego zachowania dla kobiety wiele nieznanych gdzie indziej prerogatyw.

Niektóre z nich warte są naśladowania, jak bodajby prawo niezaprzeczone kobiety do domowego ogniska, do mieszkania, do domku rezydencyjnego, o ile domek ten stanowił własność męża. Nie ma tutaj żadnego podatku spadkowego, żadnego ceremoniału. Mąż odszedł, ona pozostaje, więc władza bezapelacyjnie. Równie bezapelacyjne prawo broni ją przed wydziedziczeniem. Ojcu wolno wydziedziczyć własne dzieci, wolno mu majątek przekazać obcym, wolno nim rozporządzić według upodobania — lecz mężowi nie wolno pokrzywdzić żony.

Natomiast działwie nie wolno zapomnieć o rodzicach, nie wolno matki porzucić na łaskę losu. Muszą zapewnić utrzymanie rodzicom, muszą je zagwarantować według skali własnego życia, własnych dochodów. W przeciwnym razie krom<sup>183</sup> grzywnien grozi im

<sup>183</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

nawet więzienie... Gdyż jest to nie jałmużna, nie akt „dobrego” serca, lecz jeden z najkardynalniejszych obowiązków.

Życie na wiarę albo tak zwane „małżeństwo obyczajowe”, a więc jak mówią prawodawcy amerykańscy „bez licencji i bez dokonania jakiegokolwiek ceremoniału” przez większość stanów już po roku automatycznie zamienia się w legalny związek.

Niemniej ostre prawa chronią kobietę przed zwykłym uwodzicielstwem, pozwalają dochodzić nie tylko ojcostwa, ale nawet ekwiwalentu z racji zbyt daleko posuniętego zbliżenia.

Gorze<sup>184</sup> młodzieńcowi, który zagałopował się zbyt w uczuciach dla przebiegłej kusicielki, który nagwazdał w ognistym liściku zbyt wiele o miłości lub pieściwych nadużył słówek.

Już po nim.

Do sądu wjeżdża sążnisty akt oskarżenia o zbrodnię wielką, bo o „*broken hart*” — o tak popularne w Ameryce „złamanie serca”...

Za to „złamane serce” należy płacić bardzo słono, za „złamane serce”, za zawiedzioną miłość trzeba równowartość wyliczać w gotówce i nie według ceny rynkowej tego „serca”, które bardzo często nawet zdrapane nie zostało, lecz według zamożności obżałowanego.

Więc z tej uczciwej w zasadzie sprawiedliwości szerokie pole do chwytania w sidła nieopatrznych dudków, istne polowanie na alimenty, zwłaszcza, że te alimenty sędzia amerykański przyznaje i bez... dziecka i bez żadnego dokumentu pokrzywdzenia.

Stąd zawiera się wiele małżeństw ze strachu, pod grozą procesu, który zawsze jest przykrzejszym od rozwodu, co gorsze, kosztowniejszym.

Lecz kto wie, czyli<sup>185</sup> nie najgorliwszym krzewicielem rwania węzłów małżeńskich jest wielka nieobyczajność prasy amerykańskiej, nieprzystojność procedury sądowej.

Rozwody toczą się jawnie, przy drzwiach otwartych, w obliczu natłoczonych sal, a przebieg rozpraw sądowych do żadnej nie zobowiązuje dyskrecji...

Mało skrupulatne dziennikarstwo znajduje kopalnie skandalu nawet czasu największej posuchy na ciekawostki, na nowiny, na osobliwe zdarzenia.

Męty pienią się, publiczność chłonie padlinowe wyziewy, dostoyny sędzia sili się na kwakerskie dowcipy, poczubione stadła uczą się, wzorują, nabierają odwagi...

Skandal rozwodowy zamienia się w piedestał. W tysiącu naraz gazetach portrety rozwiewnej damy, ofiary brutalą, dźwigającej podobno na swej delikatnej powłoce fioletowy ślad srogiego uszczyptnięcia przez sinobrodę zakusy niecnego małżonka. Oto on, człek ponurego wejrzenia, tak z pozoru wiotki, wątły, a przecież jakież niesłychany niewiast pozerca!

I pieśń gminna amerykańska zatacza coraz szersze kręgi. Rozwiewna dama dostaje tysiące listów pełnych przysiąg — inne tysiące równie impetycznych listów spadają na srogiego pozercę, aby głodu nie zaznał.

I stąd przecież jest sława i rozgłos, i reklama olbrzymia, boć i w tych świństewkach małżeńskich nawet gwiazdy filmowe amerykańskie znajdują dla się niewyczerpane krynice do umacniania swej popularności, do zdobywania „recordów”.

Podczas<sup>186</sup> amerykański Salomon wpada na godzicielskie<sup>187</sup> pomysły. Skazuje na przykład uroczyście małżonka, aby pod grozą więzienia całował swą lepszą połowę rano i wieczorem lub, na przykład, prowadził ją raz na tydzień do kina; niekiedy *vice versa* niesforną żonę przymusza, aby co najmniej trzy razy na miesiąc przygotowywała mężowi ulubioną peklowinę z kapustą... Nie przystoi bowiem, żeby głowa rodziny do tak rzewnych przywiedziona została utyskiwań...

Ameryka pęka ze śmiechu. „Dobry” sędzia zaczyna wierzyć w swe posłannictwo na tej ziemi. Skłóceni małżonkowie przenoszą się do innego powiatu, znajdują żwawsze punkty do rozwodu.

Prawodawstwo amerykańskie w swym kulcie dla kobiety usiłuje ją chronić wszelkimi siłami przed upadkiem. Prostytucję tępi zawzięcie, obie strony stawia pod pręgierzem.

<sup>184</sup>gorze (daw.) — biada; nieszczęście; tu: nie wolno, nie należy (pod groźbą ściągnięcia nieszczęścia). [przypis edytorski]

<sup>185</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>podczas — tu: tymczasem. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>godzicielski — zmierzający do zaprowadzenia zgody, do pogodzenia stron. [przypis edytorski]

Lekkomyślne dziewczęta zamyka w domach poprawy, czyli doszczętnego zepsucia, do więzień ładuje rozpustników, gromy potępienia rzuca w każdy objaw rozwiązłości i w rezultacie nie ustępuje w niczym żadnemu z krajów europejskich, a raczej ma jeno więcej praw, więcej nadużyć, więcej sposobności do szantażu i więcej hipokryzji.

Poza tym żadna inna pociecha dla cnoty.

Nie ma przeklętych „domów”, ale w zamian jest tysiące kabaretów i kabarecików, w których rozebrane do niemożliwości „artystki” krążą wśród widzów, przyczyniają się do podniecenia temperatury. Są dziesiątki tysięcy rozmaitego pokroju dancingów, „speek-as’ów”, kawiarni, lodziarni, jadłodajni, bud, ogródków, spelunek wypełnianych o pewnej porze czułymi parami „sweethartów”, a między nimi aż nadto zastraszający procent takich „słodkoserczych” relacji, które zadzierzgnięte o słońca zachodzie rozwiewać się zwykły w mgłach poranka.

Pruderia amerykańska udaremnia wszelkimi sposobami dostęp młodym parom do zaciszy. Strzeże parków, nie zezwala na separatki, kamieniuje domy schadzek, trzyma w ryzie hotele...

Jakoż hotele w Ameryce są tylko dla podróżnych, tylko dla ludzi zjawiających się z bagażami, a więc niezawodnie przejezdnych. Taki „bagaż” można często nawet w gmachu hotelowym nabyć za jednego dolara... Będzie to wprawdzie papierowy kuferek, jakiś „ersatz<sup>188</sup>” torebki, zawierającej w środku dwie szczoteczki do zębów i odrobinę pachnidła, ale będzie to talizman, dzięki któremu zjawiająca się parka będzie powitana z całym szacunkiem należnym dobranemu stadłu.

Jedyne w tej bagażowej kombinacji niebezpieczeństwo, że gdyby udało się nadobnej Miss Mary udowodnić, że tego i tego dnia, w tym i w tym hotelu była zapisana przez pana Franka jako jego małżonka, to bez względu na wszystkie przygody, jakich zaznała dotychczas nadobna Miss Mary — Mister Frank mógłby wpaść na grube odszkodowanie.

Lecz Mister Franka przed tymi ostatecznościami broni nieświadomość nadobnej Miss Mary, która, szczególnie jeżeli wywodzi się ze świeżego pokładu emigracji, bywa w Stanach Zjednoczonych równie bezbronna jak Murzynka, równie wyzyskiwana jak wyrzucona na brzegi brazylijskie biała niewolnica.

Nadzieje pokładane przez moralizatorów amerykańskich, że prohibicja alkoholowa przyczyni się do powściągnięcia rozpustnictwa zawiodły całkowicie.

Wprawdzie dzisiaj w Stanach Zjednoczonych rzadziej można oglądać w wytwornej restauracji podchmielone damy, lecz w zamian wszelkiego rodzaju podfruwajki, aż do studentek uniwersytetu włącznie, bez flakonika z wódką w torebce nie wyruszają na teren operacyjny, na żwawszą studencką uciechę.

Nie większe święci triumfy ostra cenzura obrazów migawkowych, która bez ceremonii nie pozwala Otellowi zadusić Desdemonę lub która wszelką drastyczność ogranicza do tego typowego filmowego, półminutowanego, całunkowego amerykańskiego wpijania się.

Życie drwi sobie z tej pruderii, z hipokryzji obyczajowej, wpada w większe jeszcze rozpętanie.

Trudno bodaj sobie wyobrazić w Europie samochód wypełniony dziewięćdziesięciopięcioprocentowymi golasami płci obojga, szorujący w biały dzień poprzez ludne ulice Bostonu ku brzegom morza. Trudno sobie wyobrazić taki samochód zajeżdżający bez ceremonii na plażę i wysypujący ze śmiechem nagi swój ładunek lub równie nagi i mokry zabierający z powrotem na wielokilometrową podróż do domu „rodzinnego” na małą przekąskę, bo w ogóle trudno sobie wyobrazić nowoczesną Fryne amerykańską wchodzącą do salonu w kilku zaledwie przepaskach i tak sobie niby „do rosołu” kąpielowego obchodzącą uprzejmie całe wystrojone towarzystwo.

Ubolewają nad tym wszystkim moralisci czy zawodowi moralizatorowie, utyskują ludzie dawnego pokroju, rozbrzmiewa smętnie odwieczna piosenka o młodości, która się „klasycyzmu” zrekła.

Młode pokolenie zbywa się jak zawsze „przesądów”.

Tym łatwiej mu to przychodzi, że i to starsze wpada niekiedy w tempo jazzu i równie zapamiętałe rade wytrząsać swe pobielale głowy i nadwątlone szkielety.

<sup>188</sup>ersatz (z niem.) — podróbka, zastępnik. [przypis edytorski]

Na „*old people*” nie zwraca się większej uwagi niż na swoich „starych” w Europie. Młodzi, jako niegdyś, chcą mieć zawsze własne doświadczenia, gardzą cudzym, w ogólnej sumie tyle słuszności po ich stronie, że, jeżeli zaczyna być znów inaczej, to nie lepiej niż wczoraj, ale i nie gorzej.

Zresztą należy się strzec wszelkich w tym kierunku uogólnień i mocniej w Ameryce niż gdziekolwiek.

Stany Zjednoczone przedstawiają, jak było powiedziane, ciągle jeszcze niestopioną, niejedolitą masę ras i narodów, na czele których kroczy już pewien wyraźny typ, ale i to nierównomiernie, bo kroczy poprzez kontynent olbrzymi, stwarzający sam przez się różne warunki bytowania, a więc i różną obyczajowość.

W puszczech Arizony ideałem jest po dawnemu rycerski „*cowboy*”, więc dokładnie „*krowi chłopiec*”, a ściślej mówiąc, pastuch, w Nowej Anglii doktor filozofii, w nowożytnym Bethlehem dyrektor stalowni, zgarniający rocznie około ośmiuset tysięcy dolarów, w Hollywoodzie genialna „*flapperka*”, z fotogenicznej „*facetki*” wystrzelająca na filmową gwiazdę, w Nowym Jorku „*daktylo*”, która choć w procencie jeden na sto tysięcy, a przecie umie zadławić multimilionera, a w Waszyngtonie działaczka niewołająca do posłuchu senatorskie karki.

A więc strzec się należy uogólnień, strzec przejawskawień, nie poczytywać tego za amerykańskie, co ciągle jeszcze jest niemieckie, irlandzkie, włoskie, angielskie, obce.

## *Home, sweet home*, CZYLI O DOMOWEGO OGNISKA SŁODYCZY

„*Home, sweet home*” — więc prastara piosenka anglosaska, zrywająca się po dziś dzień nawet poprzez skowyk wielkich metropolii amerykańskich, więc jakby kołysanka rozlewna, kojąca smętkiem powieści o „słodocy domowego ogniska”.

Każdemu Amerykaninowi przywodzi ona półmrok zapadającego wieczoru, żwawe na kominku płonących szczap pyrczanie, lekki poszmer kołowrotka, przytłumiony głos starczej postaci pochylonej nad rozwartą *Biblią* — przywodzi ów pogwar niefrasobliwy, owo patriarcalnej rodziny ciche podziewanie, przywodzi czasy odległe, dawne czasy, czasy purytańskie, czasy kwakerskich cnót, czasy pionierskich zmagañ, którym jedyną radością, jedyną otuchą, jedynym ukojeniem było domowe ognisko.

Zmienił się świat, nowe narosły, nowe przywędrowały pokolenia, a pomimo wszystko kult dla tego ogniska w Ameryce jest ponoć silniejszy, kto wie, czy nie głębszy aniżeli w każdym innym zakątku ziemskiego globu. Czyli w tym kulcie pokutują jakoweś odwieczne maryl, ukazują się widma, brzmia echa, porzuconej niegdyś pierwszej ojczyzny, wypomnienia „starego kraju”, czyli jeno obyczaj tak mocno wgryzł się w nową społeczność, dość że trwa, że stawia czoło praktyczności, skręca i zimną rachubę, i trzpiotom przyczynia zadumy.

Bodaj z tego kultu wywodzi się w Ameryce ów żywiołowy pęd, który przed szeregiem lat nawet mieszcuchów przejął tak gorącym pragnieniem posiadania już nie mieszkania dostatniego, lecz własnego domku, własnej rezydencji, własnej siedziby, wolnej od udręek nowoczesnych karawan-serajów, a natomiast wystrojonej we wszelkie cechy tego ukochanego ogniska.

Jakoż wszystkie, i te co największe miasta amerykańskie, i te nikłe, drobne osady rozpostarły jakby skrzydła, dziesięćkroć niekiedy powiększyły swe obszary, strojąc się w nieskończone aleje dworków, dworeczków, pałacików, niekiedy prawie zamków srogich. Rozmach środków komunikacji dodał temu ruchowi impetu. Stany Zjednoczone posiadały nieznaną gdzie indziej zbytek, niepojętą gdzie indziej zamożność.

W murach wielkomijskich, w kamienicach ponurych zostali jeno bezsilni, jeno odosobienicy, pojedynkowie społeczni. Kto żwawszy, zabieglwszy ten pod własnym osiadł dachem, bodajby własnymi dźwignięty rękoma. I nie bogacz jeno, nie burżuj, nie geszefciarz, ale i robociarz, i trudu powszedniego skazaniec, i ten maluczki człeczyna, i ten niezdara.

I dzisiaj jeszcze, i dzisiaj można jechać i jechać tysiącami kilometrów wystrojonych w piękne pasma siedzib, zielenią spowitych, schludnych, zalotnych niemal w swej oprawie.

Dopieroż w tych domach, w tych rezydencjach, w tych dworkach...

Chodzić z kąta w kąt a dziwować się pomysłowości urządzenia, wygodom, przezorności, nowoczesności. Toć tu wszystko zrealizowane, wprowadzone, ziszczone to wszystko, co ówdzie roi się jeszcze po mądrych głowach, iskrzy w bystrych umysłach, o czym ówdzie powiada się jeszcze jako o tym, co przyjdzie, co nadchodzi, co się zaczyna niezawodnie...

Domek amerykański już to posiada i nie od wczoraj.

Wystawmy<sup>189</sup> sobie rezydencję dwunastopokojową, okoloną kawałem ogródka, z całym ciężarem pamiętania nawet o chodniku, o cerberskich obowiązkach i rezydencję bez sługi lub, co za luksus, przy jednej służce strojnej w jedwabne pończoszki i pełniącą obowiązki przez osiem godzin dziennie, a resztę czasu poświęcającej spoczynkowi i własnym sprawom, wśród których „kino” i „dancing” poważne zajmują miejsce.

Jakże sobie ludzie poczynają? — Jakże taka „Kasia” czy „Marysia” amerykańska zdolna sobie poradzić z takim olbrzymem, wypchanym w dodatku pięciorgiem, a choćby i trojgiem „państwa”?

Ano „Kasia” przeważnie pogwizduje wesoło, jeszcze weselej pogwizduje „Marysia” i ciulają pieniędzy na nowe stroje, nowe uciechy. Gospodarstwo idzie samo, leci, samo się robi... samo się prztyka...

Tu się pociśnie, tam odkręci, tu nastawi, tam zadzwoni i gotowe.

Elektryczność, ogrzewanie centralne, gorąca woda w dzień i w nocy, pralnia mechaniczna, kuchnia istna poezja białości. Do kuchni elektryczne palenisko, kiedy nie elektryczne to gazowe, jak nie gazowe to naftowy automat, za pociśnięciem deska do prasowania wysuwa się ze ściany, odkurzacze elektryczne, elektryczne maszynki robią wafle, pieką sucharki, ogrzewają obolałe brzuszki, zapalają cygara i papierosy, pochłaniają dym w zadymionych tytoniem pokojach, rozpalają żelazka, gotowe kręcić lody, zawijać panienkom filuterne „acrochecoery” nad uszkami, strzyc na jeża trawnikowe dywany, pompować w piwnicy wodę studzienną, źródłaną, masować nazbyt raptownie puchnące damy, fabrykować w lodowni potrzebną ilość lodu i utrzymywać temperaturę marznięcia.

Zadnej męki, żadnego wysiłku. Tu zmywalnie, szereg zmywalni, nieledwie samomyjskich, tu obsączarnia. Dość tknąć, już naczynia piękne, lśniące. Nigdzie sady, nigdzie kopciu. Chłodno w mieszkaniu — starczy sprawdzić na zegarku ciepłomierskim i nastawić wskazówkę. Starczy ją ruszyć, a już hen, na dole, w palenisku, zadudniło, „cugi” się zerwały wietrzne i już ciepłko promieniuje z „harmonijek” ogrzewalskich.

Do miasta z koszyczkiem? Chyba samochodem po znaczniejsze zakupy, inaczej jest telefon magiczny... Dość zawołać i już jest, jakby spod ziemi i rzeźnik, i piekarz, i mleczarz, i handlarz wiktuałów, czyli z polską po amerykańsku „grosernik” — a z nim razem wszystko co trzeba przywiezione, dostarczone i najczęściej gotowe... Byle zważać na markę fabryczną, a można bez zachodu, bez zaduchu... dobrać się do najsmakowitszej kapusty ze świńskim ogonkiem czy z poważniejszą częścią świńskiej istoty, do jesiota w pomidorowym sosie lub do pomidorów w wołowej omacie.

Jeden chyba kłopot, bo pani lubi sama robić „cukierki” i mieszać „devil-food”, czyli diabelski tort (jedyne zachowanie amerykańskie dla tego brzydala), a więc ambaras z obsychającą czekoladową masą.

Poza tym, jedwabne życie w takim domku, bo i telegram telefonem wysłany, i nieporozumienie podatkowe z „fiskusem” telefonem załatwione, i skarga telefoniczna na służbę drogową uwzględniona!

Pokoje widne, przestronne, obrazów i obrazików jak najmniej, chyba u dziwaków albo u milionerów. „Obzedarów” ani poświeć, skorupek, fidrygalek, farfurek, porcelanek, szkiełek, serwantek, etażerek, półeczek, pamiąteczek „ani-ani”... serweteczek, szydełkowych pajęczyn, firaneczek, wisiorzków ozdobnych, poobtłukiwanych figurynek nie poświeć.

Wszystko masywne, „dychtowane”, akuratne, zamaszyste, przytulne, ale proste. Owszem nie tylko skóra, rypsy, ale plusze jedwabne — lecz gładko obciąpane z reguły, nigdy tych pikowań w różyczki, nigdzie zdradliwych zakładek. Jak spluwaczka — to rzekłbyś urna półmetrowa, mosiężna, roztruchan<sup>190</sup> niesamowity.

<sup>189</sup>wystawić sobie (daw.) — wyobrazić sobie. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>roztruchan — duży, srebrny puchar o kształcie zoomorficznym (np. orla, pawia, sowy, lwa), czasami zdobiony kamieniami szlachetnymi, używany do wznoszenia toastów i służący do ozdoby stołu; popularny w XVI i XVII w. [przypis edytorski]

Żadnych szaf europejskich, tego nagrobkowego stylu potworów wypełniających izdebki, żadnych wieszaków po kątach, żadnych „komód”, tak mało doprawdy „*commode*”<sup>191</sup>, nawet w murach żadnych schowanków na składy rupieci i kurzu.

W zamian w każdym domu widne, szczelnie zamknięte garderoby z całym aparatem „wieszalnym”, z oszklonymi szafeczkami na kapelusze, na obuwie, w zamian widne bielizniarki, w zamian w przedpokoju oświetlające się automatycznie schowanko na palta, kalosze i parasole przybywających gości...

Żadnej krętaniny, bieżaniny, jak najmniej dreptania, dźwigania...

Zajeżdża zapas węgla przed domek, przed dworek, przed pałacyk, otwiera klapę na zewnątrz domu do szerokiej rury idącej pochyło<sup>192</sup> wprost do zagrody piwnicznej przed paleniskiem i zakłada sobie blaszaną rynnę. Ta rynna opiera się we wgłębieniu rury... I oto węglarz spycha sobie całe dwie tony węgla w ciągu kilku minut...

Bieliznę do pralni mieszczącej się w suterenie? — Ależ w pokoju sypialnym jest kłapa — wystarczy ją podnieść — brudna bielizna spadnie od razu do kosza w zamkniętej komorze tuż przy pralni.

Sadze? — Kominiarze? — Stare przesady. Kominy są na schwał, kiedy grymaszą, starczy jeden egzemplarz świątecznego „New York Herald” na zapalenie sadzy i wypalenie ich radykalne.

Jedyna turbacja — dywany, owe amerykańskie „carpety”, upodobanie do kobierców i to nie tylko do przednich amerykańskich, jak „axminster”, ale i do perskich, tureckich, arabskich, kabardyńskich, bodajby do czerwonoskórych. No i jedyny kłopot większy z sakramentalnym kominkiem...

Kominek prastary, odwieczny musi być. Przy tym im klasyczniej obmurowany surową cegłą, im bardziej przypominający owo prymitywne palenisko, im w czeluści swej przepastniejszy, tym większy splendor, większa domu dostojność.

Owóż ten kominek wymaga żeru, szczap, nieraz mięsistych kłód drzewa, wymaga trudu...

Nie żałują mu go nigdy, nie żałują ani podczas przejmującej zamieci, ani podczas rozhulanego boreasza, ani podczas śmielszego podmuchu wiosennego. Kominki płoną, goreją wszędy. Bez ich migotliwych błysków nie ma dostatniego przyjęcia, nie ma zebrań, nie ma różniejszej atmosfery.

Ogień na kominku być musi.

Kiedy do szczap daleko, kiedy w miejskim kotłowniku trudno o kominku pamiętać, wówczas dla ocalenia nastroju umieszcza się w otworze kominka... imitację bierwion z azbestu... i puszcza się dokoła nich płomyki gazu... byle się na kominku ćmiło, byle się tliło, byle coś się kociło.

A łazienki? — A pokoje toaletowe, no a... „ten”?...

Czyliż potrzeba się rozwodzić?

Wanien jest tyle, że mniej z nimi otrzaskane obywatelki przechowują w nich kartofle... a toalet różnorodnych i owych „ten” jest w każdym domku i na każdym pięterku, i w każdym sposobniejszym uboczu tyle, aby było i dla pani, i dla pana, i dla dzieci, i dla służby, a i dla gości — taka bowiem w Stanach Zjednoczonych moda się pleni, że już po jednogodzinnej wizycie trzeba gościa prowadzić niby dwuletniego Jasia lub trzyletnią Lusię...

Okres tego impetu do własnych domków, do własnych chatynek był podobno najwdzięczniejszy, najpiękniejszy, najpomyślniejszy.

Ludzie ławą szli za tym prądem. Każdy ciulał, od ust sobie odejmował, byle się dochrapać skrawka własnej ziemi, byle zręby własnego dźwignąć domostwa.

Businessiści poszli prądowi na rękę.

Wyskoczyły niby spod ziemi banki „realnościowe”, pożyczkowo-budowlane, narodziły się przedsiębiorstwa potężne, zamieniające podmiejskie rozsypiska w parki i ogrody i w tych parkach i ogrodach wznoszące gotowe rezydencje i rezydencyjki na sprzedaż za byle dolarki, za cenę zwykłego komornego, za byle procencik, za takie raty, które w cią-

<sup>191</sup>*commode* (fr.) — wygodny, komfortowy. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>*pochyło* (daw., reg.) — niezwłocznie; szybko, wkrótce; tu: bezpośrednio. [przypis edytorski]

gu tyłu i tyłu lat cherlaka lokatora, bez bólu i wysiłku przekuwały na posiedziciela<sup>193</sup>, fortuny lizusa.

Kredyt święcił był<sup>194</sup> triumfy, doszedł był do tak bajecznych plonów, że gdyby i teraz, po tylu latach, zrachować liczby, hipoteki, niespłacone pożyczki, to jeszcze i teraz zaledwie jedna trzecia część wartości należy do nominalnych właścicieli — a dwie trzecie tkwi wytrwale w kieszeniach i kasach cudzych, milionerskich...

Lecz cóż tam obdłużenie takie czy owakie! Najważniejsza<sup>195</sup>, że ludzie dochodzili do własnych nad głową dachów, że, przywiązując się do tych swoich dworków, do grządek w ogródku, do ścieżynek własną gracowanych ręką, powiększali zastępy obywateli statecznych, osiedziałych, nieskorych na eksperymenty społeczne, na ideowe spazmy. Najważniejsza, że trwał ruch budowlany, fabryczny, że dolary nie próżnowały, zataczały w swym biegu rozległe koliska.

Dopieroż jeszcze, kiedy domek już wymuskany, gotowy, dopieroż nowe zagospodarowanie, przenosiny, dopieroż z nimi radość pożądania, radość nasycenia, bo i to jeszcze trzeba, i tamto, i owo, i jeszcze, i jeszcze, bo wszystko zamarzone<sup>196</sup> pod ręką, tuż, za bezcen, za centy prawie...

Nowe meble, kobierczyki, wspaniałe lampy i lampiony, a tedy owe kunsztowne majstersztyki ciszę domowego ogniska umilające.

Więc fortepiany nakręcane czyli elektryczne samograjskie, różne „piano”, „victrole”, czyli<sup>197</sup> wprost gramofonowe „Edisony”.

Na zawołanie, co kto chce. Wstaje z grobu Caruso, mizdrzy się, chyba co najwyżej z czyścica, Adelina Patti, rzępoli sobie na umór Pablo Sarassate, najślawniejsi muzykanci, wirtuozi, śpiewacy, deklamatorzy, Metternichy nawet, każdej chwili gotowi do popisów, do zachwycenia amerykańskich domczków. Nareszcie i radio potężne, po całym świecie hulające i to co pół roku nowe, co pół roku lepsze, potężniejsze, sięgające za góry, za morza, za oceany...

A w tym wszystkim hasło, aby za postępek iść, za nakazem dnia. Więc piękne współzawodnictwo, aby się nie dać wyprzedzić nikomu czy to w narcyzach, czy gladiolusach, czy w sile radiofonskiej, czy doborze grających płytek.

I cały ten byt i dobrobyt, niesłychaną, niepojętą dla innych możliwość i zamożność siedzib osiągało się za jednego, co najwyżej pięć dolarów z góry.

Wyplaty i raty... Najczęściej cotygodniowe i za elektrycznego „perkolatora<sup>198</sup>” do kawy, i za kryształ do świeczników, i za onego Carusa, nawet za pierścioneł dla narzeczonej, nawet za weselne śniadanie, nawet za pogrzeb babci Eleonory.

Nie dajmy się przecież utyskiwaniom na... raty — ciekawsze tłoczą się sprawy!

Zważmy na skrobidolarków, zamożnisiów, na piecuchów złotolitych amerykańskich.

Tu dopiero istna licytacja, kto piękniejszą zbuduje rezydencję, kto kosztowniejszą, kto na zawrotniejsze wpadnie koncepty, kto kogo olśni, zachwyci, zgasi.

Temu na kawałku nadhudsonskiego ugoru, niby imć panu Twardowskiemu sam „kusy” — huknie, gwizdnie, brząknie workiem raz, drugi, trzeci... i oto na ugorze park wyrasta. Stuletnie dęby wloką się doń nocami na potwornych wozach, „konifery<sup>199</sup>” nowe życie od pięćdziesiątki zaczynają, klony, buki, jawory, brzozy osobliwe, krzewy co najrzadsze, wszystko się to w esy i floresy ustawia i już kwitnie, już się wdzięczy do strumieni, stawów i wodospadów, już się rozsiada, jakby ojczyznę pod korzeniami w butach nosiło.

Tam obok włoskie cudo, żywcem po kawałeczku zwiezione gdzieś spod Florencji — tam znów szwedzkiego rycerstwa rodzeniuteńki ostróg na skale — dalej Grecja z całym Olimpem, ówdzie wspaniałości Rockefellerów, bogactwa niesłychane... aleć w pobliżu wstęgi szyn kolejowych... Przykre sąsiedztwo. Tu ptaszkiowie świergołą czyli<sup>200</sup> droczące

<sup>193</sup>posiedziciel (daw.) — posiadacz, właściciel. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>święcił był (daw.) — forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: święcił wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>195</sup>najważniejsza — daw. forma oznaczająca: najważniejsze jest, aby. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>wszystko zamarzone — wszystko, o czym się zamarzy. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykulą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>perkolator (daw.) — ekspres do kawy. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>konifery (daw.) — drzewa iglaste. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykulą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]



się damy, tu nababski<sup>201</sup> głos raczy coś pod nosem mamrotać ku biedniejszym zbudowaniu... a tu wypada ze zgrzytem, sapaniem a łomotaniem pospolity włóczykij kolejarski i gasi wrażenie, ogłusza, aroganckim dymem sapie, dmucha bezczelnie w czerwone arkady magnackiego „rosarium”<sup>202</sup>...

— Panie... Kolej! — Bierz pan dwa miliony i wynoś pan mi się precz ze swoim nieprzystojnym gospodarstwem!...

Za mało dwa miliony? — Więc cztery, dziesięć, dwadzieścia pięć. Mniejsza ile — miliony same się mnożą.

Latami szły te zawody.

Jeden nieboszczkę Semiramidę wiszącymi ogrodami zapędzał w kozi róg, drugi wersalskie rozpościerał partery a wystrzygiwał całe lasy jeszcze kunsztowniej aniżeli słynny Le Notre, trzeci kopiował renesans, czwarty lubował się w angielskim stylu, niby w „rosbeafie” na krwawo, piąty czynił jako ongiś w Grenadzie, ten się sadził na kolumny, na marmury, na attyki, ów z okrągłaków zbijał przybytek niesamowity, istną diany siedzibę.

Aż ten prąd nagle się zachłysnął, zwolnił.

Przyczyn było mnóstwo i ważkich.

Najpierwszą z nich i tą najpopularniejszą stał się automobil. Ten sam automobil, który w zaraniu swego żywota tak mocno przyczynił się do zaludnienia okolic podmiejskich... Tak, każdy zaczął go pożądać, każdy go mieć pragnął i to coraz sprawniejszy, piękniejszy...

Człek skromny stanął był nagle wobec problemu — automobil czyli<sup>203</sup> domek?

„Matce” taka wątpliwość wcale się nie widziała — większość głosów młodzieży jednak była zawsze po stronie ojca.

Duża pociecha z chatynki, ileż jednak zadowolenia z owej jazdy po świecie, z owego rwania przy łada sposobności naprzód... Wszyscy teraz jeżdżą — trzeba jako wszyscy...

I samochody jeły w Ameryce osłabiać ruch budowlany, parcele traciły na wartości.

Na przeciwnym krańcu, wśród tych, których stać było i na dom, i na samochód, niechęć ku rezydencjom z innych znów narodziła się racji.

Własność? — Niezawodnie, jeżeli idzie o sezonowe przebywanie, o upał w zimie czy też o północny wietrzyk w lecie. Więc posiadłość z dala od ludzi, wśród gór, lasów, nawet przystoi niekiedy zabawić się na sielsko, choćby wyjeżdżać na własną wysepkę na urocze „Tausend Islands” lub choćby osiadać między tysiącem jezior w Minnesocie. Ale rezydencje podmiejskie lub całkowicie miejskie toć doprawdy raczej utrapienie.

Trzeba myśleć o wszystkim, trzeba pamiętać o tylu naraz drobiazgach, szczegółach, obligacjach podatkowych, remontach, a o dobrą służbę coraz trudniej. Za pieniądze nawet nie zawsze można dostać znośnego kucharza, a coś dopiero oddaną pokojową lub kamerdynera, który by nie był ptakiem przelotnym. Życie towarzyskie coraz zawilsze stawia wymagania, a własna rezydencja jeszcze bardziej je komplikuje.

Kędy<sup>204</sup> liczna rodzina — oczywiście nie ma rady — lecz oto dwoje ludzi tylko. Cóż im z tego dworu, z tej głuszy komnat, z tej wystrojonej pustki? Lato spędza się w Europie, jesień w White Sulphur Springs, zimę na Florydzie lub w Kalifornii, a wszelkie święta i uroczystości w tym czy innym „Majesticu”. Cóż tedy ta własna rezydencja?

Więc i na tym krańcu nastąpiło zubożenie, ustało sadzenie się na mieszkaniowe wspaniałości.

I w ostatku zaczęła się toczyć powrotna fala, nade wszystko ta górna, ta przodująca innym.

Miasta na zawołanie wystrzeliły domami „apartamentowymi” — prawie że pałacami wyposażonymi w jeszcze doskonalsze aniżeli dotychczas udogodnienia, których zasadniczym sensem było i jest ograniczenie do minimum kłopotów wynikających z prowadzenia gospodarstwa.

Wreszcie „domy apartamentowe” przeistaczały się jakby w hotele, a hotele w kamienice dochodowe... otwierając na ścieżaj wrota przed powrotną falą.

<sup>201</sup>nababski — właściwy *nababowi*, tj. bogaczowi (od tytułu muzułmańskiego księcia w Indiach, zwł. w Bengalu). [przypis edytorski]

<sup>202</sup>rosarium (łac.) — ogród różany. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Cóż bo dogodniejszego na świecie ponad ten przeolbrzymi, tysiącokienny gmach tworzący jakby główny ośrodek życia wielkomiejskiego, cóż bardziej wytwornego aniżeli nowoczesny hotel amerykański...

Wszystkie troski, wszystkie małostkowości powszednie rozwiązane, żadnych perypetii ze służbą, żadnych w stosunku do niej obligacji, żadnych drobiazgowych mitręg.

Oto wspaniały apartament gotowy, umeblowany według fantazji lokatora, zdobny, jeżeli zapragnie jego własnymi drobiazgami, a obocznie<sup>205</sup> zbrojny całym najwyszukiwszym wykwinem...

Stylowy, arystokratyczny „*maitre d’hotel*” troszczy się zawsze o smak, o dobór potraw, o przepych zastawy, o najmniejszy pyłek, o byle zmarszczkę na pluszach i aksamitach. Wszystko ciągle i równie nieskazitelne, niepokalane, natychmiast zmieniane w razie najmniejszej skazy zużycia.

Usługa błyskawiczna. Dziesięciu lokai na skinienie, dziesięć panien służebnych. Fryzjerzy najsławniejsi, manikiurzystki, masażyści, prasowacze, praczki, krawcy, szwaczki o każdej porze dnia i nocy. Na zawołanie bilety do teatrów, samochody, liberia, poczta, telegraf, radio, automaty wprost z giełdy i agenci giełdowi, komunikaty sportowe, polityczne, fale ostatnich nowin z towarzystwa... O niczym nie potrzeba myśleć, wystarczy tylko chcieć. Obiad na dwadzieścia osób, lekka przekąska na trzy czy „*five*”<sup>206</sup> na pięćdziesiąt... Nie dość przestworu w apartamencie? — Więc tryska kandelabrami „złota sala” — „mauretańska” — „biała” — „błękitna”... Cała amfilada „receptyjnych” komnat do dyspozycji... lokatora...

Jedyna kwestia — oczywiście rachunek. — Siedem, dziesięć, dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie... Głupstwo. — Lecz spokój, wolna głowa, a co najpierwsze, najważniejsze brak, brak tego wdawania się, przekomarzania z dziesiątkami ludzi, z niezdolną służbą, coraz bardziej naprzykrzoną, coraz dokuczliwszą...

Tutaj wszystko na głowie hotelu, nawet troska i o to, aby na chwilę znudzenia był tuż w jego labiryncie i koncert nad koncertami, i jazz nad jazzami, i odczyt naukowy, i zjazd ciekawy, i wytwornego towarzystwa zabawa, no i żeby byle kto się nie wmieszał, nie zabłąkał jakowyś parweniusz niezdolny sprostać sumą rocznego dochodu.

Hotel musi pamiętać i pamiętać o wszystkim, nawet o porzuconych beładnie na toalecie klejnotach, nawet o więdnących kwiatach w salonie, nawet o wypalonej cygarem serwecie adamaszkowej.

Cóż za wspaniała instytucja taki pierwszorzędny „*family-hotel*” — cóż za kwintesencja groszóróbkiego samolubstwa, cóż za forma przewspaniała bezimiennego niewolnictwa...

Dopieroż wyruszyć w stronę pięknych krajobrazów, modnych uzdrowisk, arystokratycznych plaży. Toć jeszcze większy przepych, jeszcze bajeczniejsze urządzenia, bo teraz i obszary do wyłącznej dyspozycji, golfy, tenis, pływalnie, stajnie koni wierzchowych, pałace „bridge’owe”, tajemnicze gabinety, materacami wyścielane do pokera, do hazardziku, do bardziej „krzykliwych” uciech...

Rozkoszne hotele.

Lecz i te zwykłe, te powszednie, te za dwa, za trzy czy za pięć dolarów dziennie za pokój istotnie w niepojęte wyposażone przymioty.

Ceny zawsze jednakowe i pokoje jednakowe, żadnego taksowania gości według wyglądu, żadnego zdzierstwa. Napiwków bardzo mało i żadnych doliczeń za usługę.

Każdy pokój jest uważany jako wynajęty na dwadzieścia cztery godziny, to znaczy, że codziennie ten pokój musi być nie tylko z gruntu sprzątnięty i wywietrzony, nie tylko zrewidowany w każdym szczególe, ale zaopatrzony od początku we wszystko...

A więc co dzień czyste powłoczki, co dzień czyste prześcieradła, co dzień nowe zapasy mydełek, co dzień biureczko wypełnione kolekcją papieru listowego różnego formatu, co dzień sprawdzony na toalecie dobór nici od wypadku, guziczków, spinek, co dzień nowe zwoje bielizny kąpielowej, co dzień sprawdzone funkcjonowanie kranów, światła, co dzień doprowadzenie pokoju jakby do pierwotnej, niepokalanej wytworności. I to bez względu na to, czy przebywający w danym pokoju zatrzymał się na jeden dzień czy na cały miesiąc.

<sup>205</sup> *obocznie* (daw.) — jednocześnie. [przypis edytorski]

<sup>206</sup> *five* (ang.) — pięć, piąta (godzina); tu: podwieczorek (zwyczajowo urządzany o piątej po południu). [przypis edytorski]

Wnętrza pokoi hotelowych raczej skromne, niewymyślne. Ściany jasne, meble ciemnoorzechowe, stalowe, blaty nakryte kryształowymi taflami, na ziemi płow dywan, szczelnie wypełniający całą przestrzeń. Ani jednego zbytecznego sprzętu, każdy z góry obmyślony, dopasowany do tego właśnie kąta, do tego wolnego miejsca.

Przy każdym pokoju wspaniała, lśniąca kafelkami łazienka z umywalnią, higienicznym sprzętem, z prysznicem, potokami bodaj ukropu, zapasem mydelek, pół tuzinem ręczników, puszystymi prześcieradłami i śnieżnymi kobierczykami na mozaikowej posadzce.

Kto nieobeznany z amerykańskim hotelem, tego na każdym kroku czeka niespodzianka.

Żadnego dzwonka elektrycznego, żadnego w ogóle dźwięku, spoza stalowych drzwi wchodowych zawsze cisza głęboka, niczym niezakłócona. Jediną komunikację do wszystkiego stanowi telefon przy łóżku, spoczywający na księdze adresowej i *Biblii*...

Na sygnał telefoniczny zjawia się nie popychel korytarzowy, nie sprzątaczką, lecz odpowiedni specjalista. Ubogie wszakże ma interesy do służby hotelowej przeciętny amerykański podróżny. W pokoju ma pod ręką wszystko, co najnieodzowniejsze, a więc i świecę, i zapalki, i popielniczki, i kran z oziębioną wodą źródlaną do picia, i kalendarz pod kryształową taflą, i atrament, i zapas piór, i karty pocztowe, i sukno do wycierania butów, i zegar do regulowania temperatury, i korkociąg osadzony w ścianie łazienki dla licznych wrogów prohibicji, i ma co dzień o siódmej rano wrzucony do pokoju olbrzymi numer miejscowego „Times’a”, „Heralda” czy „Trybune’y”, i ma radio, i ma tuż na korytarzu puszkę do listów, która choćby z czterdziestego piętra wyceluje zawsze do skrzyni otwieranej co pół godziny przez cerberów pocztowych, i ma we drzwiach wejściowych zaczarowane schowanko... Starczy przed ułożeniem się do snu umieścić w tym schowanku odzież, aby nazajutrz znaleźć ją wyczyszczoną, wyprasowaną — starczy rzucić jeden wyraz do telefonu i w zjawiającego się „boy’a” palnąć kłębką swą zdartej wprost z ciała... jedynej bielizny... o dwunastej w nocy, aby o godzinie piątej rano mieć ją wypraną, artystycznie we właściwych miejscach naglansowaną.

W hotelu amerykańskim ani dokumentów, ani meldunków. Dość na liście dziennej podróżnych napisać Mister Smith z Grove-City lub, jak kto woli, Mister Meyer z Trenton. Reszta nikogo nie obchodzi.

Natomiast hotel amerykański, aczkolwiek nie dociekał, gdzie się dany gość urodził, czy się urodził i czy był taki, który go w ogóle rodził — jest w stanie dokładnie powiedzieć o swym lokatorze, o której godzinie przyjechał, o której godzinie wyszedł z pokoju, o której powrócił, kto się doń meldował, ile za nim wniesiono bagażu, ile paczek doń nadeszło z magazynów i jakich, ile paczek sam przyniósł ze sobą, ile i jakich otrzymał listów...

Słowem, hotel amerykański posiada o przejeźdnym daleko więcej i ciekawszych informacji aniżeli te, które zawiera szmatka natrętnych policyjnych znaków zapytania. Każdy bowiem hotel amerykański ma znakomicie wytresowaną służbę detektywów.

Inaczej nawet być nie może. Tam, gdzie się podziewa naraz sześć, cztery, a choćby tysiąc obcych ludzi, gdzie co godzina jedna dziesiąta tych ludzi zmienia się, wyjeżdża, tam, gdzie dolne hale i ubikacje hotelowe wypełnia od świtu do późnej nocy tłum wszelkiego rodzaju interesantów, przechodniów, tam detektyw ma więcej do czynienia, więcej aniżeli w niejednym i to kilkunastotysięcznym miasteczku.

Należy czuwać, baczyć na byle drobiazg, trzeba zapobiegać, udaremniać, gdyż trzeba pamiętać, że chwycenie na gorącym uczynku, że wykrycie przestępstwa, że rozprawa ze szcurem hotelowym, toć raczej dla hotelu klęska. O tym ani nikt wiedzieć, ani słyszeć nie powinien.

Pierwszą komóreczką służby wywiadowczej hotelu bywa najczęściej miła, elegancka osóбка, stercząca za wytworną ladą między lasem numerów i dzwonek na każdym piętrze. Ta osóбка z czarującym uśmiechem odbiera klucze od „gości” opuszczających pokoje lub też doręcza je wracającym. I ta osóбка z przedziwną finezją zapisuje każdy najdrobniejszy szczegół dotyczący bodaj kwadratowego autoramentu, sapiącej jak lokomotywa obywatelki. Osóбка na piętrze jest równocześnie filtrem telefonicznym, ona odbiera najpierw dezyderaty lokatorów i te dezyderaty łączy... z odpowiednimi sekcjami służbowymi.

„Notatki” czarującej osóbkę odczytują systematycznie detektywi obchodowi kręcący się w rozmaitych przebraniach po grubych, mięsistych, głuszących odgłos kroków chodnikach.

Tyle co dotyczy samych pokoi strzeżonych w dzień i w nocy.

A dalej dopiero detektywi w halach, detektywi w biurze przyjazdów i odjazdów, w salonach, restauracjach, w kawiarniach, u podjazdu, tuż w pobliżu biura sprzedaży biletów kolejowych, tuż przy kasie.

Słowem, detektywi co kroku, boć i detektywi pilnujący tysiąca urzędników, oficjalistów, posługaczy, tragarzy, kelnerów, chłopców na posyłki, tapicerów, mechaników, palaczy, praczy, krawców, kucharzy, kuchcików, pomywaczy etc. etc.

„Gość” zadzwonił na zniesienie tobołków. Zanim dotarł do windy zjeżdżającej, biuro kontroli na dole już wie, że numer 2455 opuszcza hotel, wie o tym kasa... a co więcej wie również, że „gość” zabrał na pamiątkę trzy ręczniki lub że gość ukradł mechaniczną zapalniczkę, lub że wypalił dziurę w dywanie... lub że srebrna łyżeczka zginęła mu przy rannym śniadaniu...

Cóż się dzieje w Ameryce?...

„Gość” płaci uroczyście rachunek, odbiera pełne szacunku ukłony i wychodzi...

Koszty handlowe.

Na czarnej liście przybywa jeden więcej Smith, możliwie dokładnie opisany... O ile by ten sam „gość” po raz drugi powtórzył tego rodzaju „kleptomanię” — w takim razie więcej do tego samego hotelu wpuszczony nie będzie. Do dwu razy w Ameryce sztuka.

Dla detektywów twarda to służba, bo zaiste ciężko przy największym napięciu nerwów upilnować te tłumy przepływające szeregiem wejść poprzez czeluście olbrzyma hotelowego.

Wszak hotel amerykański jest istotnie jakby ośrodkiem życia wielkomiejskiego, jakby potężnym centrum ogniskującym to, co gdzie indziej bytuje rozproszone, podzielone, rozrzucone.

Gdzież się w Ameryce można umówić, gdzież spotkać, gdzież najspokojniej pogawędzić — toć w hotelu!

Nie potrzeba w nim mieszkać, nie potrzeba w nim nikogo znać.

Oto dwu czy dziesięciu chicagowian daje sobie *rendez-vous* w hotelu Shermana, nawet nie w Morrisone, gdzie się cały rozbiera kabaret, lecz choćby w Congress Hotelu. Ładuje się ta paczka chicagowian płci obojga między hotelowe luksusy, hotelowe zimowe ogrody, zasuwają w plusze, rozsiadają na sajetach i najspokojniej sprawy załatwiają.

Hotel się nie gniewa, hotel amerykański się nie obraża, służba obcemu równie uprzejmie podsuwa fotel.

Na Piątej Avenue w Nowym Jorku gwałt nad gwałtami.

— Rety, bójcie się... nie wytrzymam!...

Co tu robić, gdzie czego szukać?

Owóż właśnie, że wcale szukać nie potrzeba.

Tuż o dwa kroki jest gmach Towarzystwa Asekuracyjnego, o dwa kroki jest wspinały bank... milionerski... lecz jeżeli komuś gmach wydaje się niewłaściwy, jeżeli bank jest zamknięty, więc otóż w pobliżu hotele... McAlpin, Vanderbilt, Belmont, a może Carlton... Wszędzie ten sam obyczaj. Hotel jest dla publiczności.

Tu z głównej hali szereg zejść do marmurem wyścielanych suterren. A tam, w suterrenach pałac zaczarowany. Czterdziestu na biało wystrojonych golarzo-fryzjerów mydli, skrobie, pucuje, masuje w białe prześcieradła zawinięte kukły — obok czterdzieści śnieżnych manikiurzystek moczy, dłubie, piłuje, szczotkuje, poleruje palce, paluszki i paluchy. O dwa kroki kompania Murzynów, znów na biału, u podnóża estrady, na której wysiadujący panowie i panie zaparli swe buciska, trzewiki, pantofelki dla nabrania lustru...

— Rety, to chyba nie tu!...

Owszem, tu właśnie, na prawo, kędy<sup>207</sup> tyle światła, tyle przestrzeni, kędy tyle symetrycznych przegródek, kędy tyle zawartych<sup>208</sup> tajemniczo drzwi, kędy w każdych drzwiach nikłowy otworek przymawiający się o pięć centów.

<sup>207</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>zawarty (daw.) — zamknięty. [przypis edytorski]

Ruch jest potężny. Pięciocentówki amerykańskie jako niegdyś Wespazjanowe sesterce rzymskie zapachu nie mają<sup>209</sup>.

Lecz ktoś inny ma do wyekspediowania list polecony, ma telegram, chce kolejowych informacji, chciałby zobaczyć, jakim pulsem bije w tej chwili giełda, chciałby może akcje sprzedać, chciałby o sto czy dwieście kilometrów zatelefonować...

Do urzędów, do instytucji odpowiednich daleko, lecz jest hotel, więc jest wszystko: i bilet do teatru, i sklepy z najniezbędniejszym towarem, i apteka, i lodziarnia słynna, i kilka niekiedy restauracji, i ta przekosztowna, i taka na stojąco, i skład tabacznego, i raut nad rautami, i posiedzenie dam dobroczynnych, i bal, i zjazd chemikobiologów, i dwadzieścia naraz uczt weselnych, i jubileusz działacza, i narada polityczna... Wszystko w hotelu!

Nie tu się kończy wszakże apoteoza hotelarstwa amerykańskiego. Są jeszcze oberże przydrożne, są tak zwane „inny”, więc gospody dla turystów, dla pędziwiatrów, są wyposażone w atmosferę tak przytulną, tak wytworną, a tak na cenę dostępną, że kogo losy zawloką hen, pod Burlington, pod St. Johnsbury, do stanu Vermont, do New-Hampshire, temu ciężko wyrwać się, ciężko w dalszą wyruszać drogę.

I to jeszcze na chlubę hotelarstwa amerykańskiego należy powiedzieć, że gdy hotelarstwo szwajcarskie, francuskie, niemieckie miewa wspaniałości, ale przeważnie służące do oskubywania radykalnego bogatych podróżnych — w Stanach Zjednoczonych nawet przeciętny, skromny człek za małe dolarki i bez centusia dopisku... używa sobie niczym europejski magnat.

Kuchnia, oparta przeważnie na wątpliwej wartości pomysłów kulinarnych angielskich i niemieckich, jest na ogół licha. Podejrzane zupki, wielokilometrowej długości sosy, przykre omasty, jarzyny wygotowane z zasady aż do pozbawienia ich smaku, najwytworniejsze produkty spreparowane byle jak, byle dużo i byle jak najprędzej.

Amerykanin wybredny nie jest. Każde danie zaczyna od osypania go solą, pieprzem, imbirem choćby, a przede wszystkim od pokropienia fabrycznym sosem pomidorowym. Ten sos pomidorowy jest główną jakby treścią, rozstrzygającym smakiem. Służy i do śledzia, i do szynki, do pieczeni, i do ostryg i kraba, a choćby i do langusty. Sałatka bowiem z homara „po amerykańsku” dlatego się tak nazywa, że zjadają się nią Amerykanie przybywający do Paryża...

To tłuste, ciężkie, kwaśno-słodkie jedzenie ratuje przekąska w postaci surowych serów, ratują owoce, a utrzymują na poziomie możliwości nieskończone w pomysłów konserwy, prostujące krzywe ścieżki kuchmistrzostwa amerykańskiego.

Ten przeciętny Amerykanin je naraz bardzo wiele, polyka, rzec można, i to z przedziwnym rozartagnieniem... Obstawia się wszystkim, na co go stać, i obiad spożywa... równocześnie... z wielu dodatkowych miseczek, salaterczek. Plasterki ogórka, łyżeczkę konfitur, kawał mięsa, nieco groszku, glon kartoflanej mazi, a po niej ryż, korniszon i znów konfitury, i znów skrawek cielęciny, i tuż placek z jabłkami. I tak ciągle, na zmiany, do równoczesnego wypróżnienia zastawy... aż do pochłonięcia kilku wielkich filiżanek białej kawy... Kawa biała zaczyna każdy sutszy posiłek, towarzyszy pilnie i zakąsce, i rybnie, i pieczystemu, jest ulubionym... płynem... i przy pierwszym śniadaniu, a więc zarówno przy paćce z owsianej mąki, przy „kleiku” ryżowym, przy chrupaniu łupinek kukurydzianych, jak i przy spożywaniu uroczystego „coctailu” z krajanych owoców<sup>210</sup>.

Za wyjątkiem pewnej części południowych stanów, które po swych przodkach czy tylko poprzednikach francusko-hiszpańskich wzięły w spadku i sztukę odżywiania, za wyjątkiem zbyt kochanych jadłodajni czy zeuropeizowanych czy niezamerykanizowanych domów, za wyjątkiem miejsc, kędy<sup>211</sup> francuski obowiązuje przepis, kędy wpływ bezpośredni wywarli już Włosi, Słowianie, Żydzi, Chińczycy nawet, wszędy<sup>212</sup> w Ameryce jadło jest jakby na urząd praśne, niepewne, odrażające chwilami mięsożerstwem ludzkim...

Stany Zjednoczone posiadają niesłychane bogactwa produktów i niesłychaną ich rozmaitość, przewyższają pod tym względem bodaj i Francję, no a pod względem organizacji

<sup>209</sup> *Wespazjanowe sesterce rzymskie zapachu nie mają* — nawiązanie do przypisywanej cesarzowi Wespazjanowi sentencji „*Pecunia non olet*”, oznaczającej, że nie jest ważne źródło zarobku, ale sam zarobek. [przypis edytorski]

<sup>210</sup> *frukty* — owoce. [przypis edytorski]

<sup>211</sup> *kędy* (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

<sup>212</sup> *wszędy* (daw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

gromadzenia, dostarczania, sprzedaży tych produktów stanowczo nie mają równego sobie kraju.

W Stanach Zjednoczonych co kroku jest wszystkiego zatrząsienie, wszystkiego i co tylko północne, co tylko z umiarkowanych stref i co z podzwrotnikowych, i co od antypodów się wywodzi. Stany Zjednoczone mają niepojętą obfitość artykułów spożywczych, mnóstwo owoców, zieleniny, korzeni, ziarna, ptactwa, trzody, nabiału, rogaczyny, ryb, zwierzyny.

Ale ta obfitość ma swe udręki.

Pierwsza z nich to właściwości przyrodzone amerykańskiej ziemi. Kwiaty przepiękne, nawet te leśne, te w puszczech, ostępach dziewiczych wprost nieznanej gdzie indziej barwy, niedającego się opisać rysunku misternego, lecz kwiaty przeważnie bez zapachu. Całe łany fiołków, ale martwych, nawet zielsku nierównych. A owoce bez smaku, zwłaszcza te z Europy wzięte. Truskawek w bród, lecz dla Europejczyka prawie bezwonnych, góry brzoskwiń żółtawych, o przyrośniętej skórce, pospolitych, winogrona cierpkie — jedno wiśnie, jedno jabłka doskonałe, o gruszech mówić nie warto. Tykwy w zamian, wszelakie ogórkowatości, jagody, za wyjątkiem nieznanej poziomki, są tutaj jak u siebie. Pomarańcze, choć sztucznie<sup>213</sup> prowadzone, świetnie pielęgnowane, aczkolwiek chępiące się swym okaleczeniem, gdyż dojrzewają... bez pestek... nie mają ani koloru, ani odurzającego zapachu najwykleszych walencjańskich. Lepiej udają się figi, cytryny i słynny „*grap-fruit*” a więc „cytrus” wielki, po polsku niby znany jako „szadok”, w istocie twór nieśmiertelnego Burbanka, znakomitego amerykańskiego pomologa, rezultat rzekomo jakiegoś skandalicznego mezaliansu pomarańczy z cytryną, jest niezaprzeczenie królem Ziemi Washingtona, przed którym najzaciętszy wróg krzyżowania ras uchylić musi kapelusza.

Europejskie warzywo w Ameryce równie słabe daje plony. Przewieziono nasienie, lecz zapomniano w rwetesie o przeniesieniu pasożytów ochronnych... Wskutek tego pasożyty amerykańskie okrutnie warzywu zadają cięgi. Dla powstrzymania ich żarłoczności stosuje się ostre rozczyny i zlewa się tak mocno i kapustę, i kalafiora, i pory, i sałaty, że i na wspomnianych winogronach miast puszkę dziewiczego znajduje się tylko pokłady siarki.

Drugą udręką, i tą wpływającą już bezwzględnie na smak artykułów spożywczych, jest zmonopolizowanie produkcji i opanowanie rynków zbytu przez wielki kapitał.

Kapitał, obracając wielkimi masami, zniewolony jest do przestrzegania pewnych stałych norm, do szukania jak największych uproszczeń.

Jakże tu sobie poradzić z tuczeniem trzody chlewnej na tysiące mierzonej?

Właściciel zastępu „świńskiej młodzieży” przeprowadza układ z plantatorem kukurydzy i wyprawia doń tyle i tyle setek takiej i takiej wagi. Plantator dzieli swe pola kukurydzone na odcinki i przepędza nadesłaną mu trzodę z jednego odcinka na drugi, oczywiście po wyżarciu i zryciu całkowitym pierwszego. Po z góry określonym przeciągu czasu utuczone już świnki wyjeżdżają ekstra-pociągiem do rzeźni — plantator otrzymuje wynagrodzenie za każdy funt przyczynionej wagi, no i ma w dodatku... kukurydżę zebraną, sprzedaną i pola nawiezione na rok przyszły...

Ale — i tu rodzi się poważne „ale” — świnka na kukurydzy wypasiona nie jest smaczna, nie ma w sobie ani odrobiny tej soczystości, nie ma nic z tego, co posiada w chlewku wypasiony europejski tucznik.

Chów ptactwa domowego stoi w Ameryce na szczytach doskonałości. Kury, kaczki, perliczki, indyki pogatunkowane, chronione zawistnie w swej czystości przed zadawaniem się z upierzonym proletariatem, dzielone są na kolory, na grzebienie, na sutość koralu, na nieskazitelną kanarkowość kaczek dzióbków.

Kurza farma, więc pełna godności specjalizacja, piękne domeczki, przepływające strumyki, najmilsze kurom ziółka, kamuszczyki wapienne na skorupki, no i oczywiście kwestia potomstwa rozstrzygnięta idealnie. Wytwarzaniem młodego pokolenia zajmują się inkubatory, a droczące się z kogutkami kokoszki zachowują dla siebie jeszcze... przyjemność znoszenia jaj.

<sup>213</sup>sztucznie (daw.) — artystycznie, kunsztownie, umiejętnie; zgodnie z zasadami jakiejś sztuki (rzemiosła). [przypis edytorski]

Amerykańska pomysłowość poszła jednak dalej, zdołała oto wczuć się w „psychologię” kurzej natury i pobiła wszechświatowe rekordy. Kury w Ameryce znoszą nie tylko jaja z góry przewidzianej wielkości, lecz znoszą je regularnie, bywają doprowadzane za pomocą elektryfikacji do dziewięciu jaj na tydzień...

„Elektryfikacja” kur polega na tym, że gdy następują dni krótsze, a z nimi ocieślała skłonność do przedługich drzemek w tęsknocie za promieniem słońca — około godziny jedenastej w nocy zalewa się wnętrza kurników potokami światła...

Kokoszki zrywają się z grządek. Koguciki przekonują się, że w nowoczesnym gospodarstwie coraz mniej mają do piania... I zaczyna się jakby dzioneł, gdakanie u pełnych korytek, no i plony zbogacają jajeczną statystykę.

Równie dzielnie odbywa się kacza produkcja, mniej masowo perlicza, w zamian ród indyczy w legiony idzie, gdyż Ameryka posiada wszak i dzikie indyki, i to w poważnych ilościach.

Lecz tu znów „ale”, mięso dzikich indyków jest ciemne i niesmaczne, a mięso drobiu przyswojonego nieszczęsną „corną”, *alias* kukurydzą również wyhołubione... nie umywa się nawet do europejskiego tuczonego drobiu, do pazurków nie dorasta kapłonom<sup>214</sup> i pulardom<sup>215</sup>... Bo i zresztą w Ameryce jedynie w stanie Oklahoma podobne operacje sterylizacyjne dokonywane są tylko na zbrodniarzach i to niekoniecznie w celu ich tuczenia...

Stąd Amerykanin, choć zachwycę się swym „turkey’em”, objada nim świątecznie i w Dzień Dziękczynienia, i na Boże Narodzenie, i na Wielkanoc, a przecież wątłe ma pojęcie, jak smakuje naprawdę taki indyk, któremu zabiegliwa<sup>216</sup> gospoia co dnia kluseczki gotuje i co dnia kilkadziesiąt kluseczek kijkiem do gardzieli zapycha.

Silniej jeszcze bodaj na smak produktów wpływają środki chroniące je przed zepsuciem.

Drób wagonami idzie, idzie najczęściej już oskubany, wypatroszony, idzie zazwyczaj z olbrzymich lodowni, w oziębionych skrzyniach, idzie zgrabiałe, zdrewniałe, zmartwiałe w sobie, równie sfoleciałe, siny jak te połacie rogacizny i nierogacizny, i wszelakiego zwierza stęzale, mrożone miesiącami, latami prawie.

Czyż może coś bardziej przypaść do podniebienia wygłodzonemu gentlemanowi jak słynna „*virginia ham*”, czyli szynka pieczona w cukrze!... Czyż w ogóle nawet nadsekwanski człowiek może sobie wyobrazić ów talerz, wielkości średniowiecznej tarczy janczarskiej, na którym leży jeden, półcalowej grubości okrągły płat różowo-amarantowy, rzekłbyś plaster uciętego równo pnia czerwonego mahoni... Czyż w ogóle ten przedziwny wycinek ze świńskiej powłoki zdolny jest apetyczniej się przedstawić?...

Amerykanin na widok takiego smakołyka chwyta w lot za przyprawę, za swe nieśmiertelne sosy — Europejczyk próbuje i wykrzywia się, i nie wie, co począć... z kłębem przasných, oślizgłych włókien.

A że pomimo wszystko mrożone mięso w Ameryce jest najpewniejsze, ponieważ rybne trusty w ten sam sposób prezerwują<sup>217</sup> swoje towary, przeto tutaj tkwi ta wtóra<sup>218</sup> udreka obniżająca w wielkim stopniu zalety kuchni amerykańskiej.

Cóż z tych bogactw, skoro i te małego smaku owoce zbierane są na zielono, skoro dojrzewają w koszykach, w pociągach, w magazynach — cóż z tych bananów kolumbijskich, gdy zerwane jako cierpkie wyrostki, niezdołne są nigdy w sztucznej atmosferze dojrzewania sięgnąć poza soczystość ziemniaka? A rwać, zbierać inaczej owoców niepodobna<sup>219</sup>, skoro się operuje milionami korców<sup>220</sup>...

<sup>214</sup>*kapłon* — wykastrowany i specjalnie utuczony młody kogut; dania z tak hodowanego drobiu były w kuchni staropolskiej daniem wykwinnym, a zarazem popularnym. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*pularda* — młoda, nierozwinięta płciowo kura, tuczona specjalnie dla uzyskania delikatnego i kruchego mięsa, ubijana po osiągnięciu wieku ok. 9 tygodni i wagi ok. 2 kg; pularda to także nazwa dania przygotowanego z tak hodowanej kury, popularnego w kuchni staropolskiej. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*zabiegliwy* — zapobiegliwy, staranny, nie szczędzący zabiegów i starań. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*prezerwować* — chronić, zachowywać, zabezpieczać. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>*wtóry* (daw.) — drugi. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*niepodobna* — daw. forma oznaczająca: niepodobne (niemożliwe) jest, aby. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*korzec* — daw. miara objętości ciał sypkich, stosowana w Europie od średniowiecza; korzec równał się 32 garncom i stanowił odpowiednik od 54 do 128 litrów (zależnie od regionu kraju i okresu; przed zaborami, na mocy konstytucji ustalono jego miarę na 120 l); korzec dzielił się na 4 ćwierćnie, 16 a. 12 korczyków i 32 a. 24

Lecz i w Ameryce, poza tymi akcyjnymi plantatorami, są krocie drobnych farm-rów, krocie sadów, ogródków, liczba nieprzebrana truskawkowych grządek, malinowych krzów, wiśni, jabłoni.

Jeżeli kto bytuje w pobliżu tych sadów, jeżeli kto sam do nich dociera, ten i w Ameryce może fruktami się uraczyć, znaleźć w małej jatce świeży kawałek mięsa...

Farmer jednak amerykański nie może przecież roić o zbieraniu owoców ponad własną potrzebę. Robotnik najtańszy się nie opłaci, owoc nie wróci robocizny ani transportu do miasta, ani koszyczka plecionego, nawet lubianej kobiałki. Tam, w mieście, trzustka, nie dopuszcza obcego towaru, zadławi straganiarza, który by się odważył z szeregu jego sprzedawców wyłamać.

A ponieważ te trusty nad trustami mają w ryzie całą uprawę ananasów na Wyspach Hawajskich i, co za tym idzie, przetwórnictwo ananasowych konserw, ponieważ te trusty trzymają w garści i lasy migdałowe, dziesiątki tysięcy hektarów sławetnych amerykańskich „*peaches*”, ponieważ te trusty wykupiły banany aż po Brazylię, ponieważ je tylko stać na sady ogrzewane, chronione, na utrzymywanie dwudziestu tysięcy jabłoni jednego gatunku, ponieważ bez nich nie może być ani soku morelowego, ani granatowego na rynku, ani konfitury w puszcze, a więc i stąd także sponiewieranie wykwintu, finezji smakoszkowskich upodobań.

Na dobytek, jak było wyłuszczone, brak służby domowej, drożyzna służby domowej, posiłkowanie się preparatami fabrycznymi, no i brak zamięłowania do gospodarstwa domowego, to ciosy ostateczne...

Te braki, te usterki Amerykanie wynagradzają sobie wściekłym łakomstwem na cukierki, na słodczy, na oblizanki.

Lada jakie cukierki, czekolada przepalona, czarna, bardzo często już sztuczna, syntetyczna, zaprawiana sacharyną, aniliną, jak i w ogóle cały cukierniczy kunszt. Krom czekolady, jako główne podstawy słodczy, orzechy i mięta. W trzydolarowym wspaniałym pudle oto błyszczące kawały nieco półksiężycowej formy... To grube, tłuste małpie orzechy, oblane jednym milimetrem czekolady, a te płaskie znów, szerokości ust, placuszki, to breje mięty z cukrem, powleczone również czekoladowym pokrowcem. Skromne smakowitki, byle słodczy się mazała, a czy poza nią przypomnienie eliksiru do zębów czy obrzask po zjełczałym tłuszczu, to już mniejsza. Niechby sobie buldogony różnorodne, chemicznie malowane, naperfumowane, byle tylko dużo, byle ciągle, byle „*candies*”, byle ich najwięcej!

W roku 1929 sprzedano w Stanach Zjednoczonych 1 382 243 387 funtów cukierków (nie licząc cukru czystego i cukru w innych przetworach), czyli o całe 119 milionów funtów więcej aniżeli w roku poprzednim, 1928!

Jedynym rarytasem amerykańskim, który stawia czoło cukierkom, jest ulubiony „*ice cream*” — więc lody, więc jednostkowe lub gromadne zamrażanie sobie wewnątrz przy każdej zdarzonej sposobności i bez żadnej sposobności.

Amerykanin objada się lodami od świtu do świtu. Przed drugim śniadaniem, na drugie śniadanie, przed obiadem, przy obiedzie, nad wieczorem, przed teatrem, po teatrze, na zakąskę, na deser, w dni upalne i przy dwudziestu pięciu stopniach poniżej zera, byle jak najczęściej, byle „*ice cream*”, „*ice cream*”, „*ice cream*”. „*Ice cream*” wszędzie, „*ice cream*” zawsze.

Lodów jest mnóstwo rodzajów, gatunków, są oczywiście całe fabryki lodów, lody rozwożą potężne wehikuły ciężarowe, lody pędzą w specjalnych stalowych „pulmanach”, lody bywają różnokolorowe, podlewane sosami, przekładane konfiturami, zdobione kremami, wszystkie smakowite, z reguły chemiczne, z reguły na najświeższym kondensowanym mleku prosto od krowy.

Czym jest „*ice cream*” w Stanach Zjednoczonych, starczy przypomnieć, że w roku 1927 wyprodukowano trzysta trzydzieści pięć milionów galonów, a więc tyleż niemal naszych garnców<sup>221</sup>, z czego wynika, że już w roku 1927 na jednego mieszkańca (licząc

miary; korzec amer. (*bushel*), używany nadal np. do określania miary objętości ziarna wynosi nieco ponad 35 litrów. [przypis edytorski]

<sup>221</sup> *garniec* — daw. jednostka objętości, stosowana w Europie od średniowiecza; garniec (nazwa pochodzi od glinianego naczynia) w Polsce przedrozbiorowej stanowił 1/32 *korca* i dzielił się na 4 kwarty i stanowił



w tym niemowlęta, starców, żołnierzy etc.) wypadło po 2,85 galona rocznie na jednego mieszkańca, a więc prawie po trzy nasze garnce lodów!...

„Ice cream’owi” przeciwstawia się jedynie chyba „chewing gum”, po polsku guma do żucia, którą szczególnie sfery popularne uwielbiają i obracają w buziach, pysiach i gębach z szybkością kilkudziesięciu obrotów na minutę, skazując niejako rodzaj ludzki do znajdowania w nim pierwiastków właściwych stworzeniom przeżuwającym.

Ta „guma” nie jest artykułem do pogardzenia, produkcja jej przechodzi sześćdziesiąt milionów dolarów rocznie. Biorąc pod uwagę taniość artykułu, wyrabianego z gumowych odpadków i słodkavo-anyżowo-miętowej zaprawy, jest to suma znaczna. I w ostateczności sympatyczniejsza aniżeli owe miliony funtów prymki<sup>222</sup>, którą szczególnie wysoka rasa „nordycka” wypycha sobie policzki, wytryskując z jam ustnych potoki brunatnej posoki.

„Ice cream” jednakże panuje, króluje i właściwie z jednym tylko przysmakiem brata się chętnie, z jednym tylko w całkowitej żyje harmonii, na imię mu „hot dog”, co się wyklada „gorący pies” — a co bez aluzji jest tą przepopularną, przeulubioną w Stanach Zjednoczonych kielbaską... na gorąco.

Gdzie się tylko obrócić, kędy spojrzeć, kędy się zatrzymać, na stacjach i stacyjkach, tuż przy chodnikach, na ścianach, na parkanach, w poczekalniach tramwajowych, przy benzynowych pompach, na budach przydrożnych, wszędzie jeden i ten sam napis kabalistyczny, niby zew nad zewami: „ice cream — hot dog” — więc „lody i parówki”, choćby z byle ścierwa, ale na gorąco... choćby z sacharyny, ale lody, lody!...

Te dwie ostateczności łączą się, uzupełniają...

Gorze<sup>223</sup> organom trawienia, lichy się dzieje żołądkom, gdyż pomimo krów dojonych, bodajby do krwi, elektrycznością, żywione bywają przeważnie margaryną, vegetaliną, butteryną i wszelkimi wynalazkami, których zaletą nie jest nawet taniość, lecz choćby tylko większa niż masła zdatność.

Gorze ślepym kiszeczkom! Na szczęście giną krociami, schodzą na szcątkowy ślad prabytu...

Amerykanie są gościnni, radzi są odwiedzinom, radzi towarzyskiemu obcowaniu, ale raczej na sucho, w ostateczności szklanka herbaty, jakiś biszkopt czy kawałek tortu, byle najmniej zachodu. Gdy nie można inaczej, więc kanapki, miniaturowy kawałek sera lub szynki wciśnięty między dwa skraweczki chleba, a na wierzch oliwka przyszpilona wykałaczką.

Bo co więcej, to doprawdy kłopot. Głupstwo wydatek, ale ta krętanina, zmywanie naczyń, nakrywanie, sprzątanie. Chata jest bogata, ale ma wszystkiego akurat, nigdy więcej i żadnych względów dla intruzów, dymikominków lubiących celować do jadalni.

Jeżeli wypadnie taki przymus, gdyż trzeba pomimo wszystko kilka razy do roku prosić, odwzajemnić się, wówczas Amerykanin się poświęca, skoro nie może hotelem się wyręczyć.

Przyjęcie odbywa się solennie, według ostatnich wskazań miejscowego *savoir vivre*’u.

Błat szklany na stole, a na szklanym blacie ostatni szyk, maderskie pataraftki tworzą indywidualne obrusiki. Pan domu prezyduje, odmawia, mruczy lub tylko milczeniem „markuje” modlitwę. On kraje mięsiwa i, mając pod ręką dodatkowy stoliczek, nakłada każdemu porcję na talerz i stroi ją dokoła równomiernym garniturem warzyw. Nie ma obnoszenia półmisek. Każdy otrzymuje po równo, ani mniej ani więcej.

Czasu jedzenia należy baczyć na etykietę. Damom siadającym trzeba podsuwać krzesła; krając mięso, widelec trzyma się w lewym ręku, a nóż w prawym, ale podnosząc nabrane jedzenie na widelcu, należy przełożyć go do prawej ręki, a lewą pozostawić w bezruchu. Konwersację ogranicza się do wymiany jak najgładszych zdań, nie zgadzając się, nie można oponować, na wyrażenie wątpliwości starczy przydech. Gość obowiązany jest chwalić wszystko, co jest na stole, obwieszczać za „delicious”. Po skończonym obiedzie, podziękowań ani reweransów się nie składa. Pani domu na pewnym szczeblu towarzy-

odpowiednik od 2 do niemal 4 litrów (zależnie od regionu kraju i okresu), zaś jako miara płynów garniec stanowił 1/72 beczki; w XIX w. garniec liczył 4 l. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>prymka (z niem.) — tytoń do żucia; daw. sprzedawany w postaci laseczek skręconych z liści mocnego tytoniu z dodatkiem lukrecji, cukru, soli i moczonych w wyciągu z owoców. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>gorze (daw.) — biada; nieszczęście; tu: nie wolno, nie należy (pod groźbą ściągnięcia nieszczęścia). [przypis edytorski]

skim ani żadnej innej pani nie całuje się nigdy, nawet w rączkę, na innym znów całuje się w rączkę zawsze. Szczególnie byle drobiazgu wystrzegać się należy, jeżeli się zasiada przy stole, kędy na chwilę posiłku są gaszone elektryczne lampiony, kędy palą się uroczyście cztery starodawne świece stearynowe, no a znów inaczej tam, gdzie do stołu zasiadają najpierw panowie, którym wraz z gospodynią domu usługują przybyłe w gościnę panie, a dalej dopiero, kiedy rodzaj męski jest nasycony, same spożywają. Na pewnych zebraniach po deserze wszystkie panie opuszczają stół, przechodzą na jednopłciową pogawędkę — panowie zaś zostają, spowijając się kłębam dymu i pociągając mocno wódkę z lodem lub racząc się najdziwniejszymi produktami prohibicji, jak winem z krowiego mleczka, winem z bzu, siwuchą z kartofli, samogonką z łupin od bananów czyli też mniej lub więcej oryginalnymi lub fałszowanymi trunkami. Następuje wówczas ulubiona chwila „joke'ów”, anegdotek. Kaskady śmiechu w pobliżu świadczą, że i panie nie próżnują. Na innych znów zebraniach woda z lodem towarzyszy zawzięcie całemu przyjęciu, na jeszcze innych plec brzydka od razu jest zaproszona do zdjęcia... marynarek, do pozostania w majteczkach i koszulkach... Ale majteczki muszą być na pasku — za pokazanie szelk śmiertelna obraza, szelki są nieprzystojne. Na bardziej serdecznych przyjęciach, panie po fecie idą zmywać do kuchni naczynia, na całkowicie przyjacielskiej zabawie panowie wycierają co najmniej talerze lub wyskrobują rondelki.

Jeden wszakże zawsze obowiązujący obyczaj, aby na odchodnym uwić naprędce kwieciste podziękowanie za to co najmniej „*delightful*” przyjęcie, za te „rozkoszne” chwile, spędzone pod tak niesłychanie gościnnym dachem... itd. itd.

Te komplementy muszą być wydeklamowane nawet i wówczas, gdy jedyną treścią gościny była słynna amerykańska sałatka...

Tutaj wypada skupić całą wyobraźnię.

Na pięknym talerzyku rozpostarty szeroko listek sałaty, na listku po środku kupeczka składająca się z kawałka banana pokrajanego w talarki, z odrobiny poszatkowanego jabłka, z kilku porwanych cząstek pomarańczy i wsiekanego półkrażka ananasa z puszki. Taka kupeczka jest posypana obficie orzechami i polana gęsto „*french dressing*”, czyli przebrzydłym, fabrycznym... majonezem... Ten smakołyk uzupełniają z reguły dwa korniszony i jedna oliwka, ułożone symetrycznie w jednym załomie sałatowego listka...

Zaiste, nowicjusze od razu nabierają szacunku do zwyczaju wskazywania gościom miejsc toaletowych.

Zbliżenie się do domów amerykańskich jest trudne, nawet między Amerykanami. Każdy żyje w swym kółku. Woli znajomości w oparciu klubów i organizacji. Węzły rodzinne szanuje. Chętnie odprawia zjazdy rodzinne, ale dla przelotnych relacji jest ociężały. Wizyty na domiar składa się w Ameryce na odwrot... Przybysze muszą czekać na odwiedziny osób miejscowych. Oni muszą zrobić krok pierwszy. Z szacunkiem swym naprzykrzać się nie wolno. A dawniej osiadli są podejrzliwi, nieufni, wiele czasu upływa, zanim nabiorą przekonania, zanim nieufność pryśnie.

W stosunkach towarzyskich panuje jednak nieznana gdzie indziej czujność. W okresie między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem każdy z reguły wyprawia setki zawczasu przygotowanych, wydrukowanych, poezjami upstrzonych powinszowań, a bliższym krewnym i znajomym wyprawia prezenciki, drobne, niekosztowne, ale obdarza nimi na prawo i lewo. Dobre wychowanie niewoli do wzajemności. Za otrzymany prezencik musi być prezencik. Tedy te prezenciki podróżują przez cały miesiąc styczeń. Stają się przedmiotem wymiany. Przebieglejsi kupują co roku kilka nowych, a ponadto operują odbieranymi... W ten sposób jakowyś ucieśzny potworek z terakoty z roku na rok odbywa szereg podróży, niekiedy po kilku latach wraca do swego inicjatora... Mniejsza z tym. Obyczaj, zabawa, znak pamięci. Poczta amerykańska już w pierwszych dniach grudnia jęczy, gromadzi posyłki, mające być konieczne doręczone we wskazanym dniu świątecznym, przybiera tysiące dodatkowych pracowników.

Zwyczaj amerykańskie wymagają w ogóle mnóstwa całego podobnych znaków życia... każą pisać, winszować, życzyć, pocieszać lub składać kondolencje przy najmniejszej sposobności. Istne urwanie głowy. Na szczęście zmysł organizacyjny. Więc się nie pisze wcale... chyba adres na kopercie... bo zresztą są składy całe kart i na urodziny syna, i na urodziny wnuczki, i na pierwszą komunię, i na konfirmację, i dla chorego przyjaciela, i dla okaleczonej w wypadku przyjaciółki, i z racji dyplomu naukowego, i na srebrne

wesele, i na zgon, i z powodu ciężkiej operacji... Każda karta zaopatrzona poezją, pięknie wylitografowana, wystrojona w odpowiednio symboliczne fidrygałki... No i każdego gatunku takich kart zatrząsienie... Pomysły bajeczne.

Stroskany gentleman dowiaduje się nagle, że stary Johns obchodził pozawczoraj<sup>224</sup> swoje urodziny...

Bagatela — wyszło mu z głowy! Tam do tego i owego, co tu począć?

Wali do składu.

Sprzedawca na pierwsze słowo za katalog... Jedna sekunda i już komenda...

— Frank, proszę zaprezentować komplet numer 5863...

I zafrasowany gentleman w kilka sekund wyprawia staremu Johnowi strzelisty karteluszek, w którym jest sentyment z powodu zapomnienia i przeprosiny, i zgrabny madygał.

*„Gracious! Gracious! Gracious! How the time does roll.*

*Sorry! Sorry! Sorry! Such a tardy soul!*

*Hope you will forgive me, better luck next year!*

*And you know I wish you lots and lots of cheer”.*

Kwiatów wysyła się mnóstwo, a szczególnie wszelakim grubym, pękatym drabom w dniu wybrania ich na jakowyś urząd, na jakowyś miejski, stanowy czy federalny „job”...

Bilety wizytowe składa się nie tylko nieobecny w domu — ale przede wszystkim obecnym... Po odprowadzeniu wizyty, przed pożegnaniem wyciąga się je uroczyście i kładzie w oczach gospodarza na stoliku.

Ceremonie weselne, to już żywcem naśladowane nawet przez nieanglosasów zwyczaje brytyjskie, poczynawszy od obrzucania młodej pary wychodzącej ewentualnie ze świątyni ryżem i czym się da lub obwożenia jej przy eskorcie wyjących klaksonami samochodów po całym mieście. Podarki obowiązkowe nawet przy najcichszych ślubach po odebraniu zawiadomienia... Drobiazg bodaj, ale młodym dać coś trzeba...

W tej chwili jeszcze Amerykanin walczy o ocalenie domowego ogniska, ale warunki zmieniają się, obrona słabnie.

Ułatwienia, uproszczenia sypią się, nie wystarczają.

Ludzie mają coraz mniej mebli, coraz mniej sprzętów, nie znoszą sami w domu żadnych lamusów, składzików. Nagleni nakazami higieny wyrzucają butle i butelki, flakony, najwspanialej wykonane puszki metalowe, słoiki, strzegą się rupieciarni, skazują na zagładę mnóstwo materiału, który ówdzie przetapia się, czyści, odnawia, zamienia na miliony. W nowoczesnych klitkach nowojorskich i chicagowskich mieszkają łóżka w ścianach, łóżka w biurkach, kanapy w fotelach, stoły w etażerkach, kuchnie całe w kilkunastu calach kwadratowych, byle mniej zachodu, byle więcej żyć na zewnątrz, byle nie trwonić czasu monotonią kłopotarstwa.

Hotel panoszy się, hotel kusi, pociąga...

Hotel dla miliarderów, hotel dla milionerów tylko, hotel dla zamożnych, dla samotnych, dla starych, dla młodziutkich, hotel dla przychodzących na świat, hotel dla wybierających się w zaświaty, bo i domy położnicze, i szpitale są jakby hotelami, bo są nimi nawet więzienia amerykańskie.

Ogień na kominkach płonie coraz smętniej, coraz sztuczniej.

Przesady idą do rupieciarni, a wraz z nimi za przesady poczytywane tradycje.

Kult dla zmarłych, piękny kult przodków również przybiera chwilami skomplikowane w realizmie swym formy.

Umarł człek, lekarz strzepnął bezradnie rękoma, wyrok zapadł.

W kilkanaście minut zjawia się już „pogrzebowy”, najczęściej zawczasu uprzedzony przez lekarza (to warte bywa dolarów pięćdziesiąt) i taki, który zwykł już w tej rodzinie operować.

I w pół godziny ciepły, gorący nieboszczyk wyjeżdża z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę do zakładu pogrzebowego...

Tutaj następuje operacja, przygotowanie do wiecznego spoczynku...

A więc pogrzebowy otwiera truposzowi żyły na rękach, przyprawia ssący aparat i wyciąga z żył... wodę. Po dokonaniu tej operacji, wpompowuje do żył roztwór formaliny.

<sup>224</sup>pozawczoraj (daw.) — przedwczoraj. [przypis edytorski]

Teraz dopiero zaczyna się toaleta nieboszczyka. Więc za pomocą natłukiwania młotkiem drewnianym wypęda mu z twarzy wszelkie konwulsyjne skurcze i grymasy, reguluje układ szczęk, zakłada metalowe ściskacze dla harmonijnego zwarecia ust i zemknięcia powiek, zawsze bacząc na dobyte pogodne wyrażenie oblicza i wygładzając starannie zmarszczki. W razie potrzeby goli, strzyże, czesze, myje, szoruje, maluje, zalepia jakoweś szwy operacyjne, szramy, a w ostatku za pomocą zastrzyków podskórnych stroi trupka w rumieńce. I dopiero ubranego według życzenia rodziny i tak zabezpieczonego przed fermentem, pachnącego niemal, wymanikirowawanego, ładuje z powrotem do samochodowego furgonu i odstawia na drugi dzień do domu.

Tutaj układa się nieboszczyka najczęściej na kanapie, w pozycji możliwie swobodnej i pozwala go się odwiedzać.

Zawiadomień o śmierci, klepsydr, pompatycznych zaproszeń nie ma. Uprzedza się rodzinę i małe kółeczko najserdeczniejszych, zwykle przez telefon. Ci tylko osobiście zawiadomieni, zwłaszcza gdy chodzi o czysto amerykański, protestancki obyczaj, mają prawo wziąć udział w pogrzebie. Wszyscy inni poprzestają na odwiedzeniu zwłok, przesłaniu kondolencji.

Nieboszczyków z zasady nie wpuszcza się w wczasy do kościołów ani do kaplic. Nawet dla gruntownie spreparowanych, zabalsamowanych, choćby z kretesem zapeklowanych ciał miejsca tam nie ma. Świątynie nie są i nie mogą być trupiarniami, nie chcą być składami bakterii, schroniskiem dla *ptomain*.

Jedynie w razie zarządzenia pogrzebowego nabożeństwa, solenniejszego poświęcenia, jedynie w tym razie zmarły, zamknięty już w trumnie, dokładniej w pięknie wypikowanym, podłużnym pudle wyglądającym na powiększoną bombonierkę, może być wniesiony tuż przed rozpoczęciem ceremonii, lecz wyniesiony natychmiast po jej ukończeniu.

Jak to było wyluszczone, nawet pod kościołami rzymskokatolickimi bywają sale na zebrania, na posiedzenia, niekiedy kapliczki, ale ani skrawka miejsca na tak niehigieniczny i niebezpieczny materiał, jak szczątki ludzkie i te choćby formaliną nadziewane, a więc na czas dłuższy zabezpieczone i niecuchnące.

Kondukt pogrzebowy to rozpędzony korowód, mający na przedzie furgon żałobny, a za nim kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt rwących co prędzej samochodów. Odległości bywają wielkie, a żywym pilno.

Na cmentarzu, o ile pogrzeb odbywa się czasu slot jesiennych lub zimowej zawieruchy, ponad rozwartą mogiłą rozpina się szeroki namiot, aby ostateczne pożegnanie w dogodnych odprawić warunkach.

W tym krótkim rzucie uderza niesłychana nigdzie rola przedsiębiorcy pogrzebowego, który zawsze gotów jest przysiąc, że w Stanach Zjednoczonych nie istnieją upiorne historie o budzących się w grobach, o przypadkach pozornej śmierci, o letargach. Każdy w Ameryce umiera zawsze... na dobre.

Pogrzebowy amerykański jednak inną budzi wątpliwość, inne budzi niepokoje... Czyli<sup>225</sup> tylko niepokaje!

Medycyna, jak wiadomo, jest nauką tak potężną, czyniącą tak wielkie postępy, że do dnia dzisiejszego nie zawsze zdolna jest uniknąć pomyłek nawet w swych wyrokach śmierci... Stąd w Europie i nie w Europie owo nakazami i zwyczajami przestrzegane opóźnianie pogrzebów, odczekiwanie czasu przedrozkładowego, czuwanie przy zwłokach, stąd jakby usuwanie wątpliwości...

W Stanach Zjednoczonych takich wątpliwości ludzie mieć nie chcą. Lekarz zdecydował, skazaniec niechaj idzie bodaj na zarżnięcie. Wolej<sup>226</sup> niech mu póki ciepły żyły wypompują, aniżeli miałby się ocknąć...

I tak bywa, i tak się zdarza. Rzekomy umrzyk w krytycznym momencie pogrzebowej operacji zwija się, przeży, niekiedy drga skrami życia niby węgorz na patelni... Kto go tam wie! Pogrzebowy ma dyplom. Zresztą jest już za późno, pompa oprawcy wyssie i krew czystą i zbełcze ją do niepoznania w rozczynnie dezynfekujących kwasów.

W ogóle manipulacje pośmiertne w Ameryce są tak osobliwe, że w pierwszej chwili trudno je wyrozumieć, trudno je pogodzić z przepisami przez wyznania uświęconymi.

<sup>225</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>wolej (daw.) — lepiej. [przypis edytorski]

Ale o tym nie ma dyskusji, nie ma różnicy zdań. Trzeźwość sanitarna, no i uproszczenie manipulacji to najgłówniejsze.

Jeżeli człek żywota dokonał w obcym mieście, w szpitalu, w hotelu, w miejscu nie-  
spodobnym na odbieranie wizyt, w takim razie korzysta z gościny u pogrzebowego. Wła-  
ściciele takich zakładów mają urządzony odpowiedni salon. Jeżeli spotyka się kilku nie-  
boszczyków naraz, to każdy z nich do salonu dociera w porządku kolejności. A przed  
paradowaniem w salonie spoczywa w piwnicy oziębionej, a niekiedy wyleguje się wprost  
na łodzie i często w domu pogrzebowego, w domu stanowiącym również jego własną  
rezydencję...

W wielkich miastach zakłady pogrzebowe utrzymują coś jakby w rodzaju cywilnych  
kaplic, wolnych od emblematów religijnych, a zdobnych w alegoryczne figury, znicze  
i stylowe siedzenia.

W niektórych stanach, mocno ku północy wysuniętych a skazanych na ostrą zimą,  
przedsiębiorstwa pogrzebowe miewają istne składy wszelkiego autoramentu nieboszczy-  
ków... w okresie, kiedy stwardniała skorupa ziemską udaremnia pracę grabarzom. Kto  
przeto nie posiada własnego grobu murowanego, ten już w końcu listopada w razie zgonu  
idzie sobie do lamusa pierwszego lepszego na pierwszej z brzoza ulicy... I w tym lamusie  
czeka cierpliwie kwietnia, maja, aż go ze składu na cmentarz nie odstawią.

Pogrzebowy ma dyplom. Nikt sobie głowy nie zaprząta drobiazgiem, że tuż, w pod-  
ziemiach domostwa stoją jedna na drugiej stopy już zajętych trumien i trumienek. De-  
zynfekcja jest pewna, więc jest wszystko.

Równie praktycznie załatwia się liczne przypadki pośmiertnych podróży.

Amerykanie rozpraszają się mocno po swym własnym kontynencie, przenoszą często  
z jednego stanu do drugiego, po śmierci natomiast lubią wracać do rodzinnych miejsco-  
wości, do swych osiedli dawnych. Stąd pośmiertnych peregrynacji bezliku.

Lecz jakże to proste, jak ułatwione.

Zmarłego trzeba oczywiście uprzednio wypompować i napompować. Ale to załatwia  
w okamgnieniu najbliższy „undertaker” i ładuje ciało do skrzynki, która w tym przy-  
padku obowiązkowo nie może kształtem przypominać amerykańskiej trumny. Następuje  
telefoniczne zawiadomienie miejscowego urzędu i nieboszczyka odstawia się wozem na  
stację kolejową. Tutaj bez formalności kupuje się nieboszczykowi... bilet osobowy... Na  
podstawie tego biletu nieboszczyk zostaje umieszczony w wagonie bagażowym razem  
z dziesiątkami kufrów i tobołków, a często innych nieboszczyków, i podróżuje „ekspre-  
sami” z jednego krańca na drugi, tanio, wygodnie, bez plomb, bez pieczęci, bez świadectw  
lekarskich, bez mieszania się doń starostów, wojewodów, prefektów czy imperfektów.

Po przybyciu na miejsce zostaje wydany okazicielowi biletu, niby zwykły pasażer mija  
kontrolę i jedzie sobie do zakładu pogrzebowego, który ma się zająć zorganizowaniem  
ostatniego z doczesnych spacerów.

Cmentarze są po większej części wyznaniowe, dzielące starannie zmarłych i po śmierci.  
Stanowią własność odpowiednich gmin, zrzeszeń, parafii czy też po prostu biskupstw,  
tworzą źródła dochodu z działek i pokładnego. Poza nimi dopiero są cmentarze miejskie,  
jakby generalne, a dalej cmentarze pospolite, źle utrzymywane, z góry skazane na zagładę,  
no i są wytworne, przebogie, niewpuszczające byle kogo nawet po śmierci.

Oto poważne, szlachetnej dumy pełne ogłoszenie...

„Hen, w czarownej okolicy, wśród cudnie zadrzewionych dolin i wzgórz  
założono śnionej piękności park... Cisza głęboka, dalekie horyzonty, natu-  
ra w pełni majestatu... drogi cementem wymoszczone, granice żelaznymi  
naznaczone kraty<sup>227</sup>...

Taki park...

Człeku dostojny, pożądamy godnego ciebie po najdłuższym życiu spo-  
cznienia, przybywaj do naszego parku, zgłoś się do naszej przepotężnej, wie-  
czystej korporacji... Za dziesięć tysięcy kupisz sobie cały hektar ziemi i bę-  
dziesz sobie spoczywał sam jeden na całym hektarze, a my dokoła ciebie  
będziemy po wsze czasy chesali najdelikatniejsze trawki, rozpinali wstęgi róż

<sup>227</sup> żelaznymi naznaczone kraty — daw. forma N.Im; dziś: (...) kratami. [przypis edytorski]

wonnych, o każdej porze roku innym kwieciami naszej pamięci składali wody!”...

Taki park, taki milionerski cmentarz.

Wjeżdża się samochodem poprzez złożoną bramę niby do jakowejś królewskiej posiadłości. W pierwszym momencie ani się zorientować. Misternie cięte perspektywy, wszędy<sup>228</sup> klomby, bukiety najrzadszych krzewów, wymyślne labirynty alei, niekiedy śnieżne marmury, koronkowe głazowiska, tajemnicze kioski...

Dopiero *cicerone*<sup>229</sup>.

Tam, na wzgórzu, tam kędy ten olbrzymi pas czerwieni, tam spoczywa Frick, znakomity Frick! Nie znacie Fricka? Był stali wielkim księciem, prawie królem... Tu, na prawo, tam, gdzie świątynia miłości, autentycznie skopiowana z Trianon, tam w wiecznym pograżony śnie majestat węgla, cebuli, gutaperki, musztardy, lecz zawsze tak przemożny, aby kilkadziesiąt tysięcy wydać na dołek dla swej wypikowanej bombonierki...

Śmierć jest droga, pogrzeb jest w Ameryce bardzo kosztowny. Łatwiej się urodzić, łatwiej żywot wleć, aniżeli siako tako bez ujmy dla godności być pochowanym...

Zdzierstwo jest bezwzględne, łatwe, bo wyzyskujące moment kiedy strata drogiej osoby wszelkie inne straty czyni błahymi, kiedy odmówienie szczegółu „pompy żałobnej” wydaje się brakiem zachowania dla zmarłego. Przebiegłość czuwa, ta dyplomowana przebiegłość, i miarę pogrzebową stosuje do rozmiaru polisy asekuracyjnej... która bardzo często idzie na trumnę „skromniutką” za dolarów pięćset, na paradę, na ten ziemski sych, który nieboszczykowi jest już całkowicie niepotrzebny...

Ówdzie dzieje się nie lepiej, w Ameryce wszakże gorzej.

Kult dla zmarłych jeszcze nie ustaje. Ma swój piękny wyraz w urzędowym święcie obchodzonym skwapliwie w dniu trzydziestym maja. Kult pełen słońca, kwiecia, raczej pogody smętnej aniżeli rozłkania...

Amerykanin, zda się, nie oplakiwać, lecz Stwórcy dziękować, że tacy byli, że narodzili się, że istnieli.

Żałoby po zmarłych nie nosi. Koloru czarnego nienawidzi.

Wypomnienia swoje rad znaczy nie dniami zgonu, lecz datami narodzin.

Nie egzekwie odprawia, lecz święta harde. Obchodzi nie śmierć Washingtona, nie ponurą chwilę mordu, dokonanego na Lincolnie — lecz raduje się w rocznicę ich przyjścia na świat Boży...

Jeno ogień na kominkach płonie coraz smętniej, coraz sztuczniej, jeno pieśń o „*Home, sweet home*” brzmi jako to, co oddala się, co już odchodzi, co zamienia się w poszept...

## SIADŁA BIEDA NA WORKACH ZŁOTA I PŁACZE

Siadła bieda na workach złota i płacze.

Z nowożytniej Kolchidy, z owej zaklętej krainy złotej runa wieści żalosne.

W Ameryce, na ziemi wszelkich niemożliwości, w tej chępiącej się bogactwami Ameryce dni ponure — nareszcie i w Ameryce.

Pierś oddycha z pewną ulgą.

Więc i tam za oceanem. Więc nie ma ani czego zazdrościć, ani czego naśladować. Systemy, organizacja, zawziętość, rozmach, energia, toć blichtr, graczy przemijająca chwalba.

I tam jeszcze większe tłumy nędzarzy, i tam widma groźne, i tam alarmy, łatanina, bezradność, groszowa filantropia, i tam kołatanie się od jednego frazesu do drugiego.

Przepotężny bankier całego świata, posiedziciel<sup>230</sup> skarbów nad skarbami, dobroczyńca miłościwy, nieskąpiący ochłapów międzynarodowym pariasom, wczorajszy Krezus, a dzisiaj powiastkowy Arab na pustyni bez kropli wody z sakwami diamentów.

Gdzież powiadać o amerykańskich wzorach, gdzież przykładów szukać, kędy<sup>231</sup> bankructwo metod, pogrom nowatorstwa!

Złoto? — Góry złota? — Starczy od nich się odwrócić, aby stały się górami podrzędnej użyteczności kruszcu...

<sup>228</sup>wszędę (daw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>cicerone (wł.) — przewodnik. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>posiedziciel (daw.) — posiadacz, właściciel. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>kędy (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Jakby na potwierdzenie tych złowrogich wieści, oto z pola bitewnego pod Yorktown, z uroczystego obchodu wiekopomnego zwycięstwa, które Stanom Zjednoczonym dało niepodległość, spośród fanfar, armatnich wiwatów, spod łopoczących sztandarów chrypi *memento* gubernatora Pensylwanii...

„W kraju, płynącym mlekiem i miodem — zawołał Gifford Pinchot, zgrzytem mizernym wspaniałość zakłócając chwili — milionom brak żywności!... Nie walczymy dzisiaj z książętami i mocarstwami, ale walczymy z głodem i chłodem, walczymy z mamoną, walczymy z nieprawością na wysokich stanowiskach!”...

Europa aż kichnęła z przejęcia.

Tak bywa, stało się, tak się stać musiało.

A przecież zarówno z tych jasnych, jak i z tych klęskowych dni amerykańskich powinna by jednakowo czerpać pełnymi garściami i brać, i przyswajać sobie, i uczyć się, i kształcić, i leczyć ciężkość swoją prastarą, a strzec się podobnych błędów...

Wielka wojna europejska<sup>232</sup> przyspieszyła rozkwit Stanów Zjednoczonych. Ameryka stała się dostawcą całego niemal świata. Strugi złota rwały ku niej poprzez ocean. Praca wrzała dzień i noc. Budowano co tchu olbrzymie fabryki, wznoszono doki, powiększano produkcję, dwójono siły robocze. Pracy było ponad miarę, ponad siły. Wynagrodzenia szły w górę z zawrotną szybkością. Płacono, ile kto żądał. Byle nastarczyć, byle nie zmitrężyć<sup>233</sup>.

Dopieroż gdy Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Austro-Niemcom, dopieroż kiedy mobilizacja jęła<sup>234</sup> zmniejszać podaż!

Zarobki potroiły się. Fortuny rosły jak na drożdżach. Skala życia skromnego dosięgała zbytku. Kominy jeszcze gęstszymi wystrzeliły pióropuszcami dymów. Pittsburgh, Cleveland, Youngstown, Chicago, Cincinnati, Bethlehem, Atlanta były żarem buchających z pieców płomieni.

Zresztą wielką wojnę przetrwać było już nietrudno. Ameryka była prawie że rozjemcą, który rzuceniem drobnego ciężarka chwiejącą się wagę przechyla. Cztery miliony i trzysta pięćdziesiąt pięć tysięcy zmobilizowanego żołnierza, a z tego w dniu zawieszenia broni, dokładnie w dniu zlikwidowania armii, sto dwadzieścia sześć tysięcy (liczba oficjalna) zabitych, umarłych z ran lub chorób... Czyli mniej nieskończenie aniżeli zwykły, codzienny procent śmiertelności!...

Powrót, wysłanych do Europy, toć<sup>235</sup> jeden pochód triumfalny.

Zarobki nieco spadły, lecz jeszcze było dostaw dla połowy ludzkości. Wszystko szło, i maszyny, i bawełna, i cukier, i mąka, i konserwy, i tkaniny, i skóry, i tłuszcze, byle smary, byle odpadki.

Pomyślność zaczynała się tak olbrzymia, że ci, którzy z niej nade wszystko pożywali<sup>236</sup>, zatrwóżyli się, aby nie znikła, nie odeszła.

Było czego się trwożyć!

W Paryżu prezydent Wilson z tysiącem co najmądrzejszych doradców układał Traktat Wersalski. Wadził się o każdą jego literę, łagodził Francję, angielską uciszał podejrzliwość, włoskie ambicje, straszyl potęgą amerykańską, lecz, o zgrozo, i wplątywał Stany Zjednoczone w węzowisko europejskich złości.

Cóż bo Ameryce było do Europy! Przystąpiła do wojny, aby jej kres położyć, wdrożyła poszanowanie dla gwiazdzonego sztandaru, ale i na tym koniec. Niech sobie tam robią z Traktatem Wersalskim, co chcą. Szmat papieru, jeden więcej. Podpis prezydenta Wilsona, prezydenta związku nad związkami? — Nic niewart...

Senat amerykański odmówił ratyfikacji, odmówił za poszeptem zakulisowych intryg niemieckich, odmówił za sprawą chciwców, którzy w tym lekkomyślnym postanowieniu widzieli krynicę mądrości, widzieli hasło nad hasłami, widzieli „*splendid isolation*”<sup>237</sup>...

<sup>232</sup>wielka wojna europejska — I wojna światowa (1914–1918). [przypis edytorski]

<sup>233</sup>zmitrężyć — zmarnować. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>jąć (daw.) — zacząć; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>toć — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: to przecież. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>pożywać (daw.) — tu: korzystać z czegoś; zażywać. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>splendid isolation (ang.) — doskonała izolacja; wspaniała izolacja (odosobnienie). [przypis edytorski]

Dla geszefciarzy stanozjednoczeńskich to odosobnienie było zapowiedzią jeszcze większych bogactw.

Dokonałiśmy. Cały świat mamy w kieszeni. Wszyscy są naszymi dłużnikami. Płacić muszą do nieskończoności. Jak się ze sobą rozrachują, nie nasza sprawa. Poza Ameryką nędza, swary. Odgrodzeni murem dwu oceanów, możemy poglądać filozoficznie, nie wtrącać się i, jako potęga nad potęgami, stać na uboczu...

Wreszcie mamy własne kłopotarstwa.

I znów wbrew oporowi prezydenta Wilsona wprowadzono drakońskie ustawy prohibicyjne.

Likwidacja gorączkowa wypchanych nad miarę składów wódek, piwa i wina przyniosła handlarzom miliardy. Dygnitarze naładowali swe piwnice i schrony pancerne kufami wszelakiego rodzaju alkoholu. Społeczeństwo zostało pogrążone w odmęcie zatargów z kodeksem karnym, wciągnięte w chryje kontrabandzkie, skazane na policyjne awantury, na bandyckie praktyki gwałcicieli prawa i jego obrońców.

W ciągu jedenastu lat umniejszono dochody państwa o siedem miliardów, co więcej w tym samym czasie zubożono je o inne miliardy wyrzucone na przemysł trunków wdzierających się przez Meksyk, Kanadę, przez sąsiednie wyspy.

Kapitały wyciągnęły ramiona po kontrolę nad surowcami. Nie dość im było własnych. Wykupowano źródła naftowe, zagarniano produkcje gutaperki, trzciny cukrowej, kawy, miedzi, tytoniu. Za pieniędzmi, za agentami, za handlarzami tuż w tropy ruszyła znów rozdmuchana doktryna Monroe. Ameryka dla Amerykanów... ale i Wyspy Hawajskie, ale i Filipiny. Jęto się troszczyć tak zabiegliwie o środkowo-amerykańskie i południowo-amerykańskie republiki i republiki, że aczkolwiek zdolano wziąć na munsztuk wątle kreatury lacińskie nad Morzem Karaibskim, jednak w ostatecznym rezultacie zaskarbiono sobie nieufność.

Z tej nieufności narodziła się wytrwała dążność do unikania towarów pochodzących ze Stanów Zjednoczonych, unikania amerykańskich pożyczek, otwarte rebelie przeciwko strażującym aż po Kanał Panamski amerykańskim pancernikom, amerykańskiej piechocie marynarskiej, amerykańskiemu imperializmowi.

Prawie równorzędnie z tym „wspaniałym odosobnieniem” jęto szerzyć błędne teorie o samowystarczalności, a więc i co za tym idzie, dla powiększenia zysków gnębić cudzoziemską konkurencję cłami wwozowymi.

Kupowano coraz mniej zagranicą, nawet „prawdziwe” camemberty i roqueforty fabrykować zaczęto w stanie New Jersey na utrapienie francuskich serów.

Na cła amerykańskie odpowiedziano cłami. W Stanach Zjednoczonych nawzajem nabywano coraz mniej.

Równowagę jednak ratowała imigracja, która jeszcze w roku 1921 wynosiła osiemset pięć tysięcy, a w roku 1924 jeszcze siedemset sześć tysięcy głów.

Wiele państw, nie mogąc innego, wywoziły do Stanów Zjednoczonych towar ludzki. Był więc to pewien ekwiwalent, wyrównujący rachunki eksportowo-importowe. Kraj przeludniony zbywał się niebezpiecznej nadwyżki, co ważniejsze, ta nadwyżka przez pierwsze kilkanaście lat zapewniała z reguły dochody... Emigrant utrzymywał łączność z opuszczoną rodziną, słał zapomogi...

Lecz i tego towaru postanowiono nie wpuszczać, a co najmniej zredukować jego liczbę.

Jedni widzieli w tym znakomity sposób do tym szybszego przetopienia żywiolów cudzoziemskich w amerykańskim tygłu, drudzy do selekcji napływowego elementu, trzeci do zmniejszenia podaży pracy, więc utrzymania skali zarobkowej, inni do wzmocnienia anglo-germańskiego podłoża ludności, a ostatni na koniec otwarcie dowodzili, że choć



miejsca jest zadość i na pięćset milionów, ale w tym żadna racja, aby włóczęgów z Europy, a może z Azji na swoje posiadłości wpuszczać, dobytkiem się z nimi dzielić.

Nastąpiło ograniczenie imigracji, nastąpiło całkowite niemal jej zatrzymanie.

Powiadano, że imigracja z bogactw może pustkowia, że należałoby raczej skierować ją na tereny słabo zaludnione, nie dogadzało to kalkulacji na krótką metę. Nawet nie baczono, że imigrant utrwala siłę mocarstwową, że jest tym najbardziej upragnionym konsumentem, najmniej wymagającym pracownikiem, że jest najpotulniejszym, bo pozbawionym przywilejów członkiem społeczeństwa, że Stany Zjednoczone muszą troszczyć się o jak najszybsze, o dobrowolne zaludnienie swego kontynentu, aby pokus nie budzić...

W Ameryce, tworzącej czarne plastry skupisk ludzkich nad Atlantykiem, nad Wielkimi Jeziorami, nigdy nie było wzięte pod rozagę tak proste obliczenie...

Dwa stany, tylko dwa stany, Oregon i Waszyngton, położone nad Pacyfikiem, tworzą obszar 165 826 mil kwadratowych angielskich i posiadają ludności (statystyka roku 1930) 2 514 653 mieszkańców.

Owóż jeżeliby połączyć ze sobą europejskie dzierżawy Włoch (119 744 mil kwadratowych angielskich), Austrii (32 369 mil kwadratowych angielskich) i Belgii (11 752 mil kwadratowych angielskich), to przedstawiałyby obszar wynoszący tylko 163 865 mil kwadratowych, jeszcze prawie o dwa tysiące mil mniejszy od stanów Oregon i Waszyngton.

Tymczasem na tym mniejszym obszarze w Europie żyje dokładnie, według statystyki z roku 1928 — we Włoszech: 41 168 000 — w Belgii: 7 995 558 — w Austrii: 6 675 283 mieszkańców — czyli razem 55 838 841 ludzi... czyli więcej niż w Oregonie i Waszyngtonie o 53 157 640 mieszkańców!...

Nie dość na tym, w Europie te miliony podziewają się w krajach uboższych od tych dwu stanów, w krajach niezdolnych ich wyżywić, w krajach nawet klimatycznie niżej stojących...

A mowa tutaj jedynie o dwu stanach, tych najbardziej na zachód wysuniętych, o dwu żywnych, bogatych w lasy, zasobnych w glebę pustkowiach.

Nawet pałaca sprawa zbudowania nad Pacyfikiem tamy z żywych piersi ludzkich nie ocaliła imigracji. Ameryka wołała miliardy rzucać na śmiercionośne narzędzia, cały świat pomawiać o militarizm, no i otwierać „kliniki kontroli urodzin”... W osiemnastu stanach jest ich już 82!...

Równorzędnie, gdy nadmierne płace nie dawały się dość szybko zmniejszyć, gdy konkurencja odradzającej się Europy zaczęła wzrastać, z tym większym jeszcze zapalem jęto się mechanizacji pracy, upraszczania produkcji, zastępowania kosztownych materiałów tańszymi, standaryzacji artykułów, a nade wszystko większych zysków na wydajności.

Impet do wynalazków, i tak niewspółmiernie większy niż gdziekolwiek, wzmógł się. Technika, hojnie wspierana przez kapitał, siliła się na coraz dalej sięgające zdobycze, na owe zachwycające pomysły, które za jednym pociśnięciem guziczka zdolne były potokami światła zalewać przestrzenie, wypełniać je dźwiękami popisów muzycznych, wprowadzać w ruch gigantyczne turbiny, na owe genialne inwencje, które radosnym podziwem przejmują laików, skazując ciche gromady robotce na nędzę, na poniewierkę.

Machina? — A więc dźwignia cywilizacji, tylekroć razy dobrodziejka, szczodrobliwa rozdawniczka. Ona wszak zużytkowuje nieuchwytną dla rąk ludzkich energię, ona szczerzy im krwawego potu, ona człowieka zamienia w Tytana, ona chroni go często przed utratą życia i zdrowia, ona mnoży, ona udostępnia dorobki materialnej, a bodaj i duchowej kultury...

Czyż można sobie wyobrazić życie współczesne bez maszyny?

Czyliż można wyobrazić sobie tak potworny zastęp szewców, który by zdołał zaopatrzyć w ręcznie wykonane obuwie tych, co je dzisiaj nosić nawykli?

Rozkwit techniki ma swe nieubłagane następstwa. Ludzkość musi patrzeć zysków, idących dalej aniżeli udręki słabych, nieopatrznych, bezbronnych.

Automat telefoniczny więcej przyczynia zadowolenia aniżeli smutku łyż pozbawionych chleba telefonistek — gramofon spokojnemu obywatelowi nigdy nie przypomni

czeszy skazanych na głód grajków — radio milionom od razu pozwala słuchać wirtuoza, spychając w otchłań zastępy artystów drugorzędnych.

Maszyna pisze, maszyna dyktuje, maszyna robi pudełka, maszyna prasuje, maszyna kopie fundamenty, wierci skały, wybiera gruzy, maszyna zlewa wodą ulice, maszyna zamiata nawet gościńce, maszyna pierze, maszyna wyciąga stare słupy telegraficzne i zakopuje nowe, maszyna wydobywa rudę, maszyna ładuje i wyładowuje, maszyna waży, maszyna układa, maszyna robi cegłę, maszyna jest drwalem, ślusarzem, kowalem, stolarzem, dróżnikiem, kontrolerem, kasjerem, froterem...

Stany Zjednoczone wpadły w orgię wynalazczą, w gorączkę gwałtownej, nieznanej na starym kontynencie realizacji. Zaledwie ktoś rzucił pomysł, zaledwie zdołał go wydobyć z niedołęznego prymitywu, już ten pomysł chwymano, wprowadzano.

Rzekłbyś, dziatwa rozochociona, ogniem igrająca, olśniona coraz potężniejszymi jego blaskami, skradających się ku niej skier niepomna.

Tam, kędy w tkackich warsztatach stało pochylonych nad członkami czterystu ludzi — tam dzisiaj z daleko większą precyzją, z większą wydajnością trwa zaledwie dwudziestu czterech. Nowoczesna żniwiarka starczy na polu za dwustu żniwiarzy. Maszyna do sadzenia kapusty bije na głowę czterdziestu pracowników. Arytmografy przepędziły siedemdziesiąt pięć procent rachmistrzów i księgowniczych.

Pomywaczy butelek do mleka wytepiła higiena butelek papierowych, do jednorazowego służących użytku. Krojących zastąpił automat, tnący od razu całe postawy<sup>238</sup> sukna...

Cuda nad cudami!

Laboratoria, izby doświadczalne, milionowe nakłady, byle znów coś nowego przyczynić, mechanizm jeszcze do czegoś zaprząć, nowe, tańsze chwycić siły, w bardziej skomplikowane zakuć ją sprężyny, a w ostatku i człowieka zmechanizować, zamienić go w doskonałość taylorizmu, uczynić wśród trybów, transmisji, warczenia kół, miarowego kłopotania tłoków jeszcze tym brakującym dotychczas mechanizmem, tą jeszcze nieudoskonaloną oliwiarką...

Może<sup>239</sup> być wspanialszy wyraz ludzkiej potęgi nad owego gentlemana w rękawicach muskieterskich, zgrabnego, wymuskanego nieledwie, panującego w przepastnej hali łomoczącym, zięjącym ogniem i parą lewiatanom?

Zarobki były i dalej znakomite, bajeczne, niepojęte dla rdzawych tłumów europejskiego robociarstwa.

Jeno<sup>240</sup> tych zarobków było mniej, ludzi bez pracy więcej.

Zaszemrano, ozwały się głosy przestrogi.

Płytkie rezonerstwo.

Cóż bo z niepożytecznego wyrobku? Cóż z tych rzesz głuptackich, nygusowskich? Cóż komu z tych tłumów dziurkarek, obrębiarek, kancelistów, kopistów, przepisywaczy, dodawaczy, pilnikarzy, dłubaczy, kosiarzy, pacykarzy, nosiwodów, tragarzy, pracy, łopatników, zamiataczy, kłajściarzy?...

Brak pracy?

Jak to? — Przemysł co godzina zakreśla nowe kręgi. — Wynalazki otwierają wrota nieznanym dziedzinom produkcji. Życie rwie naprzód, nie da się zatrzymać. Tysiące „możliwości” przed każdym. Byle chcieć.

Bezrobocie?

Fabryki idą, towarów w magazynach, surowców w składach, ziarna w elewatorach po strop, i lepszego aniżeli wczoraj, i tańszego.

<sup>238</sup> *postaw* — inaczej: *sztuka* (np. sukna); starop. jednostka miary tkanin, dzieląca się na 32 łokcie (czyli ponad 15 m), choć zależnie od regionu i okresu mająca różne przeliczniki (od 27 do 62, a nawet 64 łokci po ok. 52 cm); większą jednostką była *bela*, licząca 10–12 postawów materiału. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> *możeż* — konstrukcja z partykułą *-że*, skróconą do *-ż*, wzmacniającą i tworzącą pytanie retoryczne; znaczenie: czy może; czyż może. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> *jeno* (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

Należy bronić zagrożonego przez wytwórczość europejską stanowiska, należy miazdżyć ją masami wyrobów, obniżać ceny kosztu własnego, zwyciężać geniuszem przedsiębiorczości, geniuszem taktyki, dławić potęgą złota.

Człowiek?

*Ecce homo!* — Jest i człowiek mechaniczny, cały ze stali. Puszczony w ruch, chodzi, mówi, wykonuje na żądanie pewne czynności, nawet je kojarzy w pewien ład, układa w pewną logiczną wstęgę, uzależnia, dostosowuje.

Człowiek? — Stokroć cięższa odeń komórka fotoelektryczna.

Wyobraźnia jej nie ogarnie.

Komórka fotoelektryczna, umieszczona w odpowiednio zbudowanym przyrządzie, a zaprzęgnięta do pracy bankowej, odczytuje stopy wykazów, rachunków, pliki świstków i kwitków i z szybkością dwustu poruszeń na minutę dzieli je według najbystrzejszego zmysłu wytrawnego pracownika na kategorie, i rozsyła pięćdziesięciu naraz wydziałom do załatwienia...

Bajka o żelaznym wilku — a w tej bajce ani słowa przesady.

Wspaniały, znakomity twór ludzkiego mózgu — lecz co najmniej twór jednostronny, gdyż dobrodziej i niszczyciel, dziecię światła i ciemności. A może tylko pacholek groszóróbstwa, sługus dolara, niewolnik podniecany przez amerykańskich handlarzy?

Jednostronny twór, bo i w całym tym wysiłku ku zmechanizowaniu pracy tylko inżynierski rachunek, kupiecka kalkulacja, niezdolna ocknąć w sobie głębszej myśli społecznej, niezdolna pamiętać na tych, których chleba pozbawia. Upraszczenie bytowania ludzkiego, a w istocie pomnażanie niedoli, narkotyzowanie czujności amerykańskich „konsulów”, skazywanie kroci tysięcy na nędzę.

Wszystko dla znakomitych spryciarzy zmniejszających liczby robotników — ani szeląga dla dociekań, zdolnych równocześnie przygarniać tłumy niepotrzebnych, nieużytecznych rąk.

Praca nie jest klątwą rodzaju ludzkiego, lecz błogosławieństwem Bożym. Praca jest modlitwą. Praca jest szczęściem.

Owóż na „ziemi mlekiem i miodem płynącej” zabrakło i tego błogosławieństwa, i tej modlitwy, i tego szczęścia.

Najdzielniejszym fundamentem dobrze zbudowanego, demokratycznego państwa jest średnia i drobna własność. Kędy<sup>241</sup> średniej i drobnej własności więcej, tam więcej poczucia obywatelskiego, tam mniej różnic i tam mniej fermentów.

Stany Zjednoczone ku temu szły, choć od dawna cierpiały na zbyt wielką chciwość zubożonych szachrajów, którzy nazbyt szybko wyrastali na magnatów, nazbyt gwałtownie darli się do spekulacyjnej lichwy.

Już przed wielką wojną słynna nowojorska Wall Street (ulica Parkanowa), ściślej gieda, targała arkanami wewnętrznej polityki Stanów Zjednoczonych.

Jednakże ten wpływ giełdziarski chwilami słabnął, zwalczany przez wyjątkowo odważnych prezydentów, jakim był choćby Roosevelt.

Zgon prezydenta Wilsona, dojście do władzy Hardinga, było hasłem do zerwania ostatniej tamy. Harding wypłynął na spienionej fali, tak zwanej „bandy ohioskiej”, która już nie wypuściła z rąk swego elekta.

Zaczęły się orgie sztuczek milionerskich. O najważniejszych zagadnieniach decydowali bankierzy, królikowie stali, nafty, miedzi, trusty, zмовy, intrygi krętaczy, interes jednostek.

Prezydent Coolidge odziedziczył po Hardingu stajnię Augiasza, wczorajszych sekretarzy stanu (ministrów) nie mógł uchronić przed kryminałem, ale i nie uszedł przed gromadą, która z ukrycia rozstrzygała o wyborach i nominacjach, rządziła w izbie poselskiej i senacie, panowała w legislaturach stanowych.

Lecz Stany Zjednoczone były w pełni swej „prosperity”...

<sup>241</sup> *kędy* (daw., gw.) — gdzie. [przypis edytorski]

Ta „prosperity”, a więc ta pomyślność, ten dobrobyt, nigdzie nieznany, a tak często w mowach i orędziach prezydenta Coolidge’a podkreślany, był jakby balsamem, który łagodził, uciszał.

Jakże się skarżyć, jakże utyskiwać! Jeszcze nigdy nie było tak świetnych bilansów. Przed Stanami Zjednoczonymi wszystkie mocarstwa były pokłony. Skromny adwokacina z Nowej Anglii, syn ubogiego farmera, rozpierał się za stołem w dygnitarskim fotelu, mając poniżej siebie rumuńską królową, która rozlewne swe kształty ledwie utrzymać mogła na podrzędnym stołeczku.

Jakże w ogóle można było bodaj dąsy stroić, skoro wykazy dokonywane przez Amerykańską Federację Pracy, dowodziły, że w okresie od roku 1923, a więc od powołania Coolidge’a do Białego Domu, aż po rok 1929, zarobki robotnicze ani drgnęły ku dołowi, lecz przeciwnie, z pełnych jedenastu miliardów rocznie, podniosły się o czterysta milionów!

Prawda, w tym samym czasie dywidendy towarzystw akcyjnych podskoczyły o dwa i pół miliarda, zyski banków amerykańskich podwoiły dochody, przyniosły 576 milionów, a procenty od obligacji wzrosły w trójnasób.

Spekulacja, być może, lecz jakież plony zawrotne.

Najwięksi sceptycy umilkli.

Prezydent Coolidge zapoczątkował zwracanie... podatku dochodowego, zarządził od dawanie wpłaconych podatków...

Wystawmy sobie taki sen o potędzie!...

Fiskus, ten zawzięty, nieubłagany jegomość nadsyła uprzejme pismo razem z cze-kiem... oświadczając, że wobec nadwyżki podatku dochodowego, przekraczającego granice budżetu, skarb federalny zwraca z podziękowaniem część zapłaconego podatku...

A ponieważ według stawu grobla, przeto obywatel zarabiający 5 000 dolarów i opłacający 17 dolarów dochodowego podatku, otrzymywał w prezencie 5 dolarów z centymami — no a milioner, w tym samym stosunku, zagrabiał miliony...

Prezydent Hoover odziedziczył gmach splekany. Usiłował początkowo zażyć tych samych odezów strzelistych o pomyślności. Były to jednakże spóźnione frazesy.

Niepokój wzrastał. Liczby bezrobocia powiększały się. Wywóz się kurczył. Spekulacja giełdziarskich macherów wpadła w szal.

Prezydent Hoover, człowiek dobry, z rządów Hardinga jako sekretarz handlu ocalały, każdą kwestię rozstrzygał z ołówkiem w ręku. Gdy mnożył dwa przez dwa, wypadło mu matematyczne cztery, a społeczno-polityczny minus.

Zatrzymać niezdrową spekulację, udaremnić drobnym kapitalistom niebezpieczną dla nich igraszkę? — Nic łatwiejszego! Rozkaz i banki federalne ograniczyły tani kredyt maklerom giełdowym. Stopa procentowa potroiliła się, akcje jęknęły, grzmotnął pierwszy krach. Za nim w te pędy drugi i trzeci. Kapitaliki, nikłe sumki spadły z milionerskich drzew jak żrałe ulęgalki. Magnaci pomnożyli swe bogactwa... Dalej pieniądze angielskie i francuskie wycofały się z giełdy nowojorskiej, za nimi ruszyły i amerykańskie dolary...

W Ameryce nie ma businessu. Więc trzeba go szukać.

I amerykańskie dolary zaczęły budować fabryki i turbiny bolszewikom, zaczęły rozbudowywać sowiecki „dumping”, szachrować z tymi, przeciwko którym w Kapitolu Waszyngtońskim rzucano piorunami — zaczęły w rozmaitych punktach Europy zakładać warsztaty dla przemysłu amerykańskiego konkurencyjne, zaczęły miliardy pożyczać Niemcom, aby... tym szybciej pobić własny przemysł, własnej produkcji zadać cios złowrogi...

Lecz cóż komu do szczegółów.

Milionerzy amerykańscy nie są poetami.

Naraz, istny kataklizm! Niemcy, ci nieszczęśliwi Niemcy zapowiedzieli zawieszenie wypłat... wierzycielom prywatnym, jako powaleniu na łopatki przez ssawki kontrybucji wojennych...

Wszczął się alarm nad alarmami. Bierz lichu zobowiązania pośrednie względem Stanów Zjednoczonych!

Prezydent Hoover niebo i ziemię poruszył gorącym wezwaniem ku ratowaniu Niemiec przed ruiną, przed katastrofą, przed rewolucją, przed komunizmem, przed anarchią...

Ameryka prolongowała długi europejskie, byle Niemców ocalić... byle chronić miliardy, tymże Niemcom pożyczone przez amerykańskich bankierów! I Ameryka, ta ce-

niąca nade wszystko swoją „splendid isolation”, zagadała raptem o odrzuconym, niepodpisanym Traktacie Wersalskim, zagadała o jego rewizji, bo Niemcy gotowi by skrzywdzić nababów amerykańskich, bo należy coś na ich uspokojenie, aby płacili, aby uwięzione fundusze można wycofać...

Zresztą problemów zatrzęsienie.

Sześć milionów ludzi bez zajęcia, sześć „oficjalnych” milionów bez jutra, a obok osiemnaście milionów żon, matek, siostr, dzieci i starców wydanych na poniewierkę razem z nimi.

Zjedli, spieniężyli, zmarnowali wszystko, a resztę zabrały bank i bankierzy.

Tysiąc banków i bankierzy, tych najcichszych, ciulających krwawicę zarobkową, mieszczańsko-farmerskie fundusiki, trzasło, zagrzebało w swych gruzach resztki zaopatrzenia na czarną godzinę.

Co czynić, jak zaradzić klęsce?

Więc odezwij płomienne do społeczeństwa, do tego głównie, które nic nie posiada, więc sposoby. Pracującym zmniejszyć godziny pracy, a na te zmniejszone godziny wziąć bezrobotnych. Niechże sprawiedliwsze będzie zarobkowanie. Ująć i dać. Obciąć płace, oszczędzać. Budować gmachy publiczne. Przedsiębiorcy, ci najtańsi, chwycą za maszyny... Z kobietami się rozprawić, bo i kobiet wina, niezawodna wina.

Latami się napierały, pchały do zawodów, do biur, urzędów, zabierały miejsca żywicielom rodzin, same najczęściej szukając nie chleba czarnego, lecz wetów, lecz jedwabów, błyskotek, zbytku.

Brak dokumentu na kobiety? — Jest i statystyka, powagą profesora Nystroma z Uniwersytetu Columbia stwierdzona...

Amerykanki wydają rocznie na kosmetyki, na „instytuty piękności” okrągłą sumkę 750 milionów dolarów rocznie (statystyka roku 1930), włączając pomadkę do ust, ondulację, przefasonowywanie nosów, wycinanie zmarszczek, chudnięcie itp. zabiegi.

Wobec tego należy odebrać pracę... mężatkom i w ogóle tak zarządzić, aby w rodzinie jedna tylko osoba zarabowała.

A tu i budżet się zapada, deficyty rosną — a tu znów też sama statystyka wykazuje, że na przeżimowanie nędzarzy brak stu siedemdziesięciu ośmiu milionów dolarów — na doczekanie choćby wiosny...

I któż ma dać?

Dwa tysiące ludzi w Stanach Zjednoczonych trzyma całe Stany Zjednoczone w kieszeni. Oni płacą, oni trudzą się za innych, oni ponoszą największe ciężary...

Taki Andrew Mellon, wielki podskarbi od czasu Hardinga, według niedyskretnych relacji czasopism amerykańskich, posiada dopiero dwa miliardy dolarów uszkrobanych ciężką pracą. Dać przeto nie może i nie da ani on, ani Astor, ani Pierpont Morgan, ani Schwab, ani Du Pont, ani Ford, ani Rockefeller, ani Ryan, ani Huntington, ani Ogden, ani Vanderbilt, ani Vanderlip, ani pani Helena Withney, która ma zaledwie pół miliona dolarów rocznego dochodu...

Trzeba radzić, trzeba dociekać, bo już ukazują się czarne i czerwone chorągwie, bo zakłócają spokój, bo, kto wie, czyli<sup>242</sup> wszystkiego złego nie narobił „polski korytarz<sup>243</sup>...”

<sup>242</sup>czyli (daw.) — tu: konstrukcja z partykułą wzmacniającą -li; znaczenie: czy też, czy aby. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>polski korytarz (niem. *Polnischer Korridor*) — w niem. nomenklaturze polit. lat 20. XX. w., naznaczonej ekspansywnością terytorialną, określenie stosowane w odniesieniu do obszaru polskiego województwa pomorskiego, niebędącego wcale (jak sugerowałoby słowo „korytarz”) wąskim przesmykiem, lecz na mocy traktatu wersalskiego z 28 czerwca 1919 oddzielającego Prusy Wschodnie od reszty Niemiec; przyznane Rzeczypospolitej Polskiej tereny z dostępem do morza obejmowały daw. Prusy Zachodnie, zamieszkałe w większości przez Kaszubów i ludność polską, Gdańsk otrzymał status wolnego miasta; Republika Weimarska prowadziła politykę rewizjonistyczną, dążąc do korekty granic traktatowych poprzez międzynarodowy arbitraż i zagarnięcia polskiego Pomorza; ostatecznie spór o te tereny stał się jednym z pretekstów wszczęcia II wojny światowej i ataku Niemiec na Polskę; kanclerz III Rzeszy Adolf Hitler wystosował w październiku 1938 r. ultimatum, żądając od Polski zgody na aneksję przez Niemcy Gdańska na budowę eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej, które miały przechodzić przez polskie województwo pomorskie, oferując w zamian przedłużenie paktu o nieagresji, jednak Polska odmówiła przyjęcia ultimatum. [przypis edytorski]

Lata przyszły chude.

Nie pierwsze w Ameryce. Bywały podobne po Wojnie Cywilnej, bywały za prezydentury Clevelanda, bywały takie, że dolara w Europie nikt brać nie chciał.

Bywały i mijają. Miną i dzisiejsze łatwiej, aniżeli gdzie indziej, gdyż poza materialną, techniczną kulturą, poza kapiącą od złota czeredą handlarzy, przekupniów, grabicieli bogactw, Stany Zjednoczone zbrojne są zastępami obywateli światłych, ofiarnych, szlachetnych, gotowych do walki, a gardzących półśrodkami, kompromisami.

Głos gubernatora Pensylwanii, głos Pinchota, głos konserwatysty, zaciętego kwakra, wzywającego na bój z mamoną, z nieprawością nie przebrzmi bez echa.

Ameryka dźwignie się, ocknie i z większym jeszcze zapalem rozpalać będzie potężne ogniska nauki i sztuki i garnąć się do kultury duchowej.

I jako dzisiaj z amerykańskiej energii, z amerykańskiej wytrwałości, z amerykańskich systemów i metod powielania wartości, ułatwiania życia tysiące wskazań dla opieszłych a bezradnych — tak jutro w Nowej Kolchidzie złote runo myśli wszechludzkich, kastalskie krynice rozkwitu umysłowego.

*Konstancin, dnia 17 listopada 1931 roku.*

KONIEC.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gasiorowski-nowa-kolchida>

Tekst opracowany na podstawie: Wacław Gąsiorowski, Nowa Kolchida, Dom książki polskiej SA, Warszawa 1932.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Aleksandra Sekuła.

Publikację wsparli i wsparły: Zbigniew Malinowski.

Okładka na podstawie: jar []@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5720-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.